

Marek **MIGALSKI**

**WIELKI
FINAŁ**



OD
DESKI
DO
DESKI

MAREK MIGALSKI

WIELKI FINAŁ

OD
DESKI
DO
DESKI

Spis treści

Karta redakcyjna

Prolog

Dzień pierwszy. *5 grudnia*

Dzień drugi. *6 grudnia*

Dzień trzeci. *7 grudnia*

Dzień czwarty. *8 grudnia*

Dzień piąty. *9 grudnia*

Dzień szósty. *10 grudnia*

Dzień siódmy. *11 grudnia*

Dzień ósmy. *12 grudnia*

Dzień dziewiąty. *13 grudnia*

Dzień dziesiąty. *14 grudnia*

Dzień jedenasty. *15 grudnia*

Dzień dwunasty. *16 grudnia*

Dzień trzynasty. *17 grudnia*

Dzień czternasty. *18 grudnia*

Dzień piętnasty. *19 grudnia*

Dzień szesnasty. *20 grudnia*

Dzień siedemnasty. *21 grudnia*

Dzień osiemnasty. *22 grudnia*

Dzień dziewiętnasty. *23 grudnia*

Dzień dwudziesty. *24 grudnia*

Dzień dwudziesty pierwszy. *25 grudnia*

Dzień dwudziesty drugi. *26 grudnia*

Dzień dwudziesty trzeci. *27 grudnia*

Dzień dwudziesty czwarty. *28 grudnia*

Dzień dwudziesty piąty. *29 grudnia*

Dzień dwudziesty szósty. *30 grudnia*

Dzień dwudziesty siódmy. *31 grudnia*

Dzień dwudziesty ósmy. *1 stycznia*

Dzień dwudziesty dziewiąty. *2 stycznia*

Seria „Na Faktach”

Redakcja: PIOTR JABŁOŃSKI

Korekty i łamanie: AGATA MOŚCICKA, biały-ogród.pl

Projekt okładki: B&G design, BEATA DŁUGOKIŃSKA, GRZEGORZ PUŻUK

www.babaigrajek.pl

© Copyright for this edition by Od Deski Do Deski, Warszawa 2018

© Copyright for the text by Marek Migalski 2018

Wydanie I

ISBN 978-83-65157-73-7

Wydawnictwo OD DESKI DO DESKI Sp. z o.o.

ul. Puławska 174/11, 02-670 Warszawa

oddeskidodeski.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

Czytelniku, korzystaj legalnie!

Nad książką ciężko pracował autor i wiele innych osób. Uszanuj ich trud i korzystaj z książki w legalny sposób. Dzięki temu będziemy mogli sobie pozwolić, by przygotować dla Ciebie kolejne znakomite lektury.

Wszystkie postacie i wydarzenia przedstawione w książce *Wielki finał* są fikcyjne i są wytworem wyobraźni autora. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób i zdarzeń jest przypadkowe.

PROLOG

Kierowca uprzejmie otworzył drzwi i Marek wysiadł z taksówki. Samochód, którym przywieziono go w nocy z lotniska w Bandżulu, bardziej przypominał wóz opancerzony niż zwykłą taryfę. I były ku temu powody. Gdy opuścili stolicę Gambii, wjechali na teren parku narodowego, który ze wszystkich stron otaczał hotel będący celem wyprawy Marka. Obszar zamieszkały był przez wszystkie niemal gatunki drapieżnych zwierząt, jakimi poszczycić się mogła Afryka. Właśnie dlatego taksówka wyglądała jak wojskowy jeep, a kierowca miał pod ręką karabin.

Kilka kilometrów przed hotelem zatrzymali się na chwilę w zupełnej dziczy. Taksówkarz skierował w prawo światło szperacza. Niespełna trzydzieści metrów od nich stado lwic rozszarpało antylopę. Zwierzę musiało zginąć dopiero co, bo wciąż widać było jego tułów, a większość lwic nie miała okrwawionych pysków. Chwilę później do stada dołączył samiec i rykiem odgonił lwice. Oddaliły się, niezadowolone, ale tylko na dwa, najwyżej trzy metry.

Wtedy kierowca zwrócił szperacz lekko w bok i z mroku wyłonił się surrealistyczny na pozór obraz. W niewielkiej odległości od stada trzy lwiątko bawiły się małą antylopą, której matkę upolowały lwice.

– They are playing with her – oznajmił kierowca.

– Playing? – zapytał Marek.

– Yeah – potwierdził mężczyzna. – To learn hunting. And killing.

Marek zrozumiał, że lwiątko dostały małą antylopę jako zabawkę, by nauczyły się zabijać inne zwierzęta. Mordować, czyli żyć.

– Let's go! – rzucił nieco za ostro.

Pół godziny później dotarli do hotelu. Otoczony z trzech stron wysoką siatką powstrzymującą dzikie zwierzęta i przylegający do Atlantyku, był bardziej rozległym kompleksem turystycznym niż zwykłym hotelem. Cztery

osobne budynki i centralna recepcja sprawiały wrażenie idealnego miejsca wypoczynku. Nad wejściem do głównego holu widniał wielki, podświetlony na niebiesko napis „Great Final”. Marek pomyślał, że taka nazwa brzmi lepiej niż „ośrodek eutanazyjny”.

– Marketingowców mają świetnych, trzeba im to przyznać – mruknął pod nosem. – Oby i inni ich fachowcy byli równie dobrzy.

W recepcji czekały na niego drink powitalny oraz wilgotny ręcznik, którym od razu wytarł twarz.

– We are very happy, Mr Kastor, that you have chosen our hotel – oznajmił nienagannie ubrany recepcjonista. – Your room is ready.

Do apartamentu odprowadził go usłużny boj. Gdy weszli do środka i chłopak położył bagaże, Marek sięgnął do kieszeni po drobne. Dopiero wtedy zorientował się, że przecież nie ma pieniędzy. Ani w kieszeni, ani w portfelu, ani na koncie. I nigdy już ich mieć nie będzie.

– All is included, sir – rzekł jakby przepaszajaco boj. – All.

Marek został sam. Było sporo po północy, postanowił więc wziąć prysznic i pójść spać. Podróż naprawdę go zmęczyła. Gdy położył głowę na poduszce, uświadomił sobie, że umrze za trzydzieści dni.

– To tylko nieco ponad siedemset godzin – powiedział do siebie i się uśmiechnął. – Siedemset godzin.

DZIEŃ PIERWSZY

5 GRUDNIA

Obudził się o ósmej, wszedł do łazienki i popatrzył w lustro.

– Siedemset godzin minus siedem – rzucił swemu odbiciu.

Wziął prysznic, ogolił się, włożył sportowe ubranie i postanowił pójść przed śniadaniem nad morze. Był zaskoczony klimatem. Myślał, że uderzy go fala gorąca, tymczasem powietrze było rześkie. Grudzień to pora sucha, więc najlepsza na pobyt w Gambii, tak przynajmniej zapewniano go w polskim biurze „Great Final”. I okazało się to prawdą.

Czyli wczorajszy chłodny wieczór i równie przyjemna noc to nie złudzenie – pomyślał.

Podobno ośrodek mógł pomieścić dwieście osób, ale nim doszedł do plaży, spotkał tylko sprzątaczkę, ogrodnika i siedzącą na tarasie swego apartamentu parę sześćdziesięciolatków ze Szwecji lub Norwegii. W każdym razie wyglądali na emerytów ze Skandynawii. Ukłonił się im, a oni jemu.

Plaża była pusta. Tylko po prawej stronie zobaczył w oddali jakąś postać, więc postanowił pójść w lewo. Ruszył dziarskim krokiem – wszak dopiero za kilkadziesiąt dni skończy pięćdziesiąt lat, więc sił mu nie brakowało.

W pewnym momencie, ku swemu zdziwieniu, zaczął truchtać, a potem biec. Szum oceanu, chłód powietrza, uginający się pod stopami piasek – wszystko to sprawiło mu przyjemność, której od dawna nie odczuwał.

A jednak życie czasami jest miłe – pomyślał. – Szkoda, że tak rzadko i że tak to zaskakuje.

Przebiegł około dwóch kilometrów, nim zwolnił. W pewnej odległości

zamajaczyła przed nim jakaś budka czy domek. Kiedy Marek zbliżył się wystarczająco, zorientował się, że to posterunek z umundurowanym ochroniarzem. Na jego widok mężczyzna podniósł się i pozdrowił go. Za nim widniała wysoka siatka biegnąca z dżungli w głąb wody.

A więc nawet tu można się czuć bezpiecznie – zauważył z zadowoleniem.
– Nieźle pomyślane i doinwestowane.

Poczuł, że wybór „Great Final” był dobrą decyzją. Może nawet najlepszą w jego życiu. „Bezpieczeństwo, komfort, intymność, profesjonalizm” – tak firma reklamowała się w Unii Europejskiej i trzeba przyznać, że na razie wszystko to potwierdzało. Zauważył, że siatka wchodzi do oceanu na jakieś sto metrów, po czym skręca w prawo i ciągnie się wzdłuż brzegu, wystając nieco nad powierzchnię wody.

– Sharks – powiedział ochroniarz, widząc jego wzrok.

– Aaa. Thanks – odparł Marek, po czym pożegnał się i ruszył biegiem w kierunku hotelu.

Gdy dotarł na miejsce, był na tyle spocony, że postanowił zanurzyć się w oceanie. Chłód wody był kolejną miłą niespodzianką.

To nie ta zupa, w którą latem zmieniało się morze w Meksyku, Tajlandii czy na Kubie – pomyślał. – Tu naprawdę przynosi ulgę.

Pływał nago. Po kwadransie wyszedł na brzeg i włożył ubranie na mokre ciało. Postanowił, że zanim pójdzie coś zjeść, wróci do pokoju, raz jeszcze weźmie prysznic i się przebierze. Nie chciał, by od pierwszego śniadania przyłgnęła do niego łatka spoconego buraka z Europy Wschodniej.

Pół godziny później był już w restauracji. Z daleka dostrzegł ludzi, więc domyślił się, że tam właśnie musi być serwowane śniadanie. Zdziwił się jednak nieco, gdy okazało się, że w środku są zaledwie cztery osoby – jedna para oraz kobieta i mężczyzna siedzący przy osobnych stolikach. Popatrzył na zegarek – była dopiero 9.30. Czyżby spóźnił się na śniadanie? Wszyscy pozostali ludzie, których widział z daleka, należeli do obsługi. Podszedł do jednego z kelnerów i zapytał, czy nie jest już po śniadaniu.

– No, sir. We are open twenty four hours a day – odpowiedział uprzejmie

ciemnoskóry mężczyzna. – Almost all our bars, clubs and restaurants are open twenty four hours a day.

Nieźle – pomyślał Marek. – Wszystko otwarte całą dobę. Pewnie po to, by ludzie nie musieli ciągle na siebie wpadać. Przecież nie przyjeżdżają tutaj, żeby nawiązywać znajomości. – Lekko się uśmiechnął. – Pełny profesjonalizm.

Podziękował kelnerowi i usiadł przy stoliku z widokiem na ocean.

Chwilę później inny kelner zjawił się, by przyjąć zamówienie. Okazało się, że od normalnych ośrodków wypoczynkowych różni „Great Final” także to, że nie ma w nim bufetu, a każde zamówienie jest przygotowywane indywidualnie.

– Could you give me the menu? – poprosił Marek.

– No, sir. We don't have one. We'll give you exactly what you want – odparł kelner, wprawiając go w niemałe zakłopotanie.

Czyli co? Po prostu mówi się kelnerowi, na co ma się ochotę, a on spełnia naszą zachciankę? – Prawie się roześmiał. – W porządku. Sprawdźmy naszego przyjaciela.

– I see. Then give me black caviar and champagne, please – zaordynował, bardziej, by sprawdzić, czy ten system działa, niż dlatego, że akurat miał ochotę na szampana i kawior.

– What kind of caviar would you like? And what kind of champagne? – zapytał kelner, niezrażony.

– It's up to you – odparł Marek i dorzucił: – And Polish pierogi!

Kelner chyba docenił jego nieco kostyczne poczucie humoru, bo się uśmiechnął. Dwadzieścia minut później na stole znalazły się francuski szampan, rosyjska ikra i polskie pierogi. Wszystko w najlepszym gatunku, jeśli można to określenie odnieść także do pierogów, gdyż zwykłe połączenie ziemniaków z serem naprawdę trudno spieprzyć. Nawet Becia potrafiła je zrobić.

– Excellent – powiedział Marek, gdy kelner przyniósł później kawę i lody. – Really perfect.

– Thank you, sir – rzekł mężczyzna.

– I regret I can't give you a tip – żartował Marek.

Kelner tylko się uśmiechnął i ruszył do swoich obowiązków.

W restauracji oprócz Marka było w tej chwili jedynie dwóch gości. Zajęci śniadaniem, nie zwracali na niego uwagi. Na siebie zresztą też nie.

Nawiązywanie kontaktów chyba nie jest silną stroną tego ośrodka – pomyślał. – Na wieczorek zapoznawczy raczej nie ma tu co liczyć.

Po godzinie spędzonej w restauracji wrócił do apartamentu. Na stole leżała karteczka z informacją, że dyrektor ośrodka chciałby się z nim spotkać i zaprasza na kawę lub drinka na 12.00. Był także szczegółowy opis pozwalający trafić do jego biura.

Marek spojrział na zegarek – była 10.45. Nie wiedząc, jak inaczej spędzić kilkadziesiąt minut, położył się na łóżku, włączył telewizor i zaczął oglądać japoński program kulinarny.

Kilka minut przed południem wyszedł z apartamentu i skierował się do głównego budynku, w którym mieściła się administracja. Gdy zameldował się w sekretariacie dyrektora, asystentka od razu weszła do gabinetu, by poinformować o tym swego belgijskiego szefa. Pojawił się niemal natychmiast – widocznie nie miał bardzo pilnych spraw. Najwyraźniej kierowanie idealnie działającym ośrodkiem nie nastęczało specjalnych kłopotów. To jakby pilnować szwajcarskiego zegarka.

– Bardzo się cieszę, że pana widzę, panie Kastor – prawie wykrzyknął po angielsku mężczyzna i szeroko rozłożył ramiona, jakby miał objąć Marka. Na szczęście skończyło się tylko na mocnym uścisku dłoni. – Nazywam się Patrick DeWael i zarządzam tym ośrodkiem. Mam taki zwyczaj, że witam się z każdym naszym gościem, ale pana szczególnie chciałem poznać. Wszak przez pięć lat mieszkał pan w moim pięknym kraju, nieprawdaż?

– Owszem – powiedział Marek, zastanawiając się, czy DeWael kpił, mówiąc o „pięknym kraju”, czy też jest jednym z tych durniów, którzy uważają swoją ojczyznę za najcudowniejszy zakątek świata hojnie opromieniony blaskiem Stwórcy. – Przed paru laty byłem europoseł. Ale to

już historia.

– Historia czy nie, mamy coś wspólnego, nieprawdaż? – Dyrektor porozumiewawczo mrugnął do niego.

– W jakimś sensie – niechętnie odburknął Marek.

– Czego się pan napije? – Menedżer uśmiechnął się przymilnie.

– Jest południe, więc może... wódki.

– Wyborne! Wprost wyborne! – zawołał DeWael. – Muszę to zapamiętać. Pan jest bardzo dowcipny, panie pośle.

– Wolałbym, żeby mnie pan tak nie tytułował.

– Ależ oczywiście, ależ oczywiście – szybko zapewnił dyrektor. – Dyskrecja ponad wszystko.

– To nie jest kwestia dyskrecji. Po prostu w żaden sposób nie czuję się posłem, nawet byłem. Mam wręcz wrażenie, że to się nigdy nie wydarzyło – powiedział cicho Marek.

Belg był zwalistym, blisko dwumetrowym, brzuchatym mężczyzną. Najwidoczniej patriotyzm przejawiał się u niego nie tylko w bezwarunkowym umiłowaniu ojczystych ziem, ale także kuchni. Można było odnieść wrażenie, że od kołyski karmiony był frytkami i czekoladą, a pojony pszenicznym piwem. Nie mogło to pozostać bez wpływu na jego charakter. Był miłym facetem skorym do śmiechu i łatwo nawiązującym kontakty.

– To co? Na zdrowie, jak to mówicie w Polsce! – rzucił, napełniwszy kieliszki zmrożoną stolichną.

– Niech będzie na zdrowie – rzekł Marek. – Choć ono nie jest tu chyba najważniejsze.

– Otóż myli się pan, i to bardzo – gwałtownie zaproponował DeWael, wycierając usta. – Zdrowie jest najważniejsze, do samego wielkiego finału. Nie możemy pozwolić, by ludzie byli chorzy i zniedołężniali. To bardzo złe dla nich i dla innych.

– Myśli pan?

– Ależ oczywiście! – zawołał dyrektor i ciągnął z niesłabnącą emfazą: –

Ludzkość musi być prężna i zdrowa, a nie ociężała i chora! Inaczej wszyscy zginiemy, nieprawdaż?!

To ostatnie „nieprawdaż” było nie tyle pytaniem, ile stanowczym stwierdzeniem. Najwyraźniej Belg miał to wszystko dobrze przemyślane, a podobną rozmowę przeprowadzał już setki, jeśli nie tysiące razy. Dyskusja z nim nie miała sensu, zwłaszcza że sprawa była niejako urzędowa. Marek postanowił więc zmienić temat i podpytać go o parę rzeczy.

– Niech mi pan opowie o ośrodku – poprosił.

– Z największą przyjemnością! To moja duma. Jestem tu szefem od początku, od samiusieńkiego. To ja odkupiłem go w 2020 roku od sieci Holiday Inn i zacząłem przystosowywać do naszych potrzeb. I to ja wpadłem na genialny, powiedzmy sobie szczerze, pomysł, by ośrodek otoczony był ze wszystkich stron parkiem narodowym. Dzięki temu nasi goście mają absolutny spokój i żyją w komforcie, a ich spokoju strzegą dzikie bestie!

DeWael zamilkł na moment, patrząc z błyskiem w oku na Marka, po czym wybuchnął śmiechem, od którego zatrzęsł mu się opasły brzuch.

– Ile ja się, między nami mówiąc, nadawałem łapówek, żeby skłonić władze Gambii do stworzenia tu parku narodowego – kontynuował. – Ile to wymagało zachodu! Pan wie, co to za ludzie? Tylko by kradli i oszukiwali. Taka jest smutna prawda o tubylcach.

– Chyba nie tylko o tubylcach. O ludziach w ogóle. Także o nas – Marek przerwał mu nieco zaczepnie, ale z uśmiechem.

– Nie, nie. Nie ma pan racji – zaproponował dyrektor. – To zupełnie inna skala. Cywilizacyjna powiedziałbym.

– Czyli misja króla Leopolda nie powiodła się? Tyle pracy i ofiar na darmo?

– Racja, absolutna racja! – wykrzyknął Belg, nie dostrzegając chyba ironii ukrytej w słowach Marka. – Wszystko na darmo. Tyle ofiar i nic. Pewnych rzeczy nie da się zmienić. Trzeba po prostu do nich przywyknąć.

– Albo i nie.

– Tak czy inaczej, co się tu naharowałem, to moje – ciągnął niestrudzenie dyrektor. – Ale efekty są imponujące, nieprawdaż?

– Istotnie. Imponujący ośrodek – potwierdził poważnie Marek. – Ilu macie pensjonariuszy?

– Nie pensjonariuszy, tylko gości – zaprotestował DeWael. – Jesteście państwo naszymi gośćmi. A może nawet kimś więcej. W pewnym sensie wręcz rodziną. Wszak towarzyszymy wam w waszych ostatnich chwilach i dbamy o to, by były one jak najszcześniejsze. Przekona się pan zresztą, że jesteśmy bezkonkurencyjni.

– Zwłaszcza tu – zauważył Kastor.

– Ależ z pana żartowniś. – Dyrektor się uśmiechnął. – Nie tylko tu, i pan świetnie o tym wie, bo przecież świadomie wybrał pan właśnie ten ośrodek, nieprawdaż?

– Oczywiście. Opinie o was na lastway.com nie pozostawiają wątpliwości, że jesteście jednymi z najlepszych. To chyba dochodowy biznes?

– Nie mogę mówić o szczegółach, ale na pewno właściciele sieci „Great Final” nie dopłacają do interesu – rzekł Belg z uśmiechem.

– Jak to się zaczęło? Cały ten biznes?

– No właściwie to... w Belgii – odparł DeWael. – W mojej pięknej Belgii! Jak pan wie, w 2019 roku najpierw Parlament Europejski, a potem Komisja Europejska zdecydowały o legalizacji eutanazji w całej Unii. Na początku kilka państw – Malta, Irlandia i pańska piękna Polska – sprzeciwiało się temu, ale po pewnym czasie względy ekonomiczne przeważały. To nie była kwestia ideologii, ale raczej ekonomii właśnie. Oczywiście ideologia też odegrała swoją rolę, bo jednak powszechna stała się w pewnym momencie, oczywista dziś dla nas, opinia, że godna śmierć jest jednym z niezbywalnych praw człowieka. Tak jak prawo do godnego życia. Lecz ostatecznie, to jednak tylko moja opinia, zdecydowały argumenty ekonomiczne. Nawet w pańskiej ojczyźnie. Przy takiej strukturze demograficznej, gdzie mnóstwo było ludzi starych, a prawie nie rodziły się dzieci, i przy bezwzględnym zatrzymywaniu imigrantów na granicach Unii z obawy przed niekontrolowanym ich napływem eutanazja okazała się jedynym racjonalnym wyjściem. Europy nie stać było na utrzymywanie całych rzesz staruszków i zapewnianie im niezbędnych usług.

– Niepotrzebnie mi pan to wyjaśnia – przerwał mu niespiesznie Marek. – Ja to wszystko rozumiem i pamiętam. Pytałem raczej o to, jak to się stało, że ten biznes wyjazdowy tak pięknie się rozwinął. Przecież można było dokonywać eutanazji na miejscu, prawie bez kosztów.

– To prawda, ale proszę nie zapominać, że mamy tu do czynienia z ludźmi – odpowiedział dyrektor. – I to z ludźmi wolnymi, którzy mają swoje prawa. Nie można było ot, tak sobie wezwać tych wszystkich starców do szpitali i poddać eutanazji. Kilka państw tego próbowało, zwłaszcza Holandia i Czechy, lecz efekty były mizerne. Większość broniła się przed takim rozwiązaniem. Zaproponowano więc zabiegi u pacjentów. Wie pan, rodzina, pamiątki, ciepło domowe... Ale i tu odzew był nikły. Aż wreszcie nasi szefowie wpadli na pomysł, by połączyć egzotyczne wczasy z pięknym końcem!

– I to było to?

– Tak! – entuzjastycznie rzekł Belg. – Konieczność została połączona z przyjemnością. Wyjazd na kilka miesięcy do Azji czy Afryki to jednak nie to samo, co podróż autobusem miejskim do jakiegoś szpitala, by dać sobie zrobić śmiertelny zastrzyk, nieprawdaż? Konieczność ekonomiczna i osobista przyjemność. Zyskuje i społeczeństwo, i jednostka.

– Oraz takie firmy jak wasza – zauważył Marek sarkastycznie.

– Sytuacja win-win. – Dyrektor uśmiechnął się. – Nie ma przegranych, wszyscy wygrywają. Także państwa i ubezpieczyciele. Bo przecież to oni ponosili największe koszty utrzymania milionów europejskich emerytów i rencistów.

– To dlatego zaczęto robić wielkie akcje promocyjne takich firm jak „Great Final”? – zapytał Marek.

– Oczywiście – odparł DeWael. – I zdradzę panu pewną tajemnicę. Myśmy do tej kampanii marketingowej nie dopłacili ani jednego euro. Wyobraża pan to sobie? Ani jednego. Nasze usługi były reklamowane przez rządy i towarzystwa ubezpieczeniowe, bo to im najbardziej zależało na powodzeniu takich firm jak „Great Final”. Dlatego we wszystkich środkach masowego przekazu były obecne nasze oferty, a myśmy tylko spokojnie się

temu przyglądali. I czekali na pierwszych klientów. Ci zresztą pojawili się bardzo szybko. Dobrze, nieprawdaż?

– Istotnie – potwierdził Marek nie bez podziwu.

Do tej pory był pewien, że firmy eutanazyjne musiały włożyć mnóstwo forsy w rozreklamowanie swoich usług, a tu się okazało, że zrobili to za nie inni.

Niezły biznes – pomyślał.

Pożegnał się z DeWaelem i ruszył do drzwi.

– Gdyby miał pan jakieś pytania lub po prostu chciał pogadać, to zapraszam. Niech pan wpada, kiedy tylko będzie miał ochotę – powiedział sympatyczny Belg.

– Dziękuję, ale chyba nie będzie już okazji – odparł Marek.

– Niech pan nie dramatyzuje. To tylko śmierć. Głowa do góry i życzę pełnego wrażeń pobytu – rzekł dyrektor i miło się uśmiechnął.

Marek wrócił do siebie. Położył się, ale mniej więcej pół godziny później postanowił wyjść z apartamentu. Nie bardzo wiedział, dokąd pójść, więc wybrał najprostsze rozwiązanie – udał się do jednego z czterech barów. Oprócz nich, jak przeczytał w folderze reklamowym, ośrodek dysponował także czterema restauracjami: europejską, chińską, japońską i fusion. W przeciwieństwie do nich bary nie były jakoś wyspecjalizowane.

I słusznie – pomyślał. – Bar to bar. Ma być dużo alkoholu i muzyka. No i trochę ludzi, żeby jednak nie pić samotnie. Oraz wygadany barman, nieodłączny element każdej książkowej knajpki, choć w życiu nie spotkałem takiego, który wyszedłby poza zdawkowe odbieranie zamówień i oszukiwanie na drinkach.

– Skąd pisarze brali tych wszechwiedzących barmanów? – mruknął pod nosem. – Czyżby byli oni częścią nie realnego, lecz wymyślonego świata? Jak miłość i przyjaźń? Jakiś mądrała stworzył pewnie taką postać, bo była mu potrzebna w książce, a potem już tuziny takich jak on powtarzały ten motyw. Zupełnie jak z miłością i przyjaźnią – powtórzył, żeby wprawić się w dobry nastrój i mieć powód do gorzkiego uśmiechu.

Na terenie ośrodka znajdował się podobno jeszcze night-club, ale było zdecydowanie za wcześnie na sprawdzenie, czy to prawda.

Marek wszedł do baru „Ocean”, którego okna rzeczywiście wychodziły na Atlantyk. Usiadł i zamówił dżin z tonikiem. Nie brał żadnych leków przeciwko malarii, bo i po co, ale stwierdził, że mądrzy Angole nie bez powodu już dawno pili w tropikach właśnie dżin z tonikiem, więc poszedł w ich ślady.

Oni przyjeżdżali tu, by zabijać, a ja, by umrzeć. Oto różnica między Anglikami a Polakami. I różnica między wiekiem XIX a rokiem 2025 – pomyślał i wychylił szklaneczkę.

W barze był jeszcze jeden mężczyzna, ale Marek nie miał ochoty z nim rozmawiać. Tamten zresztą też nie przejawiał zainteresowania kontaktem ze światem. Po jakiejś godzinie facet wyszedł i Marek został w lokalu sam. Barman i kelnerka – on Murzyn, ona Azjatka – rozmawiali w drugim końcu sali. Z głośników płynęły piosenki Roxy Music, kiedyś jednego z jego ulubionych zespołów.

Czy oni mają jakieś moje dossier, że właśnie teraz to puścili? – zadał sobie pytanie, ale od razu uznał, że jest niemądre, bo przecież to było niemożliwe.

Nie miało to jednak znaczenia – czuł się naprawdę dobrze, temperatura w barze była idealna, nikogo innego w pobliżu nie widział, barman i kelnerka idealnie wykonywali swoje obowiązki, a alkohol zaczął krążyć w jego żyłach. Po drugim dżinie z tonikiem przerzucił się na inną wyspiarską specjalność – whisky. Wybrał dwudziestoczteroletnią, nieznaną mu wcześniej markę. Musiała być piekielnie droga, ale nie miało to już znaczenia.

All is included, sir – przypomniał sobie słowa boja hotelowego.

Przez kilka godzin niespiesznie wychylał kolejne szklaneczki whisky, patrzył na ocean i słuchał muzyki. Było mu coraz bardziej błogo. Zaczęło się zmierzchać, czyli musiała być siódma wieczór, gdy poczuł, że ma dość. Był zmęczony, ale było to zmęczenie słodkie, obezwładniające, jakie odczuwa się po dobrym seksie z bliską osobą. Przez chwilę rozważał, czy nie spauzować i nie dotrwać do otwarcia night-clubu, ale w końcu stwierdził, że jest

wypompowany i pójdzie spać. Trudy podróży jednak dały mu się we znaki. Zamówił jeszcze tylko armaniak rocznik 1976, jego rocznik, wypił go duszkiem przy barze, uklonił się barmanowi i kelnerce i ruszył do apartamentu. Nawet się nie wykąpał, tylko od razu zwalił się na łóżko. Nie był pijany. Był zmęczony. Bardzo zmęczony. Prawie od razu zasnął.

DZIEŃ DRUGI

6 GRUDNIA

Wstał przed siódmą. Chyba kilka minut wcześniej musiało zacząć świtać, bo na zewnątrz panowała charakterystyczna dla tej pory dnia stalowa szarówka.

Czyli musiałem spać prawie dwanaście godzin – pomyślał. – No ładnie.

Wziął szybki prysznic i ubrał się na sportowo. Nie zamierzał biegać, po prostu chciał się czuć swobodnie. Na śniadanie poszedł do europejskiej restauracji. Było tam trochę ludzi – kilkoro starszków, w tym jedna para, a poza nimi osiem, może dziewięć osób mniej więcej w jego wieku.

– Jestem więc raczej banalny – mruknął, uśmiechając się do siebie. – Jak zawsze. Nawet na finiszu nie stać mnie na oryginalność.

Zjadł spore śniadanie, po prawdzie tak obfite, że sam się zdziwił. Przez całe życie nie objadał się – kiedyś, bo dbał o siebie, a w ostatnich kilku miesiącach... cóż, powód był inny. Nagłe zachłanność i obżarstwo wręcz go rozbawiły.

Żeby tylko nie zszedł tu z powodu wysokiego cholesterolu – zażartował w duchu. – DeWael byłby rozczarowany, nie mogąc popisywać się do końca swym profesjonalizmem.

Nie bardzo wiedział, co zrobić z tak wczesnie rozpoczętym dniem. Zastanawiał się, czy nie wrócić do apartamentu, ale w tym właśnie momencie przez okno restauracji zobaczył przy basenie parę czterdziestolatków grającą w karty.

W karty, kurwa?! – zdziwił się. – Za kilka tygodni, może nawet dni umrą, ale wolą grać w karty? Czy człowiek nawet w obliczu śmierci nie potrafi docenić życia?

Zawsze dziwił się ludziom oddającym się z pasją tego typu zajęciom. Domino, go, szachy czy inne gry strategiczne, karty albo rywalizacje komputerowe – wszystko to wydawało mu się jakąś aberracją. Przecież to zabijanie czasu, czyli... siebie. Sposób na to, by się nie nudzić, przeżyć do snu, zmarnować kolejny dzień. Taki sam stosunek miał do każdego prawie hobby. Zwłaszcza nie mógł patrzeć na kibiców, nawet tych prostodusznych kretyków przeżywających wzloty i upadki reprezentacji narodowej czy ukochanego klubu. Śledzących wyniki i pamiętających skład, włącznie z tymi sprzed lat. Jak można było tak nie szanować swojego życia, by żyć czymś, niekiedy zresztą funkcjonującym dzięki oszustwu i ustawianiu meczów? Ale nawet jeśli rywalizacja była fair, to po kiego chuja zajmować się sportem lub czymś takim?!

Podszedł do pary przy basenie i kopnął stolik, przy którym siedziała. Ten przewrócił się gwałtownie, a większość talii poszybowała w powietrze, by wpaść do wody lub wylądować na płytkach. Mężczyzna i kobieta patrzyli na niego zdziwieni, trzymając pozostałe karty. Ludzie w restauracji, którzy wszystko widzieli, spoglądali obojętnie. Także kelnerzy nie wydawali się poruszeni.

– You are dying! – syknął Marek do pary. – Dying, do you understand?!

Mężczyzna pochylił się, by podnieść stolik, kobieta siedziała nieruchomo, ale bez strachu. Marek ruszył w kierunku plaży. Gdy już prawie na nią wchodził, odwrócił się i zobaczył, że para wróciła do gry. Poszedł w prawo.

Dotarł aż do siatki i budki ochroniarza, które znajdowały się, podobnie jak po przeciwnej stronie, jakieś trzy, cztery kilometry od głównego kompleksu „Great Final”. Chwilę odpoczął i ruszył z powrotem. Gdy był jakiś kilometr od ośrodka, a jego budynki stawały się coraz wyraźniejsze, zobaczył idącą w jego stronę kobietę. Miała około sześćdziesięciu lat, ostry wzrok i wciąż jeszcze piękne rysy. Zwrócił twarz w stronę oceanu, by minąć się z nią bez wymiany spojrzeń.

– Oni dziś kończą turnus – powiedziała po angielsku sekundę po tym, jak znalazła się za jego plecami.

– Co? – rzucił Marek odruchowo.

– Dzisiaj o osiemnastej kończą turnus – powtórzyła nieznajoma. – Za kilka godzin już ich nie będzie. Niepotrzebnie zepsułeś im ostatnie chwile życia, dupku.

– Nie chciałem, przepraszam – powiedział Marek, nie wiedząc, jak się zachować. Przystanął i spojrzał na kobietę.

– Właśnie tak zachowują się dupki. Nie wiedzą, że kogoś ranią, nie chcą tego, ale im się nie udaje, a potem stać ich tylko na idiotyczne „przepraszam” – stwierdziła sucho, lecz w jej głosie nie było gniewu czy złości.

– Marek jestem. – Wyciągnął do niej rękę.

– Dupek Marek – sprostowała i uśmiechnęła się smutno, ale uściśnęła mu dłoń.

– Naprawdę mi głupio – powiedział. – Sam nie wiem, co mi odbiło.

– W sumie to mam to gdzieś. Oni zresztą chyba też – zauważyła kobieta i jeszcze raz się uśmiechnęła. – Mam na imię Sofia.

– Jesteś Włoszką? Hiszpanką?

– Wenecjanką – odparła. – Nigdy nie czułam się Włoszką. A ty pewnie jesteś Rosjaninem albo Polakiem. Tylko wy potraficie być tak żenująco pretensjonalni.

– Tak, pochodzę z Polski – przyznał Marek. – Choć jak ty nigdy nie czułaś się Włoszką, tak ja nigdy nie czułem się do końca Polakiem. Ale my, Słowianie, rzeczywiście bywamy nieznośnie egzaltowani.

– To nawet urocze – zauważyła Sofia. – W sumie jednak bardzo niemięskie. I strasznie męczące.

Przez chwilę stali, patrząc na ocean.

– Usiądziemy? – zaproponował Kastor i wskazał miejsce pod palmami na skraju plaży.

– Chętnie.

Gdy usiedli, znowu jej się przyjrzał, tym razem z bliska. Kiedyś, może zresztą jeszcze nie tak dawno, musiała być naprawdę piękna. Jej rysy pozostały szlachetne, choć widać było, że czas jest jej wrogiem.

– Nie patrz tak na mnie – wybiła go z lekkiego letargu. – Wiem, jak wyglądam.

– Przepraszam – powiedział Marek – ale przyłapałaś mnie na myśleniu o tym, jak jesteś piękna.

– Byłam – poprawiła go. – Byłam.

– Nie, wciąż jesteś – zaprzeczył nieco zbyt gwałtownie.

– Przespałbyś się ze mną? – rzuciła Sofia, jakby od dawna trzymała to pytanie w zanadrzu.

– Słuchaj, ja właściwie... – zaczął nieskładnie Marek.

– Widzisz – przerwała mu – dwadzieścia lat temu nie zdążyłabym dokończyć, a już byś na mnie leżał. Jeszcze dziesięć lat temu byłbyś na tyle szarmancki, by mnie w tym momencie pocałować. Ale teraz po prostu się mnie brzydzisz. Więc przestań pieprzyć i gapić się na mnie.

Marek pochylił się ku jej szyi. Zauważyła ten ruch i gwałtownie się odsunęła.

– Nie bądź śmieszny! – krzyknęła. – Nie bądź, kurwa, śmieszny. Nie potrzebuję twojej litości.

– Przepraszam – wydusił z siebie Marek.

– Znowu to „przepraszam” – powiedziała rozzalona. – Nie zachowuj się jak idiota, to nie będziesz wciąż musiał przepraszać. Wiem, jak wyglądam. Nie musisz mnie oszukiwać. Myślisz, że dlaczego tu jestem?

– Z powodu wyglądu?

– Tak. Wyobraź sobie, że tak – odparła. – Mogłam albo ciągle jeździć do chirurgów plastycznych, albo raz przyjechać tutaj.

– Postanowiłaś poddać się eutanazji, bo nie wyglądasz tak jak przed dwudziestoma laty? – zdziwił się Marek. – Chcesz umrzeć z powodu zmarszczek? Nie obraż się, ale to śmieszne.

– Nie obraż się, ale to ty jesteś śmieszny – powiedziała bez złości Sofia. – Jak każdy facet. Wy tego nie rozumiecie. Wam zmarszczki nie szkodzą. Tacy dojrzali się dzięki nim stajecie. Tacy sexy. A dla nas każda zmarszczka to esemes wysłany przez śmierć. My, kobiety, tak właśnie je odczytujemy.

– Ale przecież wciąż jesteś piękna.

– Byłam, Marku, byłam – stwierdziła. – I może właśnie to jest problem. Gdybym całe życie wyglądała tak jak większość kobiet, może zaakceptowałabym fakt, że dziś mężczyźni się za mną nie oglądają i że jeśli chcę się kochać, muszę znaleźć żigolaka. Ale dawniej tak nie było.

Marek milczał.

– Było zupełnie inaczej – kontynuowała weneckanka. – Nie masz pojęcia, jaka byłam piękna. Od samego dzieciństwa. Już w szkole chłopcy uganiali się za mną i nawet część nauczycieli nie potrafiła ukryć swego zainteresowania. Wiesz, żadnych ekscesów czy jakichś brzydkich rzeczy. Po prostu gapili się na mnie, a ja to widziałam i sprawiało mi to przyjemność. No i nauczyłam się to wykorzystywać. – Uśmiechnęła się do siebie.

Przez chwilę pod palmami słychać było tylko szum oceanu i szelest sypkiego piasku na plaży.

– I tak zostało – odezwała się w końcu. – W szkole dostawałam dobre oceny, bo nauczyciele byli mną oczarowani. Tak samo było na studiach. Wystarczyło, że rozpuściłam włosy i włożyłam wydekoltowaną sukienkę, a wykładowcy zaczęli mieć maślane oczy. Na dyskotekach i w klubach nie podpierałam ścian, wierz mi. – Roześmiała się i popatrzyła na Marka.

– Wierzę – odpowiedział z uśmiechem.

– Nie byłam specjalnie mądra – ciągnęła. – Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiał: nie byłam głupią kobietą, ale naprawdę trudno byłoby mnie nazwać wybitnie inteligentną i mądrą. Lecz wystarczyło, że zrobiłam się na bóstwo, a osiągałam to, co chciałam. Inne dziewczyny miały jakieś zalety, nie wiem, spryt, pracowitość, zaradność, dobroć. Ja miałam ciało i twarz i dzięki nim bez problemu dostawałam to, o co one musiały zawzięcie walczyć. Nie byłam łatwa, nie myśl tak. Jednak umiejętnie wykorzystywałam swój sex appeal.

– Miałaś męża?

– No jasne. A konkretnie trzech. – Sofia zaśmiała się. – Kobieta nie może być sama, bo bez faceta dziwaczeje. A poza tym, co ja miałam zrobić ze

swoim sex appealem? Musiałam zainwestować w dobre małżeństwo.

– Trzy razy? – rzucił ironicznie Marek.

– To nie było z wyrachowania, wierz mi – odpowiedziała. – Pierwszego męża poznałam jeszcze na studiach, pobraliśmy się, gdy mieliśmy dwadzieścia trzy lata, smarkacze prawie. Był utalentowanym naukowcem, ale po kilku latach przestało nam się układać. Trochę go zdradzałam, choć nie na tyle często, by odejść, i nie na tyle ostentacyjnie, by się domyślił. Jednak wtedy poznałam drugiego męża. Był właścicielem dużej firmy i bardzo zabawnym facetem. Miał szesnaście lat więcej ode mnie, ale świetnie się trzymał. Z nim przeżyłam najbardziej intensywny i szalony okres w życiu. Dużo podróżowaliśmy i swingowaliśmy. Zwariowany, wspaniały czas.

– No i?

– Po jedenastu latach zostawił mnie dla młodszej. – Uśmiechnęła się gorzko. – Bardzo bolało. Byłam już wówczas po czterdziestce, a ona miała dwadzieścia trzy lata, jak ja, gdy pierwszy raz wychodziłam za mąż. Stefano, bo tak miał na imię mój drugi mąż, zachował się przyzwoicie: nie zostawił mnie bez środków do życia. Mogłam się bez trudu utrzymać. Rozumiesz chyba, że o pracy nie myślałam.

– Uhm – mruknął Marek.

– I wtedy zaczął się dla mnie trudny czas. Wciąż byłam atrakcyjna, miałam pieniądze, by o siebie zadbać, i dużo wolnego czasu. Ale nie wyobrażałam sobie, że do końca życia będę sama. Zaliczyłam kilka romansów, jeden nawet z facetem młodszym ode mnie o piętnaście lat, lecz wszystkie bez szans na coś poważnego. No i wtedy pojawił się André, mój trzeci mąż. Miał sześćdziesiąt jeden lat, choć nie wyglądał na tyle. Wiesz chyba, że Włosi potrafią o siebie zadbać?

– Zwłaszcza bogaci.

– O tak! – Sofia roześmiała się. – Zwłaszcza oni. A André nie należał do biednych, jak się zapewne domyślasz. – Puściła oko do Marka. – Można wręcz powiedzieć, że był obrzydliwie bogaty. Wyszłam za niego bez

wahania. Był dobrym i czułym człowiekiem i bawiliśmy się razem doskonale, choć raczej nie o seks tu chodziło. Mnie już wtedy nie był za bardzo potrzebny. Wystarczała mi jego miłość i ten żar w oczach, gdy na mnie patrzył. To było naprawdę udane małżeństwo, oparte na przyjaźni i zrozumieniu. Pięknie się razem starzeliśmy.

– André nie żyje?

– Tak, umarł w zeszłym roku. Na raka prostaty. Czyż można banalniej?

– Każda śmierć jest banalna.

– Albo wyjątkowa – powiedziała wenejanka. – Zostałam sama. André miał jeszcze córkę z poprzedniego małżeństwa. Podzielił majątek równo między nas. Miałam więc z czego żyć, nawet gdybym chciała żyć trzysta lat...

– Ale nie chcesz – rzekł Marek.

– Nie, nie chcę – potwierdziła Sofia. – Tak naprawdę – spojrzała na zegarek – chcę żyć jeszcze dziesięć dni.

– Dlaczego?

– Co „dlaczego”? – odpowiedziała pytaniem. – Dlaczego nie chcę dalej żyć? Bo nie chcę być staruszką, rozumiesz? Nie chcę patrzeć, jak ciało, które dało mi trzech mężów, wspaniałe życie i mnóstwo rozkoszy, umiera. Ono było mną, bo to nie ja miałam ciało, lecz ciało miało mnie. A teraz nie zamierzam pozwolić mu więdnąć. Nigdy nie będę suchą jak wiór staruszką. Nie pozwolę, by moje piersi były jak zużyte kondomy, oczy zaszyły bielmem, a skóra na dłoniach przypominała ciało salamandry. Moje ciało było moją świątynią. Nie zgadzam się na jego powolną degradację. Sama je zniszczę, teraz, gdy zachowało jeszcze resztki świetności.

Sofia umilkła, a Marek nie miał już ochoty rozmawiać. Spędzili jednak razem jeszcze kilka godzin na piasku, patrząc na ocean. Gdy zaczęło się zmierzchać, wrócili do ośrodka. Pod apartamentem Marek chwycił jej dłoń, przytrzymał i musnął ją wargami. A potem uniósł głowę i delikatnie pocałował Sofię w usta.

Nie odsunęła się. Stała nieruchomo.

– Grazie – powiedziała z uśmiechem i pogładziła go po twarzy, nim

odwróciła się ku drzwiom.

DZIEŃ TRZECI

7 GRUDNIA

Przebudził się w środku nocy. Spojrzał na zegarek – była 1.34. Uświadomił sobie, że poszedł spać bardzo wcześnie, zaledwie godzinę czy dwie po zachodzie słońca, nie mógł się więc dziwić, że obudził się o tej porze. Chwilę powiercił się w łóżku, ale zrozumiał, że już nie zaśnie. Wtedy przypomniał sobie, że restauracje i bary w ośrodku pracują całą dobę. Szybko się ubrał i wyszedł z apartamentu.

Okazało się jednak, że nie wszystko na terenie „Great Final” jest otwarte, ale czynne były night-club, dwa bary i chińska restauracja.

Kitajcy mają jet lag? – Uśmiechnął się. – A może Chińczyk ma otwarte, bo można do tego zarcia dodać wszystko, czego goście nie zjedli w ciągu dnia? Zwłaszcza jak się to doprawi pikantnymi sosami.

Na tańce w night-clubie nie miał ochoty, więc minął go, tak jak wcześniej chińską restaurację. Wszedł do baru „Nostalgj” i zamówił słodkiego drinka. Rozejrzał się po sali – w sumie było najwyżej dziesięć osób i wszystkie, oprócz dwóch par, siedziały samotnie. Szybko wypił i zamówił ponownie, tym razem wódkę z sokiem porzeczkowym.

Po chwili poczuł, że alkohol rozkosznie rozchodzi się po ciele. Nie chcąc, by ten efekt przeminął, poprosił barmankę o podwójną wódkę. Zaczynało mu być miło i nagle zorientował się, że narasta w nim podniecenie. Broń Boże na widok innych gości – była to behawioralna reakcja organizmu na alkohol. Synapsy w jego mózgu tworzyły asocjacje między wódką a seksem.

Ludzie to psy Pawłowa – pomyślał. – Niby zdobywcy kosmosu i autorzy poematów miłosnych, a jednak psy Pawłowa. Cudowne prymitywne organizmy, które ubzdurały sobie, że są czymś lepszym niż ich domowe

zwierzęta.

W tym momencie przypomniał sobie, że tak naprawdę nie lubi alkoholu. Nie żeby nie tolerował jego smaku. Co to, to nie. Uwielbiał mocne alkohole, a piwem i winem też nie gardził. Doceniał również ich działanie – te nagłe stany euforii, godziny spędzane ze znajomymi na śmianiu się nie wiadomo z czego, miłe uczucie błogości, gdy człek walił się prawie nieprzytomny do łóżka. Nie lubił alkoholu za to, co wyprawiał z ludźmi. Ile związków i małżeństw rozpadło się tylko dlatego, że on czy ona nie potrafili okiełznać chuci po wypiciu jednego kieliszka za dużo. Ilu ludzi straciło życie, bo pijany debil wjechał w nich swoim poskładanym w Niemczech przerdzewiałym golfem. Ilu wyzionęło ducha, bo jakiś najebany żołdat przesadził z gorzałką.

„Wyzionąć ducha” – pomyślał. – Co to, kurwa, jest? Duch wychodzący przez usta? Jak to sobie ci pieprzeni teiści wyobrażają?

Zaczynał filozofować i bawić się słowami, więc był już pewien, że alkohol pracuje ostro w jego żyłach. Jeszcze dobitniejszym tego dowodem było podniecenie, które zauważył kilka minut wcześniej, a które nie mijало. Zaraz, przecież znalazł w intranecie zakładkę „Girls & Boys”! Zamówił jeszcze jedną wódkę z sokiem, wziął szklaneczkę i wrócił do apartamentu. Odpalił komputer i zalogował się w sieci ośrodka.

W zakładce znalazł profile dwudziestu pięciu dziewczyn i dziesięciu chłopców, którzy świadczyli – jak to określono – „usługi towarzyskie” dla gości „Great Final”.

Dwadzieścia pięć dziewczyn i tylko dziesięciu facetów? – pomyślał. – Nawet tu dyskryminują kobiety. W czym gorsze są tutejsze staruszki od staruszków, że mogą się zabawiać tylko z dziesiątką chłopców? Jak Unia może pozwalać na takie nierówne traktowanie?

Przejrzał profile dziewczyn. Najwięcej było Rosjanek i Ukrainek, były też Tajki, Chinki, Japonki i kobiety z Ameryki Południowej, a po jednej reprezentantce miały Niemcy (zdziwienie), Wielka Brytania (jeszcze większe zdziwienie), Czechy i Polska. Brawo! Nawet tu dotarły nasze rodaczki z misją uszczęśliwiania siebie i świata. Musiał przyznać, że wszystkie dziewczyny są naprawdę ładne, a niektóre po prostu piękne. Ich zdjęcia były

dyskretne, jedynie lekko erotyczne, ale nie pozostawiały wątpliwości co do charakteru świadczonych usług.

Marek dłuższą chwilę zastanawiał się, którą wybrać. Jego pakiet obejmował dwie godziny dziennie „w towarzystwie naszych asystentek socjalnych”, jak to zostało ujęte w folderze reklamowym. Plus jedno dwugodzinne spotkanie jako bonus powitalny. Wahał się między Roksana z Rosji a Leną z Odessy – poza nimi w tym momencie dostępne były jeszcze tylko Niemka, jedna z Tajek i Brazylijka. Ostatecznie zdecydował się na Rosjankę. Zamówił ją w systemie i otrzymał odpowiedź, że jego prośbę odnotowano, a Roksana będzie u niego „in few minutes”.

All is included, sir – przypomniał sobie.

Poszedł do łazienki i wziął chłodny prysznic, a po powrocie do pokoju wyjął jeszcze z barku buteleczkę stolichnej.

– Zdorowje, towarzyszczi! – wzniósł po rosyjsku toast do lustra. – Za pobiedu! Urrraaa!

Dosłownie w tym momencie usłyszał pukanie. Podszedł do drzwi i otworzył. Na korytarzu stała Roksana. Była naprawdę piękna – wysoka, długonoga, o blond włosach i niebieskich oczach. Archetyp Rosjanki.

DeWael to jednak profesjonalista – pomyślał Marek. – Niczego nie zostawia przypadkowi, wszystko musi być tip-top. Naprawdę nie można się dziwić entuzjastycznym recenzjom na lastway.com.

– Wy goworitie po ruski? – zapytała Roksana, gdy już weszła. Widocznie musiała słyszeć przez drzwi, jak gadał do siebie przed lustrem.

– Niemnożka – odparł. – Rozmawiajmy po angielsku, okay?

– Okiej – rzuciła. – So blow job, handjob or full sex?

– All of it.

Marek położył się wygodnie na łóżku, a Rosjanka zaczęła się powoli rozbierać. Była po prostu zjawiskowa. Poczul silną erekcję, nawet zbyt silną jak na ilość alkoholu, którą w siebie wlał.

– To jak? – zapytała, kiedy położyła się obok niego. – Od czego zaczynamy?

– Po bożemu – odpowiedział. – Od lodu.

Roksana spojrzała na jego nabrzmiałego już penisa, zeszła niżej i zaczęła go na przemian pieścić językiem i zmysłowo ssać.

– A prezerwatywa? – zapytał Marek odruchowo.

– Boisz się, że umrzesz na AIDS? – Zaśmiała się głośno. – Po prostu się zrelaksuj. Będzie ci dobrze. Zobaczysz.

Gdy po prawie dwóch godzinach się żegnali, Marek odprowadził ją do drzwi i pocałował.

– Dzentelmen – powiedziała zalotnie.

– Tylko na pierwszej randce – zażartował. – Bardzo ci dziękuję. To było naprawdę wspaniałe przeżycie.

– Miło słyszeć – odparła Roksana. – Jeśli to nie kłopot, zaznacz to na moim profilu. Od opinii gości uzależniona jest moja pensja. Ale nie musisz tego robić, nie ma takiego obowiązku.

Gdy wyszła, Marek od razu zasiadł do komputera. Wystawił dziewczynie najwyższe noty w kategoriach: higiena, uprzejmość, ciało, usługa, zaangażowanie i punktualność. Jedynie w ostatniej rubryce – ogólne wrażenie – nie dał jej dziesiątki, lecz ósemkę. Sam nie wiedział dlaczego – po prostu tak czuł. Na koniec życia postanowił być szczerzy i sprawiedliwy.

Kiedy skończył, było po szóstej. Czuł się błogo utrudzony. Położył się do łóżka i bardzo szybko zasnął.

Obudził się po południu. Z przyjemnością wspominał nocną wizytę Roksany i postanowił odtąd każdego dnia wykorzystywać przysługujący mu limit wizyt „asystentek socjalnych”. Jego pakiet nie był najbardziej luksusowy, więc ograniczał się do dwóch godzin na dobę. Pakiety VIP obejmowały całonocną i całonocną obecność wybranych dziewczyn i chłopców, ale takie mieli tylko ci, którzy postanowili przyjechać do ośrodka zaraz po przejściu na emeryturę.

Długość wizyty i rodzaj usług w ośrodkach „Great Final” uzależnione były od tego, w jakim wieku i z jakim kapitałem się do nich przyjeżdżało. Najdłużej, bo sześć miesięcy, mogli korzystać z nich ci, którzy właśnie skończyli pracować. Świeżo upieczeni emeryci zgromadzili na swoich

kontaktach najwięcej środków i jeszcze nie zaczęli ich konsumować, więc w całości mogły być przeznaczone na opłacenie pobytu. Wszyscy na tym zyskiwali – budżety państw, bo wciąż dopłacały do systemów emerytalnych, towarzystwa ubezpieczeniowe, bo miały pewność, że klient nie będzie żył dziewięćdziesiąt lat i nie przeje zgromadzonych składek, i sieć „Great Final”, bo choć gościła takiego człowieka aż pół roku, dostawała część jego majątku od ubezpieczyciela.

Mimo wszystko jednak Marek miał wcale wypasiony pakiet. Nie, nie był stary – nie ukończył jeszcze przecież pięćdziesięciu lat – ale oddał ubezpieczycielowi część pokaźnego majątku, który zgromadził jako europoseł. W zamian za mieszkanie przepisane na firmę asekuracyjną wydłużył swój pobyt w ośrodku do miesiąca i zapewnił sobie korzystanie ze wszystkich prawie udogodnień. Stąd klasa biznes w samolocie, którym dotarł do Bandzulu, i dostęp do „usług towarzyskich”, choć ograniczony do dwóch godzin na dobę.

Ile można dziennie ruchać? – pytał sam siebie, gdy przed kilkunastoma dniami konfigurował swój pakiet. – Dwie godziny będą w sam raz. Poza tym nie wiem, czy w ogóle z tego skorzystam.

Wykąpał się i ubrał, po czym poszedł coś zjeść. Pora była już obiadowa, więc zdecydował się na restaurację fusion – cokolwiek to miało znaczyć. Na miejscu okazało się, że serwują w niej po prostu dania, które nie pochodzą z kuchni chińskiej, japońskiej lub europejskiej. Wybór był ogromny. Od razu wyeliminował kuchnię indyjską. Odkąd był w New Delhi i zatruł się tak, że przez tydzień nie wychodził z ubikacji, miał do niej awersję. Poza tym nie lubił Hindusów z ich podziałami kastowymi, gloryfikacją przemocy, akceptacją cierpienia i obcą estetyką. Przypominali mu Cyganów, co podobno dawało się nawet jakoś uzasadnić historycznie. Nie znosił ich jaskrawych strojów, ostrych przypraw i bezceremonialnego przepychania się – nawet na elitarnych rautach. Tylko Rosjanie potrafili być brutalniejsi i bardziej chamscy.

Postanowił, że zje coś meksykańskiego. Prostackie żarcie oparte na fasoli, cywilizacja pierdu. Był w nastroju, można by rzec, prostolinijnym, więc

uznał, że danie meksykańskie, ze swoją wulgarnością i dosłownością, idealnie będzie do niego pasować. W myślach bawił się tą paralełą między jedzeniem a stanem duszy.

Kilku starożytnych filozofów byłoby zapewne ze mnie dumnych. Jednia – pomyślał.

Czekając na danie i popijając szczynowate meksykańskie piwo, obserwował gości. Kilkanaście osób w ciszy jadło lub po prostu siedziało przy stolikach, racząc się alkoholem. W pewnym momencie zatrzymał wzrok na śniadym, krępy, kruczowłosym mężczyźnie. Musiał być mniej więcej w jego wieku. Wyglądał na Hiszpana lub Włocha, a on miał wrażenie, że już go gdzieś widział. Był pewien, że zna tę twarz, choć nie wiedział, czy nie wyłącznie z telewizji.

Przecież nie podejść do niego i nie zapytać, czy skądś się znamy – pomyślał. – To najgorszy sposób na zawarcie znajomości, zwłaszcza że nie wiem, czy mam ochotę na rozmowę z nim.

Gdy się nad tym zastanawiał, spostrzegł, że mężczyzna się do niego uśmiechnął, wstał, wziął swoje piwo i ruszył w jego kierunku.

– Przepraszam bardzo, ale my się chyba skądś znamy – zagaił południowiec, gdy dotarł do stolika Marka. – Tak, wiem, jak głupio to brzmi, zwłaszcza tutaj. – Facet rozejrzał się. – Nie przeszkadzam panu?

– Nie, nie, zapraszam – odparł pospiesznie Marek. – Też miałem wrażenie, że skądś pana kojarzę.

– Czy aby nie zajmował się pan kiedyś polityką?

– Owszem, byłem komentatorem politycznym. Pan pozwoli, że się przedstawię. Marek Kastor.

– Bardzo mi miło. Jorge Eskeriba – powiedział mężczyzna. – Już wiem, skąd pana znam. Parlament Europejski. Był pan posłem, prawda?

– Tak – potwierdził Marek. – W latach 2009–2014. Pan również?

– Przez dwie kadencje. Od 2009 do 2019 – odparł południowiec. – To stamtąd musimy się znać.

– Teraz już wszystko jasne – rzekł Marek z ulgą. – Bo pamiętałem pańską

twarz, tylko nie wiedziałem skąd. Pochodzę z Polski. Pan musi być Hiszpanem.

– Katalończykiem – poprawił go ostro Jorge. – Nie Hiszpanem, lecz Katalończykiem.

– Przepraszam bardzo. – Marek był nieco skonfundowany. – Nie chciałem pana urazić.

– Nic nie szkodzi – odezwał się pojednawczo Jorge. – Ludzie często popełniają ten błąd. Nie wiedzą nawet, że istnieje Katalonia czy Kraj Basków. Dla nich wszyscy za Pirenejami to Hiszpanie. Smutne to, ale powszechne.

– Naprawdę robi to panu taką różnicę?

– Pan żartuje? A panu byłoby miło, gdyby ktoś nazywał go Rosjaninem czy Ukraińcem?

– Prawdę mówiąc, nie miałoby to dla mnie znaczenia.

– Pan wybaczy, ale jest pan idiotą – rzucił znowu ostro Eskeriba, po czym obrócił się w kierunku oceanu.

Marek nie bardzo wiedział, co zrobić. Nie chciało mu się reagować na obrazę po rycersku, dając Katalończykowi pięścią w nos, ale też nie chciało mu się wstać od stolika i odejść. Nic mu się nie chciało.

Chwilę milczeli.

– Dlaczego? – spytał Marek.

– Co dlaczego?

– Dlaczego uważasz, że jestem idiotą?

– Bo jesteś – odparł bez specjalnych już emocji Jorge. – Nie może być inaczej, skoro nie ma dla ciebie znaczenia, czy jesteś Polakiem czy Rosjaninem.

– Tego nie powiedziałem – zaprotestował Marek. – Powiedziałem, że nie miałoby dla mnie znaczenia, czy ktoś nazwałby mnie Polakiem czy Rosjaninem. To jednak co innego.

– Rozumiem – rzekł Jorge. – W takim razie przepraszam.

– Ale w sumie – ciągnął Kastor – nawet w tym drugim przypadku nie

robiłoby mi różnicę, czy byłbym jednym czy drugim. Bo jakie to ma znaczenie?

– Prowokujesz mnie, prawda?

– Troszkę. Ale to z nudów. W końcu co lepszego można tu robić, niż rozmawiać bez celu i sensu?

– Może masz rację. – Eskeriba uśmiechnął się i zamówił kolejne piwo.

Znów chwilę milczeli. Wreszcie Katalończyk obrócił się do niego.

– Jeśli masz rację, to powinienem stąd spierdalać.

– Naprawdę? – rzekł Marek, zaciekawiony. – Dlaczego? Czyżby to, że jesteś Katalończykiem, miało jakiś związek z twoim pobytem tutaj?

– Może cię zdziwię, ale tak – odpowiedział Jorge. – Jednak nie chcę cię zanudzać.

– Nie zanudzasz. – Marek uśmiechnął się do niego. – Możesz spokojnie mi to wyjaśnić.

– Rzeczywiście trafiłem tu, bo jestem Katalończykiem. A mówiąc dokładniej, przegrany Katalończykiem. Możesz tego nie pamiętać, ale w europarlamencie zasiadałem z ramienia partii Erdevira, nacjonalistycznej formacji domagającej się niepodległości regionu. W 2020 roku zostałem jej przewodniczącym. Całe życie poświęciłem tej sprawie. Na początku rząd w Madrycie brutalnie nas zwalczał, nasyłał służby specjalne, inwigilował. Zdarzały się tajemnicze zgony działaczy Erdeviry, a sprawcy pozostawali nieznani. Nie mieliśmy dowodów na to, że Partia Ludowa morduje naszych towarzyszy, ale też nie mieliśmy wątpliwości, że to oni. Z czasem na szczęście represje osłabły, a gdy ja zostałem szefem partii, ustały. I wtedy właśnie wydarzyła się rzecz dziwna: ludzie stracili zainteresowanie sprawami Katalonii. Zaczęli odchodzić z naszego ruchu, dawali się kupować władzom centralnym, zadowalali się jakimiś formami autonomii. Nie myśleli już o niepodległości. Wyrzekli się jej.

Jorge przerwał na chwilę, by wziąć łyk piwa.

– To było straszne – kontynuował – gdy widziałem, jak starzy działacze spoczywają na laurach, jak zadowolają się stanowiskami, jak satysfakcjonuje

ich częściowa realizacja naszego programu. Powoli nasz ruch stracił impet. W partii zwyciężyła frakcja umiarkowana, która latem tego roku przegłosowała na kongresie, że rezygnuje z niepodległości i zgadza się na autonomię w ramach państwa hiszpańskiego przy kontroli tej autonomii przez Brukselę. Wtedy złożyłem dymisję.

– I postanowiłeś przyjechać tutaj?

– A co mi pozostało? – odparł Jorge. – Gdyby nasz ruch spotykały represje, miałbym siłę to wszystko przetrwać. Byłem gotów oddać życie za swój kraj, i to odkąd jako szczeniak roznosiłem ulotki Erdeviry. Ale po tym, jak Katalończycy okazali się szczurami, które za kawałek sera zrezygnowały z wolności i marzeń, co mogłem zrobić? Patrząc, jak karleją? Jak sprzedają Katalonię? Jak się kurwią za hiszpańskie i unijne pieniądze? To koniec. Koniec Katalonii i mój. Nie chcę dłużej żyć, skoro umarł mój kraj.

Przez chwilę obaj milczeli. A potem Marek, dusząc się i walcząc z sobą do ostatniego momentu, wybuchnął głośnym, niepoahamowanym śmiechem. Jorge patrzył na niego zdumiony, ale nie odchodził od stolika.

– Z czego się, kurwa, śmiejesz?! – rzucił w końcu.

– Ja... no wiesz... z ciebie! – wykrztusił Kastor. Śmiał się tak głośno, że zaczęto się na nich oglądać. – Z ciebie się, kurwa, śmieję, słodki pojechańcu – powiedział, ocierając łzy. – Z ciebie.

– Niby dlaczego?

– Bo to strasznie głupie odebrać sobie życie tylko dlatego, że twoi rodacy wreszcie są szczęśliwi i zajmują się swoim życiem, a nie walką z Hiszpanami. – Marek łapał oddech i powoli się uspokajał. – Powinieneś być zadowolony, że Katalończycy czują się dobrze u siebie i wystarcza im to, co wywalczyliście przez te lata bojów z rządem w Madrycie.

– No tak, ale przez to oni całkiem zapomnieli o Katalonii. Porzucili marzenia o suwerennej ojczyźnie – zaproponował Jorge. – To zdrada.

– Gównu zdrada – mruknął Marek. – Zdradzić to można żonę albo przyjaciela, ale nie Katalonię czy Polskę. Zresztą nie ma Katalonii ani Polski, są co najwyżej Katalończycy i Polacy. A i to nie bardzo, bo to tylko

symboliczne naklejki i produkt polityczny.

– Co masz na myśli? W jakim sensie nie ma Katalonii ani Polski? Przecież miliony ludzi w nie wierzą i miliony oddały za nie życie.

– Po pierwsze, nie zawsze coś istnieje tylko dlatego, że ktoś w to coś wierzy. Bóg nie istnieje, bo ludzie w niego wierzą, i nie przestanie istnieć tylko dlatego, że w jakimś momencie stracą wiarę. On istnieje lub nie istnieje bez względu na wiarę czy niewiarę ludzi. Tak samo nie można uważać, że Elvis Presley żyje, tylko dlatego, że ileś tysięcy durnych Amerykanów wciąż w to wierzy.

– A ofiary? – nie odpuszczał Jorge. – Czy ofiary nie dowodzą istnienia tego, w imię czego były składane? Chcesz powiedzieć, że miliony Polaków zginęły podczas drugiej wojny światowej za coś, co nie istnieje?

– To brednie. Polacy nie ginęli dlatego, że wierzyli w Polskę, ale dlatego, że byli Polakami – odparł Marek. – A to spora różnica. Większość nie umarła z imieniem Polski na ustach, tylko z krzykiem, grymasem bólu i chęcią przeżycia za wszelką cenę. Niemcy i Rosjanie nie dali im szansy, by powiedzieli, czy chcą umierać za Polskę, czy żyć, mając ją w dupie. Wierz mi, że jak większość normalnych ludzi wybraliby życie bez ojczyzny zamiast śmierci z jej imieniem na ustach. Miliony Polaków zginęły, bo były Polakami – to prawda. Ale ci ludzie nie ginęli za Polskę, a jedynie dlatego, że tak chcieli ich oprawcy. Liczba ofiar nie świadczy o istnieniu czegokolwiek.

– Nie sądzisz, że plujesz na groby tych wszystkich, którzy umarli za Polskę? – spytał Eskeriba. – Nie masz poczucia, że plugawisz ich imię? Bo nawet jeśli masz rację, mówiąc, że większość zginęła przypadkowo, uciekając od śmierci lub gotowa wyrzec się polskości, to jednak cała rzesza najlepszych synów twojego narodu oddała świadomie życie właśnie za twój kraj.

– Tych uważam za najgorszych. Fantom wzięli za rzeczywistość i poprowadzili innych na śmierć. W imię jakiejś Polski, jakiejś ojczyzny. Jakby miały one znaczenie. To nie najlepsi z najlepszych, ale najbardziej fanatyczni z fanatycznych. Brali udział w mordowaniu moich rodaków na równi z hitlerowcami czy komunistami.

– Co ty pieprzysz?! – warknął Jorge. – Jak możesz tak mówić?!

– Mówię tak, bo to prawda – odparł Marek. – Ci piękni młodzieńcy poprowadzili na rzeź setki tysięcy Polaków. Ze śpiewem na ustach i z radością w oczach szli prawie bezbronni na czołgi i armaty. Poświęcili realnych ludzi w imię idealistycznych mrzonek. W imię fantomów.

– Nazywasz Polskę fantomem?

– Oczywiście. I Polskę, i Katalonię, i Hiszpanię. Wszystko to są produkty politycznego marketingu, sztuczne twory, które zastąpiły inne formy pracy grupowej. Stworzono je tylko po to, by integrować wspólnotę i zwiększyć jej szanse na przeżycie. Bez oglądania się na dobro jednostek i z całą świadomością ich sztuczności.

– Co ty gadasz? Jakiej sztuczności? Przecież narody są naturalnymi tworam, odwiecznymi prawie. – Eskeriba reagował coraz gwałtowniej.

– Odwiecznymi? – Marek uśmiechnął się ironicznie. – Naprawdę? Wiesz, ile lat ma gatunek ludzki? Około dwóch i pół miliona. A od kiedy możemy mówić o homo sapiens? Od jakichś stu tysięcy lat. I nadal chcesz pieprzyć o odwieczności narodów? Gdyby historię ludzkości zamknąć w jednej dobie, narody pojawiłyby się na kilka sekund przed północą. Rozumiesz? Kilka sekund. Kiedy powstał naród hiszpański czy polski? Kilkaset lat temu, prawda? Chyba nie chcesz powiedzieć, że w czasach Chrystusa byli już Hiszpanie czy Polacy? Nasi przodkowie biegali sobie wówczas za zwierzyną, nie mając pojęcia, że są kimś więcej niż członkami swego niewielkiego plemienia. Pomyśl, jeszcze kilkaset lat temu nie istniały takie byty jak Polska czy Hiszpania.

– No i co z tego? Teraz są i można je kochać lub ginąć za nie – zaproponował Jorge. – To niczego nie zmienia w moich uczuciach do nich.

– Oczywiście – rzekł Kastor. – Możesz oddać za nie życie, ale pamiętaj, że to sztuczne twory i że powstały tylko po to, by jakoś zorganizować społeczeństwa i uzasadnić trzymanie ich w ryzach. Przecież musisz wiedzieć, że nowoczesne narody powstały w osiemnastym i dziewiętnastym wieku, gdy rozpoczęła się industrializacja, ludzie zaczęli się masowo przemieszczać i rozpadło się zachodnie chrześcijaństwo. Trzeba było

wówczas dać ludziom jakąś tożsamość, bo ta dawna już nie wystarczała. Kiedy doszło do zjednoczenia Niemiec czy Włoch? W drugiej połowie dziewiętnastego wieku! Jeszcze trzysta lat temu w Europie było kilkaset bytów państwowych, a obecnie jest trzydzieści narodów. To niby naturalne formowanie się narodów było świadomą robotą polityczną.

– Czyli cała historia Europy to fikcja? – obruszył się Jorge. – Nie było tych wszystkich wojen, konfliktów, rozlewu krwi?

– Były, były. – Marek uśmiechnął się. – Ale to były wojny państw, nie narodów. Przez całe stulecia walczyli królowie i książęta, nie narody. A to dlatego, że narody nie istniały. Pod Grunwaldem w 1410 roku nie starli się Polacy i Niemcy, lecz czterdzieści tysięcy wojsk zakonnych wraz z sojusznikami i czterdzieści tysięcy wojsk polskiego króla. Większość ówczesnych „Polaków” i „Niemców” nigdy nie dowiedziała się nawet o tej bitwie. Wojna była wtedy sportem władców, a nie konfliktem narodów.

– Czyli uważasz, że narody niczym się nie różnią od plemienia lub szczepu? – zapytał Eskeriba. Wydawał się coraz bardziej zainteresowany.

– Niczym – potwierdził Marek i poprawił się na krześle. – No może tylko skalą. Przynależność do plemienia zwiększała szanse przeżycia i dlatego ludzie w nich tkwili. To było racjonalne i tylko idiota mógł uważać inaczej. Przeżywali jedynie ci, którzy byli lojalnymi członkami plemienia, a potomstwu przekazywali, że plemię jest najważniejsze, że trzeba go bronić, a czasami nawet umrzeć w jego imieniu. Powtarzam, to było racjonalne i mądre.

– A dzisiaj z narodami jest inaczej? Przecież dzisiaj naród też daje schronienie.

– Gówno prawda. Żydzi, którzy tak uważali w latach trzydziestych w Polsce czy w Niemczech, zginęli. Uratowali się tylko ci, którzy spieprzyli za ocean.

– Albo wyjechali do Palestyny. I wtedy przeżyli – nie dawał za wygraną Jorge.

– Tak, ale zrobili to, by zbudować państwo, a nie, by być wiernym

narodowi – rzekł Marek. – Bo państwo coś ci daje, podczas gdy przynależność do narodu tylko cię coś kosztuje. Żeby to zrozumieć, trzeba przezwyciężyć wszystko, czym karmią nas przez całe życie w procesie edukacji i socjalizacji. Bo ideolodzy narodowi dobrze wiedzą, jak sztuczny jest to twór, i dbają o to, by od samego początku, od dziecka wbijać nam go do głów. Żeby nie zaświtało nam, że to oszustwo.

– Przesadzasz – powiedział cicho Katalończyk. – Naprawdę nie czujesz, że zostałeś ukształtowany przez to, że jesteś Polakiem, i że różnisz się od innych tym, co wiesz o świecie, w jakim języku myślisz, na jakich wychowałeś się lekturach? Przecież to odróżnia cię od, dajmy na to, Portugalczyka. Nie zaprzeczysz chyba?

– Oczywiście, że nie – przyznał Marek i jednym haustem dopił piwo. – To, w jakich warunkach wzrastałem i jakie czytałem książki, ma niebagatelne znaczenie dla tego, kim jestem. Ale tylko w taki sposób, w jaki różnią mnie od innych moje podwórko i życiowe doświadczenia. Więcej mnie łączy z tobą niż z bezrobotnym żulem z Radomia, małego miasta we wschodniej Polsce. Jasne, że Polacy różnią się od innych narodów. Taka była po prostu ewolucja naszego plemienia. Jesteśmy na przykład wyżsi od Portugalczyków, mamy od nich jaśniejsze włosy i oczy, częściej chorujemy na raka jąder i chętniej bijemy żony. Ale tak naprawdę niewiele z tego wynika. A już na pewno nie to, że w imię tej polskiej specyfiki mam prawo kogoś zabić czy mam obowiązek poświęcić swoje życie. Słowem, z tej odrębności nie wynika żadne zobowiązanie.

– Żadne? Naprawdę?

– Tylko takie, jakie wynika z przynależności do fanklubu Barcy. Miłość i lojalność wobec Polski niczym prócz skali nie różnią się od miłości i lojalności wobec klubu piłkarskiego. To to samo uczucie, ten sam mechanizm psychologiczny. Dają ci one poczucie akceptacji, komfort przynależności do grupy, wspólne sztandary i hymny. I są tak samo głupie i prymitywne. Dlatego i jednego, i drugiego możesz się wyrzec. A nawet powinienes, jeśli widzisz, że to cię ogranicza lub czegoś od ciebie wymaga.

– Ale przecież nie możesz tego porównywać – rzekł gwałtownie Jorge. –

Narody to nie twory całkiem sztuczne. Może nie odwieczne, ale wielowiekowe.

– Tak? – spytał zaczepnie Kastor. – A istniał sto lat temu naród indonezyjski lub palestyński? Powstały w drugiej połowie ubiegłego wieku, ale już mają cały entourage typowy dla narodów o dłuższej historii. By stworzyć naród, wystarczyły proces polityczny, kilku charyzmatycznych liderów i fala represji. A potem dodano tylko szybko całą tę kostiumologię: flagę, hymn, historię, mity. I wyskoczył nam nowy naród. Sztucznie utworzony, jak każdy z nich.

– To co, przynależność do narodu niczego nie daje?

– Przeciwnie – odparł Marek. – Gdyby niczego nie dawała, mało kto czułby się wobec niego lojalny. Narody to twory sztuczne, ale miłość do nich jest jak najbardziej naturalna. Przedwieczna rzekłbym. Historia podpowiada nam, że lepiej być częścią jakiejś grupy niż wyrzutkiem. Dlatego właśnie dzieci tak walczą o to, by nie wyautowano ich z grup rówieśniczych. Po prostu wiedzą, że warto być częścią większej całości, że to się opłaca. Stąd dostajemy gęziej skórki, gdy grają nasz hymn i gdy nasza reprezentacja narodowa wygrywa. Ciepło, które się w nas rozchodzi, gdy czujemy się członkiem dużej grupy, to właśnie ta nagroda.

– A więc jednak są zalety przynależności do narodu! – niemal krzyknął Jorge. – Naród jest nam potrzebny, niezbędny do tego, byśmy przeżyli i byli szczęśliwi.

– Niezupełnie – zaoponował Marek. Dyskusja zaczęła go już nużyć i złapał się na tym, że Katalończyk go irytuje. – Do przeżycia absolutnie nie jest nam potrzebny. Co więcej, gdy tylko naród znajdzie się w niebezpieczeństwie, zwiększamy szanse przeżycia, uciekając gdzie pieprz rośnie. Każdy polski inteligent mógł to zrobić w 1939 roku, wyjeżdżając choćby do Stanów czy Argentyny. Naród nie jest nam też potrzebny do szczęścia. Kiedyś trudno było zrzec się obywatelstwa, dziś wystarczą pieniądze i można być szczęśliwym w każdym kraju. Bo szczęście nie jest już związane z przynależnością do jakiegoś plemienia.

Esqueriba wyglądał na zafrapowanego. Marek uśmiechnął się do niego

i dokończył:

– Twoi ludzie znaleźli szczęście w Hiszpanii. Nie potrzebują do tego Katalonii, która zapewne gorzej radziłaby sobie z wszelkimi przyziemnymi problemami, z jakimi boryka się każde państwo. Bo, jestem pewien, w twojej partii pełno było historyków i ideologów, a mało inżynierów, którzy zajmowałiby się konkretnymi ludzkimi sprawami. A od tego właśnie powinni być politycy: od rozwiązywania małych ludzkich problemów, czynienia życia obywateli lżejszym i bezpieczniejszym. Dlatego ludzie mają w dupie twoją wysnioną Katalonię, a szczęśliwi są w sprawnym państwie hiszpańskim. Rozumiesz?

Jorge milczał.

– Rozumiesz już – Kastor pochylił się ku swemu rozmówcy – dlaczego twoja śmierć będzie taka bezsensowna? Bo umrzesz w proteście wobec tego, że twój lud znalazł wreszcie szczęście. I że nie potrzebuje takich oszołomów jak ty.

Jorge popatrzył na niego błędnym wzrokiem, a potem wstał i ruszył do wyjścia. Nagle jednak zawrócił, podszedł do Marka i splunął mu w twarz.

– Jesteś śmieciem bez jakichkolwiek ideałów – syknął.

– Masz rację – wydobył z siebie Marek. – W obu kwestiach.

Marek został sam. Wytarł twarz papierową serwetką i przywołał kelnera.

– Poproszę lampkę wina – rzekł. – Hiszpańskiego.

Posiedział jeszcze dwie godziny w restauracji, wolno sącząc wino, które okazało się naprawdę niezłe. Gdy zaczął zapadać zmierzch, postanowił wrócić do apartamentu i zamówić jakąś dziewczynę. Był w doskonałym nastroju, ale lekko szumiało mu w głowie, więc poszedł na krótki spacer. Gdy przechodził koło ogrodzenia, usłyszał delikatne brzęczenie prądu w siatce okalającej ośrodek.

Pełne bezpieczeństwo – pomyślał. – Płot pod napięciem odgradza mnie od zła całego świata. Nic mi się tu nie może stać, ani fizycznie, ani psychicznie. Do końca mojego życia nikt mnie już nie skrzywdzi. I ja nikogo nie skrzywdzę. Ten stan mieli chyba na myśli buddyjscy mistrzowie, gdy

zachwalali satori.

W pokoju od razu włączył komputer i wszedł w zakładkę „Girls & Boys”. Dostępne były Brazylijka, dwie Rosjanki oraz Niemka. Już chciał zdecydować się na tę ostatnią – w ramach małego rewanżu za 1939 rok – gdy okazało się, że wolne są też dwie Tajki, które pracują razem.

Trójkącik? – Uśmiechnął się do siebie. – Pewnie, że tak!

Zabukował Tajki i otrzymał wiadomość, że będą u niego za pół godziny.

Gdy był młodszy, marzył o trójkącie, ale nigdy nie udało mu się tego zrealizować. Zawsze coś stawało na przeszkodzie, choć kilka dziewczyn nie miało nic przeciwko takiemu eksperymentowi. Dopiął swego dopiero po czterdziestce, gdy zaczął korzystać z usług prostytutek, tylko po to jednak, by zrozumieć, że to nic nadzwyczajnego. Jak zwykle marzenie, gdy się spełniało, było lekko rozczarowujące. Ale i tak zamawiał od czasu do czasu dwie dziewczyny. Wszystko to skończyło się, gdy poznał Becię. Ustatkował się wówczas i przestał spotykać z kurwami.

Wszedł pod prysznic i szybko się odświeżył. Chwilę po tym, jak wyszedł z łazienki, usłyszał pukanie do drzwi.

Tajki były już gotowe. Poprosił o masaż z „happy endem”. Prawdę mówiąc, zawsze wolał to niż normalne pieprzenie. Trwało dłużej i dostarczało większych wrażeń, zwłaszcza gdy był w rękach prawdziwych masażystek, a nie dziwek, które tylko udawały, że znają sztukę masażu. Długotrwałe dotykane, głaskanie i nacieranie olejkami sprawiało mu wielką przyjemność, a końcowy spust był jedynie fajnym dodatkiem do godzinnej bliskości. W normalnym seksie tego nie było – musiał się zawsze nagimnastykować, bo ambicja nie pozwalała mu skończyć szybko, a poza tym miał idiotyczne przekonanie, że powinien sprawić także przyjemność prostytutce.

Masaż to co innego. Mógł po prostu przez kilkadziesiąt minut pozwalać, by dziewczyna zajmowała się nim, i nie musiał się odwzajemniać. Ona robiła swoje, myślami pewnie będąc przy dziecku lub mężu, na których zarabiała, a on mógł zamknąć oczy i cieszyć się rozkoszą. Dlatego poprosił o długi masaż z końcem na twarzach obu dziewczyn.

Tajki wydawały się lekko zawiedzione.

– You can fuck our asses – powiedziała jedna z nich.

– I don't want. I want massage with cum shot – odparł.

– Okay, but will you be happy with this? – zapytała druga.

– Of course. This is what I want.

– But will you give us a good recommendations? – spytała jeszcze pierwsza.

Marek zrozumiał, że dziewczyny chcą mieć jak najlepsze oceny na swoich profilach, bo od tego – jak powiedziała mu Rosjanka – zależą ich zarobki. Bały się, że sam masaż nie poprawi ich notowań. Jednak gdy zapewnił je, że jeśli masaż będzie dobry, wysoko je oceni, z poświęceniem zabrały się do pracy.

Masując go, od czasu do czasu całowały się tak, by je widział i mógł się podniecić. Doceniał to i nie zamykał już oczu, tak jak miał w zwyczaju. Patrzył, jak uwijają się wokół jego niemłodego już ciała i robią wszystko, by sprawić mu rozkosz. Po prawie dwóch godzinach ukłękły przed nim, żeby mógł skończyć na ich twarzach, a potem całowały się jeszcze chwilę, przekazując sobie z ust do ust jego spermę.

Gdy wyszły, Marek usiadł do komputera i zaznaczył na ich profilach najwyższe oceny. Teraz dopiero uświadomił sobie, że nawet nie zapytał, jak mają na imię, a obie wyglądały na zdjęciach bardzo podobnie. W gruncie rzeczy nie miało to jednak znaczenia – ważne, że świetnie się spisały. Obiecał sobie, że przed końcem pobytu w ośrodku przynajmniej raz jeszcze skorzysta z ich usług.

Poszedł do łazienki, napuścił wody do wanny i wziął długą, ciepłą kąpiel. A potem wrócił do pokoju i zasnął prawie natychmiast.

DZIEŃ CZWARTY

8 GRUDNIA

Obudził się przed dziewiątą. Postanowił, że nim pójdzie na śniadanie, pobiega trochę po plaży. Włożył sportową koszulkę, ale nawet nie wziął butów do joggingu, bo chciał poczuć piasek pod stopami. Nad oceanem dość żywo ruszył w prawo i po kilkunastu minutach dobiegł do siatki. Pozdrowił strażnika i zawrócił, ale był zmęczony, więc po jakimś kilometrze zwolnił i dalej już szedł.

Jednak pięćdziesiątka na karku – pomyślał. – To nie to, co przed laty.

W apartamencie wziął chłodny prysznic, a potem niespiesznie udał się na śniadanie. W drodze do restauracji minął kilka osób, lecz nikt nie zwrócił jego uwagi. On też najwyraźniej nikogo nie zainteresował.

Ludzie tu skupieni są jednak na sobie – stwierdził. – Ale inaczej niż w normalnym życiu. Tam niby też każdy dba głównie o siebie, lecz w odniesieniu do innych. Taka relacyjność towarzyszy nam przez całą karierę. Dbamy o to, co inni o nas myślą, zwłaszcza gdy coś od nich zależy. A tu już tego nie ma. Nikt nikomu się nie przygląda, ludzie są skupieni na sobie i na tym, co ich wkrótce czeka.

Markowi bardzo to odpowiadało – to niedostrzeganie innych, pewna obojętność, koncentracja na sobie i swoim życiu. Bez hipokryzji i zapewnień, że tak naprawdę zależy nam na drugim człowieku i jego dobru. Tu było jasne, że najważniejsi jesteśmy my, a bliźni to tylko funkcja nas samych. Potrzebna, ale na pewno nie niezbędna.

W restauracji było nie więcej niż dziesięć osób. Marka wciąż zastanawiało, gdzie podziewa się większość gości – przecież ośrodek przygotowany był na dwieście osób, jak mówiły materiały reklamowe.

Może nie ma pełnego obłożenia? – pomyślał. – A może większość nie wychodzi w ogóle z pokojów?

Działał w końcu room service, więc prawdopodobnie część gości siedziała w apartamentach, a jedzenie zamawiała przez telefon.

No właśnie – telefon. Swoją komórkę oddał recepcjoniście już pierwszego dnia. Takie tu obowiązywały zasady, a on akceptował je i rozumiał. Wszystkie „ziemskie sprawy”, jak by to określiła jego matka, należało załatwić przed przyjazdem do „Great Final”, a w ośrodku już tylko przygotowywać się na odejście. Uważał, że to mądre rozwiązanie, podobnie jak odcięcie od internetu. Goście mogli korzystać z sieci wewnętrznej, która zapewniała im obsługę, ale do internetu dostępu nie mieli. Bo co w końcu mogło ich jeszcze interesować z tego, co on dostarcza? Pornografia? Dziwki i chłopców mieli na miejscu. Newsy polityczne? Polityka nie mogła im tu niczego zaoferować. Śmieszne filmiki? Większości ludzi przebywających w „Great Final” nic już nie śmieszyło.

Gdyby ktoś jeszcze rok temu powiedział mu, że może przeżyć miesiąc bez komórki i dostępu do sieci, uznalby go za wariata. Jeszcze rok temu obie te rzeczy wydawały mu się niezbędne do życia.

W sumie do życia chyba naprawdę są niezbędne. – Uśmiechnął się do siebie. – Ale do śmierci już niekoniecznie.

Zjadł spokojnie śniadanie i usiadł z kawą na tarasie restauracji. Nie bardzo wiedział, co zrobić z resztą dnia, zwłaszcza że było dopiero koło jedenastej.

Patrzył na ocean. Wiedział, że gdzieś za nim, w odległej Ameryce dzielni i zaradni ludzie wstają powoli, by ruszyć do pracy. Bo trzeba spłacić kredyt hipoteczny, zarobić na studia dzieci i na wakacje w Europie. Umieśnieni mężczyźni wkładają białe koszule, wiążą krawaty i siadają za kierownicą swych pozbawionych finezji aut, a piękne, wysportowane kobiety ubierają żakiety, wiążą włosy w kok i udają się do swych społecznie użytecznych prac. Ich dzieci jeszcze śpią, ale gdy tylko się obudzą, będą się uczyć, by dostać się na najlepsze uczelnie.

To dlatego Stany wciąż przewodzą światu – pomyślał. – Bo Amerykanie są

wspaniałymi, bezrefleksyjnymi hominidami podążającymi za tym, co im się narzuci. Rodzą się, pracują, wojują i umierają, nie zadając sobie pytania, po co to wszystko. Stworzyli kilkanaście wybitnych uczelni i instytutów badawczych, na których kilkadziesiąt tysięcy jajogłowych może się oddawać refleksjom i nauce, ale cała reszta, wspaniale współpracując, wiedzie w pocie czoła mrówcze życie gotowa zabić lub umrzeć w imię swego mrowiska.

Marek nie miał ochoty na alkohol. Zamówił drugą kawę. Teraz przydałby się papieros, tyle że nigdy nie palił. Ale owszem, papieros bardzo by pasował do tego obrazka – przygotowujący się na śmierć intelektualista patrzy na ocean i pali gauloises'a.

A może seks na trzeźwo? W środku dnia? – pomyślał. – W sumie i tak nie mam nic innego do roboty.

Wrócił do pokoju i zalogował się do intranetu. Z żalem stwierdził, że ze wszystkich dziewczyn dostępne są tylko trzy – najwyraźniej seks o tej porze nie cieszył się w ośrodku dużą popularnością. Do wyboru były Rosjanka, Ukrainka i Polka. Magda.

– W porządku, niech będzie Magda – powiedział do siebie. – Urządzimy sobie pożegnanie z ojczyzną.

Profil Polki migał zresztą tak, jak to często bywa z nachalnymi reklamami w internecie.

Jakaś desperacja czy po prostu jest taka dobra? – pomyślał. – A może dyrekcja chce połączyć Polaka z Polką? Godne to i sprawiedliwe.

Zarezerwował więc Magdę i wkrótce otrzymał informację, że będzie u niego za czterdzieści pięć minut.

Dwie Tajki w pół godziny, ale na książniczkę z Polski trzeba czekać trzy kwadransy. Polnische Wirtschaft – podsumował zgryźliwie w myślach.

Kąpał się przed kilkoma ledwie godzinami, więc postanowił darować sobie rytualne ablucje. Włączył telewizor i zaczął oglądać kanał muzyczny. Kilku Murzynów i ich kurewek wyginało się w rytm hip-hopu. Po jakimś czasie usłyszał pukanie.

– Magda – ni to zapytał, ni stwierdził, otworzywszy drzwi.

– Tak. – Dziewczyna zdziwiła się. – Jest pan Polakiem?

– Owszem – rzekł Marek. – Przeszkadza to pani?

– Mnie nic nie przeszkadza – odparła hardo i energicznie go minęła.

Była kruchą blondynką o pięknych rysach. Musiała mieć około trzydziestu lat, co odróżniało ją od większości dziewczyn i chłopców pracujących w „Great Final”, ale zachowała przymioty ciała typowe dla dwudziestolatków. Dodała do nich za to mądre i bystre spojrzenie.

– Mamy dwie godziny. Na co ma pan ochotę? – zapytała dość bezpośrednio.

– Napije się pani?

– W pracy nie piję.

Marek nie był wcale pewien, czy kobieta się z niego nie nabija.

– Pozwoli pani, że ja się jednak napiję – rzekł i sięgnął do barku po piwo, choć przecież miał to być seks bez alkoholu.

– Piwo? Dobry wybór – stwierdziła Magda.

I znów nie potrafił powiedzieć, czy ta kurewka się z niego nie naśmiewa.

– Na zewnątrz tak gorąco – dodała, widząc jego minę.

Na zewnątrz? – pomyślał Marek.

Naprawdę, ilekroć się odzywała, miał wrażenie, że z niego kpi.

– Tak. Tutejsze temperatury nie są dla takich jak my – podzielił się banalną uwagą i od razu tego pożałował.

– Takich jak my? – zapytała. – Czyli jakich?

– Dla nas, Polaków – rzucił Marek z irytacją.

– Aaa, Polaków – powiedziała z kamienną miną. – Pan bardzo się czuje Polakiem, prawda?

Coraz mniej podobała mu się ta konwersacja. Cokolwiek mówił, wychodził na idiotę. Wolał już milczące Tajki niż tę przemądrzałą Polkę.

– Nie będziemy o tym rozmawiać – uciął ostro.

– To pan zaczął – odparła równie ostro, patrząc mu prosto w oczy.

W końcu zaczęła się rozbierać. Miała świetne ciało. Może i zbliżała się do trzydziestki, ale jej piersi i pośladki chyba nie brały udziału w tym procesie.

Popatrzyła na Marka, który wciąż stał i się na nią gapił.

– Chce się pan pieprzyć czy gadać? – spytała zaczepnie.

– A pani? – odpowiedział bezwiednie.

– Pieprzyć. Jest krócej i mniej boli.

Irytowała go ta dziwka! Miała dostarczyć mu przyjemności, a wyraźnie z niego kpiła.

– Mogłaby pani być miłsza – powiedział i usiadł na fotelu.

– Po co? – spytała, po czym niespodziewanie zaczęła się ubierać.

– Bo mogę na przykład poskarżyć się kierownictwu – odparł i dopiero w tej chwili poczuł się jak skończony idiota.

– Może pan, ale pan tego nie robi – stwierdziła Magda. – Jest pan Polakiem i ma wszystko w dupie. Niemiec czy Szwajcar na pewno złożąliby skargę, ale nie Polak.

– Za dużo pani gada jak na kurwę – nie wytrzymał Marek.

– A pan za bardzo się denerwuje jak na trupa.

Marek zaniemówił. Bezczelność tej dziewczyny zdumiewała go. Nie wiedział, jak się zachować.

– Niech pani wyjdzie – odezwał się wreszcie. – Bardzo panią proszę.

Magda zapięła bluzkę na ostatni guzik, wzięła torebkę z łóżka i ruszyła w stronę drzwi. W progu obróciła się jednak, spojrzała na niego i powiedziała:

– Przepraszam, nie chciałam...

Marek się nie odezwał. Począł, aż dziewczyna zamknie za sobą drzwi, położył się na łóżku i leżał długo ze wzrokiem wbitym w sufit. A potem wstał, zasiadł do komputera, wszedł na profil Magdy i zaczął wpisywać oceny w poszczególnych rubrykach. Dał jej same dziesiątki.

Było dopiero wczesne popołudnie i zupełnie nie wiedział, jak spędzić resztę dnia. Nie zamierzał spać, ale nie miał też ochoty wychodzić z pokoju.

Już chciał włączyć telewizor, gdy przypomniał sobie, że przecież przywiózł tu kilka książek. Spakował je tuż przed wyjściem z domu i był to zbiór nieco przypadkowy – nie sądził, że w ostatnim miesiącu życia będzie szczególnie zainteresowany tym, co jakiś autor wymyślił, by zabawić siebie i czytelników. Poza tym już dawno stracił nadzieję, że w książkach znajdzie odpowiedzi na nurtujące go pytania. Zresztą w tych, które przeczytał w ostatniej dekadzie, samych pytań też nie odnajdywał.

Z drugiej strony książki pozostały ostatnimi przedmiotami, do których się przywiązywał i wobec których miał jakiekolwiek oczekiwania. Na wiele lat przed przyjazdem do Gambii właściwie przestał utrzymywać relacje ze znajomymi. Tylko związek z Becią powstrzymał na jakiś czas to zamykanie się na świat, ale po tym, co się później stało, na powrót odseparował się od ludzi i na powierzchni utrzymywały go tylko książki. Często powtarzał sobie, że nie rozumie, jak ludzie mogą tracić czas na rozmowy, skoro w kolejce czekają Czechow, Gombrowicz czy Houellebecq. I to nie z uwagami o tym, że obiad był smaczny albo że pogoda jest taka nieprzewidywalna, ale w swej najlepszej odsłonie, z całymi akapitami tego, co uznali u siebie za najmądrzejsze. Nie pojmował tych, którzy poświęcali godziny, dni, miesiące i lata na rozmowy o niczym przy stole, a nie chcieli zerknąć na to, co do powiedzenia mają im Nietzsche czy Sartre.

Sięgnął do torby i wydobył poezje Seiferta. To był przypadkowy wybór – i teraz, i wówczas, gdy wychodząc ostatni raz z domu, wziął kilka pozycji leżących na biurku. Na tym samym biurku, na którym kładła się Mała, kiedy tylko siadał do laptopa. Chyba lubiła jego szum i ciepło wydzielane w czasie pracy. Dzień przed swoją śmiercią też tak leżała i pozwalała się głaskać, gdy na chwilę przestawał stukać w klawisze.

Wyszedł na zewnątrz, by poczytać wiersze, ale upał był zbyt duży. Na balkonie dawało się jednak wytrzymać tylko rankiem i wieczorem. Wrócił do pokoju, zamknął drzwi balkonowe i rozsiadł się w fotelu. Klimatyzacja działała bez zarzutu, więc już po chwili zrobiło się przyjemnie chłodno i mógł się rozkoszować lekturą. Nawet się nie zorientował, gdy zapadł w słodką drzemkę.

Przebudziło go ciche pukanie do drzwi. Otworzył oczy i spojrzał na zegarek – była 18.35, za oknami zaczynało szarzeć. Spał dobre kilka godzin. Nie był wcale pewien, czy pukanie mu się nie przyśniło, ale po chwili znów je usłyszał. Wstał i podszedł do drzwi. Na zewnątrz stała Magda.

– Wpuści mnie pan? – zapytała i rozejrzała się po korytarzu.

– Oczywiście, zapraszam.

Błyskawicznie wsunęła się do apartamentu.

– Przepraszam bardzo – zaczęła, gdy tylko zamknęła drzwi – ale regulamin ośrodka zabrania nam odwiedzania gości poza godzinami, na które zostałyśmy zamówione. Stąd ta konspiracja.

– Rozumiem – odparł Marek. – Czego się pani napije?

– Może po prostu soku pomarańczowego? – Zrzuciła z ramion dzinsową kurtkę. Była piękna w obcisłym białym podkoszulku i krótkich niebieskich spodenkach.

Marek nalał jej soku, a sobie whisky. Usiadł naprzeciwko i podał jej szklanekę.

– Dlaczego dał mi pan maksymalne oceny? – zapytała, gdy wypila pierwszy łyk.

– Nie wiem – odpowiedział trochę niepewnie. Sam na dobrą sprawę nie miał pojęcia, dlaczego tak postąpił. – Może dlatego, że jestem Polakiem i mam wszystko w dupie?

Magda się uśmiechnęła.

– Jeszcze raz przepraszam za dzisiaj – powiedziała cicho. – Miałam zły dzień, a doświadczenia z rodakami, którzy tu wcześniej byli, nie nastrajały mnie do pana dobrze.

– Dlaczego? Są jakoś szczególnie brutalni?

– Nie, nie – zaprzeczyła. – To nie Turcy czy Nowi Rusczy. Są raczej upierdliwi.

– Upierdliwi? – zdziwił się Marek.

– Tak. Jacyś tacy niepewni i zarazem skrupulatni. Jeden kazał mi siedzieć

ze sobą pełne dwie godziny, choć po kwadransie było już po wszystkim. Ale zapłacił, więc wymagał. Polacy zachowują się, jakbym chciała ich okraść lub wykorzystać.

– To raczej klienci wykorzystują prostytutki – rzekł Marek i dopiero wtedy zorientował się, że popełnił gafę.

Magda od razu to zauważyła i powiedziała szybko:

– Niech się pan nie stresuje. Jestem prostytutką. Nie musimy udawać, że jest inaczej.

– No tak... ale jakoś dziwnie to zabrzmiało.

– Widział mnie pan już nagą, prawda? – Spojrzała na niego zalotnie. – Chyba nieczęsto normalne kobiety rozbierają się przed panem dwie minuty po wejściu do pokoju.

– Ma pani rację. – Marek uśmiechnął się. – To rzadki zwyczaj.

– No więc jak?

– Co jak?

– Dlaczego dał mi pan same dziesiątki zaraz po tym, jak wyrzucił mnie z pokoju jako bezczelną kurwę? – spytała z lekkim uśmiechem.

– Naprawdę nie wiem – przyznał. – Może zaimponowała mi pani tym, że nie skomlała o cukierek, tylko gasiła mnie co chwila jak peta?

Magda wybuchnęła śmiechem.

– Nie gasiłam pana jak peta! – Nie potrafiła przestać się śmiać. – Po prostu się z panem przekomarzałam.

– Ładne mi przekomarzanie. – Marek uśmiechnął się do niej. – Nawet to, że chciałem napić się piwa, było pretekstem, by mi dopiec i pokazać swą wyższość.

– No bo to takie banalne było – powiedziała Magda i odłożywszy sok, zaczęła spinać włosy w kucyk. – To co, panie Marku – spytała, patrząc mu prosto w oczy – może dokończymy to, co zaczęliśmy po południu?

Marek, ku swemu zdziwieniu, zaczerwienił się. Dostrzegła jego zmieszanie.

– Nie, nie trzeba – wydusił z siebie.

– Ale ja chcę – powiedziała. – Naprawdę. Nie z wdzięczności. Po prostu chcę panu zrobić dobrze.

– Dlaczego?

– Bo pana polubiłam – odparła i uklękła przed nim.

Marek nic już nie powiedział i nie oponował, gdy powoli, pieszcząc go dłonią przez materiał, zaczęła rozpinać mu pasek i rozporek. W końcu opuściła spodnie i delikatnie wzięła nabrzmiewającego członka do ust. Stwardniał bardzo szybko.

– Może pani wziąć go głębiej? – rzekł przez zaciśnięte zęby.

– A moglibyśmy mówić sobie po imieniu? – zapytała, na chwilę przestawszy ssać i pieścić językiem jego żołądź.

– Oczywiście. Będzie mi bardzo miło. Marek.

– Magda – odparła i wzięła penisa tak głęboko, że czołem dotknęła jego podbrzusza.

Po tym, jak wystrzelił jej w usta, została u niego jeszcze jakiś czas. Zalogowała się tylko do systemu ośrodka, by sprawdzić, czy ktoś jej nie zamówił. Spędzili razem około dwóch godzin, rozmawiając trochę o błahych sprawach, a trochę o Polsce. Magda wyjechała z kraju ponad dwa lata wcześniej i nie bardzo wiedziała, co się w nim działo. Prawdę mówiąc, niespecjalnie się tym zresztą interesowała.

W pewnym momencie usłyszeli cichy dźwięk. Magda podeszła do komputera i odebrała wiadomość.

– Muszę iść – oznajmiła. – Mogę jeszcze wziąć u ciebie prysznic?

– Jasne – odparł Marek i wyciągnął z szafki świeży ręcznik. – Czuj się jak u siebie.

Szybko się wykąpała. Gdy wynurzyła się z łazienki, podeszła do niego do łóżka i cmoknęła go w policzek.

– Mogę? – zapytała na poły filuternie, na poły poważnie.

– Oczywiście – odparł i pocałował ją w usta.

– No to spadam. – Ruszyła do drzwi. – Zamówisz mnie jeszcze? – rzuciła, trzymając już klamkę.

– A chciałabyś?

– A ty? – odpowiedziała pytaniem.

Gdy uśmiechnął się do niej, cicho otworzyła drzwi, omiotła wzrokiem korytarz i szybko wymknęła się z apartamentu.

Marek nie miał ochoty już nigdzie wychodzić. Była prawie noc. Nie chciało mu się też czytać ani oglądać telewizji. Nic mu się nie chciało.

Czyli tak jak zawsze – stwierdził, uśmiechnął się do siebie i zgasił światło. Nie nastawił budzika. Uznał, że to nie ma sensu. Obudzi się, gdy po prostu się wyśpi.

Takie to proste, a prawie nigdy w życiu tego nie robiłem – pomyślał jeszcze, po czym położył się na boku i zamknął oczy. Długo leżał, nie mogąc zasnąć. Sen przyszedł dopiero po północy.

DZIEŃ PIĄTY

9 GRUDNIA

Parę razy się budził, ale ponownie zapadał w sen. Wstał dopiero, gdy za oknami było już całkiem jasno. Nie miał pomysłu, jak spędzić kolejny dzień. Do śmierci zostało mu ich już tylko dwadzieścia kilka. Co jeszcze mógł zrobić? Pójść na plażę i popływać? Jasne – to zawsze dobry pomysł. Na początek i koniec dnia. Na początek i koniec życia.

Ale nim wyszedł na śniadanie, sprawdził w intranecie atrakcje, które oferował ośrodek. Wśród nich był „dream shop”, czyli – jak to opisano – „Miejsce, w którym można wrócić do swej przeszłości lub wyprzedzić swą przyszłość. Miejsce powrotu do rzeczy jako takich i do marzeń. Miejsce, w którym wszystko jest możliwe, a nic nie jest konieczne. Miejsce transcendencji”. „Dream shop” był punktem, w którym po prostu można było dostać dragi – dopalacze, amfę, trawkę, halucynogeny, morfinę i heroinę. Wszystko, co ludzkość wynalazła, by umilić swoim przedstawicielom codzienną egzystencję. Były w nim nawet LSD dla naprawdę starych hipów i ostrzejsze specyfiki dla pokolenia ich dzieci. Słowem, dla każdego coś miłego.

Zdecydował, że zaraz po śniadaniu skorzysta z „dream shopu”, choć jeszcze nie wiedział, na co ma ochotę. Szybko zjadł coś w restauracji i wychodząc, pozdrowił Jorge, którego zauważył na tarasie. Poprzestał na dotknięciu dwoma palcami skroni. To chyba zirytowało Katalończyka, bo gwałtownie odwrócił głowę. Dopiero wtedy Marek uświadomił sobie, że Eskeriba mógł zinterpretować jego gest jako parodię wojskowego salutu i uznać, że nabija się z jego umiłowania narodu. Miał to jednak w dupie.

– Niech sobie faszysta myśli, co chce – mruknął pod nosem i ruszył do

„dream shopu”.

Okazało się, że bardziej niż sklep przypomina on tropikalną knajpkę. Dach pokryty brązowymi liśćmi palm, kilka wiklinowych foteli i nieźle zaopatrzone barek. Za ladą stał trzydziestoletni najwyżej Murzyn w hawajskiej koszuli i jaskrawożółtych spodenkach.

– Hałajmajfriend? – rzucił, odsłaniając w uśmiechu idealnie białe zęby.

– Fajn – odparł Marek.

– Czym mogę służyć, przyjacielu?

– Snami. W końcu nazwa lokalu zobowiązuje, prawda?

– Jasne! Sam ją wymyśliłem. – Mężczyzna się rozpromienił.

– Niezła – potwierdził Marek.

– Niezła? – obruszył się Murzyn. – Człowieku, doskonała!

– Niech będzie. – Kastor objawił skłonność do kompromisu. – Co jeszcze, oprócz nazwy, masz tu doskonałego?

– Doskonałe pytanie. – Barman wykrzywił usta w uśmiechu. – Doskonałe pytanie o doskonały towar, przyjacielu.

– No to co tam masz, przyjacielu? Co zaoferujesz strudzonemu wędrowcowi?

– Przede wszystkim dłoń. – Murzyn wyciągnął rękę. – Mam na imię Bob. Jak Bob Marley.

– A jakżeby inaczej? – powiedział Marek. – Tylko Bob, jak Bob Marley, może prowadzić taki przybytek. Jestem Mark.

– Miło mi cię poznać, Mark – rzucił barman, jakby wiadomość ta sprawiła mu prawdziwą radość. – Naprawdę miło.

Wyglądało na to, że Bob nie tylko udostępnia marzenia, ale także sam się im oddaje. Jego radość nie mogła wynikać tylko z sympatycznego usposobienia. Najwyraźniej wziął coś rano.

Posadził Marka w fotelu przed wielką ladą, za którą stały różne rodzaje alkoholi, kazał mu zdjąć klapki, by poczuł piasek pod stopami, i skierował na niego elektryczny wiatrak.

– Czujesz się zrelaksowany, przyjacielu? – spytał.

Marek się uśmiechnął.

– Jasne. Pokaż swoją moc, joginie.

– No to patrz i podziwiaj królestwo moje, które nie jest z tego świata – rzekł Bob i jednym ruchem odwrócił ladę, tak że zamiast dziesiątek butelek pojawiła się ściana z półkami, na których leżały setki opakowań i pojemników. – I stało się. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Bierzcie i jedzcie!

Marek był pod wrażeniem. Mężczyzna zgromadził ogromną kolekcję wszystkiego, co wynaleziono, by ludzie choć na chwilę mogli zapomnieć o tym, kim są i jaki jest otaczający ich świat.

– Mam tu skarby z całego globu – zaczął Murzyn. – Nie tylko to, co możesz znać, przyjacielu, te wszystkie syntetyki i popularne zioła. Mam też specyfiki z Chin i wysp Pacyfiku. Mam mikstury Azteków i Majów. Mam to, czym odurzali się faraonowie, a także wywary Czejenów i Apaczów. Mam wszystko, czego tylko zapragniesz, przyjacielu. A teraz powiedz mi, czego chcesz.

– Coś słowiańskiego masz? – zapytał Marek, nie mając pojęcia, skąd mu się nagle wzięła ta predylekcja do Słowian.

– Myślisz o wódce? – zdziwił się Bob.

– Nie, nie o wódce – zaproponował Marek. – Miałem na myśli prasłowiańskie zioła, na przykład wywar z sadła żubra.

– Z żubra? – Mężczyzna wybałuszył oczy. – A co to, kurwa, jest żubr?

– Taka duża krowa. Zresztą nieważne. Więc masz tu wszystko, tak?

– Tak – odparł Bob, ale widać było, że brak żubrzego sadła nieco go przybił. Na monolicie najlepiej zaopatrzonego dilerka na świecie pojawiła się rysa.

Widząc jego konsternację, Marek zmienił temat.

– A dlaczego to wszystko jest ukryte za ladą z alkoholami? To nielegalne?

– Legalne, legalne – odpowiedział Murzyn, odzyskując humor – tylko DeWael tak zarządził. Nie wiem, może chodzi o to, żeby nie kłuło to w oczy

albo żeby ludzie sami nie brali tego z półek, bo może być nieszczęście. Jak wypijesz za dużo wódki, to ci najwyżej nazajutrz głowa napierdała. Z tym towarem trzeba precyzji lekarza, inaczej będzie bum, cyk i koniec.

Mężczyzna już na dobre wrócił do formy. Chyba naprawdę czuł się lekarzem – nie prymitywnym składaczem kości, bo to potrafi każdy jełop, tylko lekarzem dusz.

– To co, próbujemy? – zapytał tonem tak profesjonalnym, że słychać w nim było wieloletnie doświadczenie. – Jaki efekt cię interesuje, przyjacielu?

– No nie wiem. – Własna niepewność rozbawiła Marka. – Może zajoba za pięćset?

– Widzę, że z ciebie, przyjacielu, miłośnik kultury wyższej. – Murzyn uśmiechnął się. – Okay. W co idziemy?

Nie było sensu brać tego, co już znał, odpadały więc marihuana, amfetamina czy koka. Marek czuł się bezpiecznie w rękach tego maga i chciał przeżyć coś nowego.

W końcu co może mi się stać? Przedawkuję i umrę? – pomyślał i roześmiał się.

– A co ludzie najczęściej biorą? – spytał.

– A chuj cię obchodzi, co inni biorą – spokojnie, ale stanowczo odpowiedział Murzyn. – Ty jesteś Mark i dostaniesz coś dla Marka. Coś tylko dla Marka, rozumiesz, przyjacielu?

– Rozumiem – rzekł Kastor i pomyślał, że ma przed sobą najmądrzejszego faceta, jakiego kiedykolwiek spotkał, i że Bob to wolny gość, którym on całe życie chciał zostać. I może w końcu został. Albo i nie.

– No to w co wchodzimy, przyjacielu? – zapytał mężczyzna. – Coś na pobudzenie? A może fajna śmiechawka?

– Naprawdę myślisz, że byłbym tutaj, gdybym chciał się pośmiać lub pobudzić?

– Masz rację, Mark. Masz całkowitą rację. Dobierzemy coś do twojego nastroju, ale będziesz mi musiał zdradzić, po co tu przyjechałeś i co czujesz.

– Myślałem, że wiesz wszystko – zażartował Marek.

– O moich dzieciach tak – tu Bob wykonał obszerny ruch, wskazując półki z narkotykami – ale nie o gościach. Więc powiesz mi, przyjacielu, czego ci trzeba? Powiesz mi, co chcesz poczuć?

– Sam nie wiem – odparł Marek. – Wiem, po co tu przyleciałem, ale nie wiem, co chcę poczuć dzięki twoim dzieciom. Może nic nie chcę poczuć? Może po prostu chcę przez kilka godzin nic nie czuć?

Murzyn uważnie mu się przyjrzał.

– Mogę to sprawić, przyjacielu, ale lepiej będzie, jak jednak coś poczujesz. Może dlatego, że już od dawna niczego nie czujesz.

Marek znów pomyślał, że Bob jest najmądrzejszym facetem na świecie.

– To prawda, już dawno niczego nie czułem. Niczego dobrego.

– To połóż się, przyjacielu, i odpręż. – Mężczyzna rozłożył fotel Marka i podsunął mu pod nogi małe krzesło. – Wyciągnij się wygodnie. Zaraz ci coś przyniosę.

– Co to będzie?

– A czy to ważne? – spokojnie odparł Bob, odchodząc na chwilę w stronę półek. – Ważne jest to, co poczujesz.

Wrócił po kilkudziesięciu sekundach z małą miseczką.

– Wypij – powiedział cicho, ale stanowczo.

– Będzie mi dobrze?

– Tego nie wiem, ale na pewno nie będzie cię tu przez jakiś czas.

– To dobrze – wyszeptał Marek. – To bardzo dobrze.

Wziął miseczkę z rąk Boba i dwoma szybkimi łykami wypił jej zawartość. Była lekko słodka, przypominała sok baobabu, którego spróbował dwa dni wcześniej w restauracji.

Po chwili poczuł przyjemny chłód wędrujący od stóp ku górze, jakby wchodził do morza. Zimno objęło powoli całe jego ciało, ale wciąż było mu miło. Był pewien, że ma zamknięte oczy, lecz widział wszystko dosyć wyraźnie. W pewnym momencie jednak to, co go otaczało, zaczęło się zlewać w jedno pastelowe tło bez żadnych oczywistych konturów, zupełnie

jakby miał przed sobą ruchome płótno z przetaczającymi się po nim falami kolorów.

Nagle z lewej strony pojawiła się jego matka. Niosła pikowany granatowy bezrękawnik, który w czasach młodości Marka był szczytem mody. Tylko że to nie był model kupowany wtedy na Zachodzie i krzyczący swym pięknem, lecz podróbka wytwarzana przez rodzimych prywaciarzy. Nieudolna podróbka. Matka niosła ten bezrękawnik w wyciągniętych rękach, jak onegdaj zanosilo się koronę władcy. Marek wiedział, że bezrękawnik to nędzna podróbka, ale wiedział też, że nie wie tego jego matka. Ona myślała, że wreszcie spełni marzenia syna, który od tygodni suszył jej głowę, mówiąc, że koledzy mają takie fantastyczne zachodnie ciuchy, a on nie. I że to jej wina, bo gdyby ojciec był z nimi, na pewno byłoby ich stać na głupi bezrękawnik. Wreszcie więc kupiła mu ten wymarzony ciuch ze swojej nauczycielskiej pensji, ale nie w pewexie, bo nie było jej na to stać, tylko u prywaciarza na Mickiewicza. Marek był wściekły. Nie, nie na nią – rozumiał, że zrobiła wszystko, by go uszczęśliwić. Był wściekły na siebie, dupka, który zameczał matkę prośbami i sprawił, że – nie mogąc kupić jebanego oryginału – musiała się zadowolić podłą raciborską podróbką. Zaczął płakać.

Poczuł, że ktoś ociera mu łzy. Ale to nie była jego matka. Popatrzył na dłoń, która go dotykała. To była dłoń Ewy, jego pierwszej dziewczyny, tej, z którą stracił dziewictwo. Była starsza o trzy lata i najładniejsza w mieście, ale wybrała właśnie jego. Gdy po raz pierwszy go pocałowała, nie mógł uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Całe lata się w niej kochał – widywał ją na treningach karate, na które chodzili, ale ona była związana z jego starszym kumplem i, jednocześnie, trenerem. Absolutnie poza zasięgiem. A jednak stało się. Jakoś zwróciła na niego uwagę, a potem, gdy jej chłopak poszedł do wojska, zaczęli się spotykać. Coraz częściej. Właściwie codziennie. I wreszcie go pocałowała.

A teraz ocierała mu łzy. Po śmierci matki. Ewa była ubrana na czarno. Marek też, ale miał jeszcze na sobie ten cholerny niebieski bezrękawnik. Wokół byli jacyś ludzie, on jednak widział tylko Ewę. Towarzyszyła mu przy

trumnie matki. Dochodziła do nich muzyka, chyba *Bo z dziewczynami nigdy nie wie się* Połomskiego. Mama musiała się bawić przy takich kawałkach. Może przy tym właśnie poznała ojca?

Marek siedział przy katafalku. Po chwili wstał i podszedł do otwartej trumny. Chciał pocałować mamę, ale w tym momencie trumna zmieniła kolor. Zajrzał do środka. W białej trumnie leżała Beca, jego ostatnia dziewczyna ubrana w białą koronkową sukieneczkę, zupełnie jakby szła do komunii. Wyglądała dokładnie tak jak wtedy, gdy ją poznał. Powiedziała wówczas, że ma dwadzieścia jeden lat, ale potem się okazało, że jest dwa lata młodsza. Beca leżała i uśmiechała się do niego. Chciał ją pocałować, lecz gdy tylko się pochylił, zagłębiła się w trumnie. A kiedy wyciągnął do niej rękę, jeszcze bardziej się w niej pogłężyła. Ale wciąż uśmiechała się do niego.

– Dlaczego nie chcesz mieć ze mną dzieci? – spytała w końcu.

– Bo to nie będą moje dzieci – usłyszał swój głos.

Ewa objęła go od tyłu, odwróciła do siebie i pocałowała w usta. Obok stała mama. Wzięła jego dłoń i mocno przycisnęła do swojego policzka.

Marek obudził się nagle i rozejrzał. Bob siedział przy kontuarze i czytał coś w stojącym przed nim komputerze.

– Jak było, przyjacielu?

– Która godzina? – zapytał Marek. – Jak długo spałem?

– A jakie to ma znaczenie? – odpowiedział Murzyn. – Dlaczego ty wciąż zadajesz niepotrzebne pytania?

Marek zastanowił się nad tym. Po raz trzeci pomyślał, że ten młody facet wie o nim więcej niż on sam. Może rzeczywiście przez całe życie zadawał niepotrzebne pytania?

– To jak było? – Bob nie dawał za wygraną. – Fajnie czy nie?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem – odparł Marek. – Ale miałeś rację, że na pewno nie było mnie tu w tym czasie. Byłem w mojej przeszłości.

– Nie ma twojej przeszłości, przyjacielu – rzekł Murzyn. Musiał przeprowadzać takie rozmowy już wcześniej. – W ogóle nie ma przeszłości. Istnieją tylko nasze o niej wspomnienia, które zresztą często mają z nią mało

wspólnego. Tak jak nasze wyobrażenia o przyszłości. Też nijak się do niej mają. Jedynie teraźniejszość jest jako tako realna. A i to nie za bardzo...

Marek wstał z fotela lekko obolały. Musiał leżeć dobrych kilka godzin, choć wydawało mu się, że drzemał jedynie parę minut. Jednak ból w kościach świadczył o czymś innym. I położenie słońca – gdy wyszedł na plażę, chyliło się ku oceanowi, pięknie zachodząc wprost przed nim. W Polsce słońce wschodziło na plaży po prawej, a zachodziło po lewej stronie. Tutaj świt był na lądzie, za to zachód na wprost, na środku oceanu.

Słońce zachodzi – pomyślał. – Kilkaset lat po odkryciu Kopernika ludzie i tak nie przyjmują do wiadomości jego teorii. Może i w szkole powtarzają, że Ziemia nie jest centrum wszechświata, ale w języku i w podświadomości nie akceptują tego. Nie zgadzają się z teorią rozszerzającego się wszechświata i ich planety jako jednej z bilionów małych punkcików. Podobno liczba gwiazd to dwa i dwadzieścia dwa zera. Wartość niewyobrażalna. Jeśli przyjąć, że to prawda, gwiazd we wszechświecie jest więcej niż ziarenek piasku na wszystkich plażach i pustyniach Ziemi. Ale ludzie nadal mówią o zachodzie słońca i tak naprawdę nie pogodzili się ze swoją przypadkowością. Z tym, że z perspektywy wszechświata, który powstał niemal czternaście miliardów lat temu, są niczym. Że są niczym nawet z perspektywy swojej planety. A także z perspektywy innych ludzi. Każdy z nich wierzy, że jest istotny, i nie akceptuje swej zbędności z perspektywy wszechświata. Z perspektywy jakiegokolwiek porządku.

Marek nie był głodny, ale postanowił wstąpić do baru „Ocean” na drinka. Zamówił campari – nie chciał się upić, lecz poczuć w ustach coś słodkiego i zawierającego alkohol. Kilka stolików dalej siedziała Sofia. Pozdrowiła go, ale nie zachęciła do podejścia. Uśmiechnął się do niej i podniósł w jej stronę kieliszek. Odwzajemniła gest, po czym skierowała wzrok ku morzu.

W środku było jeszcze kilkanaście osób, ale nikt nie wydał się Markowi na tyle interesujący, by do niego zagaic. Wciąż myślał o swoim transie narkotycznym. Obrazy były bardzo realne, a jednocześnie cały czas wiedział, że to tylko sen.

To podobnie jak przez całe życie – pomyślał zgryźliwie.

Wciąż je widział – mamę, Ewę, Becię – ale zdawał sobie sprawę, że dwie z nich już nie żyją, a ostatnia doprowadziła go tutaj. Jednak czy tylko ona? Wiedział, że nie. Wiedział, że gdyby go nie zawiodła, i tak wcześniej czy później trafiłby do takiego ośrodka. Może za rok, może za dziesięć lat, ale na pewno od takiego końca by się nie wywinął.

Postanowił wrócić do apartamentu i zamówić jakąś dziewczynę. Nie chciał seksu – chciał masażu. Może z „happy endem”, ale niekoniecznie.

Dostępnych było kilka kobiet, także Magda, lecz uznał, że nie jest w nastroju do rozmowy. Chciał po prostu, żeby ktoś rozmasował jego ciało i, ewentualnie, na koniec wzięła mu do ust. Nic więcej. Poza tym Magda mogłaby uznać jego zamówienie za żenującą próbę zbudowania jakiejś relacji, a takiego nieporozumienia wolałby uniknąć.

Zdecydował się na Brazylijkę. Z maila, który natychmiast otrzymał, dowiedział się, że będzie u niego za kwadrans. Mało czasu na solidny prysznic, jednak zdążył i nim zapukała do drzwi, był już ubrany tylko w biały szlafrok z dumnym napisem „Great Final Resort”.

Kobieta okazała się mniej atrakcyjna niż na swoim profilu – była kilka lat starsza i kilka kilogramów obfitsza. Ale za to miała piękne, bujne piersi z cudownie obrysowanymi, lekko sterczącymi sutkami.

– Only massage, okay? – rzucił Marek.

– Are you sure? – spytała. – I’m ready to have full sex with you. You are really cute.

– Thanks, but just massage – uciał. – Gently and long, okay?

– As you wish – powiedziała i zaczęła wyciągać z torebki żele i olejek do masażu. – Do you want prostate massage as well? – zapytała jeszcze.

– It’s up to you – rzekł Marek, zrzucił szlafrok i położył się na łóżku.

Brazylijka rozebrała się do naga, poprosiła go, by obrócić się na brzuch, i zaczęła delikatnie masować. Robiła to naprawdę sprawnie i Markowi zdawało się nawet, że na chwilę zasnął. Potem pomogła mu obrócić się na plecy, przywarła do niego całym ciałem i rozpoczęła masaż „body to body”. Po pewnym czasie zsunęła się do jego krocza i wzięła członka do ust.

Natychmiast stwardniał. Zaciśnęła na nim wargi i zaczęła wolno poruszać głową w górę i w dół, zagłębiając przy tym palec głęboko w jego tyłku. Nie upłynęła minuta, gdy skończył w jej gardle.

Po wszystkim zapytała, czy może wziąć u niego szybki prysznic i zmyć z siebie olejek. Wróciła z łazienki naga i powoli się ubrała, a na koniec uśmiechnęła się i po prostu wyszła.

Marek też poszedł się wykąpać. Pod natryskiem uświadomił sobie, że nawet nie zapytał jej o imię.

Czy to ma znaczenie? – usprawiedliwił się w myślach. – Czy cokolwiek w ogóle ma znaczenie?

Zasnął bardzo szybko.

DZIEŃ SZÓSTY

10 GRUDNIA

Obudziło go wpadające do pokoju światło. Poprzedniego dnia zapomniał zaciągnąć zasłony i teraz cały apartament rozjaśniały promienie wschodzącego słońca. Spojrzał na zegarek – była 7.30.

Po co ja wciąż patrzę na zegarek? – pomyślał. – Boję się spóźnić do pracy? Bob miał rację, mówiąc, że zadaję niewłaściwe pytania. Nawet teraz, nawet tutaj.

Włożył tylko szorty i sportowe buty i wybiegł na plażę. Nikogo na niej o tej porze nie było. Skręcił w prawo i narzucił sobie niezłe tempo.

Wszystko dla zdrowia – zaśmiał się w duchu. – Zdrowie jest najważniejsze. Obyśmy tylko długo żyli, chuj, że nieszczęśliwie.

Powietrze było rześkie, a wiejąca od oceanu bryza schładzała jego coraz bardziej rozgrzane ciało. Po kilkunastu minutach dobiegł do siatki i budki strażniczej. Pozdrowił ochroniarza, który z nudów obserwował go od dłuższego czasu, zawrócił i ruszył truchtem do ośrodka.

W apartamencie zrzucił przepocone szorty i wziął zimny prysznic. Przypomniało mu się, jak kiedyś z grupą kumpli i przyjaciół był w Szklarskiej Porębie. Korzystali z sauny, a potem skakali do lodowatej wody w małym basenie. Założyli się, że wygra ten, kto wyda najślabszy okrzyk. Zwyciężył Oleś, który z uśmiechem na twarzy wszedł powolutku do basenu, gwizdząc przy tym radziecki hymn. Marek był wśród tych, którzy wymiękli od razu.

Teraz, gdy zimna woda lała się na niego, stał w całkowitej ciszy. Nadstawił twarz, by strumień uderzał go prosto w usta.

Dziś chyba mógłbym powalczyć z Olesiem – pomyślał. – Ale to już nieważne. Nieważny Oleś i nieważne zwycięstwo.

Począł, aż zrobiło mu się naprawdę chłodno, i dopiero wtedy wyszedł z kabiny. Wytrzeł się energicznie ręcznikiem, ubrał i ruszył na śniadanie.

Gdy dochodził już do restauracji, natknął się na dyrektora.

– Pan Kastor! – zawołał uradowany DeWael. – Jakże się cieszę!

Marek pomyślał, że Belg naprawdę cieszy się na jego widok, i sprawiło mu to przyjemność, zwłaszcza że polubił tego człowieka.

– Mnie też jest miło – powiedział. – Cieszę się, że pana widzę.

– Panie Marku – rzekł DeWael – teraz bardzo się spieszę, ale niech mnie pan jutro zaszczyli swoim towarzystwem.

– Mam wpaść do biura?

– Gdzież tam do biura! – obruszył się dyrektor. – Nie będę psuł panu dnia widokiem mojej nory.

Marek uśmiechnął się na tę recenzję urzędzonego z klasą gabinetu DeWaela.

– Nie, nie do biura – kontynuował dyrektor. – Zapraszam pana na swój jacht. Płyniemy z przyjacielem na ryby. Spędzi pan miło czas w dobrym towarzystwie.

Tu Belg uśmiechnął się znacząco – albo bawił się myślą o sobie jako „dobrym towarzystwie”, albo przygotował coś, co naprawdę mogłoby sprawić przyjemność jego gościowi.

– Bardzo dziękuję, ale nie przepadam za łowieniem ryb – powiedział Marek.

– Jebać ryby, panie pośle! – krzyknął dyrektor. – Wszak to tylko pretekst, żeby wyrwać się na chwilę z tego rajku.

Marek szczerze się roześmiał.

– Wędkę pan do ręki nie weźmie – ciągnął DeWael. – Obiecuję też, że będzie miło. To jak, zgadza się pan? Da się pan namówić czy będę tu stał jak dziwka w Pattaya zachęcająca grubego Niemca do odwiedzenia klubu go-go?

Marek roześmiał się raz jeszcze. Ten facet dobrze na niego wpływał. Gdyby spotkali się dwadzieścia lat wcześniej, mogliby się zaprzyjaźnić albo

przynajmniej bardzo polubić.

– No to chętnie w takim razie – odpowiedział.

– Wspaniale! – krzyknął dyrektor, szybko się oddalając. – A więc jutro punkt dziewiąta na przystani. Stroje kapitańskie.

Marek jeszcze chwilę patrzył, jak DeWael prawie biegł załatwiać jakieś pilne sprawy.

A więc on jest w pracy – pomyślał. – Coś musi załatwić, gdzieś zadzwonić, z kimś pogadać. Słowem, musi zrobić to, co każdy z nas musiał robić przez całe życie, by jakoś się utrzymać i mieć na wakacje.

Nie zazdrościł dyrektorowi – przed nim było jeszcze całe życie. Sam miał go już tylko trochę ponad trzy tygodnie.

Wszedł do restauracji. Na werandzie były zajęte tylko dwa stoliki, reszta gości siedziała pod dachem. Nie rozumiał, dlaczego ludzie wolą tkwić w środku, zamiast wyjść na taras i patrzeć na ocean. Zajął miejsce na zewnątrz, w pobliżu dwojga staruszków. Mogli mieć siedemdziesiąt lat, ale mogli też być sześćdziesięciolatkami z Europy Wschodniej.

Zamówił english breakfast i sok pomarańczowy. Nim jednak kelner przyniósł mu sztućce, mężczyzna zagadał do niego:

– Jesteś z Wielkiej Brytanii?

– Nie, z Polski – odpowiedział Marek. Nie zamierzał co prawda wdawać się w rozmowę, ale ta para wyglądała sympatycznie i było mało prawdopodobne, że są namolnymi nudziarzami, którzy w końcu zaproszą go na partyjkę remika.

– Pochodzimy z Utah – oświadczył staruszek. – Ja jestem Steve, a to moja żona Barbara.

– Miło mi. Mam na imię Marek.

– A więc jesteś z Polski – rzekł Steve. – Dzielny naród.

– Tak jak amerykański – odwdzieczył się Marek.

– To prawda, my też nie wypadliśmy sroce spod ogona. – Amerykanin uśmiechnął się. – Parę razy daliśmy porządnego łupnia złym chłopcom.

– Nie można ukryć, że jesteście z tego znani.

Kelner przyniósł zamówienie i Marek zaczął jeść w ciszy. Staruszkowie popijali tymczasem whisky i sok – najwyraźniej byli już po posiłku.

– Ile masz lat, Marku? – spytał Steve po pewnym czasie.

– Za trzy tygodnie skończę pięćdziesiąt.

– Ha, to dokładnie tyle, ile ma nasz Martin – odezwała się po raz pierwszy Barbara.

– Bo musisz wiedzieć, że mamy syna i córkę – wtrącił się Steve. – Martin pracuje w Nowym Jorku. Jest menedżerem w dużej międzynarodowej firmie. Nie bardzo wiem, czym się tam zajmuje, bo to coś skomplikowanego, a on nigdy nie miał cierpliwości, żeby nam to wyjaśnić. A nasza córka Anna jest nauczycielką rysunku w college’u w Pensylwanii. Ma dwójkę wspaniałych dzieci i choć wychowuje je sama, chyba jest szczęśliwa. Trochę bardziej martwimy się o Martina, bo dotąd nikogo sobie nie znalazł. Mówi co prawda, że mu to odpowiada, ale nie bardzo chce nam się w to wierzyć. No ale przecież nie zmusimy go do małżeństwa, prawda?

– Oczywiście – potwierdził Marek. – Nikogo nie można zmusić do małżeństwa, zwłaszcza w obecnych czasach.

Zamilkli na dłuższą chwilę.

– Pewnie się zastanawiasz, dlaczego tu jesteśmy – zagadnął w końcu Steve.

Miał rację. Choć Markowi ci Amerykanie byli obojętni, przyłapał się na tym, że zadał sobie to właśnie pytanie. Nurtowało go, dlaczego tych dwoje tu przyjechało, skoro mają zdrowe dzieci i w dodatku wnuki. Nic nie wskazywało w końcu na to, by byli ciężko chorzy.

– Wiesz, to wasza sprawa. Nie chcę być wścibski – odparł.

– Przecież nie jesteś. Ale sądzę, że zadałeś sobie to pytanie.

– Mówiąc szczerze, tak.

Barbara patrzyła obojętnie na ocean, zapewne przyzwyczajona do tego, że jej mąż musi się każdemu poznanemu gościowi „Great Final” wypowiadać ze swojego życia.

– No cóż, Marku, prawda jest taka, że nasze dzieci nas nie kochają – rzekł Steve i napił się whisky. – Prawie nas nie odwiedzały. Kiedyś przylatywały jeszcze na Święto Dziękczynienia, ale ostatnio nawet do tego nie mogą się zmusić. Dwa razy to my poleciliśmy do nich, jednak czuliśmy się jak intruzi. Wpadliśmy zaledwie na kilka dni, ale oni pod byle pretekstem wychodzili z domu, a gdy wracali, oglądali telewizję. Robili wszystko, byle z nami nie rozmawiać, zupełnie jakbyśmy nie byli dostatecznie inteligentni, żeby poświęcić nam uwagę.

Amerykanin umilkł na chwilę i znów się napił.

– Ja całe życie pracowałem w firmie spedycyjnej, a Barbara zajmowała się domem – podjął – ale przecież nie jesteśmy aż tak głupi. Na pewno nie głupszy niż ta telewizja, którą cały czas oglądali, i ten przekłety internet, w którym wciąż siedzieli.

Marek skinął głową.

– Zrobiliśmy im parę razy awanturę o to, że nie dzwonią i nie przyjeżdżają, ale to na nic się zdało. Nawet o pilnowanie dzieci Anna nas nie poprosiła. Oni nas po prostu nie potrzebowali, do niczego. Wychowaliśmy ich, poświęciliśmy im najlepsze lata naszego życia, a oni, gdy tylko stanęli na własnych nogach, kopnęli nas w dupę!

– Steve, proszę cię! – Barbara spojrzała karcąco na męża.

– Przepraszam, moja droga, ale taka jest prawda – powiedział Steve. – Mają swoje światy i my do nich nie pasujemy. Wiesz co, Marku? Rodzice zawsze mocniej kochają dzieci niż dzieci rodziców. I nic nie jest w stanie tego zmienić. Kiedy są szkrabami, nie jesteś w stanie sprawić, by przestały cię kochać. Możesz je bić i odpychać od siebie, a i tak są w ciebie wpatrzone i kochają cię najmocniej na świecie. Ale jak już dorosną, sytuacja się zmienia: nic już nie jesteś w stanie zrobić, by choć trochę cię kochały i potrzebowały. Traktują cię jak zużytą butlę z tlenem, która kiedyś była niezbędną do życia, a obecnie stanowi jedynie zbędny balast.

– Tak jest ze wszystkimi? – zapytał Marek.

– Prawie ze wszystkimi – odparł mężczyzna. – Pewnie są na świecie

rodziny idealne, w których wszyscy się kochają i potrzebują. I w filmach, zwłaszcza w filmach. Nikt nie wyprodukował tylu filmów rodzinnych co egoistyczne, libertyńskie i nastawione na karierę Hollywood. Ale w normalnym życiu jest tak jak w naszym przypadku. Zresztą co mnie obchodzi, jak jest w innych rodzinach. Wiem, jak jest w naszej.

Amerikanin zamilkł, po czym zamówił kolejną szklaneczkę whisky. Barbara przyjęła to z dezaprobatą.

– Czy oni wiedzą? – zapytał Marek po dłuższej chwili. – Czy wasze dzieci wiedzą, że tu jesteście?

– Tak – rzekł Steve. – Na początku bardzo oponowały. To było trzy lata temu. Wtedy właśnie im powiedzieliśmy, że chcemy przyjechać do takiego ośrodka jak ten. Nawet sobie nie wyobrażasz, co się działo. Anna była u nas już następnego dnia, a Martin doleciał na weekend. Spędziliśmy całe dwa dni na rozmowach. Wtedy zrozumieli, co czujemy. Dużo płakaliśmy, zwłaszcza nasza córka. To był wspaniały weekend.

Mężczyzna odebrał od kelnera szklaneczkę i poprosił o trochę więcej lodu.

– Obiecali nam wówczas, że już nas nie opuszczą – kontynuował. – I wiesz co, Marku? Tak było! Naprawdę. Przez jakiś rok, może nawet dłużej dzwonili co tydzień. No, może co dwa. Nawet Martin, który naprawdę ciężko pracuje. Pytali o zdrowie, o to, jak nam się żyje, trochę też opowiadali o sobie. Ale potem dzwonili już coraz rzadziej. Anna może nie, ale Martin potrafił nie dzwonić dwa miesiące. Nie mówię, że miał do nas przyjechać, ale zatelefonować i spytać, jak się czujemy i czy czegoś nam nie potrzeba, naprawdę by mógł. Raz Anna zostawiła nam na tydzień dzieci, jednak to nie był dobry pomysł. My bardzo je kochaliśmy, ale one traktowały nas jak obcych. Dobrych i troskliwych, ale obcych. Nie chciały nawet mówić do nas „babciu” i „dziadku”.

Steve zamilkł, a Barbara wciąż patrzyła na ocean i piła sok. Marek tymczasem nie bardzo wiedział, czy może o coś zapytać, choć czuł, że ta opowieść jest cholernie prawdziwa i że dotyczy go osobiście. Gdy zastanawiał się nad tym, Steve odezwał się sam.

– Kiedy wreszcie telefony prawie ustały, postanowiliśmy z Barbarą, że

jednak tu przyjedziemy. Czuliśmy, że nie mamy już po co żyć, a Martinowi i Annie tylko ciężymy. Nie w sensie fizycznym, bo jak widzisz, jesteśmy wciąż w dobrej formie, i nie w finansowym, bo zgromadziliśmy dość środków, by wieść dostatnie życie. Ale wiedzieliśmy, że ciężymy im psychicznie. Że oni źle się czują, mając świadomość, że nas zaniedbują i że jesteśmy przez to nieszczęśliwi. Dlatego zadzwoniliśmy do nich ponownie i poinformowaliśmy o naszej decyzji oraz o tym, że jest nieodwołalna. I wiesz co, Marku? Tym razem już nie przylecieli. Oczywiście oponowali, ale jakoś tak bez przekonania. Namawiali nas do zmiany zdania, lecz żadne nie zaproponowało, byśmy przeprowadzili się do niego. Nie, nie można powiedzieć, by się ucieszyli, ale też trudno byłoby stwierdzić, że zrobili wszystko, byśmy zrezygnowali z naszego zamiaru. Rozumiesz?

– Tak, Stevie, rozumiem.

– Nasze życie bez Martina i Anny nie miało dłużej sensu – ciągnął Amerykanin, choć widać było, że chce już zakończyć opowieść. – Całe oddaliśmy im, a oni już nas nie potrzebują. I chyba nie kochają. Przynajmniej nie tak, jak my ich. Może gdybyśmy mieli z Barbarą jakieś pasje, byłoby inaczej, ale ja nie jestem człowiekiem, który coś zbiera czy do czegoś należy. Całe życie ciężko pracowałem, by moja rodzina miała co jeść, a dzieci mogły studiować. I dziś one mają wszystko, tyle że już nie chcą nas widywać. A my nie mamy śmiałości prosić ich o łaskę. O łaskę uwagi.

Marek westchnął bezradnie, a Steve znów sięgnął po whisky.

– Zresztą Martin dołożył się do naszego pobytu tutaj – powiedział w pewnym momencie niemal radośnie. – O tak, bez jego pomocy stać by nas było najwyżej na miesiąc, a spędzimy trzy! Ale tak naprawdę nie o nas tu chodzi, tylko o nich. My czujemy, że będą mieć bez nas lepsze życie, lżejsze, pozbawione trosk. I to nas cieszy, Marku. Cieszy nas, że możemy im jeszcze jakoś na koniec pomóc. I dlatego my też jesteśmy szczęśliwi, prawda, Bar?

Barbara wciąż wpatrywała się w ocean. Po pytaniu Steve'a odwróciła się i powiedziała:

– Tak, Stevie, jesteśmy bardzo szczęśliwi.

Ale miała łzy w oczach.

Marek posiedział z nimi jeszcze chwilę, a potem pożegnał się, życząc miłego dnia, i wrócił do swojego apartamentu.

Po rozmowie z Amerykanami był zupełnie rozbity. Na początku nie wiedział dlaczego. Przecież ludzie już dawno przestali go interesować, zwłaszcza obcy. A jednak nie potrafił się uspokoić. Dopiero po pewnym czasie dotarło do niego, że tak naprawdę przypomnieli mu o mamie. O jej życiu i śmierci.

Matka Marka była zwykłą kobietą. Całe życie przepracowała jako nauczycielka w wiejskiej szkole. Prawie nigdzie nie wyjeżdżała – ot, raz na parę lat jakieś wczasy nad morzem czy nad Jeziorem Otmuchowskim, blisko domu. Marek pamiętał wakacje nad tym jeziorem jak przez mgłę. Zresztą całe dzieciństwo tak właśnie pamiętał – niewyraźnie.

Rodzice jego matki byli prostymi ludźmi – dziadek miał warsztat szewski, a babka była gospodynią domową. Poznali się przed wojną przez swatkę, a przed ślubem widzieli ledwie dwa razy. I byli szczęśliwym małżeństwem przez następne pół wieku. Jedynym szczęśliwym małżeństwem, jakie Marek spotkał w swoim życiu. Róża, matka Marka, była ich drugim dzieckiem. Skończyła studium nauczycielskie i zaczęła pracować w szkole. Była dumą całej rodziny – pierwsza w jej historii wykonywała pracę inną niż fizyczna.

Matka była najpocziwszą osobą, jaką Marek znał. Nigdy nikomu nie wyrządziła najmniejszej krzywdy. Za to życie jej nie oszczędzało – trafił jej się mąż pijak, wredny dyrektor szkoły, z którym wytrzymała długie lata, bo tak została wychowana i nikt jej nie powiedział, że życie nie musi być chujowe i ciężkie, a powinno być przyjemne. Na szczęście po dwóch dekadach złośliwy dyrektor przeszedł na emeryturę, a w tym samym czasie Róża zdecydowała się na odważny ruch – wystąpiła o rozwód. Sąd udzielił go bez zbędnej zwłoki. Nietrudno było udowodnić, że jej życie z mężem było piekłem.

Uwolniony się od męża i ojca oprawcy, Róża i Marek zaczęli w miarę szczęśliwe życie – bez wielkich emocji, ale też bez tragedii. Gdy on poszedł na studia, Róża przeszła na emeryturę. Nie mieli specjalnie bliskich kontaktów, ale też nie brakowało między nimi krótkich chwil czułości.

Kilka lat temu zaczęły się problemy zdrowotne jego matki. Wykryto u niej raka płuc – lata palenia „sportów” dały o sobie znać. Mimo częstych wizyt w szpitalach stan Róży pogarszał się z miesiąca na miesiąc. W końcu, gdy było już wiadomo, że zostało jej kilka tygodni życia, oboje zdecydowali, że przeniesie się do niego na wieś. Marek miał już wtedy piękny dom w podraciborskich lasach i tam zawieziono Różę.

To były najczulsze tygodnie ich wspólnego, choć trochę osobnego latami życia. Właśnie wybuchła wiosna, z całą swoją dzikością i radością istnienia. Z dnia na dzień robiło się cieplej, więc Róża mogła godzinami przesiadywać na tarasie otulona w koc. Marek zrezygnował praktycznie z wyjazdów i zaniedbał obowiązki na uniwersytecie. Wiedział, że to ostatnie chwile, które może spędzić z matką.

Nic specjalnego nie robili – trochę oglądali stare zdjęcia, trochę opowiadali sobie o dawnym życiu. Ale nie było to ani szczególnie odkrywczе, ani nie wносиło czegoś nowego do tego, co o sobie wiedzieli. Żadnych sekretów, które czekałyby dziesięciolecia, by teraz właśnie, w tym ogrodzie, mógł poznać je jedyny syn. Nic z tych rzeczy. Po prostu siedzieli obok siebie całymi dniami i niekiedy rozmawiali. Najczęściej jednak milczeli i patrzyli, jak Mała i Gruba, koty Marka, udają, że intensywnie polują na myszy czy ptaki.

Zapaść nadeszła pewnej czerwcowej nocy. Marek obudził się i usłyszał jakieś dźwięki z pokoju matki. Poprzedniego wieczoru nic nie wskazywało na to, żeby miało nastąpić pogorszenie. A jednak. Gdy tylko wszedł do pokoju, zrozumiał, że jest bardzo źle. Zadzwoił po pogotowie, a potem mógł już tylko trzymać ją za rękę. Róża nie była w stanie mówić. Z trudem łapała powietrze. Widać było, że walczy o każdy oddech. Nie mógł nic zrobić.

W pewnym momencie odwróciła głowę do ściany, wygięła plecy w łuk, a potem się rozluźniła. To był koniec, wiedział o tym. Wciąż trzymał jej dłoń, otępiały. Po jakimś czasie usłyszał dzwonek – przyjechało pogotowie. Lekarz stwierdził zgon, chwilę porozmawiał z Markiem i odjechał.

Po wyjściu lekarza w domu zapadła cisza. Marek nie wiedział, czy chce zostać przy matce, czy wyjść z jej pokoju. Trochę się wahał, w końcu jednak

postanowił wyjść do salonu. Gdy otworzył drzwi, zobaczył Małą i Grubą – siedziały na środku holu i patrzyły na niego. Po chwili ruszyły ku niemu, minęły go w drzwiach i podeszły do łóżka, na którym leżała Róża. Nie wskoczyły na nie, jak miały w zwyczaju, lecz położyły się obok i zwinęły w kłębki. Marek położył się obok nich na podłodze i zrobił to samo.

Na pogrzeb nie poszedł. Zadbął oczywiście o wszystko, o co w takich wypadkach należy zadbać, ale na samej uroczystości się nie pojawił. Kiedy ciało jego matki było chowane na raciborskim cmentarzu, chodził po lesie w pobliżu swojego domu. Nie czuł żadnej potrzeby, by towarzyszyć matce w jej ostatniej drodze. Wiedział, że to już nie jest Róża, tylko rozkładające się ciało. Jego matka umarła. Ostatni raz widział ją, gdy w mękach walczyła o życie na łóżku. To, co powoli i dostojnie składano do ziemi, nie było jego matką, lecz po prostu zwłokami, niczym więcej. Niczego do nich nie czuł, a na pewno nie poczuwał się do obowiązku patrzenia na nie i obdarzania ich uczuciami.

Nie poszedł na pogrzeb również dlatego, że nienawidził tego obrządku. Podniosły nastrój, odświętne stroje, poważne miny ludzi. Ksiądz, który korzysta z okazji, że w kościele zebrało się aż tyle osób. To dla takiego nie lada gratka – tu trup, a tam ludzie, zazwyczaj zresztą nie bardzo przejmujący się tym wszystkim, bo obecni ze względu nie na grzebanego, ale na grzebiących. Na tę rodzinę, która pozostała przy życiu. To dla niej większość żałobników się pojawia – by solidaryzować się z nią, dać wyraz swemu współczuciu i żalowi. Choć to, co oczywiste, nieprawda.

No więc ma ksiądz tych żałobników przed sobą i nie może nie skorzystać z okazji do straszenia ich wizją śmierci, a co za tym idzie, do szukania ukojenia w wierze. Tak, tak, wystarczy jedynie uwierzyć, że Chrystus był Bogiem, i już śmierć jawić się może nie jako koniec, ale jako początek. Nie jako przerażający fenomen, który napęłnia zwierzęcym strachem, ale jako sympatyczna zapowiedź płasania w niebie wśród innych uśmiechniętych i śpiewających na cześć Pana. Pogrzeb to naprawdę doskonała okazja do sprzedaży tej wersji ludzkiej egzystencji i trudno się dziwić kapłanowi, że korzysta z niej aż nadto chętnie – jak akwizytor, który codziennie kilka razy

spotyka się z niechęcią do zakupu produktu. Ale doświadczenie czyni z niego mistrza pokonywania początkowego oporu i wciskania pogubionemu klientowi niechcianego gówna.

I w efekcie większość bierze to, co akwizytorzy Chrystusa im oferują, zwłaszcza na pogrzebach. Bo okoliczności sprzedaży są aż nazbyt sprzyjające – trup, smętna muzyka, czarne stroje, smutne miny. Jak w takim momencie można nie kupić czegoś, co zamienia niepojęty akt śmierci w przejście do lepszego, bo wiecznego świata? Prawie wszyscy to łkają i dziwi tylko fakt, że zamiast śmiać się, tańczyć i radować z tego, że nasz bliski jest już w lepszym świecie, a my właśnie nabyliśmy do niego bilet, większość rodzin płacze. Co jest, kurwa?! – chciałoby się krzyknąć. – Co to za jebane łzy?! Przecież wasz krewny dostał dopiero co łaski pańskiej! Orbituje gdzieś w niebiesiech i pieje z zachwytu po prawicy Pana! Więc co to za pieprzona depresja, jakby nikt nie wierzył w te bajki, a wszyscy nadal panicznie bali się tego, że ktoś, kto jeszcze niedawno był ich matką, córką czy dziadkiem, jest teraz kawałkiem rozkładającego się mięsa, które trzeba obłożyć kwiatami, żeby nie śmierdziało?

Marek wiedział również, że na pogrzeb przyjdą tłumy. Nie dlatego, że jego matka była jakoś bardzo znana, choć była towarzyska i ludzie naprawdę ją lubili, ale dlatego, że to była jego matka. Jego – europośla, pana z telewizji, lokalnego celebryty. Mógł się nawet pojawić prezydent Raciborza. Zatem było pewne, że na cmentarzu będą dzikie tłumy – dzikie jak na prawie sześćdziesiątysięczne miasteczko oczywiście. I większość ludzi będzie patrzyła, a potem oceniała, jak też się Kastor zachował i czy płakał, a jeśli nie, to dlaczego. Przy spuszczeniu trumny do grobu wszyscy oni staną tak, by znaleźć się na wprost niego i móc bez przeszkód obserwować jego twarz w oczekiwaniu na moment, w którym pęknie. Bo pęknąć musi – inaczej znaczyłoby to, że nie kochał matki, a nie kochać matki nie sposób. Więc będą z uwagą jastrzębi wpatrywać się w każdy z kilkudziesięciu mięśni jego twarzy i czekać na tę chwilę, by potem opowiedzieć o niej znajomym. A może, kto wie, nawet fotkę uda im się zrobić? Życie, a nade wszystko śmierć przynoszą czasami miłe niespodzianki.

Nie zamierzał dać im tej satysfakcji, a sobie chciał oszczędzić upokorzeń i stresu. Dość ich już miał i nie uważał, by musiał dodatkowo ranić się uczestnictwem w spektaklu, którego brutalne reguły znał aż nazbyt dobrze, a estetyki nie cenił. Dlatego w dniu pogrzebu matki poszedł na długi spacer do lasu. Gdzieś miał zdanie tych wszystkich ludzi, zwłaszcza że Róża była jedyną osobą w jego życiu, z którą się liczył. Nie żeby robił to, co sugerowała, czy przejmował się jej opiniami, ale była jedynym człowiekiem, na którym mu zależało. Wraz z jej śmiercią umarł tak naprawdę cały świat. Nie tyle zawałił się czy dramatycznie runął, ile po prostu umarł. Nic poza nim samym już go nie interesowało. Bo i co niby mogłoby go jeszcze interesować?

Po spotkaniu ze Steve'em i Barbarą był zupełnie rozbity. Cały dzień spędził w apartamencie. Wyszedł tylko na chwilę wieczorem coś zjeść, ale szybko wrócił do siebie. Chciał jak najprędzej zasnąć i obudzić się nazajutrz, dlatego zadzwonił do recepcji i poprosił o środki nasenne. Przyniesiono mu je bardzo szybko. Wziął dwie tabletki i nastawił budzik na 7.30. Pamiętał, że następnego dnia jest umówiony z dyrektorem na jachcie. Nie za bardzo mu się to uśmiechało, ale przecież obiecał.

No i co z tego, że obiecałem? – zapytał sam siebie. – Nawet tu muszę spełniać obietnice? Jak nie popłynę z nim, to mnie zwolni z pracy albo nie zagłosuje na mnie?

Znał jednak dobrze siebie i wiedział, że jeśli obiecał coś DeWaelowi, to dotrzyma słowa. Nienawidził tego w sobie, ale jednocześnie cenił, jak zresztą większość swoich cech. Tak upłynęło jego życie i dlatego właśnie było odmienne od wszystkich innych, nawet jeśli głupie i niepotrzebne. Było po prostu jego. To zaś znaczyło, że jednak istniał.

DZIEŃ SIÓDMY

11 GRUDNIA

Gdy budzik zaczął rzeźić, Marek wiedział, że wieczorem przesadził z lekami.

Trzeba jednak było wziąć jedną tabletkę, a nie dwie – pomyślał.

Trochę bolała go głowa, ale z drugiej strony czuł, że naprawdę się wyspał i gotów jest stawić czoło nowemu dniowi. Postanowił ubrać się w kapitańskim stylu. Nie do końca był pewny, czy DeWael nie żartował poprzedniego ranka, gdy tak właśnie określił obowiązujący na jachcie strój, ale stwierdził, że nie zaszkodzi na wszelki wypadek się dostosować. Włożył białe wełniane spodnie, granatową koszulę Lacoste i błękitne letnie buty. Tak ubrany poszedł na śniadanie, a po nim udał się na przystań.

Nie mógł się pomylić, bo był tam zacumowany tylko jeden jacht, a już z daleka słyszał donośny śmiech dyrektora. Gdy podszedł bliżej, zobaczył, że na pokładzie prócz DeWaela i paru członków załogi jest też kilka kobiet. Rozpoznał dziewczyny dostępne w intranecie.

– No, jest pan! – zawołał na jego widok Belg. – A już się bałem, że pan stchórzy.

– Jakżebym mógł? – odparł Marek. – Drzemie we mnie wilk morski. Mam nadzieję go dziś obudzić.

Jeden z członków załogi pomógł mu wejść na jacht. Jednostka prezentowała się naprawdę okazale – miała jakieś siedemdziesiąt stóp długości, była cała biała, z mahoniowymi i metalowymi elementami. Musiała kosztować majątek.

– Piękny, nieprawdaż? – DeWael zauważył jego zainteresowanie. – Kosztował mnie sporo, ale warto było go kupić. To prawdziwe cacko.

– Czyli to pański jacht? – zapytał Marek. – Nie ośrodka?

– Niech mi pan wybaczy tę uwagę, ale szkoda by go było dla naszych gości – odparł dyrektor. – To dzieło sztuki, tylko dla koneserów.

DeWael poprowadził go na rufę, gdzie w towarzystwie dwóch dziewczyn siedział już jakiś mężczyzna. Mógł być w jego wieku, najwyżej kilka lat starszy, za to był w świetnej formie. Typowy playboy – szpakowate włosy, kilkudniowy zarost, rewelacyjna rzeźba.

– To mój przyjaciel Christian Lelouche – przedstawił go Belg. – Jest Francuzem i to nie jedyna jego wada.

DeWael i Lelouche wybuchnęli śmiechem. Marek także się roześmiał.

– A to mój ulubiony zombiak. – DeWael wskazał Marka.

Francuz podszedł do niego i mocno uściśnął mu dłoń.

– Zombiak? – spytał Marek, patrząc na dyrektora. – Tak nas nazywacie?

– Myślałem, że inni goście powiedzieli już panu – odparł Belg. – Gniewa się pan?

– Ależ skąd. – Marek naprawdę nie żywił urazy. – Skądinąd to bardzo trafne określenie.

– No właśnie – powiedział dyrektor, wręczając mu kieliszek zmrożonego szampana, który wyraźnie na niego czekał. – Skoro już jestem z panem taki szczery, to musi mi pan pozwolić na jeszcze jedno.

– Na co?

– Chciałbym, żebyśmy mówili sobie po imieniu. Nie ma pan, mam nadzieję, nic przeciwko temu?

– Oczywiście, że nie. – Marek trącił kieliszek dyrektora swoim. – Marek.

– Patrick – powiedział DeWael.

– To może i ja się przyłączę? – zapytał Lelouche.

– Czy ja wiem... – rzekł dyrektor, ale zaraz zaśmiał się tubalnie.

– Z miłą chęcią – odparł Marek.

– Christian.

– Marek.

Dyrektor klasnął.

– To mi się podoba! Trzy wilki morskie w pełnej przyjaźni! – zawołał. – Kapitanie, ruszamy!

Kapitan jachtu zasalutował DeWaelowi i wydał rozkazy załodze. Kilkanaście minut później byli już na pełnym morzu.

Dyrektor dokładał wszelkich starań, by się zrelaksowali, a oni czuli się rewelacyjnie. Chilloutowa muzyka sączyła się z głośników, podawane co chwila zakąski zaskakiwały oryginalnością i egzotycznymi smakami, rozmowa była błyskotliwa i pełna dowcipu, choć o niczym. Marek nie żałował, że przyjął zaproszenie Belga.

Po pewnym czasie spod pokładu wyszło więcej dziewczyn. Marek z niejakim zaskoczeniem zauważył wśród nich Magdę. Kobiety najpierw przez jakąś godzinę towarzyszyły im, by potem przejść na dziób. Tam ściągnęły kostiumy i zaczęły się opalać nago. Marek, Patrick i Christian obserwowali je. Rozmowa przestała się kleić – lekko rozleniwieni patrzyli na opalone krągłości swych towarzyszek i popijali wyśmienity schłodzony alkohol.

Magda kilka razy spojrzała na Marka, gdy wraz z innymi dziewczynami siedziała jeszcze z nim, Belgiem i Francuzem. Uśmiechała się przy tym i dotykała co jakiś czas jego ramienia. Sprawiało mu to przyjemność, choć nie był pewien, czy nie działo się to przypadkiem, jacht bowiem kołysał się delikatnie na falach.

Po dłuższej chwili ciszy dyrektor odezwał się do Marka.

– Mamy dla ciebie propozycję.

– Tak? Jaką? – Był nieco zdziwiony, choć przeczuwał, że zaproszenie na jacht nie było tylko wyrazem sympatii DeWaela.

– Propozycję, rzekłbym, nieśmiertelności – odparł Patrick.

– Nieśmiertelności? Dla zombiaka? – Marek uśmiechnął się. – Czy ja aby na pewno jestem dobrym adresatem takiej oferty?

– Doskonałym – rzekł dyrektor. – Wierz mi, sprawdziłem to.

– A to ciekawe. Czym zasłużyłem sobie na nieśmiertelność?

– Kasą i samotnością – włączył się Christian, jakby już dawno przygotował tę odpowiedź.

Aha! – pomyślał Marek. – Musieli przeprowadzać takie rozmowy już wiele razy. Nie ma więc sensu się z nimi droczyć, trzeba od razu przejść do sedna.

– Na czym polega oferta? – zapytał. – Dacie mi gwarancję zbawienia? Masz znajomości w niebie, Patrick?

– Przeceniasz mnie. – Belg uśmiechnął się. – Ale dziękuję za uznanie.

– Nie, Marku – powiedział Christian – aż tak daleko nasza władza nie sięga. Ale mamy coś lepszego niż niepewne wstawiennictwo na sądzie ostatecznym, w który żaden z nas i tak przecież nie wierzy.

Marek wziął do ręki kieliszek szampana.

– Słucham zatem.

– Christian jest właścicielem kliniki – zaczął DeWael. – Kliniki klonującej ludzi.

– To legalne? – zapytał Kastor. – Sądziłem, że na to jeszcze się Unia Europejska nie zgodziła.

– To prawda – powiedział Francuz. – Ale na szczęście Szwajcaria wciąż jest krajem wolnych ludzi.

– I wolnych lekarzy – dorzucił z uśmiechem Patrick.

– I wolnych lekarzy – potwierdził Christian. – A także właściciele klinik, którzy tych lekarzy zatrudniają.

– No i co ci wolni lekarze z klinik w kraju wolnych ludzi mają mi do zaoferowania? – zapytał Marek.

– Nieśmiertelność! – prawie krzyknął DeWael, zwracając uwagę dziewczyn opalających się na dziobie jachtu.

– Patrick, chcesz zaoferować nieśmiertelność facetowi, który za trzy tygodnie będzie trupem? – spytał Marek. – Ty, którego ludzie go tym trupem uczynią?

– Masz rację, ale nie do końca – rzekł dyrektor. – Tak, za trzy tygodnie nie będziesz żył, a ja muszę tego dopilnować, bo inaczej stracę ten piękny jacht,

tę piękną pracę i te piękne dziewczyny. Ale...

– Ale co? – przerwał mu spokojnie Kastor. – Pobierzcie moje DNA i za parę lat sklonujecie mnie w Szwajcarii, żebym sobie chodził jako postzombi? Naprawdę uważasz, że przyjechałem tu, by cokolwiek po sobie zostawić?

– Posłuchaj mnie chwilę – wtrącił się Lelouche. – To wcale nie jest takie pozbawione sensu, jak myślisz. Nie chciałbyś mieć drugiego życia? Nie chciałbyś mieć szansy na przeżycie inaczej tego, co ci się przydarzyło? Naprawdę jesteś jednym z tych idiotów, którzy pod koniec mówią, że niczego nie żałują i że gdyby mieli raz jeszcze decydować, to postąpiliby dokładnie tak samo?

– Oczywiście, że nie – powiedział Marek. – Popełniłem w życiu mnóstwo błędów i w wielu sprawach się myliłem. Gdybym mógł to zmienić, pewnie bym to zrobił. Ale wy mi tego nie oferujecie. Wy oferujecie mi wyhodowanie kogoś podobnego do mnie, nie mnie. Chcecie owieczki Dolly, tylko że z moim pyskiem. To nie będę ja. To będzie tylko moje ciało.

– Ależ ty właśnie jesteś swoim ciałem! – zawołał Patrick. – Niczym więcej. Chyba nie wierzysz w duszę i w anioła stróża, który fruwa nad tobą nawet wtedy, gdy srasz czy kopulujesz, i który martwi się o ciebie?

– Oczywiście, że nie wierzę w duszę, ale wierzę w to, co jest we mnie, w swoje wnętrze. Nie w ciało.

– Na pewno? – zapytał DeWael. – A czemu poświęcałeś w życiu więcej czasu: ciału czy swojemu wnętrzu? Co stroiłeś w drogie ciuchy? Duszę? O co się troszczyłeś, chodząc na siłownię i nie przejadając się przed snem? Czemu codziennie kilka razy przyglądałeś się w lustrze? Czym zameczałeś medyków, gdy tylko coś cię zabolalo? Ile razy byłeś u zwykłego lekarza, a ile u psychologa? Prawda, że tego nie da się porównać? Bo w dupie miałeś choroby duszy i swój smutek, ale gdy tylko coś cię zabolalo, zapierdalałeś do najbliższego internisty, żeby cię zbadał i przepisał odpowiednie leki. Dla swojego ciała zrobiłeś znacznie więcej niż dla swojej duszy czy, jak to określasz, wnętrza. Więc nie pieprz nam tu o niższości tego pierwszego, bo to hipokryzja. Jesteś swoim ciałem, a Christian może mu dać nowe życie.

– Marku, popatrz na mnie i pomyśl chwilę – odezwał się spokojnie

Lelouche. – Gdybyś mógł spotkać raz jeszcze ukochaną osobę, która nie żyje, wolałbyś, żeby duchowo była taka sama, ale objawiła ci się w innym ciele, czy raczej chciałbyś, by wyglądała tak samo, jak ją zapamiętałeś, ale miała inną psychikę? Bądź ze sobą szczery. Przestań się oszukiwać tymi bzdurami o wyższości ducha nad materią. Chciałbyś ją znowu zobaczyć, kimkolwiek dla ciebie była? Chciałbyś, by cię raz jeszcze dotknęła, pocałowała, nawet jeśli wiedziałbyś, że w środku nie jest już tym samym człowiekiem? Chciałbyś?

– Tak, chciałbym – wyszeptał Kastor.

Zapadła cisza. Marek wiedział, że Patrick i Christian dopięli swego i że on zrobi to, czego od niego chcą.

– Skąd wiecie, że mam na to środki? – zapytał po dłuższej chwili. – Przecież to będzie kosztować kupę pieniędzy.

– O tak, tanie to nie jest – przyznał Lelouche. – Ale też na biednego nie trafiło, prawda?

– Owszem, byłem bogaty, ale już nie jestem – powiedział Marek. – Prawie wszystko przekazałem na różne cele przed przyjazdem tutaj.

– Marku, nie doceniasz mnie. – Patrick uśmiechnął się. – Nie byłbym tu, gdzie jestem, gdybym nie miał swoich ludzi w odpowiednich instytucjach i gdybym nie potrafił korzystać z tych znajomości.

– W to nie wątpię – przyznał Marek. – Więc ile wam będę winien?

– Twój dom na Mazurach – powiedział szybko Patrick – jest wart około pół miliona euro i to powinno pokryć koszty zabiegu, a nawet wystarczyć na napiwek dla mnie. – Roześmiał się szczerze. – Tak, wiem, zapisałeś go tamtejszemu schronisku dla zwierząt, ale myślę, że jakoś sobie poradzą.

– Ale przecież jest już testament.

– Póki żyjesz, możesz zmienić swoją ostatnią wolę, a ja mam zarówno dobrego notariusza u siebie, jak i kontakt ze światem – odparł DeWael. – Ludzkość na szczęście wynalazła tak prawo, jak i internet. To chyba zresztą dwa najlepsze jej wynalazki.

– Więc jak, Marku? – zapytał Christian. – Mam uczynić cię nieśmiertelnym?

– Niech stanie się wieczność – powiedział Marek. – Raz, a nawet dwa razy
kozie śmierć!

– Umarł Marek, niech żyje Marek! – zawołał Patrick i wznosił kieliszek
z szampanem.

– Niech żyje! – powiedział Christian.

– Na pohybel zombiakom! – dołączył się Marek.

Wychylili swoje kieliszki.

DeWael krzyknął coś do kapitana. Ten wydał polecenie jednemu
z członków załogi i nagle muzyka zabrzmiała o wiele głośniej. Dziewczyny,
które do tej pory leniwie wygrzewały się na słońcu, podniosły się i wróciły na
rufę. Było ich sześć: Magda, dwie Rosjanki, dwie Tajki i Ukrainka. Zaczęły
tańczyć obok nich, popijając szampana i jedząc przystawki – najwyraźniej
znały ten rytuał i celebrowały już wcześniej czyjaś nieśmiertelność.

Patrick mocnym ruchem przyciągnął Tajki i zaczął się z nimi pieścić, nie
przejmując się obecnością innych. Christian chwilę tańczył z Ukrainką, by
wkrótce położyć się z nią na jednej z kanap. Wzrokiem polecił Magdzie, by
dołączyła do nich. W tym samym momencie Rosjanki dosiadły się do Marka
i zaczęły go rozbierać.

Orgia się rozkręcała. Tajki uwijały się przy Patricku i już wkrótce Belg
zaczął intensywnie sapać, co zwiastowało niechybny „happy end”. Rosjanki
także nie próżnowały – jedna agresywnie obciągała Markowi, na zmianę
masując mu jądra i chuja, podczas gdy druga całowała go i przygryzała mu
sutki. Obok, prawie w takiej samej konfiguracji, Christian zabawiał się
z Ukrainką i z Magdą. Marek złapał się na tym, że co chwilę patrzy w tamtą
stronę. Kilka razy jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Polki. Bezczelnie,
wręcz wyzywająco patrzyła mu prosto w oczy. W pewnym momencie, gdy
i on, i Lelouche wyraźnie zbliżali się do finału, Magda przestała patrzeć na
Francuza i choć nadal pieściła językiem jego mosznę i anus, a ręką wprawnie
masowała fiuta, utkwiała wzrok w Marku. On również patrzył już tylko na
nią. Wtedy właśnie Magda powiedziała coś do Ukrainki, a ta zsunęła się do
krocza Francuza i kilkoma ruchami sprawiła, że spuścił się jej na twarz. To
bardzo podnieciło Marka – czuł, że członek zaczyna mu pulsować w ustach

Rosjanki. Tymczasem Magda podeszła do nich, odsunęła obie dziewczyny i klękając przed Markiem, wzięła jego kutasa tak głęboko, że aż dotarła ustami do brzucha. Niesamowite ciepło i wilgoć sprawiały, że zaczynał odlatywać, kobieta zaś, szczypiąc mu sutki, kilkoma ledwie ruchami głowy doprowadziła go do wytrysku. Cały czas patrzyli na siebie, także wtedy, gdy Magda wreszcie wypuściła jego członka, otworzyła z uśmiechem usta zalane spermą, a następnie połknęła ją.

Jeszcze dłuższą chwilę Patrick, Christian, Marek i dziewczyny leżeli obok siebie zupełnie nadzy. Potem niespiesznie ubrali się, a kapitan zarządził lunch. Członkowie załogi, którzy wcześniej dyskretnie zniknęli pod pokładem, pojawili się i zaczęli nakrywać do stołu. Muzyka przycichła i znowu królował delikatny chillout. Lunch był wyśmienity, zwłaszcza owoce morza.

Gdy zacumowali, zaczynało zmierzchać. Lelouche i DeWael byli wyraźnie wstawieni, Marek zresztą także. Dopisywały im humory.

– No i jak ci się podobała wyprawa na ryby? – zapytał Patrick.

– Bardziej, niż przewidywałem – odpowiedział Marek. – Ale chyba nic nie złowiliśmy.

– Przeciwnie. Mamy tu grubą rybę. – Christian dotknął palcem wskazującym piersi Kastora. – Ciebie, rekinie.

– Masz rację – odrzekł Marek – ale to nie było trudne, prawda? Już nieraz takie łapaliście. Widać profesjonalizm i skuteczne zanęcanie.

– Istotnie, nie pierwszy raz wybraliśmy się na takie polowanie – przyznał Patrick. – Jak dotąd jednak żaden ze złowionych rekinów nie skarżył się na swój los.

– Bo ryby i trupy głosu nie mają – powiedział Marek i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Pożegnali się serdecznie. Kastor i DeWael umówili się na następny dzień na dopracowanie szczegółów, Lelouche zaś pożegnał się trochę zbyt wylewnie z Markiem.

– To była prawdziwa przyjemność cię poznać – powiedział.

– Dla mnie również – odparł Marek.

– Do zobaczenia w następnym życiu. – Francuz się uśmiechnął.

– Do zobaczenia. Zadbaj o to, bym był w nim szczęśliwy. A przynajmniej zdrowy.

– Obiecuję – rzekł Lelouche.

Marek uścisnął obu mężczyznom dłonie i ruszył do apartamentu. Gdy opuszczał przystań, odwrócił się, chcąc im jeszcze pomachać. Byli zajęci rozmową i nie zwracali na niego uwagi. Na jachcie dostrzegł jednak Magdę, która stała sama i patrzyła w jego stronę. Uśmiechnął się do niej. Podniosła rękę i pomachała mu. Odwzajemnił ten gest.

Wziął ciepłą kąpiel i poszedł spać.

DZIEŃ ÓSMY

12 GRUDNIA

Jeszcze przed śniadaniem Marek zadzwonił do sekretariatu DeWaela i umówił się na spotkanie. Asystentka zapytała, czy mógłby przyjść do dyrektora w południe. Odpowiedział, że nie ma żadnych planów i że zjawi się o wskazanej godzinie.

Do biura dotarł tuż przed dwunastą, a Patrick czekał na niego. Rozmowy przebiegły sprawnie – Marek mógł zresztą zadzwonić do swojego prawnika w Polsce i do Olesia, przyjaciela, który zawsze był przy nim, a obecnie czuwał nad wykonaniem jego testamentu. I mecenas, i Oleś byli nieco zdziwieni przepisaniem domu na Mazurach, obiecanego już schronisku dla zwierząt, klinice w Szwajcarii, ale nie protestowali. W końcu to był majątek Marka i jego kaprys. Rozmowa z prawnikiem była krótka i zdawkowa. Trochę dłużej dyskutował z przyjacielem – wiele ich łączyło i wiele razem przeszli. Przyjaźnili się od piętnastego roku życia i nigdy się nie zdradzili. Jasne, było parę momentów, gdy mieli do siebie pretensje, ale Marek zawsze wiedział, że w razie czego Oleś stanie za nim murem. Ze wszystkich ludzi tylko do matki miał jeszcze taki stosunek, ale z nią był taki problem, jak z każdą matką – rezerwowała sobie prawo do oceniania, co jest dobre dla jej syna, i dlatego czasami potrafiła uderzyć nie gorzej niż największy wróg. Oleś natomiast wiedział, że dobre dla przyjaciela jest to, co przyjaciel mówi, że jest dla niego dobre, i pomagał mu w osiągnięciu tego. Stąd jego mógł być bardziej pewien niż Róży.

Po wydaniu niezbędnych dyspozycji prawnikowi Marek poprosił o szklaneczkę whisky. Patrick spełnił jego, jak to określił, „ostatnią wolę” i nie omieszkał nalać także sobie. Wzniesli toast i trochę jeszcze pożartowali.

Coraz bardziej się lubili, a Kastor czuł, że to nie tylko kwestia tego, że jego dom na Mazurach zmienił właśnie właściciela. Belg polubił go jako jednego z sympatyczniejszych zombiaków.

Posiedzieli razem jakąś godzinę, po czym Marek oznajmił, że wychodzi. Patrick był zaskoczony – widać było, że nie miałby nic przeciwko temu, by spędzić z nim więcej czasu, wypić jeszcze szklaneczkę czy dwie whisky i porozmawiać. Pożegnali się serdecznie, DeWael zaś zapraszał go ponownie. Jak stwierdził, że wszystkich trupów, które gości w „Great Final”, Marek jest najzabawniejszy, a przy sprawnie działającym ośrodku nie ma za dużo obowiązków.

Po wyjściu z gabinetu dyrektora Marek nie bardzo wiedział, co ze sobą począć. Była pora obiadowa, ale nie miał ochoty na jedzenie, zwłaszcza że alkohol rozkosznie w nim buzował. Postanowił pójść na basen. Całe życie unikał wchodzenia do wody po kilku głębszych – wiadomo, względy bezpieczeństwa – teraz zatem, wiedząc, że nie musi już na nie zważać, zrobił to po prostu z przekory.

Wstąpił do siebie po kąpielówki, przebrał się i ruszył w stronę basenów. „Great Final” oferował trzy: dwudziestopięciometrowy, piętnastometrowy i brodzik.

Brodzik? – zastanowił się. – Tutaj?

Widocznie najmniejszy basen był pozostałością po wcześniejszym ośrodku, który jeszcze przed kilkoma laty przyjmował zwyczajnych turystów przyjeżdżających tu na tydzień czy dwa. Ze swoimi kłopotami w pracy, laptopami i komórkami. No i oczywiście z dziećmi.

W dużym basenie był zaledwie jeden człowiek. Miał na sobie czepek oraz profesjonalne okulary, pływał szybko i wkładał w to wiele wysiłku. Widać było, że to dla niego nie rozrywka.

Pewnie robi to dla zdrowia – pomyślał zgryźliwie Marek. – Zdrowie jest najważniejsze. Do samego końca.

Z mniejszego basenu korzystało kilka osób, poruszając się powoli i dostojnie. Dwie kobiety około czterdziestki siedziały przy barze na

krzeselkach zamontowanych tak, że pośladki chłodziły w basenie, a plecy grzały w słońcu.

– Syreny – mruknął Marek pod nosem. – Dupa ryby, góra słońca.

Rozebrał się i wszedł do wody. Chwilę popływał, lekko poirytowany zbyt licznym mimo wszystko towarzystwem. Nie miał jednak ochoty przejść do dużego basenu i ścigać się z facetem, który bił tam światowe rekordy. Wiedział, że samcza duma nie pozwoliłaby mu na wolniejsze pływanie, a bezsensowna walka z obcym człowiekiem go nie interesowała. Przypomniał sobie, jak kilka lat wcześniej ścigał się z jakimś młodym dupkiem w podrasowanej beemce. Gość zajechał mu drogę, więc postanowił pokazać chłystkowi, ile koni ma pod maską jego jaguar. Zaczął go gonić, a tamten podjął wyzwanie. Ścigali się tak kilka kilometrów i wreszcie na jakiejś prostej w środku lasu Marek zaczął go wyprzedzać. Młody dupek nie dawał za wygraną, choć jaguar powoli pokazywał swoją przewagę. Bmw już niemal zostało z tyłu, gdy z naprzeciwka wyłonił się samochód. Marek, zamiast zwolnić i schować się za beemkę, jedynie wcisnął mocniej pedał gazu. Na liczniku miał wtedy blisko dwieście kilometrów na godzinę, lecz dupek w bmw nie odpuszczał i tylko decyzji jadącego z naprzeciwka kierowcy, który wylądował na poboczu, Marek zawdzięczał życie. Jaka była stawka? Udowodnienie jakiemuś kretynowi w tuningowanej beemce, że jego jaguar jest lepszy? Tyle było warte jego życie i życie innego człowieka? Naprawdę zaryzykował to wszystko, by troglodyta, którego nigdy więcej nie spotka, musiał uznać wyższość jego auta? Czuł się z tym obrzydliwie, zupełnie jakby kogoś i siebie obrzygał. Beemkę puścił i zawrócił, by zobaczyć, co się stało z drugim autem. Na miejscu już nikogo nie było – widoczne były tylko ślady ostrego hamowania i powyrywana trawa na poboczu. Najwidoczniej nic złego się nie stało, ale Marek nie mógł dojść do siebie. Jego humanizm, wartość egzystencji i poszanowanie dla innych zostały splugawione i zakwestionowane jednym nagłym skokiem testosteronu. Potrafiłby zabić siebie i niewinnego człowieka tylko po to, by wygrać idiotyczną rywalizację z innym samcem.

Zdecydował więc, że pobaraszkuje w brodziku. Basen nie był aż tak płytki,

jak myślał na początku, a woda w nim przyjemnie chłodziła. No i był sam. Położył się na plecach, głowę oparł na murku i wystawił twarz do słońca. Nie było już tak ostre jak w południe, ale nadal prażyło dość intensywnie, co w połączeniu z przyjemnym chłodem wody relaksowało. U przechodzącego kelnera zamówił kolejną szklaneczkę whisky z lodem i zaczął popadać w przyjemne odrętwienie.

Wyrwały go z niego odgłosy dochodzące z drugiego końca brodzika. Otworzył oczy i zobaczył otyłego czterdziestolatka z mniej więcej dwudziestoletnim Murzynem. Obaj siedzieli po pas w wodzie, trzymali drinki i się całowali. Marek napił się whisky i ponownie zamknął oczy, ale zabawiający się ze sobą mężczyźni nie pozwalali mu się odprężyć. Postanowił wyjść na brzeg i położyć się na leżaku. Gdy otworzył oczy, zobaczył, że biały czterdziestolatek mu się przygląda.

– Przeszkadzamy ci? – zapytał.

– Szczerze mówiąc, tak – odparł Marek. – Ale nie przerywajcie sobie. Przeniosę się.

– Nie ma takiej potrzeby – powiedział mężczyzna, odwrócił się do chłopaka i rzucił krótkie: – Spierdalaj.

Murzyn wyszedł z wody i ruszył w kierunku leżaków. Zostali sami. Marek nie zamierzał reagować w jakikolwiek sposób – chłopak był prawdopodobnie jednym z tych dostępnych w intranecie, a on nie mógł prawić obcemu facetowi morałów. Najzwyczajniej w świecie miał go w dupie.

– John McClarkin – rozległo się po chwili.

Marek otworzył oczy. Facet wyciągał w jego kierunku rękę.

– Marek Kastor – odpowiedział, uścisnął mu dłoń i ponownie zamknął oczy. Od mężczyzny czuć było alkohol.

– Szkocka? – zapytał McClarkin.

Marek znów otworzył oczy i zobaczył, że tamten wskazuje jego szklaneczkę whisky.

– Tak, szkocka.

– Skąd jesteś?

– Z Polski.

– To dlaczego, chuju, nie chłepczesz wódki albo jakiegoś napoju z buraków, tylko plugawisz świętą szkocką whisky? – spytał McClarkin, ale w tych ostrych słowach nie było agresji, raczej łobuzerska zaczepka.

– Postanowiłem na koniec życia spróbować tych psich szczyn – odparł Marek z uśmiechem. – I zobaczyć, czy wasze kobiety są po nich równie brzydkie jak na trzeźwo.

– Jestem Szkotem – powiedział John – ale szczerze mówiąc, nigdy nie rozumiałem, jak można się rozkoszować tym syfem, mając do wyboru włoskie wina lub niemieckie piwa.

– To chyba bluźnierstwo – zauważył Marek. – Nie boisz się, że dopadnie cię za to szkocka inkwizycja?

– Ja już niczego się nie boję – powiedział McClarkin. – Możesz mi przypomnieć, jak masz na imię, Polaku?

– Marek.

– Marek? A mogę ci mówić Mark?

– Jasne – odparł Kastor. – Możesz mi nawet mówić „mój mały słodki Murzynku”.

– Ach, to... – John obrócił głowę w stronę opalającego się na leżaku chłopaka, z którym zabawiał się w brodziku. – To tylko po to, żeby zupełnie się upodlić.

– Upodlić?

– No jasne, przecież nie jestem żadnym jebanym pedałem – powiedział Szkot. – Robię to, by szokować tutejsze żywe trupy i by spaść na samo dno. W ich i własnych oczach.

– Po co? – Marek sięgnął po szklaneczkę.

– Chcę mieć pewność, że nie będę miał żadnych szans tam, w górze. – McClarkin wskazał głową niebo. – Że nikt nie okaże mi tam litości.

– A jeśli tam nikogo nie ma? – dociekał Kastor. – Jeśli nic nas tam nie czeka?

– Wtedy byłoby to grube skurwysyństwo, Mark – odpowiedział John. – Gdyby naprawdę nasze życie kończyło się z ustaniem pracy serca czy mózgu i niczego by potem nie było, oznaczałoby to, że nie miało ono sensu. Ani to dobre, ani to złe.

– Ale możliwe, że tak właśnie jest.

– I tego się najbardziej obawiam – rzekł Szkot. – To najgorszy scenariusz. W nim nie miałyby najmniejszego znaczenia, czy byłeś zabójcą i torturowałeś ludzi czy też walczyłeś o wolność i przez lata cierpiełeś za innych. Gorzej nawet, bo wtedy skończonym kretynem byłby ten drugi, natomiast wygranym pierwszy – oprawca i skurwiel opływający za życia w dostatki. Nie zgadzam się na to.

– Lecz twój sprzeciw niczego tu nie może zmienić – zauważył Marek, kolejny raz sięgając po szklaneczkę z whisky. – Albo jest tak, albo inaczej, ale z pewnością nie ma znaczenia, co ty o tym sądzisz. Jeśli zresztą dopuszczasz myśl, że tam nic nie ma, to trzeba było być krwawym dyktatorem i mordować ludzi.

– Byłem, Mark, byłem – odparł McClarkin.

– Byłeś dyktatorem? – Kastor się zdziwił. Interesował się polityką, a nie mógł skojarzyć swego rozmówcy z żadną dyktaturą. – Gdzie?

– Nie tyle dyktatorem, ile rzeźnikiem mordującym ludzi – rzekł Szkot, patrząc na niego spokojnie. – Zamordowałem trzy tysiące osiemset dziewiętnaście osób.

– Nie rozumiem. – Marek naprawdę nie wiedział, co o tym myśleć.

– Przez wiele lat byłem ginekologiem – powiedział John. – Dokonałem w swojej karierze trzy tysiące osiemset dziewiętnaście aborcji. Tylu ludzi zabiłem.

– Liczyłeś to?

– W czasie ich przeprowadzania miałem to w dupie – stwierdził Szkot. – Zrobiłem to po ostatniej skrobance. Wtedy właśnie sprawdziłem, ile ich dokonałem. I wyszło trzy tysiące osiemset dziewiętnaście.

– I co, skończyłeś z tym? – zapytał Marek.

– Tak. Nigdy już do tego nie wróciłem – odparł McClarkin. – To było dwa lata temu. Przez jakiś czas wykonywałem jeszcze swój zawód, ale rok temu odszedłem. Nie mogłem już dalej pracować. Nie mogłem odbierać kolejnych porodów, wiedząc, że wcześniej zabiłem prawie cztery tysiące dzieci.

– Coś się stało w czasie tej ostatniej aborcji?

– Abortowałem dwudziestoczytygodniowy płód. Wiesz, wada genetyczna, zespół Downa. I tak się nieszczęśliwie stało, że po wydobyciu z ciała matki dziecko jeszcze żyło. Po prostu spierdoliłem sprawę i nie pociąłem go na kawałki. – John wypił duszkiem całą whisky, która pozostała w szklaneczce Marka. – Więc leżało przed nami, a my staliśmy i patrzyliśmy. Ja, dwie położne i anestezjolog. Przepisy nie pozwalały na jego ratowanie, ale nie pozwalały też, bym wbił w nie skalpel i przerwał jego mękę. Trwało to kwadrans, Mark. Pierdolone piętnaście minut. Najdłuższe piętnaście minut w moim życiu. Dziecko z coraz większym trudem oddychało, w końcu skręciło się w jakimś dziwnym spazmie i odeszło. Wtedy pojąłem, że zabiłem człowieka. Rozumiesz? Człowieka! I że przed nim zabiłem trzy tysiące osiemset osiemnastu ludzi. Małe dzieci, które nie zdążyły pobawić się piłką i upaprać lodami. Które nie mogły już zakochać się w kimś z klasy ani wykąpać latem w rzece. Dotarło do mnie, że jestem gorszy od wielu dyktatorów, bo oni przynajmniej zabijali realnych czy wymaginionowanych wrogów, a ja małe dzieci. Trzy tysiące osiemset dziewiętnaście niewinnych dzieci.

Przez chwilę na najmniejszym basenie „Great Final” panowała cisza.

– Rozpiłem się – odezwał się McClarkin po kilkadziesiąt sekundach. – Nie dawałem sobie rady. Rok później zrezygnowałem z praktyki, zamknąłem gabinet i sprzedałem sprzęt. Cały czas myślałem o tym, co zrobiłem i jak mógłbym to naprawić, ale nie znalazłem sposobu. Bo nie da się naprawić śmierci trzech tysięcy osmiuset dziewiętnastu dzieci. Po prostu się nie da. Są takie rzeczy, z których nie można się ot tak wypowiedzieć, a potem żyć długo i szczęśliwie. Nie w mojej ocenie. Oczywiście poszedłem do księdza, a on zaproponował mi spowiedź i pewnie dałby mi rozgrzeszenie, tyle że ja go nie chciałem. Nie chciałem znów być nieskalany i w podskokach biec do

komunii. Postanowiłem jakoś to obejść.

– Jak?

– Wybrałem Stary Testament, a odrzuciłem Nowy. A konkretniej, odrzuciłem Chrystusa i wybrałem starego, dobrego, mściwego Jahwe.

– Wciąż nie rozumiem – powiedział Marek. – Możemy wyjść z wody?

– Jasne.

John ruszył w stronę leżaków, ale nie w kierunku młodego Murzyna. Po drodze zamówił u kelnera jeszcze dwie szkockie.

– Tak naprawdę więc – kontynuował po chwili – wyrzekłem się całego tego pedalskiego chrześcijaństwa z jego miłosierdziem, odpuszczaniem win i tego typu bzdetami. To religia słabych i strachliwych, którzy całe życie drżą, czy aby na pewno postępują dość bogobojnie, by zasłużyć na życie wieczne w niebiesiech, a nie cierpieć katusze w piekle. Rzygać mi się chce na myśl o tej wierze cykorów. Modlą się, miłują bliźniego swego i przestrzegają przykazań tylko dlatego, że trzęsą portkami na wzmiankę o diabelskich widłach. Ot i cała wiara naszych rodaków. A ja mam w dupie przebaczenie i odpuszczenie win. Mam nadzieję, że Bóg istnieje, ale nie odpuszcza. Że za wszystko zostaniemy skrupulatnie rozliczeni i potępieni. Najlepiej wszyscy. No może z wyjątkiem tego waszego papieża Wojtyły, Matki Teresy z Kalkuty i paru innych osób. Ale reszta powinna się spotkać w jakimś ciasnym i bardzo gorącym kotle.

– Żartujesz, prawda?

– Tylko trochę. Najwyżej w odmalowywaniu tych naiwnych obrazków z płócien Boscha. Ale jeśli chodzi o istotę tego, co powiedziałem, nie. Chcę trafić do piekła, bo tylko na piekło zasłużyłem. I mam nadzieję, że ono istnieje. Byłbym bardzo rozczarowany, gdyby się okazało, że rację mają ateści i śmierć jest faktycznym końcem. Byłoby to kurewsko niesprawiedliwe, Mark. Kurewsko.

– A nie uważasz, że powinieneś jednak odkupić swoje winy, skoro tak bardzo żałujesz? – spytał Kastor. – Że nie powinieneś się zabijać, tylko codzienną pracą dla innych zmazać swoje grzechy?

– Zmazać swoje grzechy? – rzekł Szkot. – Odkupić swoje winy? Mark, czy ty się słyszysz? Moje winy to nie zdrada małżeńska czy napaść na staruszkę. Takie coś można odkupić, jak to ująłeś. Ale jak ja mam zmyć z siebie krew czterech tysięcy niewinnych dzieci? Modlitwą? Pracą społeczną? Przeprowadzaniem emerytów przez jezdnię? Pierdolnij się w głowę, drogi przyjacielu, i to mocno. Moje winy są nie do odkupienia i nie chcę, by próbował je zmywać jakiś ksiądz czy nawet Bóg, jeśli istnieje, rozumiesz? Nikogo nie zamierzam prosić o łaskę. Sam wymierzę sobie karę, tak jak sam zabijałem dzieci, i będzie to kara najwyższa, jaką zna człowiek: wieczne potępienie. Dlatego pozwałam tej czekoladce – wskazał głową Murzyna – brandzlować mnie przed śmiercią i dlatego wybrałem tę przyjemną eutanazję, którą tutaj oferują, a nie brutalność sznura lub noża, z której mogłem skorzystać u siebie w Edynburgu. Nic nie może być okolicznością łagodzącą, żeby mojemu mściwemu Bogu nie zostawić najmniejszych szans na okazanie łaski. Rozumiesz?

– Rozumiem – powiedział Marek.

Zapadła dłuższa cisza. Kastor i McClarkin popijali whisky, Murzyn gdzieś zniknął, a słońce przestało prażyć i powoli nabierało pomarańczowego koloru.

– A ty? – zapytał John.

– Co ja?

– Wierzysz, że tam coś jest? Że jest Bóg i życie pozagrobowe? Jesteś w ogóle chrześcijaninem?

– Nie, nie jestem – rzekł Marek. – Bycie chrześcijaninem to wiara, że ten młody Żyd, który żył dwa tysiące lat temu w Palestynie, był Bogiem. A ja w to po prostu nie wierzę. Wiem, że istniał, nauczał i umarł na krzyżu. Żeby się o tym przekonać, pojechałem zresztą kiedyś do Jerozolimy. I mogę cenić jego nauczanie, ale w to, że był synem Boga i że sam był Bogiem, najzwyczajniej nie wierzę. Co ten syn Boga robił przez pierwsze dwadzieścia kilka lat życia? Srał, pocił się i przyuczał do zawodu cieśli. Pewnie też kochał się w jakiejś dziewczynie. Był zwyczajnym chłopakiem. A potem ogłosił się Mesjaszem i jego pobratymcy słusznie skazali go za bluźnierstwo, bo był po prostu

nawiedzony. Ale Bogiem nie był. Więc nie mogę nazywać się chrześcijaninem, nie wierząc w boskość Chrystusa. Można być chrześcijaninem, nie wierząc w dogmaty i będąc grzeszną świnią, lecz w boskość Chrystusa wierzyć trzeba. Zatem nie mogę określać się chrześcijaninem.

– Ale w jakiegoś boga wierzysz?

– Nie tyle wierzę, ile zakładam jego istnienie – odparł Marek. – Wiemy już dziś, że wszechświat istnieje jakieś czternaście miliardów lat, ale żaden ateista nie potrafi odpowiedzieć na proste pytanie: Skąd on się wziął i co było przed Wielkim Wybuchem? W porządku, dzieje opisane w Biblii to bajeczka dla grzecznych dzieci, jednak powyższe pytanie jest wciąż aktualne. Tak więc u mnie myślenie o bogu nie jest wiarą, lecz wiedzą. Ateizm i nauka o wszechświecie bez jakiegoś boga nie mają sensu. Opowiadają trafnie o dziejach kosmosu, lecz nie udzielają odpowiedzi na jedno zasadnicze pytanie: Skąd on się wziął?

– Raczej więc zakładasz istnienie jakiegoś boga, niż w niego wierzysz? – drążył John.

– Tak. Bez jakiejś siły wyższej istnienie wszechświata jest tak głupie jak opowieści kosmogoniczne wszystkich religii. Śmiać mi się chce, gdy słyszę, jak kapłani różnych wyznań tłumaczą swoim owieczkom tajemnicę powstania kosmosu. A jeszcze bardziej, gdy widzę ludzi, którzy w dwudziestym pierwszym wieku wciąż w to wierzą. Rozumiem, że można było dawać wiarę tym opowiastkom kilkaset lat temu, ale nie pojmuję, jak po odkryciach fizyki, biologii czy astronomii można nadal wierzyć w historie zapisane przez prymitywnych ludzi przed dwoma tysiącami lat.

– Nie wierzysz żadnej religii?

– Pewnie, że nie. Bóg może istnieje, ale nikt nie ma o nim bladego pojęcia. Jeśli świat został stworzony tak dawno i te góry, rzeki i kontynenty wykształcały się miliony lat, to ludzie, którzy powstałi na samym końcu tego procesu, nie mogli nic wiedzieć o bogu. A to, że zawsze o nim myśleli i mieli tak różne jego wyobrażenia, wcale nie działa na jego korzyść. Przez całą młodość patrzyłem ze zdziwieniem na to, jak pokrętne wierzenia stworzyła

ludzkość. Na przemian odczuwałem obrzydzenie i fascynację tymi wszystkimi bogami słońca, słoniami, żądnymi krwi bóstwami czy innymi konstrukcjami teologicznymi. Aż kiedyś, gdy miałem trzydziestkę, pojechałem do Indii. Spotkałem tam niezłą laskę i spędziłem z nią kilka dni. To właśnie po rozmowie z nią straciłem ostatecznie wiarę.

– Przekonała cię do tych swoich głupot? – przerwał mu John.

– Nie. Pokazała mi moje głupoty – odparł Marek. – A raczej dzięki rozmowie z nią zobaczyłem, w jakie bzdety wierzyłem. Przepraszam cię, mój angielski pozostawia wiele do życzenia...

– Nie, jest naprawdę niezły – zaoponował Szkot.

– To miłe, co mówisz, ale obaj wiemy, że jest inaczej – rzekł Marek. – Mój angielski jest taki sobie i to właśnie sprawiło, że straciłem wiarę. Wiem, brzmi to śmiesznie, ale tak było. Gdy ona opowiedziała mi już o tym, w co wierzy, o Wisznu, Sziwie i wszystkich tych innych dziwactwach, od których kręci się w głowie, poprosiła, bym streścił jej podstawy wiary katolickiej. Więc porzuciłem drwiący uśmieszek, którym kwitowałem jej brednie, i zacząłem tą łamaną angielszczyzną opowiadać o naszej wierze. I wiesz co? To było straszne! Nagle uświadomiłem sobie, że brzmi to równie idiotycznie jak te jej bajki. Bo posłuchaj: wierzymy w jednego Boga, ale on jest podzielony na Ojca, Syna i Ducha Świętego. Syn przyszedł na świat dwa tysiące lat temu, a urodziła go dziewica, która miała kontakt z Duchem Świętym, czyli jednym z tej Trójcy. Zresztą po śmierci matka Syna od razu poszła do nieba, bo – w odróżnieniu od innych ludzi – była bez grzechu. Syn został zabity, a przed śmiercią stracił wiarę w Ojca i w to, że jest Bogiem. Krzyczał, na co są świadkowie, że jego Ojciec go opuścił.

McClarkin zaczął się histerycznie śmiać.

– Masz rację, to nie brzmi sensownie – powiedział w końcu.

– Jeszcze lepiej było, gdy przeszedłem do Starego Testamentu. – Marek także się zaśmiał. – Te wszystkie potopy, słupy soli, ojcowie chcący zabić swych synów, bo ponoć tak kazał im Bóg, krzaki gorejące, zniesione z jakiejś góry przykazania na tablicach...

– Mark, przestań już! – John śmiał się głośno i szczerze. – To naprawdę brzmi jak bajki dla potłuczonych.

– Wiesz, gdy mówisz „zwiastowanie”, „poczęcie”, „nawiedzenie” i „zmartwychwstanie”, których to słów niedawno nauczyłem się po angielsku, jeszcze jakoś to brzmi – ciągnął Kastor. – Ale gdy z braku znajomości języka musisz zastąpić je takimi ekwiwalentami, jak „zapowiedź”, „stosunek seksualny”, „opętanie” czy „ożywienie trupa”, to nagle wyraźnie widzisz absurd tych opowieści. Jakby ktoś streszczał ci wiarę jakichś dzikusów. I właśnie czymś takim jest nasza wiara.

– Każda wiara?

– Tak. Przecież te wszystkie protestanckie sekty, które powstały w dziewiętnastym czy dwudziestym wieku, są jeszcze głupsze. Mormoni lub scjentolodzy bredzą już zupełnie, ale nie przeszkadza to milionom ludzi wierzyć w ich banialuki. Taka jest już ludzka natura, że pragnie wytłumaczenia wszystkiego, co się wokół dzieje, i lekarstwa na strach przed śmiercią. To zresztą główna rola każdej religii: wytłumaczyć absurdalność śmierci i zapewnić wiernym ukojenie. Jeśli będą dobrzy, będą przestrzegać reguł i składać ręce, uchronią się przed śmiercią, rzecz jasna tą wieczną. Potrzeba wiary w to, że śmierć to nie koniec, jest tak silna, że pozwala akceptować najbardziej kuriozalne teorie. Na przykład tę, że jak byłeś dobrą pszczołką, to w następnym życiu awansujesz na bąka, a potem psa i kota, by w końcu zostać człowiekiem. Pod warunkiem że byłeś dobrym bąkiem, psem i kotem, bo jak nie, to z bąka zdegradują cię do glisty. A bycie dobrą glistą, by na powrót stać się bąkiem, jest bardzo trudne.

Szkot znowu wybuchnął śmiechem.

– John, kurwa, nie śmieć się. Miliard ludzi w to wierzy – rzekł Marek, pozornie oburzony. – Ci cholerni hindusi naprawdę uważają, że to dobre wytłumaczenie naszej egzystencji. A dwa miliardy wierzą w to, że świat został stworzony przez jednego Boga, który faktycznie jest podzielony na trzech – starego, synalka i świętego wujka – i oni we trzech rządzą światem, choć synalek urodził się ledwie dwa tysiące lat temu, po tym jak święty wujek zapłodnił pewną Ziemiankę.

– Ale to znaczy – rzekł John, ocierając łzy – że ty jesteś po prostu ateistą.

– Raczej agnostykiem – powiedział Kastor. – Uważam, że ludzie nie mają i nie mogą mieć bladego pojęcia o tym, jak wygląda i działa stwórca świata. A jednak wszechświat istnieje i jest to jedyny dowód na istnienie czegoś, co moglibyśmy nazwać bogiem. Bo bez niego po prostu nie da się wytłumaczyć powstania tego wszystkiego, co nas otacza. Coś musiało być przed wszechświatem, gdyż jeśli powstał, to nie z niczego ani z pracząstki. Odwieczne istnienie pracząstki to totalny badziew. Podsumowując, wiem, a nie wierzę, że jakiś stwórca istnieje, ale ani ja, ani nikt inny nie ma pojęcia, jak naprawdę było i czego on od nas oczekuje.

– Mówiąc szczerze, nie bardzo wiem, czy mi się to podoba – odezwał się McClarkin. – Jeśli masz rację, że wiemy, iż nic nie wiemy, to może się okazać, że zabicie czterech tysięcy osób nie jest wcale przeszkodą w dostaniu się do raju, bo ten może istnieć, ale nie musi. I całą moją nadzieję, że znajdę się w piekle, nagle – nomen omen – diabli biorą.

– Tak może być. – Marek uśmiechnął się lekko. – Nasze wyobrażenia o tym, co jest po śmierci, na pewno są mylne. I to bez względu na to, czy uważamy, jak dżihadyci, że czekają tam na nas hurysy, czy jak katolicy, że będziemy sobie tam śpiewać hymny z aniołkami. Jedno tylko nie ulega wątpliwości: to nie będzie tak wyglądać, bo to nasze, prymitywne ludzkie wizje raju czy piekła.

– Więc nie ma chyba sensu zabijać się, by dostać coś, czego oczekujemy – rzekł Szkot. – Na przykład wieczne potępienie.

– Tak to widzę – powiedział Kastor. – Nie masz żadnej pewności, że czeka cię tam to, czego pragniesz. Zmienia to jakoś twoje plany?

– Nie bardzo, Mark – odparł John. – Prawdę mówiąc, brałem to pod uwagę. Muszę się więc zabić nie po to, by być pewnym, że trafię do piekła, którego istnienia nie sposób udowodnić, ale z czysto ludzkich powodów: bo nie mam ochoty żyć po tym, co zrobiłem, i brzydzę się sobą. To wszystko. Fajnie by było, gdyby jednak piekło istniało i gdybym do niego trafił, ale jak będzie tylko pustka i ostateczny koniec, to i tak dobrze.

– Bylebyś tylko, chłopie – Marek znowu się uśmiechnął – nie trafił na

arcymiłosiernego boga, który utuli cię i wybaczy całe zło, jakie wyrządziłeś.

– Nie strasz. – McClarkin docenił żart i też się uśmiechnął. – Chyba nie ma aż tak okrutnego boga. To byłoby skurwysyństwo.

– Z nimi nigdy nic nie wiadomo. Trzeba być przygotowanym na najgorsze. Popatrzyli na siebie. Marek wstał i uścisnął dłoń Johna.

– Idę. Miło było cię poznać i pogadać.

– Mnie też – odparł Szkot. – Trzymaj za mnie kciuki. Pojutrze będę już wiedział, jak jest.

– Pojutrze? – zdziwił się Marek.

– Tak, siedzę tu już trzeci miesiąc. Mój Murzynek chyba ma mnie dosyć. Czas się przekonać, jak jest naprawdę. Jeśli będzie taka możliwość, spróbuję dać ci znać.

– To uprzejme z twojej strony. – Marek uklonił się nieznacznie. – Tylko nie przychodź w nocy jako upiór. Załatw to elegancko. Nie znoszę tandety.

– Obiecuję – powiedział John. – Żegnaj, Mark.

– Żegnaj, John.

Marek wrócił do apartamentu i zamówił małą kolację. Obsługa przyniosła ją po niespełna półgodzinie. Zapadał zmierzch i nie bardzo wiedział, co zrobić z wieczorem. Było trochę za wcześnie na sen, z kolei wychodzić raz jeszcze po prostu mu się nie chciało.

Muszę w końcu odwiedzić ten klub nocny – pomyślał. – Może oferuje jakieś nieznane atrakcje? Ale na pewno nie dzisiaj.

Nie miał ochoty na jakąkolwiek aktywność. Nawet książki nie chciało mu się czytać. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie poprosić DeWaela o przyspieszenie wielkiego finału i nie zrobić tego już za dwa lub trzy dni. W końcu nie musiał wykorzystać całego zagwarantowanego pobytu w ośrodku. Wszystko już załatwił, a przez następne trzy tygodnie niczego dobrego się nie spodziewał.

– Za fajnie by miały te chuje z ubezpieczalni, które sypnęły kasą na mój pobyt tutaj – powiedział do siebie. – Wyżyłuję ich do ostatniego centa. Nigdzie mi się przecież nie spieszy.

W tym momencie wpadł na pomysł, by zaprosić Magdę. Aż się zdziwił, jaką mu to sprawiło radość. Podszedł do biurka, włączył komputer i otworzył zakładkę „asystentek socjalnych”, lecz z żalem stwierdził, że choć nadspodziewanie dużo jest wolnych, Magda obecnie jest „busy” i będzie dostępna dopiero nazajutrz o 10.00. Poczł coś dziwnego.

Pewnie jakiś staruch zakontraktował ją na całą noc – pomyślał. – I musi robić mu dobrze przez cały ten czas, tulić się do niego i śmiać z jego dowcipów.

Momentalnie rozzłościł się na dziewczynę i trochę na siebie.

– Co jest?! – rzucił prawie z gniewem. – Jestem zazdrosny o kurwę?! To jakiś absurd!

Szybko przejrzał profile dostępnych dziewczyn. Zdecydował się na Niemkę. Zabukował ją i został poinformowany, że Trudi „is coming”. Wziął prysznic i położył się na łóżku. Niemka przyszła po kwadransie. Była ładna, jak wszystkie niemal zresztą dziewczyny na portalu. Ustalili, że po prostu ją przeleci, bez żadnych gier wstępnych i dodatkowych atrakcji. W trakcie zorientował się, że jest dosyć brutalny – brał ją od tyłu, gdy Trudi nagle odwróciła głowę i poprosiła, by był delikatniejszy, bo inaczej zostaną jej siniaki na pośladkach. Przeprosił i przestał wymierzać jej klapsy, ale za to przyspieszył i wchodził w nią jeszcze brutalniej. Spuścił się po ledwie pięciu minutach.

Dziewczyna szybko się ubrała. Nawet nie chciała wziąć u niego prysznic, tylko spakowała swoje rzeczy, grzecznie się pożegnała i wyszła. Marek poszedł do łazienki, napuścił wody do wanny i wziął dłuższą kąpiel. Gdy wrócił do pokoju, była już dziesiąta. Zalogował się raz jeszcze w systemie „Great Final” i zobaczył, że następnego dnia organizowana jest wycieczka statkiem na wyspę Kunta Kinte. Przypomniał mu się amerykański serial *Korzenie* pokazujący losy Murzyna o tym samym nazwisku. Po wysłaniu zapytania dostał informację zwrotną, że wycieczka rozpoczyna się o 9.00 na przystani i że należy wziąć okulary przeciwsłoneczne, nakrycie głowy i krem z silnym filtrem.

Wyłączył komputer i położył się, ale nie mógł zasnąć. W końcu wstał, raz

jeszcze włączył komputer i ponownie zajrzał na profil Magdy. Nadal była „busy” aż do 10.00 rano następnego dnia.

– Kurwa! – rzucił i poszedł spać.

DZIEŃ DZIEWIĄTY

13 GRUDNIA

Po szybkim śniadaniu Marek stawił się przed dziewiątą na przystani, z której dwa dni wcześniej wyruszył „na ryby” z DeWaelem i Lelouche’em. Dziś jednak była tam przycumowana niewielka łódź na kilkanaście osób. Była ładna i zgrabna, lecz w niczym nie przypominała luksusowego jachtu dyrektora. Gdy zbliżał się do kei, zauważył, że na pokładzie jest już kilka osób, a kilka innych stoi na pomoście.

– Pan Kastor? – zapytała mniej więcej dwudziestopięcioletnia dziewczyna, zapewne przewodniczka.

– Tak – potwierdził.

– Witamy – odpowiedziała radośnie. – Proszę wchodzić na statek.

A więc to statek, nie żadna tam łódka – pomyślał Marek. – Idziemy w przesadę. Będziemy określać rzeczy małe terminami zarezerwowanymi dla wielkich. W porządku, niech będzie. Wyruszajmy zatem na wyprawę życia, w nieznaną i niebezpieczną. Ahoj, przygodo!

Okazało się, że wszyscy czekali już tylko na niego, więc „statek” niezwłocznie odcumował i zaczął się powoli kierować na otwarte morze. Na pokładzie było około dziesięciu osób, kilku członków załogi oraz przewodniczka.

– Szanowni państwo, mam na imię Olga i będę waszym przewodnikiem – rozpoczęła dziewczyna. – Najpierw popłyniemy około godziny wzdłuż brzegu, po czym wpłyniemy na rzekę Gambia, by przez kolejne dwie godziny walczyć z jej nurtem. Po dotarciu na miejsce zwiedzimy wioskę Kunta Kinte i znajdujące się w niej muzeum niewolnictwa, następnie zaś ponownie wsiądziemy na statek i udamy się na wyspę James, która obecnie nazywana

jest... kto zgadnie?

– Kunta Kinte! – Jakiś starszy Japończyk szybko zgłosił się do odpowiedzi.

– Brawo! – zawołała Olga. – Obecnie wyspa ta nazywana jest Kunta Kinte na cześć osoby, która nazywała się Kunta Kinte.

Marek pomyślał, że ta wyprawa to chyba jednak nie był dobry pomysł. Przypominała wszystkie fakultatywne wycieczki, które pamiętał z pobytów w różnych kurortach na świecie – entuzjastyczna i niemająca o niczym pojęcia przewodniczka, marudni i pełni pretensji uczestnicy. Już od ponad dziesięciu lat nie korzystał z takich atrakcji i teraz żałował, że powodowany impulsem, zapisał się na tę wyprawę.

– W drodze powrotnej na pokładzie serwowany będzie lunch – kontynuowała Olga. – Życzę państwu przyjemnych wrażeń. W wypadku jakichkolwiek pytań czy problemów proszę zwracać się do mnie.

Przewodniczka z całą mocą już na starcie uświadomiła Markowi, jak bardzo nie cierpi tego typu zorganizowanych imprez. Pół biedy, jeśli nie było na nich Polaków. Ale jeśli zorientował się, że na wycieczce jest jakiś rodak, a – nie daj Bóg – para lub grupka rodaków, wiedział, że ma dzień z głowy. Ci zawsze narzekali, zawsze dopytywali, czy coś jest za darmo czy też trzeba dodatkowo za to płacić, i zawsze porównywali wszystko do cen w kraju. Tu, na szczęście, nie było nikogo z Polski i miał nadzieję, że do końca jego pobytu w „Great Final” tak pozostanie.

– Aha – dodała nagle przewodniczka – czy wszyscy mają okulary przeciwsłoneczne, kapelusze lub czapki oraz kremy z silnym filtrem?

– Obawia się pani, że możemy dostać raka skóry? – zapytała na oko czterdziestoletnia kobieta o ładnych rysach.

– Proszę tego nie lekceważyć – odparła Olga. – Słońce w południe będzie bardzo ostre.

Przewodniczka, podobnie jak pozostali uczestnicy wycieczki, najwyraźniej nie dostrzegła kpiny zawartej w tym pytaniu. Tylko Marek uśmiechnął się do kobiety. Odwzajemniła uśmiech, po czym założyła okulary i zaczęła obserwować ocean.

Rzeczywiście, po godzinie wpłynęli w estuarium Gambii. Ale jakież było rozczarowanie Marka – myślał, że przez dwie godziny będzie podziwiał brzegi rzeki i wypatrywać zwierząt lub ludzi, tymczasem Gambia okazała się tak szeroka, że praktycznie niczego nie było widać. Olga zauważyła jego zdziwienie.

– Tak, rzeka ma u ujścia około dwudziestu kilometrów szerokości – oznajmiła. – Zresztą nie tylko tutaj. Prawie na całym dolnym biegu jest taka i jedynie gdzieś zwęża się do dwóch, trzech kilometrów. Właśnie w takim punkcie jest usytuowana wyspa Kunta Kinte i dlatego zbudowano na niej fort, którego załoga miała sprawdzać płynące z głębi kontynentu statki z niewolnikami. Centralne położenie wyspy i fortu pozwalało na pełną kontrolę handlu, bo nikt nie mógł się tam przemknąć niezauważony. To było strategiczne miejsce.

Może ona jednak wcale nie jest taka głupia? – pomyślał Kastor. – I może to wcale nie będzie stracony dzień?

Niemniej przed nim były dwie godziny nudy. Statek płynął środkiem rzeki i nie sposób było cokolwiek zobaczyć, Marek nasunął więc na oczy słomkowy kapelusz i udawał, że śpi. Większość pasażerów postąpiła podobnie i jedynie dwie starsze pary rozmawiały o czymś żywo po hiszpańsku. Marek nic nie rozumiał, ale z czasem melodia języka zaczęła go usypiać. Zdrzemnął się.

Była prawie dwunasta, gdy przewodniczka radosnym głosem oznajmiła, że zbliżają się do wioski Kunta Kinte, i poprosiła wszystkich, by przygotowali się do zejścia na ląd. Uczestnikom wycieczki udzielił się jej nastrój i, podekscytowani, zaczęli krzątać się, jakby mieli zaraz odkryć dziewicze tereny amazońskiej dżungli.

Na brzegu czekali już na nich mieszkańcy wioski. Dzieci zaczęły śpiewać rytmiczną piosenkę, która mogła być tradycyjną pieśnią Gambijczyków, ale równie dobrze bezsensownym zlepkiem słów i dźwięków, którego jedynym celem było skłonienie turystów do przekazania datków. Starsi wieśniacy z kolei usiłowali sprzedawać rozmaite wyroby; ich cena spadała z każdą ofertą o pięćdziesiąt procent, tak że szósta propozycja była już tylko ułamkiem wyjściowej kwoty.

Marek nie zamierzał słuchać śpiewających dzieci, nie chciał też, by nagabywali go starsi. Postanowił od razu dać dzieciakom bakszysz i kupić jakiś gadżet od dorosłego, byleby tylko wszyscy się od niego odpiardolili. Ale kiedy chciał sięgnąć do kieszeni po drobne, przypomniał sobie, że – tak jak pozostali – nie ma przecież pieniędzy. Spojrzał na Olgę. Ta podeszła do starszej Murzynki i coś jej powiedziała na ucho. Chwilę później muzyka nagle ucichła, a sprzedawcy pamiątek się ulotnili. Wyglądało to tak, jakby przestraszyli się czegoś i uciekali przerażeni.

Marek podszedł do przewodniczki.

– Boją się nas, prawda? – zapytał.

Olga popatrzyła na niego niepewnie. Nie wiedziała chyba, czy może powiedzieć mu prawdę, ale szybko zrozumiała, że nie ma sensu udawać przed nim idiotki.

– Tak. Uważają was za coś w rodzaju wampirów – odparła. – Przyżywamy tu raz na kilka tygodni i oni nigdy nie wiedzą, czy to zwyczajni turyści, czy goście naszego ośrodka. Gdy orientują się, że to wy, zamykają się w chatach, żebyście nie rzucili na nich czarów czy klątwy. Mówiąc szczerze, nie lubią waszych wizyt. Po pierwsze, boją się was, a po drugie, wiedzą, że tego dnia nikt inny tu nie przybędzie. Taki mamy układ z biurami turystycznymi. Płacimy im za to, żeby w takie dni jak ten nikogo tu nie przysyłały. Macie mieć komfort braku kontaktu z obcymi ludźmi.

Marek podziękował jej za wyjaśnienia i za szczerść. To jednak nie była głupia dziewczyna. Niemniej uważała chyba, że uczestnicy każdej wycieczki oczekują od przewodnika, iż będzie radosny jak idiota i wciąż uśmiechnięty, i dlatego zachowywała się tak, jak się zachowywała.

Olga zachęciła grupę, by poszła za nią. Ruszyli do oddalonego o kilkaset metrów muzeum niewolnictwa. Wokół nie było już nikogo prócz starej kobiety, która – o dziwo – towarzyszyła im cały czas. Musiała być szamanką albo starszą wioski i najwyraźniej brała na siebie obowiązek przebywania z upiorami, by chronić swoich ludzi przed ich klątwą.

Muzeum mieściło się w niewielkim, pomalowanym na biało budynku. Kilka osób zaczęło sobie robić zdjęcia przed wejściem.

Zdjęcia? – pomyślał Marek. – Po kiego im zdjęcia? Kiedy będą je oglądać, skoro ich czas zaraz się skończy? To jakaś behawioralna, wdrukowana potrzeba uczyniła z ludzi podstawki do aparatów fotograficznych. Zamiast przeżywać otaczający ich świat, rejestrują go, by przeżywać go potem, w domu, wśród znajomych. I to po kilka razy. Widać wolą takie wtórne emocje od pierwotnych, przedkładają świat oglądany nad przeżywany. Cholernie to w sumie smutne, zwłaszcza gdy za kilka tygodni ma się z tego świata odejść.

Przy drzwiach muzeum siedział smutny Murzyn. Nawet na nich nie patrzył – widocznie także się ich bał, ale obowiązek kazał mu trwać na posterunku.

Trwać na posterunku – pomyślał Marek zgryźliwie. – Takie trwanie, jaki posterunek. Skąd mi się biorą te sformułowania? Wciąż myślę schematami i związkami frazeologicznymi, które nie mają nic wspólnego z tym, co mnie otacza. Nawet pod koniec życia nie potrafię myśleć samodzielnie i oryginalnie. A może zwłaszcza pod koniec życia? Może na samodzielność i oryginalność można się zdobyć tylko w młodości, gdy jeszcze nie przesiąkliśmy tymi wszystkimi schematami myślowymi? Może z każdym rokiem coraz trudniej wyplątać się z tego, co oferuje nam język, a właściwie, co nam nakazuje?

Cała grupa powoli weszła do muzeum. Nie było ani nowoczesne, ani nowatorskie – na ścianach jakieś ryciny, w gablotach eksponaty. Nic z tych multimedialnych, ultranowoczesnych placówek, do których Marek przyzwyczał się, zwiedzając świat. Tutaj królowały dosłowność i konkret. W pierwszej gablocie zobaczył „whip” – bat używany przez właścicieli niewolników do wymuszania posłuszeństwa. Przypomniał sobie, że dokładnie tak określa się w brytyjskim parlamencie osobę odpowiedzialną za dyscyplinę w klubie poselskim. Wiedział o tym, bo w Brukseli zasiadał w jednej grupie z torysami i tak właśnie nazywano w niej brytyjskiego europoła, który miał dbać o to, by deputowani głosowali zgodnie z nakazami partii.

– Brytyjczycy mają jednak poczucie humoru – powiedział po angielsku. –

Określać rzecznika dyscypliny partyjnej słowem „bat”, podczas gdy kiedyś przedmiot ten służył do bicia niewolników. To trzeba mieć dystans do siebie i do własnej historii! Zupełnie jakby Niemcy nazywali dziś grupowe zwolnienia holocaustem.

Nikt nie zareagował na jego słowa. Nie obeszło go to – i tak miał gdzieś to, czy wśród uczestników wyjazdu są Anglicy lub Niemcy. Zwiedzający rozproszyli się po muzeum i Marek został sam w jednej z sal. Na ścianach prezentowane były narzędzia tortur. Jak zapewniały napisy, eksponaty były oryginalne. Paradoksalnie jednak najbardziej zszokowały go mapy i dokumenty, z których wynikało, że w ciągu dwustu lat Europejczycy i Amerykanie wywieźli z Afryki kilkanaście milionów ludzi. Kilkanaście milionów łapanych jak zwierzęta, traktowanych jak zwierzęta i zabijanych jak zwierzęta ludzi. Nikt się z nimi nie patyczkował – byli gwałceni, torturowani, zmuszani do ciężkiej pracy, oddzielani od rodzin, wreszcie mordowani. Zresztą dłuższy czas toczono teologiczny spór o to, czy w ogóle mają duszę. Ostatecznie Kościół zgodził się z tą ryzykowną tezą, ale – zdaje się – nie zakorzeniła się ona wśród handlarzy niewolników oraz ich właścicieli. Nadal w najlepszym razie traktowano Murzynów na równi ze zwierzętami domowymi.

Marek nie mógł już dłużej tego oglądać i wyszedł przed budynek. Na zewnątrz wciąż siedział strażnik. Stała tam też kobieta, która wcześniej ironizowała na temat raka skóry. Palila papierosa.

– To był holocaust – powiedziała, nie patrząc na Marka.

Kastor nie był pewien, czy słowa zostały skierowane do niego, ale odparł:

– Tak, to był holocaust.

Kobieta rzuciła papierosa na ziemię i zgasiła butem.

– Powiedz przewodniczce, że poszłam na przystań i że będę czekać na statku – rzuciła, nawet się nie oglądając, i ruszyła ku rzece.

Marek poczekał, aż wszyscy wyszli z muzeum. Część ludzi długo robiła zdjęcia i pozowała na tle gablot. Olga zadbała o to, by każdy chętny mógł sobie pstryknąć fotkę w kajdanach na nogi i specjalnej metalowej obroży na

szyję.

Po chwili jednak cała grupa ruszyła do przystani. Marek przekazał Oldze, że jedna z kobiet już tam poszła i że czeka na statku. Kilka minut później wszyscy byli na pokładzie.

– A teraz – oznajmiła przewodniczka – udajemy się na wyspę James, zwaną obecnie Kunta Kinte. Kunta Kinte, którego być może znają państwo z popularnego serialu telewizyjnego, był postacią autentyczną. Urodził się w wiosce, którą zwiedziliśmy, i był przetrzymywany na wyspie, na którą płyniemy. Kiedyś wyspa ta była ufortyfikowana i znajdował się na niej punkt przeładunkowy ludzi wysyłanych do Europy i Ameryki. Wyspa pozwalała także kontrolować transport, który odbywał się na rzece. Co dwa, trzy tygodnie przyływały tu statki i zabierały zgromadzonych w forcie niewolników. Mogło ich w nim przebywać naraz kilkuset. Byli przetrzymywani w niewielkich celach w podziemiach. Na miejscu, z braku wody i jedzenia, umierało około pięciu procent z nich. Część ginęła też z rąk innych niewolników oraz w wyniku tortur i okrutnych zabaw straży.

Niektórzy uczestnicy wycieczki słuchali Olgi z uwagą, ale większość oglądała wyspę i robiła sobie zdjęcia na jej tle. Była piękna pogoda i fotki musiały wyglądać naprawdę dobrze. Po kilkunastu minutach dotarli do brzegu i zeszli na pomost.

– Proszę państwa – odezwała się przewodniczka – chyba nie ma sensu, żebyśmy chodzili tu razem, bo wyspa jest mała. To, co państwo muszą wiedzieć, już powiedziałam. Dodam jeszcze tylko, że obecnie fort jest w ruinie i zachowały się jedynie dwie cele, w których trzymano niewolników. W każdej z nich znajdowało się zazwyczaj około stu ludzi. Ci, którzy byli najdalej od jedyne go okna, dusili się, reszta stała po kostki w ekskrementach. Od czasu do czasu ludziom tym dostarczano wodę i jedzenie, które zresztą były przywłaszczane przez tych najsilniejszych, stojących przy drzwiach i oknie.

– A dlaczego drzewa są tu takie białe i martwe? – zapytała jedna z kobiet.

– To przez ptasie odchody – odparła Olga. – Nie pamiętam angielskiej nazwy tych ptaków, ale one tu żerują, a ich odchody zabijają drzewa. Jednak

gdy na wyspie byli niewolnicy, tak to nie wyglądało.

Rzeczywiście, drzewa były prawie całkiem białe i pozbawione liści. Wraz z ruinami fortu dopełniały ponurego obrazu wyspy.

Marek czuł się coraz gorzej. Szybko odłączył się od grupy i zaczął błąkać wśród pozostałości budynków. W pewnym momencie zauważył jedną z cel, o których mówiła Olga, i wszedł do niej przez pozbawiony drzwi otwór w murze. Na początku nic nie widział – wejście ze słońca do tej nory prawie go oślepiło – lecz wkrótce oczy przyzwyczyły się do półmroku i wreszcie mógł obejrzeć celę. Miała nie więcej niż pięć na pięć metrów. Z trudem mógł sobie wyobrazić, by zmieściło się tu trzydziestu ludzi, a co dopiero stu. Musiał w niej panować niewiarygodny ścisk, a najsłabsi i stojący najdalej od jedynego okna mdleli i osuwali się w pokrywające podłogę odchody, by w nich umrzeć.

– Horror – wyszeptał. – Horror.

Nie był w stanie tam dłużej zostać. Czuł, że robi mu się gorąco i że zaraz zemdleje. Prawie wybiegł na zewnątrz. W pobliżu nie było nikogo, jedynie po prawej, przy brzegu, para Japończyków robiła sobie zdjęcia na tle martwych drzew. Marek nie mógł przestać myśleć o tym, co jeszcze nie tak dawno się tu działo. O tym, że gwałcono tu dla zabawy kobiety, że mordowano mężczyzn, że drwiono z ludzkiego cierpienia. I o tym, że robili to chrześcijanie, dobrzy mężowie i ojcowie, którzy po powrocie z Afryki brali na kolana swoje pociechy, w niedzielę szli do kościoła, a w Wigilię śpiewali kolędy.

Stał bezradnie pośród ruin. Podeszła do niego Olga.

– Przeróżające, prawda? – bardziej stwierdziła, niż spytała. – Pamiętam, jak byłam tu pierwszy raz. Przeżyłam szok. Najbardziej wstrząsnęła mną informacja, że cena za kobietę w ciąży była podwójna, bo transportowało się do Europy lub Ameryki jedną sztukę, a na miejscu otrzymywało dwie.

Marek nie patrzył na nią. Osunął się na kolana i zaczął płakać. Ostatni raz zdarzyło mu się to po śmierci Małej, ale wcześniej, pomijając odejście matki, właściwie nigdy nie płakał. Tymczasem tu nie mógł się opanować. Łzy ciekły mu po policzkach, a ciałem wstrząsał szloch. Nie wiedząc, jak się zachować,

Olga pospiesznie odeszła.

Po kilku minutach wreszcie się uspokoił, otarł łzy i wstał. Nagle poczuł, że ktoś mu się przygląda – po lewej stała kobieta, z którą rozmawiał przed muzeum. Popatrzył na nią chwilę, a potem odwrócił się i ruszył w stronę pomostu, przy którym zacumowany był statek. Wszyscy byli już na pokładzie – najwyraźniej czekali tylko na nich. Usiadł na rufie, a wkrótce po trapie weszła także obserwująca go wcześniej kobieta. Statek wrócił na rzekę.

Większość uczestników wycieczki rozmawiała ze sobą, a Japończycy przeglądali zdjęcia w aparacie. W pewnym momencie od grupki Hiszpanów odłączył się mniej więcej sześćdziesięcioletni, opalony i brzuchaty mężczyzna. Zaczął coś radośnie krzyczeć do swoich towarzyszy, najwidoczniej chcąc, by zrobili mu ostatnie zdjęcie na tle wyspy. Jedna z kobiet podeszła do niego, a on naprężył mięśnie, tak jak robili to zapaśnicy w starych filmach, i uśmiechnął się szeroko. Kobieta przykucnęła, by zrobić mu fotkę.

Marek podniósł się i zmiierzając w kierunku pozującego mężczyzny, odsunął gwałtownym ruchem fotografującą go kobietę. Hiszpan wciąż szeroko się uśmiechał. Kastor kopnął go z całej siły w splot słoneczny i posłał za burzę.

Kobieta z aparatem wrzasnęła przeraźliwie. Wszyscy na pokładzie spojrzeli na nią, a zaraz potem na miotającego się w wodzie mężczyznę. Olga krzyknęła coś do kapitana, ten zaś do stojących obok niego członków załogi. Jeden z nich natychmiast skoczył do rzeki, a drugi rzucił za nim koło ratunkowe. Statek gwałtownie zwolnił, zrobił zwrot i podpłynął do marynarza, który trzymał koło ratunkowe i zamroczonego Hiszpana.

Pozostali członkowie załogi ciągnęli linkę przymocowaną do koła, metr po metrze holując obu mężczyzn. Gdy ci byli już prawie przy burcie, Marek, który do tej pory biernie się temu przyglądał, chwycił stojącą na stole butelkę coca-coli, podbiegł do relingu i dwukrotnie uderzył w głowę pozostającego w wodzie Hiszpana. Dwóch marynarzy rzuciło się na Marka, ale zdołał ich odepchnąć. Już miał uderzyć kolejny raz, gdy usłyszał kobietę, która obserwowała go na wyspie.

– Przestań! – wrzasnęła. – Dostyć!

Popatrzył na nią, wyprostował się i cisnąwszy butelkę do wody, opadł na siedzenie.

Marynarze wyciągnęli krwawiącego mężczyznę na pokład. Jęczał i trzymał się za głowę. Olga szybko do niego podbiegła i zaczęła opatrywać. Reszta pasażerów siedziała tymczasem na swoich miejscach jak sparaliżowana. Jedynie kobieta robiąca wcześniej zdjęcia Hiszpanowi uklękła przy nim i pomagała Oldze go bandażować.

Statek ruszył ponownie ku ujściu rzeki. Na pokładzie jakiś czas panowała konsternacja, ale potem przewodniczka zapowiedziała lunch, a załoga przygotowała stół i zaczęła przynosić dania. Uczestnicy wyprawy udawali, że nic się nie stało, i odbierali napoje i zakąski od kelnera. Marek zostawił ich, usiadł na dziobie i spędził tam samotnie kolejne trzy godziny.

Zmierzchało już, gdy wrócili do ośrodka. Marek pierwszy zszedł na pomost i nie oglądając się, ruszył do apartamentu. Miał nadzieję, że żadnego z tych ludzi już więcej nie spotka.

W pokoju zadzwonił do recepcji i zamówił dwie tabletki nasenne, po czym wziął długą kąpiel. Gdy wyszedł z łazienki, zobaczył wsuniętą pod drzwi kopertę z lekiem. Połknął tabletki i popił je wodą mineralną.

Położył się na wznak na łóżku i zamknął oczy. Wciąż widział tę małą celę na sto osób i rodzącą w niej Murzynkę. Nie mógł zapanować nad tym, co zaczęła mu podsuwać wyobraźnia. Widział, jak z pochwy kobiety, zamiast dziecka, wyłania się krwawy kał i jak, widząc to, Murzynka zaczyna wyc. Towarzyszył temu jednak śmiech kogoś z boku. Tym kimś był on sam.

DZIEŃ DZIESIĄTY

14 GRUDNIA

Było już grubo po południu, gdy Marek wreszcie się obudził. Nie wiedział, czy to skutek ogólnego zmęczenia, niechęci do życia czy wrażeń z ubiegłej doby.

A może po prostu przesadziłem z tabletkami? – pomyślał.

Prawdą jednak było, że dopadł go nastrój towarzyszący mu w ostatnich tygodniach przed przyjazdem do „Great Final”. Nie miał ochoty kontaktować się z kimkolwiek i czuł do wszystkich na przemian pogardę i nienawiść. Wydarzenia poprzedniego dnia utwierdziły go w jego ocenie rodzaju ludzkiego – nie tylko to, co wyobrażał sobie na temat życia na wyspie James przed kilkuset laty, ale również zachowanie uczestników wycieczki ze szczególnym uwzględnieniem Hiszpana, którego kopem w tłusty brzuch posłał do wody.

Nie mógł znieść tego, czym jest ludzkość, i nie tolerował ludzi pławiących się w cierpieniu innych lub tego cierpienia niezauważających. Tak, ludzkość dzieliła się na trzy grupy: na tych, którzy zadawali cierpienia, na tych, którzy ich doznawali, i na tych, którzy udawali, że tego wszystkiego nie widzą. Ta ostatnia grupa zresztą była najliczniejsza i najbardziej odpychająca. Sam do niej należał, i to przez wiele lat, a kiedy to zrozumiał, znienawidził siebie. Wiedział doskonale, że inaczej nie da się żyć – nie można brać na siebie wrzasku i płaczu całego świata, bo to ponad ludzkie siły. Sam Bóg nie wytrzymałby tego krzyku, tych jęków, tego płaczu. Przecież w każdej sekundzie ktoś jest zabijany, gwałcony, bity, okradany, poniżany. A jeszcze trzeba dodać do tego nie mniej przerażające cierpienia zwierząt. Kto słyszał skomlącego z bólu psa czy piszczącego kota, nie może tego zapomnieć. Gdy

do wycia ludzi dodać skomlenie zwierząt, Ziemia musi się wydać jedną wielką salą tortur. Musi się wydać piekłem.

Marek chciał odejść z tego piekła. Miał nadzieję, że po nim nie ma już nic, że zapadnie błoga cisza, całkowita ciemność. Ale nawet gdyby się okazało, że jednak coś tam jest, coś na wzór piekła, to – jak żartował z Becią – i tak byłoby to lepsze niż ten ziemski horror. Bo miałoby sens.

– Rozumiesz mnie? – mówił do niej. – Nawet jeśli po śmierci okaże się, że tacy jak ja idą na wieczność do piekła i cierpią tam niewysłowione męki, to taki świat będzie lepszy niż to, co nas otacza. Dlaczego? Bo będzie miał jakiś sens i uzasadnienie. Byłeś mordercą? Będziesz się topił we wrzącej smole. Kradłeś? Diobły będą cię kłuły widłami. Cudzołożyłeś? W takim razie, bratku, każdego dnia wbijać ci będziemy rozgrzany pręt w dupę. I takie coś rozumiem, to ma jakiś sens. W przeciwieństwie do tego, kochanie, co jest tu i teraz. Bo tu i teraz dzieją się te same straszne rzeczy, tylko że bez jakiegokolwiek przyczyny i sensu. Dzieci są gwałcone dla zabawy zbrojnych. Starcy są porzucani przez swych synów i córki. Kobiety sprzedaje się w niewolę, a mężczyźni porywa dla narządów. Dodaj do tego katastrofy, wypadki i choroby. Nasza planeta wyje i tylko głupcy i głusi nie słyszą tego wycia. A że ludzkość od zawsze była głupia i głucha, żyje sobie w najlepsze. Jednak ja to słyszę i nie mogę już dłużej znieść. Życie w tej sali tortur jest nie do wytrzymania.

– Ale masz mnie – przerwała mu wtedy Becia. – I będziesz miał jego. – Położyła dłoń Marka na swoim brzuchu.

– Masz rację – powiedział. – Wiem, że będę musiał tu zostać i udawać, że nie słyszę tego wycia. Zagłuszyć je.

Teraz leżał w apartamencie i te wspomnienia wracały. Nie miał zamiaru nigdzie wychodzić.

Być może – pomyślał – poleżę tu aż do końca pobytu?

Minęły dwie godziny, nim poczuł głód. Nie chciał opuszczać pokoju i oglądać kogokolwiek, więc zamówił sushi. Pół godziny później ktoś zapukał do drzwi. Poleciał, by zostawiono jedzenie na korytarzu, a gdy kroki ucichły, wyszedł, podniósł tacę z jedzeniem, wrócił do pokoju, po czym z barku

wyciągnął piwo.

Zjadł i znowu się położył. Chciał zasnąć, ale nie było na to szans – był wypoczęty i stan jego ciała nie współgrał z nastrojem duszy.

Duszy? – pomyślał drwiąco. – Na pewno...

Tak czy owak, o śnie nie było mowy. Mógł co najwyżej ponownie wziąć tabletkę, ale na to nie miał ochoty – szkoda mu było reszty dnia i następnej nocy. Zaśmiał się z tego pragnienia uratowania kilkunastu godzin. Przecież zmarnował ich w życiu tyle, że akurat te kilkanaście kolejnych nie powinno go specjalnie martwić. A jednak. Może im bliżej końca, tym tygodnie, dni i godziny stają się cenniejsze? Bo rozumiemy wreszcie, że nie są niewyczerpane? Gdy się jest młodym, wydaje się, że człowiek jest nieśmiertelny, że ginąć i umierać z przyczyn naturalnych mogą inni, ale nie my. Dlatego właśnie najodważniejsi są młodzi żołnierze – nie wierzą, że mogą paść od kuli. To idealni rekruci, pozbawieni strachu. Nie tacy jak Marek. Gdyby dziś jego ukochana Polska zmusiła go do służby wojskowej, zadekowałby się w jakimś sztabie czy kuchni albo zdezerterował. Na pewno nie szedłby w pierwszym szeregu i nie krzyczał gromko „Urrraaa!”. Na to był za stary i za mądry. Poza tym nie chciał ginąć za ideę. Za jakiegoś człowieka mógł umrzeć. Nawet za jakieś zwierzę. Ale nie za Polskę. Ratowanie psa na krze, nawet z narażeniem życia, ma sens. Ratowanie Polski przed Niemcami czy Rosją nie miało dla niego żadnego sensu.

Wstał z łóżka i ze schowanej w szafie torby wyciągnął kilka książek. Wybrał Hrabala. On zawsze go ratował w takich chwilach, choć Marek wiedział, że to oszust i że zbytnio upoetyczniał świat. Ale tylko dzięki temu dawało się ten świat znieść. Sam Hrabal znosił go bardzo długo, lecz w końcu nawet on nie wytrzymał i skoczył ze szpitalnego okna. Nawet jemu świat wydał się zbyt okrutny. Bo piękny i wspaniały może być jedynie dla cymbałów i zadowolonych z siebie dupków, tych żyjących w dostatku i odwracających głowę, gdy tylko zauważą coś, co zakłóca jego harmonię. Pomyślał, że Hrabal był głębszy, niż wydawało się to jego polskim fanom. Rżeli i wzruszali się nieistotnymi błahostkami, nie zaś tym, co u niego najważniejsze.

Otworzył na chybił trafił *Zbyt głośną samotność* i zaczął czytać, lecz po godzinie zrezygnował. Z zadowoleniem stwierdził, że za oknami zaczyna się robić ciemno – było już po dziewiętnastej. Zamówił pastę i butelkę czerwonego wina. Gdy kelner przyniósł posiłek, włączył telewizor. Kanały informacyjne już dawno przestały go interesować, wybrał więc sport. Oglądał przez kilka kwadransów mecz krykieta, którego reguł zupełnie nie rozumiał.

Umrę, nie poznawszy przepisów tej debilnej gry – zaśmiał się w duchu. – Zresztą może to i dobrze. Wszak jest dla dżentelmenów, a jak ktoś się urodził nad Wisłą i wyrósł na ziemniakach, to nie ma prawa być dżentelmenem. Kartofle nie pasują do fraka.

Po pewnym czasie przerzucił się na kanały muzyczne – tu murzyńskie osiłki prezentowały swą jurność na tle wijących się modelek. Po jego śmierci świat będzie taki sam, jaki był przed jego urodzeniem. Ostatecznie nic się nie zmienia: masywne byczki chcą młodych jałówek oraz paszy – ot, cała tajemnica rodzaju ludzkiego. Wszystko ponad to jest wyjątkiem, który nie zmienia niczego w ogólnym obrazie rzeczywistości. Zmienia się wygląd byczków i jałówek, zmienia rodzaj paszy, ale reguły są te same. A na końcu i tak na ludzi czeka wielki rzeźnik, którego nikt nie widział, ale – o czym wszyscy wiedzą – istnieje.

Spojrzał na zegarek – była już dwudziesta druga. Powoli mógł uznać, że dzień się kończy i że nie będzie niczego nieprzyzwoitego w tym, iż weźmie kąpiel i pójdzie spać. Tak też zrobił. Ponad pół godziny siedział w wannie, a potem poszedł do łóżka. Zgasił światło i miał nadzieję, że sen przyjdzie szybko. Trochę się jednak męczył i przewracał z boku na bok, nim ostatecznie po północy zasnął.

DZIEŃ JEDENASTY

15 GRUDNIA

Obudził się przed siódmą rano. Był wyspany i wypoczęty. Nie za bardzo miał co prawda na to ochotę, ale zmusił się, by pobiegać po plaży.

Dawni medycy mieli jednak rację – pomyślał. – Ruch jest najlepszy na depresję.

Bo w końcu mógł mieć depresję. Zwyczajną, wyleczalną depresję, a nie jakieś metafizyczne stany braku akceptacji świata. Kilka leków, parę spotkań ze specjalistą i byłby znów radosnym członkiem ludzkiej zbiorowości. Jego organizm był przecież tylko chemiczną maszyną, nie mógł zawierać niematerialnych elementów. Jeśli zatem buntowało się ciało, a przejawem tego buntu były jakieś stany mózgu, należało je leczyć, korzystając z osiągnięć medycyny – za pomocą właściwych środków, nie śmierci.

Już kiedyś złapał się na tej niekonsekwencji: jeśli nie ma duszy i nic ponadnaturalnego nie czeka go ani tu, ani tam, to dlaczego nie chciał sobie pomóc, idąc do neurologa czy – a niech tam – psychiatry? Mógł powiedzieć mu, co go dręczy i dlaczego mierzi go ludzka egzystencja. Lekarz zapewne znalazłby na to odpowiedni lek – coś w tabletkach lub zastrzyku. Przecież jeśli nie ma niczego ponad to, co widać, najlepszym sposobem radzenia sobie z takimi uczuciami, lękami i myślami jest coś równie prostego jak natura. Jeśli Boga nie ma, to nie dusza cię boli, człowieku, ale nadnercza czegoś nie dostarczają lub jakiejś substancji w mózgu brakuje. Daj sobie coś wstrzyknąć i będzie po sprawie.

A jednak Marek tego nie chciał. Hołubił w sobie przekonanie o materialistycznej strukturze świata, lecz własnym niepokojom nadawał status nieomal metafizyczny. Zupełnie jakby uważał, że owszem, Boga nie

ma, ale jego dusza istnieje i nic do niej psychologom czy innym znachorom. Ani, co oczywiste, księżom. Upierał się, że jego niezgoda na świat, ból i nienawiść są czymś więcej niż mniemaniami i stanami zbioru komórek, jakim wszak jest człowiek.

Po co przejmować się tym wszystkim, jeśli nasze życie jest naprawdę tylko krótkim, nieistotnym epizodem w historii bezdusznego materialistycznego świata? Po co martwić się o jego sens? Po co poświęcać uwagę innym, zwłaszcza tym, którzy cierpią i giną w męczarniach? Skoro świat nie ma nad sobą sankcji moralnej, a o tym był przekonany, dlaczego chciał mu taką nadawać i pochylać się nad śmiercią człowieka w większym stopniu niż nad śmiercią muchy czy pchły? Nie rozumiał tego nigdy i choć wiele razy zadawał sobie te pytania, nie znajdował sensownych odpowiedzi. Wiedział jednak, że nie chce dłużej być na tym świecie, nawet jeśli nie rozumiał, co go z niego wygania.

Włożył tylko sportowe buty i spodenki, postanowiwszy pobiegać tego dnia bez koszulki. Ruszył szybkim krokiem w stronę plaży, rozgrzewając stawy, a gdy znalazł się nad oceanem, zaczął biec wzdłuż brzegu. Powietrze nie było jeszcze gorące i ruch sprawiał mu radość. Jak zwykle dobiegł do siatki, pozdrowił strażnika i zawrócił. Był sam. Stwierdził, że skróci sobie drogę do tej części „Great Final”, w której mieszkał, i przebiegł przez krzaki sąsiadujące z płotem okalającym cały teren. Już miał skręcić do siebie, gdy nagle dostrzegł za siatką coś kolorowego. Od ogólnej szarości i brązu za elektrycznym ogrodzeniem odróżniał się jakiś czerwony przedmiot. Marek przyjrzał się mu uważnie. Z przerażeniem stwierdził, że ledwie kilka metrów od niego leży człowiek. Widział zarys ciała, choć pozbawione było prawej ręki, a korpus był zmasakrowany. Tak, na pewno był to człowiek, najwyraźniej rozszarpany przez dzikie zwierzęta.

Natychmiast podbiegł do jednego z żółtych telefonów, które rozmieszczone były na terenie ośrodka. Wybrał zero, połączył się z recepcją, poinformował zbaraniałą dziewczynę o tym, co zobaczył, i powiedział, gdzie się znajduje.

Po ledwie pięciu minutach dostrzegł po drugiej stronie siatki zbliżającego

się od budynku dyrekcji jeepa ze strażnikami. Na fotelu obok kierowcy siedział DeWael. Terenówka podjechała do leżącego człowieka. Czterech ochroniarzy wyskoczyło z auta – dwóch ustawiło się z bronią gotową do strzału twarzą w kierunku dżungli, a dwóch wraz z dyrektorem podeszło do ciała. Podnieśli je. Głowa mężczyzny odchyliła się i Marek zobaczył jego twarz. To był Jorge, Katalończyk, z którym rozmawiał ledwie kilka dni wcześniej! Choć umazany był krwią i pokiereszowany, Marek nie miał najmniejszych wątpliwości.

Strażnicy powoli przenieśli zwłoki do samochodu. DeWael wrócił na swoje miejsce, a kierowca zrobił kółko i popędził w stronę recepcji.

Kastor stał jakiś czas oszołomiony. W końcu jednak wrócił do apartamentu, wziął prysznic i poszedł na śniadanie. Być może nie był zdruzgotany, ale wciąż się zastanawiał, co Jorge Eskeriba robił za ogrodzeniem, jak się tam dostał, no i przede wszystkim, dlaczego naraził się na takie niebezpieczeństwo. Postanowił jak najszybciej zadzwonić do Patricka.

Asystentka przekazała mu, że w tej chwili dyrektor jest bardzo zajęty, ale zaprasza go na szesnastą. Marek potwierdził wizytę. Pozostały czas postanowił spędzić nad wodą. Było dosyć pochmurnie, więc tym bardziej perspektywa odpoczynku na plaży wydawała mu się atrakcyjna – nigdy nie lubił upałów.

Dwa razy wszedł do wody, by trochę się ochłodzić i popływać. Ocean był spokojny, fale prawie tak małe jak na Bałtyku. Bardzo lubił polskie plaże i morze. Kiedyś wierzył nawet, że te plaże są najpiękniejsze na świecie. Dopiero gdy zaczął podróżować, zrozumiał, że to taki sam mit jak to, że Polki są najśliczniejszymi kobietami. Bałtyckie plaże były ładne, ale naprawdę daleko im było do brazylijskich czy afrykańskich. No i morze... Nie pamiętał, kiedy ostatni raz pływał w Bałtyku – pewnie gdy miał dwadzieścia lat. Woda zawsze była w nim brudna i zimna. Dopóki nie poznało się choćby Adriatyku, można było uważać, że tak właśnie ma być, ale prawda była taka, że Bałtyk to syfiaste, lodowate jezioro.

Dlaczego więc tak lubił nad niego jeździć? Po co pchał się tam każdego

lata przynajmniej na jeden weekend? Robił to chyba dlatego, że te wydmy, piasek i sosnowy las przypominały mu dzieciństwo, czas beztroski i zabawy. Oczywiście to gównie prawda, że miał szczęśliwe dzieciństwo – przez ojca pijaka pierwsze lata życia Marka były jedną wielką traumą. Ale przecież nie pamiętamy tego, co naprawdę się wydarzyło, tylko to, co nasz mózg wyprodukował ze strzępków, które się w nim zagnieździły. Nasza przeszłość się wydarzyła, ale nie ma nic wspólnego z tym, co z niej pamiętamy. To, co bierzemy za naszą przeszłość, to projekcja, kolaż wspomnień, kalejdoskop wrażeń. Nieprawdziwy film luźno jedynie oparty na faktach. Wydarzenia niby miały miejsce, ale nie w takiej kolejności, nie z tymi emocjami i nie w takim natężeniu, jak uporządkował je nasz mózg.

Dlatego właśnie lubił Bałtyk – bo w jego głowie powstał nieprawdziwy obraz dziecięcego i młodzieńczego szczęścia, którego tam rzekomo doświadczył. Ale ilekroć już jako dorosły człowiek wracał nad morze, czuł, że to złudzenie. I cierpiał z powodu tego, co tam widział. Bo Bałtyk w lecie opanowany jest przez młodzież – radosną, rozkrzyczaną, roznegliżowaną. To ona rządzi na plażach i w klubach. To ona terroryzuje innych wczasowiczów. To ona wyznacza ramy tego, czym jest udany wypoczynek.

Marek za każdym razem czuł coraz wyraźniej, że polskie morze już do niego nie należy. Że jest starym dziadem, emerytem. Gdy pożądliwie patrzył na młode, na poły rozebrane dziewczyny, one omijały go wzrokiem. Po prostu nie istniał dla nich. Szukały umięśnionych chłopców, no może ewentualnie przystojnych, dobrze zbudowanych trzydziestolatków. Dla tych dziewczyn był rówieśnikiem ich rodziców i, podobnie jak oni, kimś nieważnym. Nie odnotowywały jego obecności, nie zauważały jego rozpalonego wzroku. Był jedynie częścią dekoracji na scenie, na której one i ich rówieśnicy grali główne role.

Tak więc gdy wracał z wypadu nad Bałtyk, miał poczucie klęski i upływającego czasu. A mimo to następnego lata znów jechał nad morze – po kolejną dawkę goryczy i upokorzeń, po dotknięcie śmierci.

Nie lubił bałtyckich wakacji z innego też powodu – obrazu wypoczywających Polaków. To najsmutniejszy widok, jaki można sobie

wyobrazić. Tysiące ludzi, którzy nie wiedzą, co ze sobą zrobić. Od rana już tkwią na plaży i przedłużają pobyt na niej do późnego popołudnia, byle jakoś dociągnąć do wieczora. Gdy jest brzydka pogoda, snują się od sklepiku do sklepiku, jedzą gofry i piją piwo z sokiem żli na siebie i swoje dzieci. Biedni, niemający sobie nic do powiedzenia ludzie, którzy w gruncie rzeczy czekają na odległą śmierć.

Zawsze go zastanawiało, jak to jest. Ci ludzie naprawdę ciężko pracują, czasami cały rok, by wyrwać się na wakacje, a gdy już na nie dotrą, nie wiedzą, co ze sobą począć. Nudzą się bardziej niż w pracy, narasta w nich irytacja na wszystko, szczególnie na małżonka i dzieci. Cierpią tak przez dwa tygodnie wykupione już w lutym, bo taniej, i wreszcie z radością wracają do swoich klatek na kury nioski, zwanych mieszkaniami, oraz do nudnej pracy. I przez następne dwanaście miesięcy marzą o wakacjach nad Bałtykiem lub, jeśli los się do nich uśmiechnie, w Chorwacji.

Z roku na rok wyglądało to zresztą gorzej, bo bogatsza część jego rodaków zaczęła wyjeżdżać do egzotycznych krajów, więc nad Bałtykiem lądowali ci, których nie stać było nawet na Turcję czy Egipt. Polska C – wytatuowana młodzież, pijani faceci i brzuchate kobiety, a wszyscy z nadzieją na dobrą zabawę i „naładowanie akumulatorów”. Patrząc na tych leżących na plaży ludzi, Marek nie mógł pozbyć się myśli, że gdyby nagle przyszło tsunami, nic by się nie stało. Zginęłoby tylko kilka tysięcy żuczków, których egzystencja nic nie znaczy.

Po piętnastej poszedł do swojego apartamentu. Wziął prysznic, przebrał się i tuż przed szesnastą zameldował się w sekretariacie DeWaela.

– Pan dyrektor czeka na pana – powiedziała asystentka i wpuściła go do gabinetu.

– Cześć, Marku. – Belg powitał go radośnie i ruszył w jego stronę z otwartymi ramionami.

– Cześć. – Marek dał się objąć.

– Co cię do mnie sprowadza? – zapytał DeWael. – Czyżbyś chciał usprawiedliwić próbę utopienia pewnego faceta w rzece?

Belg uśmiechnął się szelmowsko i dopiero teraz do Kastora dotarło, że dyrektor mógł mieć problemy w związku z tym, co on zrobił na statku, i że na pewno informacja o tym dotarła do niego drogą służbową.

– A, to. Bardzo cię przepraszam. Zachowałem się jak szczeniak, ale wiesz, ten typ...

– Daj spokój – przerwał mu Patrick. – Należało się chujowi. Nie cierpię go i bardzo dobrze, że zasadziłeś mu kopa w ten tłusty brzuch!

– Naprawdę nie masz do mnie żalu?

– No pewnie, że nie. Wiadomość, że posłałeś kutafona do wody, a potem jebnąłeś butelką w ten głupi łeb, sprawiła mi wręcz przyjemność.

Dyrektor podszedł do barku, wyciągnął dwie butelki stella artois, otworzył je i wrócił do stolika, przy którym usiadł Marek.

– Oczywiście musiałem chuja oficjalnie przeprosić – kontynuował – lecz nawet wtedy nie potrafiłem ukryć rozbawienia i on to zauważył. Ale co może mi zrobić? Do sądu pójść? – Wybuchnął szczerym śmiechem.

Marek stwierdził w duchu, że naprawdę lubi tego wielkiego Belga i że szkoda, iż spotkali się dopiero teraz.

– No to się cieszę, że nie narobiłem ci kłopotów – powiedział. – Ale tak naprawdę chciałem się dowiedzieć, co stało się z Jorge.

– Z tym Hiszpanem?

– Katalończykiem – sprostował Marek. – Co się stało?

– No cóż – zaczął DeWael – jeśli mam być szczerzy, a chyba mogę być... – Spojrzał wymownie na Kastora.

– Wiesz, że możesz.

– Dzięki, to dla mnie ważne – odparł Patrick. – No więc jeśli mam być szczerzy, to chyba była próba ucieczki lub spektakularne samobójstwo.

– Samobójstwo? Rozszarpanie przez zwierzęta? Daj spokój.

– Też mnie to dziwi, ale daj mi skończyć – powiedział Belg. – Dlatego powiedziałem, że to albo ucieczka, albo, dopiero w drugiej kolejności, dziwne i okropne samobójstwo. Wiesz, facet był u mnie trzy dni temu, cały

roztrzęsiony. Długo rozmawialiśmy, choć to raczej był jego monolog. Mówił, że się rozczarował, że jego życie to pomyłka. Słuchałem go jednym uchem, bo przecież w tej branży nie bardzo można sobie pozwalać na empatię. No więc gadał długo, a ostatecznie stanęło na tym, że się rozmyślił i że chce wracać do kraju.

– Co? – zdziwił się Marek.

– Też tak zareagowałem – ciągnął DeWael. – Tłumaczyłem mu spokojnie, że to niemożliwe, bo przecież podpisał papiery, ale on się upierał. W pewnym momencie zaczął na mnie krzyczeć. Byłem spokojny, ale dalsza rozmowa nie miała sensu. Obiecałem mu, że jeszcze wrócimy do tematu, choć dla mnie sprawa była zamknięta. Umowy obowiązują i ja muszę się z nich wywiązywać, bo inaczej znajdą kogoś na moje miejsce. Oczywiście powiedziałem mu, że możemy się spotkać następnego dnia, a po południu wysłałem do niego psychologa. Ich spotkanie nic nie dało, facet upierał się przy swoim absurdalnym pomysłem. Nazajutrz zażądał rozmowy ze mną, ale Karen, moja asystentka, miała już zakaz umawiania go. W czasie kolejnej rozmowy z psychologiem podobno był nieco spokojniejszy i wydawało się, że wszystko jest załatwione, a tu nagle to... – Wskazał ręką tam, gdzie rano Marek znalazł ciało Jorge. – Naprawdę nie wiem, co mogło się zdarzyć. Wygląda to na próbę ucieczki albo teatralne samobójstwo. Inaczej nie potrafię sobie tego wytłumaczyć. Zastanawia mnie też, jak facet przeszedł przez płot. Przecież on jest, do cholery, pod napięciem!

– Co go załatwiło? – spytał Marek.

– To akurat wiem. – Patrick ożywił się. – To robota lwów. Tak mi powiedzieli strażnicy, a oni się na tym znają. Rany wyraźnie wskazują na te drapieżniki, a nie na przykład hieny. Wygląda na to, że to były dwie lwice.

Zapadła cisza. Obaj łyknęli piwa.

– Straszna śmierć. – Belg westchnął. – Naprawdę mu się dziwię, że wybrał właśnie taką, a nie nasze usługi, za które dał w końcu kupę kasy. Ale ludzie są dziwni i nic na to nie poradzisz.

Znów zaległa cisza. W końcu przerwał ją Kastor.

– Powiedziałeś, że nie mógł się stąd wydostać, bo podpisał umowę.

Patrick popatrzył uważnie na Marka.

– Tak, tak właśnie powiedziałem.

– Mam pytanie...

– A ja odpowiedź – rzekł DeWael. – Wiem, o co chcesz zapytać. Chcesz wiedzieć, czy ty i inni też nie możecie już stąd wyjechać.

– Istotnie – potwierdził Marek. – Szczerze mówiąc, nie przyszłoby mi do głowy stąd wyjeżdżać, bo przecież nie po to się tu przylatuje, ale zacząłem się zastanawiać, czy gdyby ktoś jednak zmienił zdanie...

– Nie jest to możliwe – powiedział wolno dyrektor.

– Czyli co się dzieje, jak się ktoś rozmyśli?

Patrick podszedł do barku i przyniósł kolejne dwa piwa. Otworzył je i nalał do szklanek.

– Co się dzieje? – odezwał się w końcu. – Nic się nie dzieje. Pobyt jest kontynuowany.

– Wbrew zombiakowi?

– Marek, mogę być z tobą absolutnie szczerzy? – zapytał DeWael. – Wiesz, że cię lubię, więc niezręcznie byłoby mi cię okłamywać. Poza tym widzę, że nie jesteś panikarzem i nie zmienisz zdania.

– Jasne, wal śmiało. I dzięki za zaufanie – szybko powiedział Kastor.

– No więc prawda jest taka, że wątpliwości naszego klienta nic nie zmieniają. My wykonamy swoją robotę aż do końca.

– Nawet jeśli zombiak wyraża inną wolę?

– On swoją ostateczną wolę wyraził w dokumentach podpisanych przed przybyciem tutaj – odpowiedział dyrektor. – To naprawdę dziwne, że ludzie nie czytają papierów, które podpisują, nawet gdy dotyczą ich śmierci. Rozumiem, że można nie doczytać małych literek w umowie kupna telewizora, ale żeby nie zapoznać się z dokumentami mówiącymi o doprowadzeniu do zgonu?! Tego nie potrafię pojąć, szczególnie że te ustalenia nie są ukryte. Artykuł dwudziesty drugiej umowy, także

twojej, jasno stwierdza, że decyzja jest ostateczna, a usługodawca, czyli my, jest zobowiązany pod groźbą kary do wykonania wszystkich określonych w niej czynności. Wszystkich.

– Czy to oznacza...

– Tak, Marku – Patrick znów wszedł mu w słowo. – To oznacza, że gdybym pozwolił temu Katalończykowi uciec lub zorganizował mu transport do Europy, poszedłbym siedzieć!

– Przepraszam, ale mi przerwałś – rzekł Marek. – Czy to oznacza, że gdyby ktoś na koniec odmówił poddania się eutanazji, to ty masz obowiązek dokonać jej siłowo?

– Tak – odparł Belg. – Nawet gdyby jakiś zombiak chciał nagle ożyć, muszę wypełnić zapisy umowy. Inaczej pójdę do pierdła.

Marek siedział lekko oszołomiony. Wcześniej nie zastanawiał się nad tym, co się dzieje, gdy ktoś jednak zapragnie żyć. To, co powiedział dyrektor, zszokowało go.

– Mielicie już takie przypadki? – zapytał w końcu.

– No jasne. Wiele razy.

– I co, ciągniecie kogoś na siłę do sali operacyjnej i dajecie śmiertelny zastrzyk?

– Naprawdę myślisz, że jesteśmy barbarzyńcami? – obruszył się DeWael. – Uważasz, że posłałbym po jakiegoś zombiaka pielęgniarzy, by wsadzili go w kaftan bezpieczeństwa, przeprowadzili przez ośrodek na oczach wszystkich gości i w końcu dali w dupę złoty strzał? Przecież to zrujnowałoby nam tu atmosferę.

– Więc co robicie w takich awaryjnych sytuacjach? – Marek był bardziej zaciekawiony niż oburzony.

– Pracujemy nad delikwentem. – Patrick uśmiechnął się. – Najpierw psychologicznie, a potem farmakologicznie.

– To znaczy?

– Najpierw posyłamy do niego psychologa lub psychiatrę – wyjaśnił Belg. – Wiesz, rozmowy, seanse szczerości. Trzeba zombiakowi przypomnieć,

dlaczego tu przyjechał. W dziewięćdziesięciu procentach przypadków to wystarcza. Gość uświadamia sobie, jak chujowe było jego życie, i sam prosi o przyspieszenie wielkiego finału.

– A jeśli to nie pomaga?

– Przechodzimy do fazy farmakologicznej. Podajemy leki, które mają delikwenta albo zdołować, albo przeciwnie – wprowadzić w euforię. Dobór leków pozostaje w gestii lekarza. Jednych lepiej zaatakować środkami wprowadzającymi w głęboką depresję, tak by sami poprosili o skrócenie swych mąk, innym podać leki, które tak ich uszczęśliwią, że brakować im będzie już tylko eutanazji. To naprawdę zależy od konkretnego przypadku. Ja się na tym nie znam i w pełni ufam moim lekarzom. Jeszcze nigdy się na nich nie zawiodłem.

– Ale jak im podajecie te leki? Siłowo?

– Co ty ciągle z tą przemocą? – oburzył się Patrick. – Bił cię ktoś w dzieciństwie? – Rozprostował nogi pod stolikiem i milczał chwilę. – W posiłkach najczęściej. Lub, gdy zombiak jest podejrzliwy, wpuszczamy mu do pokoju specjalny gaz przez klimatyzację. Ale to naprawdę wyjątkowe sytuacje. Chyba tylko trzy razy musieliśmy się uciec do takiego podstępu. Po czymś takim człowiek zaczyna wreszcie robić to, co chcemy i do czego zobowiązał się w umowie. Śmierć to nie zabawa, a niektórym się wydaje, że to jak zamówienie mebli – że jak się nie spodoba, to można zmienić zdanie. Otóż, kurwa, nie można. I już ja o to dbam. Nie dla ich dobra, rzecz jasna, ale dla ratowania własnego tłustego dupska, bo nie zamierzam trafić za kraty i patrzeć stamtąd, jak ktoś inny żyje sobie wygodnie na moim miejscu.

– Czyli tak to wygląda – rzekł powoli Marek. – One way ticket.

– Tak jest! – DeWael się uradował. – I dlatego ten oszust z Katalonii tak mnie wkurzył. Psycholog powiedział, że pogodził się z losem i nie będzie sprawiał kłopotów, a on nam taki numer wyciął.

– Czyli uciekał? – spytał Kastor. – Chciał się dostać do Bandzulu na piechotę nocą, przez dzikie tereny? To bez sensu.

– Mnie też się to wydaje głupie – powiedział Belg. – A może on po prostu postradał zmysły? Albo jest jeszcze inne wytłumaczenie?

– Samobójstwo?

– No właśnie. Choć to też brzmi idiotycznie, ma jednak więcej sensu niż ucieczka w nocy przez królestwo lwów i hien.

– Ale taka śmierć? – nie dowierzał Marek. – Przecież umierał w męczarniach. To musiało być straszne.

– Jasne, ale może właśnie tego szukał? Może właśnie takiej spektakularnej śmierci pragnął? Może nie chciał umierać w komfortowych warunkach, które zapewnia nasz ośrodek i za które zapłacił kupę kasy? Ludzie są dziwni, Marku. Gdybyś popracował parę lat na moim stanowisku, nie miałbyś co do tego żadnych wątpliwości.

– Nie mam, wierz mi.

Milczeli dłuższą chwilę. Wypili jeszcze po piwie i w końcu Kastor zaczął się zbierać.

– Dzięki za spotkanie – powiedział.

– To ja dziękuję – rzekł dyrektor. – Zawsze miło cię widzieć, serio. Wpadaj, gdy tylko będziesz miał ochotę. Trochę się tu nudzę.

– Bardzo chętnie – odparł Marek i uściśnął dłoń Belgowi.

DeWael objął go.

– Trzymaj się, chłopie. I nie martw się: już niedługo będziesz w domu Pana.

– Przyślę ci kartkę. – Marek uśmiechnął się i wyszedł.

Poszedł do chińskiej restauracji – był głodny i w głowie mu szumiało.

Te belgijskie piwa są jednak ciut mocniejsze niż choćby czeskie – pomyślał.

W knajpie było nadzwyczaj dużo ludzi, ale nikogo nie poznawał. Wybrał stolik przy plaży i zamówił coś przypadkowego.

Każde chińskie zarcie smakuje tak samo – stwierdził. – Różni się tylko tym, jakim sosem się je poleje.

Poprosił także kelnera o piwo – postanowił zostać przy tym prostym i zycznym trunku. Cały czas myślał o tym, co powiedział mu DeWael, a raczej o tym, co skłoniło Jorge do tak dramatycznego kroku. Coraz bardziej skłaniał się do tezy, że nie była to ucieczka, lecz dobrze wyreżyserowane samobójstwo. Naprawdę trzeba byłoby być idiotą, żeby nocą iść przez teren – o czym wiedzieli wszyscy goście „Great Final” – pełen dzikich zwierząt. Więc jednak samobójstwo. Ale dlaczego takie drastyczne? Może dlatego, że w życiu współczesnego człowieka nie ma miejsca na heroizm? Nie musimy już bronić wiary, walczyć z najeźdźcą, dawać świadectwa prawdzie. Cała nasza egzystencja to praca, wakacje, piątkowy grill, zakupy – banalne uwijanie się wokół trywialnych spraw. Niczego spektakularnego, żadnego dramatyizmu. Nasi przodkowie mieli lepiej – mogli zginąć za wiarę, za naród, za czyjeś życie.

Naród! Marek nagle przypomniał sobie, że przecież miał z Jorge nieprzyjemną wymianę zdań na temat jego katalońskich obsesji. Czyżby to pchnęło tego durnego nacjonalistę do tak desperackiego czynu? Czyżby mógł chcieć popełnić samobójstwo, bo przejął się słowami swego rozmówcy?

Zrobiło mu się głupio. Niemiło byłoby mieć na sumieniu jakiegoś człowieka, nawet tego idiotę. Wiadomo, i tak chciał umrzeć, ale dodatkowe cierpienie, jakiego doznał na sam koniec, spadłoby na głowę Marka.

Spadłoby na moją głowę? – wściekł się w myślach. – Co to, kurwa, za biblijny język?! Czy nawet gdy utracisz wiarę, nadal musisz być więźniem konfesyjnego języka i pojęć? To naprawdę frustrujące.

Ale ta myśl nie opuszczała go.

Czyli chciał umrzeć w mękach? – zastanawiał się. – Ale po co? By jakoś odkupić swoje winy wobec narodu? To się kupy nie trzyma. A może zorientował się, że całe życie oddawał cześć fantomowi, i chociaż śmierć chciał mieć realną? Krwiście rzeczywistą, a nie ten spektakl, który Patrick przygotowuje zapewne każdemu zombiakowi? Może tak to trzeba tłumaczyć? Może chciał zakosztować czegoś prawdziwego, skoro całe życie oddał ułudzie?

Jedzenie dawno już stało przed nim, ale nie tknął go, bo było za gorące.

Popijał jedynie chińskie piwo.

A może jest jeszcze inaczej? – dumał. – Może on chciał się ukarać za to, że wiele lat prowadził ludzi na barykady w imię czegoś, co nie było tego warte? Może uznał, że musi zginąć tak jak ci, których naprowadził na muszkę hiszpańskich snajperów lub wysłał gdzieś z bombami domowej roboty? Bo przecież jako lider separatystów musiał mieć krew na rękach. Jasne, że mi o tym nie powiedział, ale polityka separatystyczna musi być krwawa, inaczej wyzwaleni nie uwierzą, że fantom, za który walczą, jest coś wart. W końcu ofiary świadczą o istnieniu narodu, a naród, który nikogo nie mordował i sam nie był mordowany, nie ma racji bytu. Tylko jucha może uzasadnić trwanie przy tych mitach. Krew musi być. Koniecznie dużo krwi.

Więc może ten durny Katalończyk chciał w ten sposób odkupić swoje winy – śmierć tych, których zabili jego dziarscy chłopcy, i śmierć jego dziarskich chłopców? Może uważał, że tylko tak jest w stanie zrekompensować swoje grzechy? To jednak byłoby już bardzo głupie – jakby naprawdę to, czy zdychał gryziony przez lwy, czy umierał higienicznie w ośrodku DeWaela, mogło ukoić ból matek, które straciły synów, bo banda idiotów postanowiła domalować na mapie Europy jeszcze jedno państwo.

Nie mógł się pozbyć niechęci do tego typu.

A może – delektował się myślą – ten debil pomylił po prostu wejścia i zamiast na plażę wlaź na teren głodnych lwic? Chciałbym zobaczyć jego minę w chwili, gdy je dostrzegł. I gdy one dostrzegły jego. Safari, kurwa, à rebours!

Marek uśmiechnął się gorzko. Z każdą minutą narastała w nim irytacja związana z tym, co się stało w nocy. O ile na początku obraz rozszarpanego ciała Jorge wstrząsnął nim, o tyle teraz nie doświadczał już żadnych ciepłych uczuć wobec niego. Zdziwiła go ta nagła zmiana, ale nie zmartwiła.

Widocznie go nie lubiłem – pomyślał. – Dlaczego mamy udawać, że żałujemy kogoś tylko dlatego, że jest już trupem? Co to za fetyszyzacja zwłok? Mamy prawo wypowiadać się o zmarłych równie ostro jak o żywych. Czy ktoś przez to tylko, że umrze, staje się lepszy? Zwłaszcza gdy umrze w tak durny sposób?

Powoli zjadł swoje danie. Okazało się, że to coś w sosie słodko-kwaśnym, czyli typowe chińskie gówno o nieokreślonym smaku. Pamiętał, jak na początku lat dziewięćdziesiątych Polskę zalała fala tego typu jedzenia i jak się ono w niej zadomowiło. Jednak o ile na początku kuchnię chińską delectowali się co bogatsi, a reszta nadal wcinała schabowe i kapustę, o tyle potem już tylko biedota żarła chińskie dania – bo dużo i tanio. Polskie zderzenie cywilizacji. Z Marksem w tle.

Skończył jeść i zamówił jeszcze jedno piwo. Zrobiło się ciemno. Zapytał kelnera o godzinę – była ósma. Czuł wpływ alkoholu i postanowił utrzymywać się w tym stanie aż do zaśnięcia. Nie bardzo jeszcze wiedział, co zrobi z wieczorem, ale stwierdził, że nie zmarnuje wypitego piwa i pozostanie przy tym trunku.

Nie szukał towarzystwa. Chciał się po prostu nawalić – bez jakiegoś głębszego sensu i zbędnej ideologii – mimo że w ostatnich latach nie zdarzało mu się to prawie wcale. W młodości potrafił co prawda „dać w palnik”, jak się to wówczas mówiło, ale z wiekiem przeszła mu ochota na takie ekstremalne upadanie się, przede wszystkim ze względów zdrowotnych. Po trzydziestce ostre sobotnie picie kończyło się niezmiennie zmarnowaną niedzielą. Dopiero pod wieczór nadawał się do czegokolwiek, ale i tak przez cały poniedziałek był jak martwy. Zrezygnował więc z ostrego picia i odtąd każdy kieliszek wódki brał na nim nazajutrz srogą pomstę.

Dlatego właśnie w ostatnich latach nie mógł się pochwalić imprezowymi ekscesami. Ale tu? Tu nie musiał się już przejmować porannym kacem – żadne obowiązki nie były zagrożone, żadna Becia czy Kasia nie patrzyły na niego z wyrzutem.

Kasia była jego drugą i jednocześnie przedostatnią miłością. Zakochał się w tej studentce po uszy, i to już przy pierwszym spotkaniu. Poprosiła go wtedy o udział w organizowanej przez siebie konferencji naukowej.

– Czy pan doktor zaszczyliłby nas swoją obecnością? – zapytała na uniwersyteckim korytarzu.

I on, były polityk, celebryta, znany komentator polityczny, pisarz i popularny bloger, powiedział, że owszem, zaszczyli. Ale zrobił to tylko po

to, by ją zobaczyć i wyciągnąć od niej numer telefonu.

Konferencja była okropna – z żenującymi profesorami i przestraszonymi studentami ostatniego roku jako prelegentami. Wszyscy udawali kogoś innego: profesorowie luźnych studenciaków, a studenci napuszonych profesorów. Tylko on był sobą, to znaczy facetem, który ma wszystkich w dupie. Wygłosił referat o końcu demokracji, o tym, że tak naprawdę skończyła się ona tak szybko i cichutko, że nikt tego nawet nie zauważył. I że zabili ją nie islamscy terroryści, ale syci i leniwi obywatele Zachodu. Jak zwykle, zrobił to z werwą i dowcipem, więc sala – w przeciwieństwie do profesury – była zachwycona. Ale on patrzył jedynie na Kasię i, w zależności od jej reakcji, szarżował lub nadawał swym słowom naukowy ton. Widział, że jest wniebowzięta, i właściwie tylko o to mu chodziło. Przecież nie o studentów, nie o profesorów, a już na pewno nie o demokrację.

Po konferencji, w czasie standing party, podszedł do dziewczyny i zaproponował kawę.

– Teraz? – spytała.

Trochę zdziwiony, bo raczej myślał o nieodległej przyszłości, odparł:

– Tak, teraz.

– Okay, daj mi się tylko ogarnąć z tym wszystkim. Spotkajmy się za pół godziny w tej francuskiej knajpie naprzeciwko – powiedziała i ruszyła do stojących nieopodal studentów.

Marek był zdziwiony tą natychmiastową zgodą. Jeszcze bardziej zdziwiło go to, że sama przeszła z nim na „ty”. Czyżby była jakąś cichodajką, łatwą dziewczyną potrafiącą zadbać o swoje interesy? Czuł, że się do niej zniechęcił, ale głupio mu było teraz się wycofać.

Siedział we francuskiej restauracji od dobrych trzech kwadransów i z każdą upływającą minutą coraz bardziej się wkurzał. W końcu ile można czekać na ledwo poznaną studentkę? Stwierdził ze złością, że to od samego początku zły układ – to dziecko powinno czekać na niego.

Ale wreszcie przyszła. Była olśniewająca – długie czarne włosy, ciemna karnacja, piękny uśmiech. Właśnie nim poczęstowała go już od drzwi.

I przechyliła lekko głowę, podnosząc przy tym brwi. To chyba miało znaczyć: „Przepraszam”. Wiedział już, że się jej nie oprze.

Jednak gdy podeszła do stolika, nie wydusiła z siebie wyrazów ubolewania. Po prostu najzwyczajniej, jak to było możliwe, pocałowała go w policzek. Tak, jakby znali się od lat i od lat byli w świetnej komitywie. Nie dał po sobie poznać, że go to zaskoczyło i że tak naprawdę jest oszołomiony nią i jej stylem.

– Zamówiłeś coś? – spytała, wyraźnie uznawszy, że na trwałe już są na „ty”.

– Nie, czekałem na ciebie – odpowiedział.

– Jestem megagłodna – oznajmiła i przywołała kelnera. – Zaordynuj coś. Zdaję się na twój gust.

Marek zaczął omawiać z kelnerem zamówienie, ale wciąż nie mógł przestać myśleć o bezczelności, urodzie i inteligencji dziewczyny. I o tym jej „Zaordynuj coś”. Nie mogła po prostu powiedzieć „Zamów”? Taka właśnie będzie?

Kolację zjedli w doskonałych humorach. Kasia była naprawdę urocza. Nie mylił się co do niej, sądząc, że jest nie tylko piękna, ale także błyskotliwa i mądra. Wypili francuskie wino i przy serach zapytała go wprost:

– Jedziemy do ciebie czy do mnie? Tylko ostrzegam, że u mnie jest syf. No i nie mam bladego pojęcia, kiedy moja współlokatorka wraca z Wrocławia. Dodam, że to też twoja studentka.

– No to chyba nie mam wyboru. – Marek uśmiechnął się szeroko. – Zapraszam do siebie.

Mieszkał już wtedy na wsi, ale miał też dwa mieszkania w Katowicach, które wynajmował firmom. Jedno z nich było akurat wolne, zamówił więc taksówkę i pojechali do niego.

Zaczęła go całować już w windzie. Tak, ona jego. Naturalnie się jej poddał. Gdy tylko zamknęli za sobą drzwi, zaczęła go rozbierać. To mieszkanie wynajmował notariusz i właśnie na pięknym mahoniowym biurku prawnika usiadła, zrzuciwszy z siebie ubranie. Marek patrzył urzeczony na jej ciało. Miała cudowne małe piersi, zgrabną talię i krągłe biodra. Rozłożyła szeroko

nogi i ruchem głowy zaprosiła go do siebie. Podszedł i wsunął się w jej cipkę. Była już mokra. Chciał ją pocałować, ale odsunęła głowę.

– Chcę cię widzieć – powiedziała krótko.

Zaczął powoli się w niej poruszać. Patrzyli na siebie, nie uśmiechając się i nic nie mówiąc. Przyspieszył. Czuł, że zbliża się orgazm. Kasia wciąż patrzyła mu prosto w oczy. Gdy miał już eksplodować, zapytał ją wzrokiem, czy może skończyć w niej. Skinęła głową. Wytrysnął z głośnym westchnieniem.

Kiedy wróciła z łazienki z włosami wilgotnymi jeszcze po kąpieli, wyciągnął z szafki brandy i rozlał do szklanek.

– Bierzesz tabletki? – spytał.

– Nie. – Popatrzyła na niego. – Przeszkadza ci to?

– Nie – powiedział i naprawdę poczuł, że gdyby nawet zaszła z nim w ciążę, nie zmartwiłby się bardzo.

W ogóle bym się nie zmartwił – pomyślał.

Działo się z nim coś dziwnego. Nie znał jej, ale już się w nią spuścił, a na myśl o tym, że mogłaby urodzić mu dziecko, nie drżał ze strachu jak w przypadku innych swoich partnerek, nawet tych stałych. Zakochałem się? W jeden wieczór? Tak po prostu?

– Muszę uciekać – przerwała jego myśli. – Jest prawie dwudziesta druga, a przed północą gadam zawsze parę minut z moim chłopakiem na Skypie.

Marek poczuł się tak, jakby ktoś uderzył go w głowę. „Gadam zawsze parę minut z moim chłopakiem na Skypie”. Powiedziała to tak zwyczajnie, jakby stwierdziła, że przed północą bierze zawsze kąpiel.

– Jasne. – Nie dał po sobie nic poznać. – Zamówię ci taksówkę.

– Dzięki – odparła. – To miłe.

Po kwadransie odprowadzał ją do samochodu. Nie wiedział, czy może poprosić o kolejne spotkanie. Nie miał pojęcia, czy ona zechce się z nim spotkać – przecież był ten chłopak. Gdy wsiadała już do auta, podała mu małą kartkę, którą chwilę wcześniej wyrwała z notesu.

– To mój numer – powiedziała. – Zadzwoń, jeśli będziesz chciał. Jestem

jutro wolna. I zawsze będę.

Zatrzasnęła drzwi, taksówka odjechała. Marek stał na chodniku i nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Czuł tylko, że jest po uszy zakochany i że pierwszą rzeczą, jaką zrobi nazajutrz, będzie telefon do niej.

A teraz siedział w „Great Final” w Gambii i pił szóste tego dnia piwo. Nie było koło niego Kasi czy Beci. Nie było nikogo bliskiego. Bo już nikt nie był dla niego bliski i on nie był bliski dla nikogo. Wszyscy w jego życiu się od siebie oddalili. Choć chciał myśleć, że nie to sprawiło, iż przyjechał do tego ośrodka, wiedział, że jednak miało wpływ na decyzję o zakończeniu życia. To nie samotność go wykończyła. Samotność lubił, wręcz kochał. Nie wyobrażał sobie, by nie móc być samotnym wtedy, gdy się tego bardzo chce, bo oznaczałoby to utratę wolności. Zawsze lubił się straszyć perspektywą życia we włoskiej rodzinie, gdzie wszyscy wszystkim wchodzi na głowę, albo egzystencji bezdomnego z menelami w kanale lub w wieloosobowych salach w schronisku.

Po to właśnie wybudował sobie dom na wsi – by odseparować się od wszystkich i być samotnym, gdy tylko tego zapragnie. Więc to nie samotność go tu zaprowadziła, lecz raczej próba zbliżenia się do ludzi. Tak, to już bardziej, choć i to nie do końca była prawda. Ale na pewno był w tej restauracji z idiotycznej, desperackiej chęci znalezienia czegoś wspólnego z innymi. Z kobietami. Faceci nie mogli go złamać, jednak te kilka kobiet już tak. Naiwnie uznał, że może komuś zaufać i znaleźć z tym kimś szczęście. Od początku czuł, że nie jest to dobry pomysł. Zupełnie się do tego nie nadawał, a mimo to zdecydował się na to czy może pozwolił, by to się za niego zdecydowało. Najpierw z Kasią, a potem z Becią.

Idiota – pomyślał. – Zwyczajny idiota.

Pewnie i tak by tu trafił, bo przecież to nie rozczarowanie i ból, które mu sprawiły, sprowadziły go do tego hotelu, a jednak bez ich znaczącego wkładu walczyłby trochę dłużej. Miałby dość odwagi i hartu ducha, by patrzeć światu w oczy. Ale one odebrały mu tę resztkę determinacji. Zaatakowany od tyłu, nie chciał się dłużej bronić. Poddał się. Przegrał. Zdezercerował.

Skończył kolejne piwo.

– No to chyba jestem dostatecznie najebany, żeby iść spać albo zrobić coś obrzydliwego czy szalonego – powiedział do siebie.

Chwilę wahał się między tym pierwszym a drugim. Jeszcze parę lat temu wybrałby pewnie drugą opcję, ale za dwa tygodnie miał skończyć pięćdziesiąt lat, więc szala w naturalny sposób przechylała się na stronę snu. Zamówił jeszcze jedno piwo. Właściwie nie miał już na nie ochoty, lecz uznał, że musi doprowadzić swój ambitny plan nawalenia się do końca.

– Pacta sunt servanda – powiedział na głos i przechylił szklankę z piwem.

Pił aż do dna. Głośno mu się odbiło, ale miał to gdzieś. Jakaś para dwa stoliki dalej popatrzyła na niego z dezaprobatą, jednak gdy pokazał im środkowy palec, szybko odwrócili wzrok.

W sumie – zastanawiał się – dlaczego moja poprzednia myśl była ujęta w paradygmacie wyboru, a nie w logice koniunkcji? Dlaczego uznałem, że narobienie syfu wyklucza się ze spaniem, jest alternatywą dla pójścia do łóżka? Wszak można zrobić i jedno, i drugie. W takiej właśnie kolejności: najebać komuś lub/i rozpierdolić parę stolików, a potem spokojnie udać się na spoczynek.

Bawił się tą myślą, ale wiedział, że zaraz po prostu pójdzie do apartamentu. Kiedyś na pewno dałby popalić obsłudze i gościom. Ale dziś już nie. Bo już nic mu się nie chciało – nawet prowokować innych i komplikować im życia, a swoje czynić mniej przewidywalnym.

Podniósł się i chwiejnym krokiem ruszył do wyjścia. Po drodze tak bardzo zachciało mu się sikać, że skorzystał z pobliskich krzaków.

Może tak właśnie zginął Jorge? – myślał w pijackim zwidzie. – Może szukał porządnych krzaków, w których mógłby się odlać, a pobłądził i wyszedł prosto na lwice? Biedny kutafon.

W pokoju nie miał siły nawet na prysznic. Zrzucił tylko ubranie i bezwładnie padł na łóżko. Zasnął błyskawicznie.

DZIEŃ DWUNASTY

16 GRUDNIA

– Nożkurwajegomać! – jęknął, gdy spojrzał na zegarek.

Była pierwsza po południu. Spał dobre dwanaście godzin, ale kac wciąż był ogromny.

To przez to cholerne piwsko – pomyślał. – Po nim zawsze głowa napieprza mnie najbardziej.

Tak dużo miał doświadczeń i wiedział, że nie może pić za dużo brandy, wina czy czegoś równie oryginalnego. Jeśli już, powinien wlewać w siebie czystą, bo plemię Polan i jego geny przez setki lat spotykały się głównie z nią.

– Jestem Polakiem, więc mam obowiązki polskie. Wódkę mi pić, a nie coś innego – powiedział na głos.

Ale nie było mu do śmiechu – głowa mu pękała i miał nudności. Z trudem dotarł do łazienki i sprowokował torsje. Wyciekło z niego jedynie trochę żółci, lecz nieco mu ulżyło.

Wszedł pod prysznic. Miał świadomość, że najlepszy byłby chłodny, a nawet zimny, ale nie był do tego zdolny. Stał kilka minut pod ciepłym strumieniem, nie ruszając się właściwie. W końcu namydlił się, splukał pianę i wyszedł z kabiny. Zadzwoił do recepcji po tabletki na ból głowy, a gdy mu je dostarczono, połknął od razu dwie, popił wodą mineralną i wrócił do łóżka. Ból powoli mijał.

Nie był w stanie wyjść z apartamentu, zwłaszcza że o tej porze na zewnątrz panował prawdziwy skwar.

– A więc ten dzień spędzimy w pokoiku – powiedział do siebie i zamknął oczy.

Zasnął, ale najwyżej na pół godziny. Gdy się obudził, czuł się już lepiej, choć nie na tyle, by się gdzieś ruszyć.

– Magda! – wyrzucił z siebie. – Może wezwę ją i poproszę o masaż?

Podszedł do biurka, uruchomił komputer i zalogował się w sieci ośrodka. Miał nadzieję, że Polka nie jest zajęta, ale w razie czego wzięłby Tajkę lub dziewczynę z Ameryki Południowej.

– Jest! – Z radością, która nieco go zaskoczyła, zauważył zieloną kropkę obok jej profilu, więc zabukował ją i od razu otrzymał informację: „Magda is coming”.

Rzeczywiście, po kilkunastu minutach usłyszał pukanie do drzwi. Prezentowała się rewelacyjnie w białym podkoszulku, dżinsowej spódnicy i klapkach. Wyglądała naturalnie i oszczędnie, jak zwykła dziewczyna na wczasach.

– Cześć – rzuciła od progu. – Już myślałam, że więcej mnie nie zamówisz.

Marek się uśmiechnął.

– Wolałbym określenie „zaprosisz”.

– Ja też – powiedziała – ale oboje wiemy, że mnie zamawiasz, a nie zapraszasz.

Na jej twarzy nie było jednak złości, tylko szczery uśmiech.

– Na co masz ochotę? – zapytała. – O tej porze bukują nas tylko prawdziwe zboki. Aż się boję.

– No to zupełnie nie wbiłem się w klimat. – Marek skrzywił się nieco. – Wczoraj przesadziłem z alkoholem, więc jeśli się nie obrazisz, poprosiłbym tylko o masaż.

– Magdusia się panu nie podoba? – zapytała figlarnie.

– Wiesz, że bardzo mi się podobasz – odparł. – Ale dziś naprawdę jestem nie do użytku i jeszcze bym nas rozczarował.

– Jasne, tylko żartowałam. – Zaczęła się rozbierać. – To może na początek weźmiemy kąpiel?

– Higieny nigdy dosyć – rzekł Marek i zrzucił szlafrok.

W łazience usiadł na muszli klozetowej, podczas gdy Magda napuszczała wodę.

– Dodam trochę olejku, dobrze? – odezwała się.

– Oczywiście.

Weszli do wanny i podłożywszy sobie ręczniki pod głowy, oparli się o przeciwległe ścianki. Chwycili się za dłonie i dłuższą chwilę tak leżeli. Potem Magda zaczęła delikatnie całować stopy Marka, które oparł obok jej głowy. Po pewnym czasie zrewanżował jej się tym samym.

– Nie musisz – powiedziała.

– Ale chcę – odparł i nadal ją pieścił.

W końcu Magda wytarła go ręcznikiem i poszli do łóżka. Marek położył się na brzuchu, a ona usiadła na nim okrakiem i zaczęła delikatnie masować mu plecy.

Nagła i potężna erekcja zaskoczyła go.

– Kogo my tu mamy? – rzuciła dziewczyna. Sięgnęła do tyłu, by pomasać mu jądra, i wyczuła twardego fiuta. – A miało nas tu nie być. – Pochyliła się, pocałowała Marka w szyję i szepnęła mu do ucha: – Chcesz?

– Tak.

Zsunęła się na jego łydki, dała mu delikatnego klapsa, by uniósł biodra, i wsunęła poduszkę pod brzuch. Chwilę później w jednej dłoni mocno trzymała jego kutasa, a drugą rozsuwała mu pośladki. Zaczęła lizać mu odbyt i gwałtownie go masturbować. Gdy jęknął z twarzą wbitą w poduszkę, jeszcze przyspieszyła. Po dwóch minutach Marek poczuł, że dochodzi, ale nie musiał jej tego mówić – świetnie wyczuła zbliżającą się rozkosz. Położyła się na wznak, wsunęła pod niego, wzięła jego chuja do ust i pozwoliła mu tak skończyć.

Jakiś czas później wróciła z łazienki i położyła się obok niego.

– Naprawdę tego nie chciałem. – Uśmiechnął się.

– Tym bardziej mi miło, że twój organizm tak na mnie zareagował. – Roześmiała się w głos. – Chyba mnie lubi.

Leżeli wtuleni w siebie.

– A ty? – zapytała nagle.

– Co ja? Czy też cię lubię?

– Uhm.

– Tak, lubię cię. I to bardzo.

Zapadła cisza. Patrzyli sobie w oczy.

– A... – zaczął Marek.

– Ja ciebie też – nie dała mu dokończyć. – I też bardzo.

Znów umilkli. Marek nie rozumiał, co się z nim dzieje. Prawie jej nie znał, a coraz bardziej pragnął, by była przy nim. Może tak właśnie objawiał się u niego strach przed śmiercią? Sympatią do kurwy? Ale przecież nie postrzegał jej w ten sposób. Od pierwszego spotkania nie myślał o niej jak o kurwie. Czy to kwestia języka? Pewnie tak. Tajki i Rosjanek od razu zaliczył do dziwek, bo pozwalały, by rozmawiał z nimi jak z dziwkami. Tymczasem ona zawsze zaznaczała swoje zdanie, a ich znajomość zaczęła się od tego, że obraziła go i wyszła z apartamentu, za nic mając ewentualną skargę.

– Po co tu przyjechałeś? – przerwała jego rozmyślenia.

– Jak to po co? – zdziwił się. – Po to, po co wszyscy goście tego ośrodka.

– Źle się wyraziłam – powiedziała. – Dlaczego. Dlaczego chcesz umrzeć?

– To długa historia – odparł. – Poza tym banalna i nudna.

– Opowiedz – poprosiła.

– Obawiam się, że to ciekawe tylko dla mnie – upierał się. – Generalnie nasze życie jest ciekawe tylko dla nas. Zanudziłbym cię.

– Nie sądzę.

– Może przy innej okazji, dobrze, Madziu?

– Okay – zgodziła się. – Ale mogę jeszcze u ciebie zostać?

– Pewnie. Chciałbym, żebyś została tak długo, jak tylko chcesz.

– Raczej jak długo mogę. – Uśmiechnęła się do niego.

– Masz rację – przyznał. – A jak długo możesz?

– Wejdę na swoje konto, okay?

Podeszła do komputera, chwilę przy nim posiedziała, po czym wróciła do łóżka.

– W porządku. – Wtulili się w niego. – Teraz mogę u ciebie zostać, dopóki mnie nie wywołają. Happy?

– Very happy – powiedział Marek i pocałował ją w czoło.

Położył się na niej i zaczął ją pieścić. Erekcja nie nadchodziła, ale nie oczekiwał jej. Obrócił Magdę na brzuch i zmysłowo masował jej plecy, schodząc coraz niżej.

– Mógłbyś na tym zarabiać – powiedziała.

Uśmiechnął się.

– Chętnie, pod warunkiem że klientki miałyby takie ciało jak ty.

– I bylibyś na tyle bezczelny, żeby brać od nich pieniądze? – Zaśmiała się szczerze i dotknęła dłonią jego uda.

Po kwadransie położył się, a ona przytuliła się mocno do niego i pocałowała go w usta.

– To było bardzo miłe – stwierdziła.

– Masaż?

– Nie – odparła. – To, jak do mnie powiedziałeś.

– Madziu? – nie był pewien.

– Uhm. Tak mówił do mnie ojciec. Będziesz tak do mnie mówił?

– Będę.

Znów go pocałowała i jeszcze mocniej do niego przywarła.

Jakiś czas później Marek obudził się i spojrzał na zegarek – dochodziła dwudziesta, za oknami było już ciemno. Magda brała prysznic. Odwrócił się na plecy i patrzył w stronę łazienki. Weszła do pokoju już ubrana i umalowana.

– Muszę iść – powiedziała.

– Ktoś cię...

– Tak. Kiedy spałeś, przyszedł e-mail – odparła, upinając włosy przed lustrem.

Wstał, objął ją od tyłu i pocałował w szyję.

– Nie idź – szepnął jej do ucha.

– Nie bądź dzieckiem – rzuciła oschle. – Wiesz, że muszę.

Od razu pożałował swojego naiwnego romantyzmu. Ona właśnie szykowała się do obciążania jakimś spaślakowi, a on wyskoczył z taką żenującą prośbą. Aż się zaczerwienił na myśl o tym, jak kretyńsko musiało to zabrzmieć.

– Przepraszam – bąknął wreszcie. – Naprawdę nie wiem, co mi odbiło.

– Nie ma sprawy – powiedziała Magda. – Wiem, że chciałeś dobrze. Serio, nie gniewam się. – Uśmiechnęła się, odwróciła i pocałowała go w policzek.

Podeszli do drzwi.

– Powiedz to – przerwała milczenie.

– Co?

– Pomyśl.

Uśmiechnął się.

– Madziu?

– Właśnie to. – Objęła go, pocałowała w szyję i otworzyła drzwi. – Do jutra?

– Tak, do jutra.

Gdy wyszła, Marek wrócił na łóżko, wziął pilota i włączył telewizor. Zaczął bezmyślnie przerzucać kanały, aż w końcu zatrzymał się na programie o scjentologach.

Nie ma takiej głupoty, w którą ochoczo nie uwierzyłoby parę milionów ludzi – pomyślał. – Rozumiem, że można wyznawać religię stworzoną kilkanaście wieków temu. Taka daje poczucie powagi, a nawet prawdziwości. Ale jak można wierzyć w coś, co wymyślono kilkadziesiąt lat wcześniej? Inna sprawa, że dziś zdecydowanie łatwiej wierzyć, iż Jezus jest Bogiem. Dwa tysiące lat temu przyjąć, że ten obdartus nazywający siebie Synem Bożym zrodził się z Ducha Świętego, to było coś.

Nagle uświadomił sobie, że nic tego dnia nie jadł. Czuł się już dobrze, ale nie chciało mu się wychodzić do restauracji, więc zamówił pizzę i pól

godziny później już się nią delektował, popijając piwem bezalkoholowym znalezionym w barku.

Każdy naród wniósł coś do wspólnego europejskiego wiana, tylko nie mój – pomyślał. – Pizza, bordeaux, Guinness, whisky, Abba, pilzner, tokaj... Każdy coś dorzucił, jedynie Polacy niczego nie dodali do tego zbiorowego dorobku. Tak, tak, jasne: Chopin i Kopernik. Ale czy naprawdę wszyscy wiedzą, że oni byli Polakami? No i czy są obecni w świadomości ludzi? Przecież życie takiego Kopernika to dla większości Europejczyków wiedza ezoteryczna.

Pamiętał, jak kiedyś doznał olśnienia. Jechał samochodem z grupą europosłów w Ugandzie, wracali skądś do hotelu. W radiu dominowały utwory brytyjskich grup, a obok Marka siedział akurat Anglik z partii torysów. I wtedy właśnie dotarło do niego, jakim leszczem jest i zawsze będzie przy tym Angolu. Bo co on, Marek Kastor, mógł zaoferować temu synowi Albionu, jeśli cały czas musiał mówić w jego języku i słuchać piosenek brytyjskich zespołów?

Przez chwilę wyobrażał sobie, jak by to było, gdyby sytuacja była odwrotna. Gdyby językiem internetu i wszelkich konferencji był polski, a w radiostacjach na całym świecie leciały kawałki Kombi i Republiki. Jakże inaczej by się wówczas czuł! Tak zapewne, jak czuł się przez całe życie ten nadęty Angol podskakujący obok niego na siedzeniu. Bo miał prawo do tego nadęcia. Marek wiedział z kolei, że on takiego prawa nie ma i nigdy mieć nie będzie. Oczywiście jego ziomkowie robili wiele, by polski naród mógł się czymś szczycić, by mógł powtarzać frazesy o szczególnym bohaterstwie Polaków, o tym, że to oni bronili demokracji czy też że w czasie drugiej wojny nie było wśród nich kolaborantów. Ale niestety wszystkie te przechwałki były gównem warte. Pamiętał, jak już jako dorosły człowiek, doktor na uniwersytecie, przeczytał, że o ile Polacy w 1939 roku zabili osiemnaście tysięcy żołnierzy niemieckich, o tyle Francuzi rok później około sześćdziesięciu tysięcy. Przez całą młodość żył w micie waleczności Polaków i tchórzostwa żabojadów, a potem okazało się, że ci drudzy zatłukli trzy razy więcej szkopów. Reszta tak zwanych prawd o jego narodzie była równie

podkrecona, nigdy więc nie rozumiał, jak można się zakochać na zabój w tak buraczano-ziemniaczanym bycie, jakim jest Polska.

Odstawił talerz z niedojedzoną pizzą, dopił piwo. Zastanawiał się, czy otworzyć jeszcze jedno, ale ostatecznie zrezygnował. Wyniósł pustą butelkę i talerz z resztkami jedzenia na korytarz i zamknął drzwi.

Było już po dziesiątej, więc umył zęby i postanowił się położyć. Sprawdził jeszcze profil Magdy – znów była obok niego zielona kropka. Wiedział jednak, że musi poczekać do jutra, by ponownie ją zamówić, jego pakiet pozwalał przecież tylko na dwie godziny z „asystentkami socjalnymi” dziennie. Bardzo teraz żałował, że nie wykupił szerszego.

Zgasił światło i wkrótce zasnął.

DZIEŃ TRZYNASTY

17 GRUDNIA

Obudził się wcześnie. Był w świetnym humorze. Ubrał się i pobiegł na plażę.

Program obowiązkowy – pomyślał, gdy po kwadransie zbliżył się do siatki i pozdrowił strażnika.

– A teraz jazda dowolna! – krzyknął i zawróciwszy, gwałtownie przyspieszył.

Kiedy dobiegał do zejścia na plażę w ośrodku, był cudownie wyczerpany. Zrzucił ubranie, nago wszedł do oceanu, a gdy woda sięgała mu do pasa, zanurkował. Popływał trochę wzdłuż brzegu, a potem położył się na wznak na powierzchni. Czuł się niemal szczęśliwy.

Jeszcze dwa tygodnie i już nic nie będę czuł – pomyślał i się uśmiechnął.

Pływał jeszcze kilkanaście minut, ale była to raczej zabawa w wodzie niż prawdziwy trening. Kiedy chciał już wyjść na brzeg, zobaczył, że obok jego ubrania ktoś stoi. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że jest nagi. Jakby w odpowiedzi na to osoba stojąca na plaży schyliła się, poszperała w jego ciuchach i, uśmiechając się szeroko, podniosła bokserki. Rozpoznał ją po tym uśmiechu – to była kobieta ze statku. Ta, która w czasie wycieczki na wyspę Kunta Kinte uspokoiła go, gdy dostał szału i tłukł grubasa butelką po głowie. Tkwiła obok jego ubrania, trzymając w prawej dłoni bokserki, i uśmiechała się do niego.

– Tego szukasz? – spytała.

– Tak – odpowiedział Marek. Stał jakieś dziesięć metrów od plaży, a woda ledwie zakrywała mu biodra. – Byłabyś tak uprzejma i rzuciła mi je? Choć najlepiej byłoby, gdybyś je tam zostawiła i się odwróciła.

– Tak? – zapytała i rzeczywiście odwróciła się w stronę ośrodka, tyle że wciąż patrzyła na niego przez lewe ramię.

Sytuacja zaczynała go bawić.

– Gdybyś jeszcze mogła odwrócić głowę...

– Czy tak? – powtórzyła tym samym tonem, ale teraz spoglądała na niego przez prawe ramię.

Marek uśmiechnął się.

– Ostrzegam, wychodzę! – powiedział głośno i ruszył na brzeg.

W tym momencie kobieta odwróciła się w jego stronę i bezczelnie patrzyła na jego penisa. Kastor stanął dwa metry od niej, a ona wyciągnęła rękę, w której wciąż trzymała bokserki.

– Rekina byś tym nie wystraszył – powiedziała, wskazując jego przyrodzenie. – Wiem, wiem, zimna woda...

– No i brak obiektu, przy którym mógłby się stać wielki – rzucił i czekał na jej reakcję.

Chwilę stała bez ruchu, po czym perliście się zaśmiała. Podeszła, złapała go za kutasa, jakby to była dłoń, dygnęła niczym na dworze angielskim i powiedziała:

– Bardzo mi miło, milordzie. Mam na imię Sara.

– Cała przyjemność po jego stronie – odparł Marek, wskazując penisa.

Wybuchnęli śmiechem. Sara odwróciła się, a Marek zaczął się ubierać.

– Skąd jesteś? – zapytał.

– Z Izraela – odparła. – Zjesz ze mną śniadanie?

Marek popatrzył na nią.

– To mój ostatni dzień – dodała, a gdy spuścił wzrok, lekko podniosła mu brodę palcem wskazującym i spojrzała w oczy. – Nie bój się, nie zjem cię.

– Oczywiście – powiedział. – Oczywiście, że zjem z tobą śniadanie.

– W restauracji europejskiej? Za pół godziny? Bo chyba nie chcesz tam pójść mokry?

– Jasne. Za pół godziny.

Pożegnali się i Marek ruszył w stronę hotelu.

– Hej, nieznajomy, jak masz na imię? – zawołała za nim. – Bo dotychczas poznałam tylko twojego małego kolegę.

– A rzeczywiście. – Kastor uświadomił sobie, że się nie przedstawił. – Marek. Mam na imię Marek i jestem z Polski.

– Czyli prawie z Niemiec... – Uśmiechnęła się, a on zupełnie nie wiedział, co miała na myśli.

W apartamencie wziął szybki prysznic, przebrał się i ruszył na śniadanie. Sara siedziała na werandzie i piła kawę.

– Już skończyłaś? – zapytał.

– Tak. Właściwie to nie jadłam. Kawa i papierosy powinny mi wystarczyć. No, może jeszcze koniak.

Wezwała kelnera i zamówiła kieliszek koniaku. Marek, choć był głodny, zdecydował się tylko na sok pomarańczowy, croissanta, jogurt i kawę. Nie chciał męczyć Sary zapachem jajecznicy czy smażonych kielbasek.

Gryzłyby się z kawą i koniakiem – pomyślał i zaczął się bawić tym skojarzeniem.

– Pijasz z mlekiem? – zapytała, widząc, że kelner przyniósł mu dzbanuszek.

– Nie, tylko czarna kawa ma sens – powiedział. – Picie jej z mlekiem to takie samo barbarzyństwo jak piwo z sokiem, co w moim kraju jest bardzo popularne.

– Piwo z sokiem? – zdziwiła się. – Chyba żartujesz?

– Nie. – Roześmiał się. – Szczególnie popularne jest wśród kobiet.

– Obrzydliwość.

Marek zauważył, że Sara też pije kawę bez mleka.

– Nie gniewasz się, że cię tu zaciągnęłam? – spytała nagle. – Nie krępuje cię to?

– W żadnym wypadku – odparł szybko. – Zresztą już na statku wydałaś mi się interesująca. Ten żart o raku skóry, którego nikt nie zrozumiał...

Uśmiechnęła się.

– Tak, to było zabawne.

Chwilę milczeli.

– Szkoda, że nie zatłukłeś tego skurwysyna na śmierć – przerwała nagle ciszę. – I to właśnie butelką coca-coli. Gnoj powinien skończyć na dnie tej brudnej rzeki.

– Nie lubisz ludzi, prawda? – rzekł Marek.

– Nie lubię świata – odparła Sara. – Ludzie są tylko jego dziećmi, więc to nie ich wina, że takie z nich wredne gnoje. W sumie i tak dobrze, że nie zabijają się częściej i brutalniej.

– Może to i racja, choć to raczej zasługa czegoś, co wymyślili, gdy zorientowali się, jacy są – zauważył Kastor. – Czyli państwa. Jedynej instytucji, która powstrzymuje ich przed ich okrucieństwem i brutalnością. Gdyby nie ono, mordowaliby się cały czas.

– Pewnie masz rację – mruknęła Sara. – Nie znam się na tym. Nigdy nie interesowałam się polityką, jeśli w Izraelu można nie interesować się polityką. Wiedziałam, że moim obowiązkiem jest bronić kraju, nienawidzić Arabów i nie dopuścić do nowego Holocaustu. Do tego ograniczało się moje zainteresowanie światem. Rozumiałam, że są mądrzejsi ode mnie, którzy zajmą się jego sprawami, a ja mam być po prostu szczęśliwa.

– Chyba się nie udało, prawda? – powiedział Marek i natychmiast przestraszył się swojego pytania.

Już chciał ją przeproszać, ale zobaczył, że się uśmiecha.

– Masz rację. Nie udało się. Inaczej by mnie tu nie było.

– Opowiesz mi? – zapytał cicho.

– W sumie nie po to zaprosiłam cię na śniadanie – odparła. – Wydałeś mi się po prostu fajnym facetem, a ja rzadko spotykałam fajnych facetów. Ale mogę ci powiedzieć, dlaczego tu jestem. To żadna tajemnica.

Pomilczeli chwilę, a Sara wypła łyk kawy.

– Straciłam dziecko – powiedziała wreszcie. – Przed dwoma laty odeszła moja trzynastoletnia córka. Zginęła w wypadku autokaru szkolnego, a z nią

pięcioro innych dzieci. Wszystkie, które siedziały obok niej, po prawej stronie, z przodu. – Utkwiła wzrok w filizance. – Gdyby usiadła z tyłu, ze swoją najlepszą przyjaciółką, żyłaby dziś. Ale ona siedziała akurat tam, po prawej, a autobus właśnie tą stroną wbił się w filar mostu. I tyle. Koniec.

– To było twoje jedyne dziecko? – zapytał Marek.

– Tak.

– A jej ojciec? – dopytywał. – Żyje?

– Tak, ale już dawno jesteśmy po rozwodzie – odparła. – Zresztą nie bardzo przejął się śmiercią Jasmin.

– Nie możesz tak mówić – przerwał jej. – Faceci inaczej to przeżywają.

– Ja go nie oskarżam – zapewniła Sara. – Nie mogę powiedzieć, że gównu go to obeszło. Płakał, gdy przekazałam mu tę informację przez telefon. Przyjechał na pogrzeb. Wyglądał na rozbitego. Zaoferował nawet, że zamieszka ze mną na jakiś czas, by mnie wesprzeć. Słowem, zachował się przyzwoicie. Tylko że szybko mu to minęło. Niespełna trzy miesiące później wrzucił na fejsa swoje fotki z Rio. Stał na nich półnagi na Copacabanie i szczyrzył ten swój durny ryj do aparatu. Rozumiesz? Osiemdziesiąt dwa dni po śmierci córki był szczęśliwy na wakacjach w Brazylii. Psy dłużej przeżywają utratę swoich szczeniąt niż ten kutas.

– Nie możesz mieć do niego o to pretensji – powiedział Marek.

– Jasne, że mogę! – przerwała mu ostro. – I, kurwa, mam! Mam do tego chuja pretensje, bo to obrzydliwe tak szybko poradzić sobie ze stratą dziecka!

– A ile niby musi trwać żałoba? – zapytał Marek prowokacyjnie. – Kiedy może się skończyć?

– U suk po trzech miesiącach. Dla człowieka żałoba po stracie dziecka nigdy się nie kończy – odparła twardo Sara. – Masz dzieci?

– Nie. To znaczy, niby mam, ale tak naprawdę to nie. Myślisz, że nie potrafię tego zrozumieć?

– Wybacz, Marku, ale nie – powiedziała. – Nie chcę, żeby to źle zabrzmiało, ale ktoś, kto nie ma dzieci, nie może sobie wyobrazić, co znaczy

ich strata. To najgorsza rzecz, jaka może cię spotkać.

– I to jest powód, dla którego tu przyjechałaś?

– Tak. Jasmin była całym moim światem. On umarł dwa lata temu.

– Nie chcesz mieć kolejnych dzieci? Przecież jesteś jeszcze młoda. Wyglądasz najwyżej na czterdzieści lat i mogłabyś...

– Naprawdę jesteś taki głupi? – przerwała mu ostro. – Myślisz, że dziecko to bryka? Że jak skasujesz jedną, to sprawiasz sobie następną?

– Przepraszam – rzekł Marek.

– Nie przepraszaj. To nie twoja wina. Po prostu ktoś, kto nie ma dzieci, nie potrafi zrozumieć tych, którzy je mają. Teraz ty mi wybac.

– Oczywiście, żadnej obrazy – zapewnił ją.

– Widzisz, ona naprawdę była całym moim światem – kontynuowała po chwili. – Ludzie tak mówią, gdy rodzi im się dziecko, ale to prawda. Wszystko inne przestaje się wtedy liczyć, nie ma ważniejszej sprawy niż zdrowie i szczęście twojego dziecka. Oczywiście mówię tu o normalnych ludziach, a nie o psychopatach, którzy zaniedbują dzieci, bo służba narodowi, bo praca, bo alkohol, bo koledzy. Dla normalnych ludzi ich dzieci zawsze już są głównym punktem odniesienia. Planujesz zmianę pracy? Okay, ale od razu zastanawiasz się, czy twoim dzieciom to nie zaszkodzi. Chcesz wyjechać na wakacje? Dobrze, ale sprawdzasz, czy w hotelu jest plac zabaw. Myślisz o sylwestrze, ale najpierw szukasz sensownej opiekunki. I tak już zostaje. Dzieci dorastają, a ty wciąż jesteś na nich skoncentrowany. Nic innego się dla ciebie nie liczy.

Sara chciała napić się kawy, ale zorientowała się, że ma już pustą filiżankę. Zawołała kelnera i zamówiła espresso.

– Dla ciebie też? – zapytała Marka.

– Nie, dzięki, jeszcze mam.

– No i tak to właśnie wygląda, Polaku – westchnęła. – Więc gdy nagle coś odbiera ci to centrum twojego świata, jest tak, jakby ktoś ukradł nam Słońce. Niby Ziemia jeszcze istnieje i obraca się wokół własnej osi, ale nie krąży już dookoła czegoś większego. I panuje na niej noc. Straszna noc, której nic nie

rozświetla. A ja w tej czerni nie chcę żyć. Po prostu nie chcę.

– Masz nadzieję, że ją spotkasz? – zapytał Marek.

– Nie, nie wierzę w to – powiedziała i popatrzyła na niego smutno. – Nie wierzę, że Jahwe z jakiegoś sobie tylko znanego powodu odebrał mi ją, a teraz pozwoli nam się połączyć. Boga nie ma, bo gdyby był, nie zabrałby mi córki. Nie pozwoliłby, żeby kierowca uderzył w most akurat prawą stroną. Nie wierzę w to, że jeszcze dziś zobaczę Jasmin i ją przytulę. Zresztą gdyby Jahwe istniał i tak to wszystko zaplanował, nie chciałabym chyba znać. Po co mi pieprzony sadysta, który najpierw zabija moją córeczkę, a potem mi ją oddaje, ciesząc się, że splątał mi takiego figła? – Umilkła na moment. – Zabijam się nie po to, by zobaczyć Jasmin, ale po to, by już nie myśleć o tym, że ją bezpowrotnie straciłam. Nie jestem idiotką jak ci islamscy terroryści, którzy wysadzają się w powietrze w naszych miastach, bo ich brodaci, śmierdzący potem imamowie wmówili im, że gdzieś tam czekają na nich siedemdziesiąt dwie dziewice. Chciałabym zobaczyć zdziwione gęby tych wieprzy, gdy orientują się, że nic takiego ich nie czeka. Że w ogóle nic ich nie czeka. Tylko te durne arabusy mogły wymyślić takie bzdury, a potem w nie uwierzyć. Nie, Marku, ja w to nie wierzę. Nie wierzę w raj arabusów ani w raj żydowski. I w ten wasz, chrześcijański, też nie wierzę. Nie wierzę w żaden raj.

Sara umilkła, Marek także się nie odzywał. Oboje patrzyli na ocean.

– Muszę już iść – powiedziała w pewnym momencie. – To znaczy nie muszę, ale chcę. Dziękuję, że mnie wysłuchałeś. Utwierdziłam się w przekonaniu, że słusznie robię.

Marek nie wiedział, czy powinien jakoś oponować, podważać to, co usłyszał. Nie bardzo zresztą miał argumenty. Poza tym Patrick nie pozostawił mu złudzeń – nawet gdyby Sara się rozmyśliła i tak niczego by to nie zmieniło w jej sytuacji. W sytuacji gościa „Great Final”.

– Muszę już iść – powtórzyła. – Przepraszam, że nie wysłuchałam twojej historii. Nie interesuje mnie ona. Trochę nieładnie to brzmi, ale zrozumiesz mnie. Jesteś mądrym człowiekiem. Pojęłam to, gdy zobaczyłam cię płaczącego na wyspie. Ja też bym płakała, ale wylałam już wszystkie łzy.

Wstała i wyciągnęła do niego rękę. On także się podniósł. Uścisnął jej dłoń, a ona pocałowała go w policzek.

– Żegnaj, Polaku – powiedziała.

Gdy wyszła z restauracji, Marek zaczął się zastanawiać, czy nie powinien powiedzieć jej czegoś na pożegnanie, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

– Rachunek proszę – rzucił do przechodzącego kelnera.

Mężczyzna popatrzył na niego z uśmiechem – pewnie nie pierwszy raz się z tym spotkał. Marek od razu zorientował się, co tak rozśmieszyło kelnera, i uśmiechnął się do niego przepaszająco. Posiedział jeszcze kilka minut w restauracji, po czym wrócił do pokoju.

Zalogował się do sieci ośrodka i sprawdził, czy Magda jest dostępna. Była. W pierwszej chwili postanowił od razu z nią porozmawiać, ale stwierdził, że jeśli teraz ją zamówi, to za dwie godziny zostanie sam, a tego nie chciał. Zamówił ją więc na dwudziestą pierwszą i otrzymał potwierdzenie, że stawi się u niego o wyznaczonej porze.

– Umówiłem się z nią na dziewiątą – powiedział na głos i się uśmiechnął.

Miał więc dla siebie jeszcze prawie dziesięć godzin. Na zewnątrz zaczęło się już robić gorąco, postanowił zatem zostać w apartamencie i trochę poczytać. Wrócił do Hrabala i delektował się krótkimi fragmentami. Przypomniał sobie, że Hrabal specjalnie nauczył się polskiego, by móc czytać w oryginale Schulza. Opisywał kiedyś, jak czytał po pół strony, a potem wychodził na ulice Kerska, tak go ta lektura oszalała.

Przed czwartą Marek zamówił do pokoju pastę carbonara, zjadł ze smakiem i wrócił do lektury. Tym razem wybrał Herberta. Czytał tylko te wiersze, które świetnie znał i mógł wręcz cytować z pamięci.

Jeśli do tej pory coś mnie nie zachwyciło czy nie przeraziło, to już nie zachwyci i nie przerazi – pomyślał i dalej czytał tylko ulubione utwory.

Po jakimś czasie zdrzemnął się, a gdy się ocknął, było po siódmej.

Dwie godziny do randki – pomyślał i roześmiał się głośno.

Pobiegł do restauracji japońskiej, pochłonął zupę z łososia i szybko wrócił do apartamentu. Była dwudziesta. Wziął kąpiel – prysznic byłby za szybki.

Gdy wyszedł z łazienki, była dopiero ósma dwadzieścia pięć. Położył się w szlafroku na łóżku i czekał na Magdę. Nagle, tknięty czymś, podniósł się i podszedł do szafy. Zrzucił z siebie szlafrok i zaczął się zastanawiać, w co się ubrać.

Naprawdę zachowuję się jak przed pieprzoną randką – pomyślał z rozbawieniem.

Zdecydował się w końcu na białe bawełniane spodnie i niebieski T-shirt, ale został bosy.

– No już bez przesady – powiedział na głos. – Może jeszcze mam założyć fular, żeby było elegancko?

Usiadł w fotelu, włączył telewizor, znalazł kanał muzyczny i lekko ściszył głos.

Magda przyszła parę minut po dziewiątej. Gdy otworzył drzwi, pocałowała go w usta i wsunęła się do środka.

– A ty co tak ubrany, jakbyś się znów z dyrektorem na rybki wybierał? – rzuciła zaczepnie.

Nic nie powiedział, bo przypomniał sobie rejs, na którym Magda była jedną z sześciu towarzyszących im prostytutek. Dziwnie go to zabolalo.

– Mjuzik, nastrój, ciuchy kapitana – powiedziała. – Szykujesz się na randkę?

Dopiero teraz popatrzyła na niego. Miał strapioną minę, bo wydał się sobie śmieszny i żaloszny. Stał na środku pokoju w kapitańskim wdzianku i próbował poderwać kurwę. No i jeszcze myślał, że między nimi jest coś więcej niż tylko życzliwa uprzejmość.

Szybko to zrozumiała, podeszła i objęła go za szyję.

– To dla mnie? Naprawdę dla mnie? – spytała. – Idiotycznie się zachowałam. Wybaczysz mi?

– Oczywiście – odparł nieprzekonująco. – To rzeczywiście było żaloszne.

– Ależ nie! – zaprzeczyła gwałtownie. – To słodkie. Już dawno nikt mnie tak miło nie zaskoczył. Słyszysz?

Marek wciąż nie był przekonany.

– Jeśli mi nie wierzysz – zawołała Magda, wskakując mu na biodra i obejmując go nogami – to będę tak na tobie wisieć, aż powiesz, że mi wybaczasz. To jak?

Zaśmiał się.

– Takiemu szantażowi muszę ulec, tym bardziej że za chwilę pieprznie mi kręgosłup.

– Oj już nie mów, że jestem taka gruba – zeskoczyła z niego – bo zaraz ja się obrażę i dopiero będzie awantura.

Pocałował ją i posadził na brzegu łóżka.

– Napijesz się czegoś? – spytał.

– Jeśli to randka – uśmiechnęła się i popatrzyła kokieteryjnie w sufit – to poproszę szampana i truskawki.

Marek podszedł do telefonu i zaczął wybierać numer. Magda podbiegła do niego.

– Nie wygłupiaj się! Tylko żartowałam!

Ale w tym momencie odezwał się ktoś z obsługi.

– Champagne and strawberries, please – rzucił Marek do telefonu. – As soon as possible. My lady and me are waiting.

Gdy odłożył słuchawkę, Magda pocałowała go w usta.

– Wariat jesteś i tyle – powiedziała.

W ciągu kwadransa w pokoju znalazły się butelka francuskiego szampana, miseczka truskawek i talerz z bitą śmietaną.

Marek popatrzył na bitą śmietaną i zapytał:

– Widzisz to samo, co ja?

– Oczywiście, milordzie – odparła Magda i podeszła do stolika. – Co więcej, mam te same skojarzenia, co jego lordowska mość.

Marek się uśmiechnął.

– Chodź zatem, prosta dziewczko, i uczynić swą powinność.

Szybko się rozebrali. Magda nałożyła na penisa Marka dużo śmietany, ukłękła i zaczęła zmysłowo go ssać. Po niespełna pięciu minutach spuścił się

jej do ust.

– Mniammm – mruknęła przeciągle.

– Wreszcie ci smakowało.

– Z tobą zawsze mi smakuje.

– Kłamczuszka – rzucił Marek ze śmiechem. – Ale przynajmniej odpokutowałaś swoje winy z początku spotkania.

– Przynajmniej tyle – zgodziła się.

– To jednak niesamowite, jak bardzo jesteśmy przewidywalni, prawda? – zauważył. – Wbrew temu, co sami o sobie sądzimy.

– Co masz na myśli? – zapytała, kładąc się obok niego na łóżku.

– No wiesz, ta bita śmietana – odparł. – Niby jesteśmy dorosłymi i niegłupimi ludźmi, ale jak tylko ją zobaczyliśmy, oboje pomyśleliśmy o jednym: nałożyć ją na kutasa i zlizać.

– Naprawdę właśnie to przyszło ci do głowy? – zapytała Magda.

Marek nie bardzo wiedział, o co jej chodzi.

– No pewnie.

– Nałożyć ją na kutasa i zlizać? – ciągnęła.

– No tak.

Uśmiechnęła się do niego szelmowsko.

– W takim razie ja cię bardzo przepraszam.

Marek nie widział zastawionej na niego pułapki.

– Za co?

– No za to, że to ja zlizalam tę śmietanę! Gdybym wiedziała, że tak bardzo chcesz to zrobić, tobym ci ją zostawiła!

Marek złapał poduszkę i chciał ją uderzyć, ale się odsunęła.

– Mogłabym ci nawet jakoś pomóc. Nie wiem, może dociskać plecy?

Wyskoczyła z łóżka i zaczęła uciekać do łazienki. Marek ruszył za nią.

– Już ja ci zaraz coś docisnę! – krzyknął, śmiejąc się. – Za takie zniewagi żądam analu! Słyszysz? Analu!

Magda zamknęła się w łazience.

– Chcesz analu? – zawołała przez drzwi. – Mam zadzwonić do chłopaków czy wolisz, żebym cię przeleciała moim dildo?

Marek zaczął się histerycznie śmiać, bo zorientował się, że znowu wpuścił się w kanał, a Magda bezlitośnie to wykorzystała. W końcu jednak zapukał spokojnie do drzwi.

– Otwórz, proszę – powiedział. – Wygrałaś.

Otworzyła, wciąż się uśmiechając, podeszła i objęła dłońmi jego twarz. Marek schylił się i pocałował ją w usta.

– Bardzo cię lubię, Madziu – powiedział.

– A ja cały dzień myślałam tylko o tym, że wieczorem będę u ciebie – odparła i przytuliła się do niego.

Wrócili do łóżka. Marek otworzył szampana, a Magda zaczęła jeść truskawki.

Spędzili razem następne trzy godziny. Krótco po północy otrzymała e-mail z informacją, że ktoś ją zamówił, i zaczęła się ubierać. Przed rozstaniem raz jeszcze pocałowali się czule.

– Do jutra? – zapytała.

– Do jutra – potwierdził. – Znów o dziewiątej?

– Super – powiedziała. – Pa.

I zniknęła za drzwiami.

Marek jeszcze chwilę pooglądał telewizję, a potem zgasił światło i szybko zasnął.

DZIEŃ CZTERNASTY

18 GRUDNIA

Gdy tylko się obudził, sprawdził w intranecie dostępność Magdy. Można ją było zamówić, więc zarezerwował spotkanie na dziewiątą wieczór. Miał do dyspozycji prawie dwanaście godzin. Nie chciało mu się biegać, szczególnie że poprzedniego ranka lekko się przeforsował i bolało go prawe kolano nadwerężone w młodości na treningach karate. Wtedy niedoświadczeni trenerzy zbyt eksplloatowali swych podopiecznych i teraz prawie każdy z nich skarżył się na jakieś dolegliwości. Oleś i Tomek, dwaj ostatni przyjaciele Marka, też narzekali a to na kręgosłup, a to na kolana właśnie.

– Trzeba płacić za to, że w młodości imponowało się koleżankom siadaniem w szpagacie – powiedział kiedyś Tomek. – Wszystko ma swoją cenę.

– Jasne – odparł Oleś. – Tylko że moja żona nie poleciała na mnie ze względu na szpagat, natomiast za dziesięć lat będzie mnie musiała wozić na wózk z powodu tamtych szaleństw. To raczej niesprawiedliwe.

– Jeśli o nią chodzi, może i tak – zauważył Tomek. – Ale za to tamte laski były zachwycone. Widziały cię w najlepszej formie, a nie będą oglądać w najgorszej. Czyż tego właśnie filozofowie nie nazywają sprawiedliwością? Jak ktoś ma jedną nogę krótszą, to drugą, siłą rzeczy, dłuższą. I to jest fair.

Marek umył się i ubrał. Poszedł na śniadanie i został na nim aż do jedenastej. Gdy siedział na werandzie, nagle przypomniał sobie o Sarze. Poprzedniego dnia o tej porze rozmawiał z nią w tej właśnie restauracji. Ale Sara już nie żyła. Ocean wciąż wyglądał tak samo, kelnerzy uwijali się w podobny sposób, generalnie wszystko było identyczne jak dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Tylko jej nie było. A za dwa tygodnie nie będzie też

jego. W tym właśnie momencie postanowił, że nie wykorzysta pełnego miesiąca i zafunduje sobie wielki finał już drugiego stycznia. Z tego, co pamiętał, jego pobyt kończył się czwartego czy piątego, ale uznał, że drugi stycznia będzie najlepszy.

Z restauracji zadzwonił do biura DeWaela i poprosił o krótkie, jak zaznaczył, spotkanie. Asystentka zostawiła go na linii, po czym poinformowała, że jeśli ma ochotę, dyrektor gotów jest przyjąć go od razu. Potwierdził, że się zjawi, i ruszył w kierunku głównego budynku.

Patrick przyjął go ze zwykłą wylewnością. Marek przekazał mu bez zwłoki, że postanowił skrócić pobyt w ośrodku. Belg wyglądał na naprawdę strapionego.

– Ale dlaczego? – zapytał ze smutkiem. – Coś jest nie halo? Przestało ci się tu podobać? Mam coś zmienić?

– Nie – odparł Marek. – Tak po prostu będzie lepiej. Dwa czy trzy dni nie robią przecież różnicy, a ja właśnie uświadomiłem sobie, że drugiego stycznia urodził się mój ojciec, babka ze strony mamy i Ewa, moja pierwsza miłość. Taka koincydencja. Ani to dobry, ani zły dzień, ale będzie jakoś symbolicznie. No i dwa dni przed moimi pięćdziesiątymi urodzinami. Idealnie.

– Gównie symbolicznie i idealnie. – DeWael nie wydawał się przekonany. – Co to za teoria? W tej sprawie nie ma żadnych symboli, wiesz to równie dobrze jak ja.

– Masz rację, ale nie naciskaj – rzekł pojednawczo Marek. – Bądź dobrym przyjacielem i spełnij moją prośbę.

– Teraz to „bądź dobrym przyjacielem” – Patrick powoli godził się z jego decyzją – ale jak dobrze radzę, to mnie nie słuchasz. W porządku, będzie, jak sobie życzysz. Dzieckiem nie jesteś.

Na chwilę zamilkli. Belg podszedł do barku i nalał im po szklaneczce szkockiej.

– A może chociaż jakoś poszerzymy twój pakiet? – powiedział. – O widzisz! Na to musisz się zgodzić. Skoro skracasz pobyt, musisz przystać na

poszerzenie pakietu. Przyjacielowi się nie odmawia.

– No dobrze. – Marek roześmiał się. – Ale co zrobisz? Zwiększysz mi porcje posiłków? Podkręcisz klimę?

– Rozszerzę ci pakiet towarzyski. – Patrick uśmiechnął się znacząco. – I co ty na to? Trafiłem?

– Tydzień temu byłbym ci wdzięczny, ale szczerze mówiąc – Kastor popatrzył na dyrektora – poznałem tu świetną dziewczynę i raczej nie mam już ochoty na inne.

– Mówisz o Magdzie?

– Tak. Skąd wiesz?

– W końcu jestem kierownikiem tego ośrodka. – DeWael był z siebie autentycznie zadowolony. – Daj spokój, przecież kontroluję wszystko na bieżąco. Również to, kto kogo zamawia. Nie robię tego z ciekawości, choć to kuszące, ale ze względów bezpieczeństwa. Mieliśmy tu kilka przykrych przypadków i dmuchamy na zimne.

– Przykrych przypadków? – zdziwił się Marek.

– Przyjacielu – zaczął Patrick – ufamy sobie, więc będę wobec ciebie szczery. Pamiętaj, że my tu pracujemy w skrajnych warunkach. Powiem krótko: zdarzały się zabójstwa dziewczyn.

– Co?!

– Tak, zabójstwa. Za mojej kadencji zginęły trzy dziewczyny, a dwie cudem uniknęły śmierci.

– Patrick, co ty mówisz? – Marek wciąż nie mógł w to uwierzyć.

– Żeby było ciekawiej – kontynuował Belg – jedną z tych dwóch, które ledwo uszły z życiem, była twoja Magda.

– Magda? – Marek był zszokowany. – Co się stało?

– Już mówię. – DeWael nalał im jeszcze po szklaneczce whisky i rozsiadł się w fotelu. – Może najpierw o tamtych trzech. No cóż, padły ofiarą psychopatów. W każdym z tych przypadków zombiak zamówił dziewczynę do apartamentu i ją zabił. My tu nie mamy podglądu waszych pokoi, nie wiemy, co się w nich dzieje. Ale jak dziewczyna nie wracała po umówionym

czasie, to dzwonił. Jeden od razu się przyznał i, wyobraź sobie, jeszcze się tym chwalił. Zupełnie jakby czekał, aż ktoś z recepcji zadzwoni i spyta o dziewczynę, a on będzie mógł wreszcie powiedzieć, że ją zjebał. Ten pierwszy, Niemiec, poderżnął dziewczynie gardło i patrzył, jak umiera. Sekcja zwłok wykazała, że zrobił to tak nieudolnie, że męczyła się prawie godzinę. Pochodziła z Chorwacji, piękna była.

– To straszne.

– Powiedział potem, że przed śmiercią chciał zobaczyć, jak to jest kogoś zabić – ciągnął Patrick. – Ale jeszcze gorszy był ostatni zbok. Z nim był ten problem, że miał wypasiony pakiet, więc mógł mieć dziewczyny cały czas. Jebany Rusek. Zamówił sobie śliczną, młodą rodaczkę i miał z nią spędzić ostatni miesiąc. Wcześniej przez dwa miesiące zachowywał się w miarę normalnie, o ile te Nowe Ruskie w ogóle wiedzą, co to znaczy. Ale po kilku dniach, gdy zamówił już Tatianę, przestał wychodzić na zewnątrz, a jedzenie zamawiał do pokoju. Zabronił też u siebie sprzątać. W końcu jednak ktoś z obsługi poczuł smród. Bydlak nie chciał nas wpuścić i wtedy już wiedziałem, że stało się coś strasznego. Gdy wyważyliśmy drzwi, Tania nie żyła od co najmniej tygodnia, a on z nią nadal... no wiesz...

Kastor milczał.

– Ten środkowy zrobił to chyba przypadkiem – odezwał się Belg. – W czasie seksu tak zaciągnął pończochę na szyi dziewczyny, że ją udusił. Wezwał zaraz ochronę, ale było już za późno.

– A Magda? – zapytał Marek. – Jak było z Magdą?

– A o tym może niech sama ci opowie.

– Masz rację. Tak będzie lepiej.

Znów milczeli przez chwilę, popijając whisky.

– I co się stało z tymi facetami? – zapytał Marek.

– No cóż, umarli. – Patrick uśmiechnął się, ale w jego uśmiechu było coś strasznego.

– Chcesz mi coś powiedzieć?

– Marku, kurwa, nie mogę aż tak ci zaufać.

– Przecież wiesz, że niczego stąd nie wyniosę. Nie uśmiecha mi się los Jorge. A poza tym, Patricku, naprawdę uważam cię za przyjaciela.

– W porządku, ale mam nadzieję, że po tym, co usłyszysz, nie stracę twojej przyjaźni.

Marek pokręcił tylko głową.

– Widzisz, prawda jest taka, że o żadnym z tych zabójstw nie poinformowaliśmy tutejszej policji – powiedział wreszcie DeWael. – Ani policji z Niemiec, Rosji czy Chorwacji. Załatwiliśmy to sami.

– Co to znaczy?

– W każdym z tych przypadków nasze brukselskie biuro skontaktowało się z rodziną dziewczyny i przekazało, że ta zginęła w wypadku na morzu, a ciała nie odnaleziono. Ponadto wypłaciliśmy milionowe odszkodowania. Milionowe, rozumiesz? W euro. Więc rodziny jakoś pogodziły się ze stratą, zwłaszcza że, bądźmy szczerzy, do tej pracy nie przyjeżdżają tu ukochane córki i ubóstwiane żony. To raczej dziewczyny mające trudne relacje z bliskimi, jeśli w ogóle jakiegokolwiek. Tak więc ich najbliżsi na widok czeku na kilka milionów euro jakimś cudem zapominali o zawiadomieniu Interpolu.

– A ci mordercy? – zapytał Marek. – Co z nimi się stało?

– Przecież ci powiedziałem, że umarli.

– Tak po prostu?

– Oj, już nie bądź taka pierwsza naiwna – rzekł wolno Patrick. – To było kurewsko odległe od po prostu. Osobiście o to zadbałem. Wiesz, nie jestem krystalicznie czystym człowiekiem i potrafię zrozumieć, że czasami trzeba kogoś zabić. Bo taka jest konieczność i zwyczajnie nie da się inaczej. Tak, potrafię to zaakceptować, a nawet zrobić. Ale zabić kogoś ot tak, dla zabawy? Tylko po to, żeby zobaczyć, jak to jest? Albo żeby poruchać sobie trupa? Co to, to nie, przyjacielu. Co to, to nie.

– Co z nimi zrobiłeś?

– Pobawiłem się z nimi – odpowiedział cicho Belg. – Tak jak oni bawili się ze swoimi ofiarami. Oj tak, zatańczyłem sobie z nimi. Ten od pończochy

zdechł szybko i w sumie bezboleśnie, jak usypiany pies. Ale pozostałym dwóm chyba się nie podobało...

Marek popatrzył na niego z przerażeniem, ale bez oburzenia czy pogardy. W sumie nie wiedział, jak zareagować. Przed nim siedział człowiek, który właśnie przyznał się do stosowania tortur i popełnienia trzech zabójstw. Oraz do zatajenia trzech innych. A jednak patrzył spokojnie, bez nienawiści, jak DeWael siedzi w fotelu, spogląda przez okno i popija whisky.

Oto człowiek – pomyślał. – Oto człowiek, który zabił innych ludzi, a teraz siedzi tu i gawędzi ze mną. W dodatku daje się lubić i jest naprawdę czarujący.

– Nie chcę cię potępiać... – zaczął.

– I nie rób tego, proszę – szybko zareagował Patrick. – Naprawdę, oszczędź sobie i mnie tych słów. Nie możesz powiedzieć niczego, do czego sam nie doszedłem przez lata pracy w tym ośrodku, więc nie marnujmy czasu na banały.

– Okay – rzekł cicho Marek. – Mam jeszcze tylko jedno pytanie.

– Tak? Dawaj.

– Jak to jest w czasie wielkiego finału? Wiem tylko, że to nie boli i że jest w miarę przyjemne. Ale jak to konkretnie wygląda?

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – zapytał DeWael. – Bo to właśnie nasza niespodzianka dla gości. Ostatni prezent. W dodatku, i tu masz rację, bezbolesny i miły.

– Proszę...

Dyrektor wziął głęboki oddech.

– No cóż, wszystko trwa około godziny. Wprowadzamy gościa do naszego planetarium. Zapewne widziałeś ten wielki, okrągły budynek na plaży. Ma specjalne szyby. Na początku widać przez nie ocean, ale później zaczynają matowieć i w środku zapada ciemność. Kładziemy zombiaka na stojącym pośrodku łóżku i podajemy pierwszy środek. To bardzo lekki narkotyk o relaksującym działaniu. Potem kopuła się otwiera i widać piękne, rozgwieżdżone niebo. Na wypadek chujowej pogody mamy oczywiście

przygotowaną jego imitację. Moim zdaniem jest nawet lepsza niż oryginał, no ale to już kwestia gustu. Następnie kopuła się zamyka i na sklepieniu oraz ścianach wyświetlane są filmy i zdjęcia z życia klienta. Wydobycie ich od waszych bliskich i znajomych to zadanie researcherów „Great Final” i między innymi dlatego nasze usługi są tak drogie. Ale efekt jest zajebisty. Wiele razy widziałem naszych gości w tym momencie i powiem ci, Marku, nie ma chuja, żeby zombiak nie rozplakał się ze szczęścia. Wtedy zmieniamy skład podawanego środka. To już silniejszy narkotyk. Ta faza trwa około kwadransa. Wciąż puszczana jest ulubiona muzyka gościa, a na ścianach i suficie przesuwają się twarze bliskich, znane miejsca, fajne wydarzenia z dzieciństwa czy młodości. Gdy operator widzi, że zombiak zamknął na dobre oczy, lekko zwiększa natężenie dźwięku i ostatni raz strzela klientowi w żyłę. Jak mówiłem, całość trwa około godziny i, możesz mi wierzyć, ani przez chwilę nie boli. Nigdy, ale to nigdy nie mieliśmy tu awarii. To dla mnie kwestia honoru.

– Rzeczywiście wygląda to dobrze – odezwał się wreszcie Marek.

– Lepiej niż dobrze! – zawołał Patrick. – To prawdziwy wielki finał! W końcu nazwa zobowiązuje.

Marek podniósł się z fotela.

– Dzięki za spotkanie. I doceniam szczerą, naprawdę.

– Ja też się cieszę, że wpadłeś – rzekł Belg i uścisnął go. – A z tym drugim stycznią jesteś pewien?

– Tak.

– Wobec tego postanowione. Będzie, jak chcesz.

Do spotkania z Magdą zostało jeszcze dobrych siedem godzin, więc Marek postanowił coś zjeść. Zdecydował się na sushi. Kiedyś w Polsce jedzenie go było oznaką bogactwa i klasy, potem aspirowania do nich, a na końcu już tylko chamy żarły ten ryż z surowymi rybami, podobnie jak wcześniej chińczyszynę. Ale Marek miał sentyment do tego smaku. Przez moment się zastanawiał – załapał się chyba na drugą fazę konsumpcji sushi w Polsce, tę aspiracyjną.

Po obiedzie postanowił wrócić do siebie i trochę poczytać. Temperatura zrobiła się nieznośna i najlepsze, co zdołał wymyślić, to zamknięcie się na te kilka godzin w klimatyzowanym apartamencie.

Gdy wszedł do pokoju, zauważył migającą ikonkę poczty na ekranie komputera. Jakaś Veronica z recepcji z przyjemnością informowała go w e-mailu, że decyzją dyrektora DeWaela rozszerzony został jego „pakiet towarzyski”, w związku z czym ma prawo wskazać dziewczynę, która odtąd będzie przebywać z nim dwie godziny dziennie. Recepcjonistka informowała również, że nie ogranicza to jego dotychczasowego prawa do dwugodzinnych spotkań z innymi kobietami. W załączniku znalazł profile czterech dziewczyn, spośród których miał wybrać tę na dodatkowe spotkania. Jedną z nich była Magda.

Marek uśmiechnął się.

– Kochany Patrick – powiedział na głos. – Prawdziwych przyjaciół poznaje się na końcu.

Od razu odpisał na e-mail. Podziękował za ofertę, wskazał Magdę jako „additional girl” i zapytał, czy promocja weszła już w życie. Veronica potwierdziła i spytała, czy chciałby przedłużyć dzisiejszą wizytę Magdy, którą widzi w systemie, o dodatkowe dwie godziny. Odpowiedź mogła być tylko jedna. I tak po kolejnych dwóch minutach Marek wiedział już, że Magda zostanie u niego nie do dwudziestej trzeciej, ale do pierwszej w nocy. Był bardzo zadowolony.

Była dopiero szesnasta, więc postanowił poczytać trochę Czechowa, a potem się przespać, jeśli tylko najdzie go ochota. Czechow nastrojał go nostalgicznie, co od kilku lat prawie zawsze kończyło się popołudniową drzemką. Dziwna reakcja organizmu, ale właśnie tym różnił się on od jego dwudziestoletniego ciała. Wtedy autor *Wujaszka Wani* działał na niego elektryzująco – chciał wstawać i nie tracąc czasu, biec w poszukiwaniu miłości. Obecnie wolał się położyć i trochę pospać.

Czechow nie zawiódł go i tym razem. *Mewa* zadziałała jak cudowny środek nasenny, kojący i relaksujący. Gdy się obudził, była już prawie siódma. Odświeżył się i poszedł na kolację. Dla odmiany zamówił zwyczajną pizzę

i wypił dwie lampki czerwonego hiszpańskiego wina. Krótco po ósmej był z powrotem w apartamencie, wykapał się i czekał na Magdę.

Gdy wreszcie zapukała do drzwi, był tak stęskniony, że natychmiast zaczęli się kochać. Szybko i gwałtownie. Magda zdołała tylko powiedzieć, że ma nadzieję, iż nie będzie tego robił przez cztery godziny.

Marek się uśmiechnął.

– A więc już wiesz?

– No pewnie – odparła. – Poinformowano mnie o tym zaszczyście. Zanudzimy się.

Marek nie wiedział, czy żartuje. Miał nadzieję, że nie, ale nie dał po sobie poznać, że zastanawia się nad tym.

Po seksie położyli się obok siebie.

– A tak poważnie, cieszysz się, że będziemy spędzać ze sobą więcej czasu? – spytał.

– Oczywiście. Miałaś co do tego wątpliwości?

– Cieszę się.

– Ja też. – Obdarzyła go tym swoim szelmowskim uśmiechem i już wiedział, że zaraz usłyszy jakąś słodką impertynencję. – Przecież ty nie dasz rady kochać się dwa razy w ciągu czterech godzin, więc lepiej pogadać z tobą po polsku niż jakiemuś dupkowi usługiwać po francusku.

Marek wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem.

– Nie mogłabyś być miłsza? – spytał, gdy już się trochę uspokoił. – No i żebyś się nie zdziwiła.

– Ho, ho! – Popatrzyła na niego z udawanym podziwem. – Odezwał się w tobie dwudziestolatek! Ale tylko odezwał, co?

– No raczej tak. – Uśmiechnął się. – Dwudziestolatka to ja mogę udawać już tylko w gębie.

Otworzył wino i rozlał do kieliszków. Magda przytuliła się do niego i włączyli telewizor. Zaczęli oglądać jakiś włoski film i podkładać własne kwestie pod słowa aktorów.

– Możesz mi odpowiedzieć na jedno pytanie? – Marek nagle spoważniał. – Ale jeśli nie chcesz, nie ma sprawy.

– W porządku – odparła. – Ale ja już wiem, jak ono brzmi. Na pewno chcesz mi je zadać?

– Nie, lecz chciałbym znać odpowiedź.

– Okay, powiem ci, dlaczego tu przyjechałam i zarabiam w ten sposób na życie. – Popatrzyła na niego i przeniosła się z winem na fotel. – Bo o to chciałeś zapytać, prawda?

Marek skinął głową, choć tak naprawdę chciał porozmawiać o wydarzeniu, które mogło się skończyć jej śmiercią. Ale teraz postanowił, że już o to nie zapyta.

– Zaskoczę cię. Robię to dla pieniędzy – powiedziała. – I co teraz?

– Nic – rzekł, nie patrząc na nią. – Chciałem tylko wiedzieć. Nie potępiam cię.

Spojrzała na niego hardo.

– Ta odpowiedź ci wystarcza? Naprawdę wystarcza ci wiadomość, że kurwię się dla kasy?

– Nie chcę cię wypytywać i stawiać w niezręcznej sytuacji.

– Już mnie w niej postawiłeś, więc miej teraz odwagę zadać jeszcze kilka pytań, żebym mogła powiedzieć, po co mi ta forsa – rzuciła agresywnie.

– Masz rację – odparł. – A skoro już zaczęliśmy ten temat...

– Nie, nie „zaczęliśmy”. To ty go zacząłeś – przerwała mu. – Ale to ja będę musiała go skończyć, bo tobie odwagi starczyło na pierwsze pytanie. Zaraz, kurwa, ciebie nawet na to nie było stać!

– W porządku, nie ciągnijmy tego...

– O nie! – znów mu przerwała. – Zrobimy to, jak Pan Bóg przykazał! Dociągniemy to do samego końca!

– Żałuję, że do tego doszło. Naprawdę mi głupio – powiedział Marek ze skruchą. – Zapomnijmy o tym, proszę.

– Nie. – W głosie Magdy zabrzmiała pojednawcza nuta. – Dokończmy to.

Należy ci się to. Mnie zresztą też.

Wypiła jednym haustem wino, podeszła do stolika i nalała sobie kolejny kieliszek.

– Masz prawo zadać to pytanie i otrzymać na nie szczerą odpowiedź – kontynuowała. – A ta jest banalna i brzmi: „Kamil”. To mój syn, ma sześć lat. To dla niego tu siedzę, dla niego obciążam zombiakom i dla niego wyrwę się stąd z kasą, która zapewni nam dobre życie przez kilka, może nawet kilkanaście lat. Robię to, by niczego mu nie brakowało, by nie był gorszy od innych dzieci na podwórku czy w szkole, by nie wytykały go palcami, bo nie ma ojca i w dodatku jakiegoś pierdolonego smartfona. Dlatego właśnie daję tutaj dupy. Szczęśliwy?

Marek milczał. W końcu podszedł do niej i spróbował przytulić. Delikatnie, ale stanowczo odsunęła go i usiadła na łóżku.

– Nie wiem, co jeszcze mogłabym ci powiedzieć – odezwała się po pewnym czasie. – Przyjechałam do Gambii ponad dwa lata temu. Wybrałam to miejsce, bo wiedziałam, że żaden z tych, którzy wsadzą mi tu chują, nie rozpozna mnie kiedyś na ulicy i nie będzie szantażował tym, co ze mną robił. Oni wszyscy tu zejda, więc mam gwarancję dyskrecji. A Kamil myśli, że mama poleciała do Ameryki, do pracy na zmywaku. Tak zresztą myślą wszyscy moi znajomi.

– Z kim został twój syn?

– Z babcią – odparła Magda. – To znaczy z moją matką. Ona wie, gdzie jestem i co robię, ale nikt poza nią. I nikt nigdy się nie dowie. Zwłaszcza Kamil. Zrobię dla niego wszystko, ale nie może się dowiedzieć, że jego matka była kurwą.

– Co się stało z ojcem Kamila? – spytał Marek. – Chajtnęłaś się?

– Nie, nigdy nie wyszłam za mąż – powiedziała. – To była wpadka. Miałam dwadzieścia jeden lat, mój chłopak dwadzieścia sześć. Był fajny, ale przestraszył się tego, co się stało. Chciał się po prostu dobrze bawić, a tu mu laska nagle zasuwa tekst, że będzie ojcem. Przerosło go to i uciekł. Niby pojechał za pracą, ale tak naprawdę uciekał przed odpowiedzialnością.

Przede mną i Kamilem. Założyłam mu sprawę o alimenty, ale on nie miał zajęcia, więc dostawałam tylko gównianą kasę z urzędu gminy i funduszu alimentacyjnego. Pracowałam dorywczo, pomieszkiwałam u mamy. Na początku miało to sens, bo na zmianę troszczyliśmy się o Kamila, ale wkrótce dotarło do mnie, że nie możemy tak dalej żyć. – Westchnęła. – To była wegetacja. Życie za minimum socjalne i strach przed nieprzewidzianymi wydatkami. Głupie zniszczenie butów potrafiło zrujnować nasz budżet. Zaczęło się zaciąganie małych długów, problemy z ich spłatą. Byliśmy na równi pochyłej. Zrozumiałam, że muszę coś zrobić, bo inaczej znienawidzę siebie i Kamila za to, że zgotowałam nam taki chujowy los. – Umilkła na chwilę i lękła wina. – Powiedziałam sobie, że życie moje i mojego syna nie będzie tak wyglądać. Że dość już tego zwierzęcego strachu przed wszystkim, tego półuśpienia. – Spojrzała na Marka. – Tak żyją biedni ludzie. Pewnie nigdy tego nie zaznałeś, ale tak właśnie to wygląda. Nie ruszają się praktycznie z miejsca zamieszkania, jedzą gówniane żarcie, palą syfiaste fajki. I to musi im wystarczyć. To hibernacja. Dlatego godzinami przesiadują w stuporze przed domami lub telewizorem, czekając na śmierć, która wreszcie skróci ich męki. I zrówna z bogatymi. Bo tylko śmierć może postawić ich w jednym szeregu z tymi lepszymi.

Marek znowu chciał do niej podejść, ale podniosła rękę, więc się zatrzymał.

– A we mnie nie było zgody na tę powolną, śmierzącą agonię – kontynuowała. – Po pewnym czasie zaczęłabym tyć, straciłabym część zębów, przestałabym zwracać uwagę na to, jak wyglądam i jak się ubieram. Upodobniłabym się do tych bab z mojego miasteczka. Mój syn także zacząłby się upodabniać do podwórkowych chuliganów, których codziennie widywałam pod naszym blokiem. Na początku jeszcze są sympatyczni, ale później wychodzą z nich brutalność i chamstwo. Zaczynają śmierdzieć papierosami, wódą i potem, a w końcu przychodzi moment, że przekraczają próg zbrodni. By popisać się przed kolegami, by coś sobie udowodnić, by mieć kasę na egzotyczne marzenia, na przykład weekend w hotelu

w Warszawie. Albo po prostu robią to z nudy. No bo jak długo można stać w bramie, zaczepiać przechodniów i upijać się w trupa?

Na chwilę zapadła cisza. W pokoju słychać było jedynie szum ciężko pracującej klimatyzacji.

– Nie chciałam takiej przyszłości dla Kamila. Wiedziałam, że on zniszczy życie nie tylko sobie, ale także mnie. Najpierw będzie kradł mi kasę, potem pójdzie do więzienia. Będę się o niego troszczyła i modliła się, by jak najszybciej wyszedł. Ale on, gdy już wyjdzie z mamra, nie będzie dłużej moim Kamilem. Będzie bandziorem, dla którego będę tylko źródłem floty, sprzątaczką i praczką. Będzie wpadał do domu na chwilę, między jedną libacją a drugą, między kolejnymi odsiadkami. Unieszczęśliwi nas, a w końcu zabije.

Magda wstała z łóżka i podeszła do Marka. Przywarła do niego.

– I dlatego właśnie – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy – jestem tutaj. Dlatego właśnie zostałam kurwą. By uratować siebie i syna. By nasze życie było normalne. By dać nam choć cień szansy na szczęście. Dlatego obciążam fiuty zombiakom i łykam ich spermę.

Marek objął dłońmi jej twarz i pocałował w usta. Odwzajemniła pocałunek. A potem położyli się na łóżku i przytulili do siebie.

– Przepraszam – powiedział. – Już nigdy do tego nie wrócę.

Resztę czasu spędzili, słuchając muzyki. O pierwszej w nocy Magda zalogowała się do intranetu, by sprawdzić, czy ktoś ją zamówił. Nie otrzymała żadnej informacji. Ustawiła na swoim profilu opcję powiadamiania o bukowaniu i wróciła do łóżka.

Przytulili się ponownie i po kilkunastu minutach zasnęli.

DZIEŃ PIĘTNASTY

19 GRUDNIA

Obudzili się po siódmej, najpierw Magda. Podeszła do komputera sprawdzić, czy nie przyszedł jakiś e-mail. Na jej profilu nie widać było żadnego umówionego spotkania, więc poszła do łazienki wziąć prysznic. To obudziło Marka. Spojrzał za okno i zobaczył, że jest już jasno. Pomyślał, że dzień gramoli się do roboty, uśmiechnął się i ruszył do łazienki. Magda była w kabinie.

– A gdzie całus na dzień dobry? – spytał.

– Nie chciałam cię budzić! – zawołała, przekrzykując szum wody, po czym wychyliła się, by go pocałować. – To nasza pierwsza wspólna noc.

Marek stał jak oniemiały, bo obdarzyła go najbardziej naturalnym uśmiechem ze wszystkich, jakie do tej pory widział.

– Tak, pierwsza wspólna noc – powiedział w końcu.

Magda wróciła pod prysznic.

– Słuchaj – odezwał się – czy ja mogę się przy tobie wysikać? Strasznie mi się chce i chyba nie wytrzymam dłużej.

– No jasne, nie krępuj się – rzuciła. – Po wspólnej nocy jesteś prawie jak mąż.

Uśmiechnął się.

– Mam nadzieję, że cię to nie brzydzi – powiedział, sikając do pisuaru. – Tak się chyba robi w małżeństwie.

– Pewnie nawet gorzej – odparła. – Ale co my możemy o tym wiedzieć? Przecież ani ty, ani ja się nie chajtnęliśmy. Dwoje nieudaczników, których nikt nie chciał. Związek loserów.

– Kochanie, jeszcze coś miłego z rana? – Marek skończył sikać, spuścił wodę i uśmiechnął się do niej.

– Już nic – powiedziała. – Podaj mi, proszę, ręcznik, bo się przez ciebie spóźnię do pracy.

Kastor wybuchnął śmiechem.

– Wiesz, że nie możemy wyjść razem na śniadanie, prawda? – bardziej go poinformowała, niż zapytała, ubierając się w pokoju.

– Wiem – odpowiedział. – Mój pakiet tego nie obejmuje.

– Ale twój pakiet pozwala ci mnie objąć, pocałować i życzyć dobrego dnia.
– Przytuliła się do niego.

Marek otoczył ją ramionami i pocałował w czoło.

– Idź i nie grzesz więcej – rzekł poważnie.

– Tak, ojcze. – Uśmiechnęła się.

– O dziewiątej? – zapytał, gdy stała już w progu.

– O dziewiątej – potwierdziła i wyszła.

Marek od razu zasiadł do komputera i wszedł na profil Magdy. Zamówił ją na dwudziestą pierwszą, na cztery godziny.

Może znów uda nam się spędzić razem całą noc? – pomyślał i perspektywa ta sprawiła mu przyjemność.

Szybko się wykąpał i poszedł na śniadanie. Nie miał żadnych planów i nie wiedział, jak spędzić dzień. W końcu postanowił, że zrobi rzecz najbardziej banalną z możliwych – do wieczora posiedzi na plaży. Po śniadaniu wrócił do siebie po kąpielówki, okulary przeciwsłoneczne i bejsbolówkę i niezwłocznie ruszył nad wodę.

– Cały dzień tam przesiedzę – mruknął pod nosem. – Jak prawdziwy Polaczek na wakacjach all inclusive.

Przy wejściu na plażę poprosił boja o leżak i ręczniki, po czym rozłożył się w cieniu palmy. Dodatkowo wziął parasol przeciwsłoneczny. W sumie nie lubił upałów, dlatego jedynym miejscem, na którym mógł się opalać, była morska plaża. Tylko tu miał gwarancję wiatru, który neutralizował lejący się

z nieba żar. Od razu też zamówił drinka.

– Koniecznie z małą parasolką – zaznaczył.

Kelner popatrzył na niego dziwnie, ale już kilka minut później na stoliku obok Marka stał duży, kolorowy drink z parasolką w środku.

– No, tiepier ja pliażnik nastajaszczij – powiedział do siebie.

Do czytania wziął tylko *Dzienniki Gombrowicza*. Otwierał je na chybił trafił i przerzucał po dwie, trzy strony. Znał je niemal na pamięć, więc chciał jedynie raz jeszcze poczuć ich klimat i wyzwalającą wolność.

Co dwie godziny wchodził do wody, by się trochę ochłodzić. Nie pływał, dawał się unosić falom. Po kwadransie wracał na plażę, splukiwał z siebie sól i szedł na leżak. Około czternastej wyrwał się na obiad, by po godzinie wrócić na plażę i kontynuować nicnierobienie.

Bawił się wspomnieniami związanymi z morzem – tymi dobrymi i tymi złymi. Wiele rzeczy wydarzyło się nad nim, zwłaszcza że co roku był na jakiejś plaży. Może wakacje to kumulacja wrażeń? A może lepiej pamiętamy to, co diametralnie różni się od szarej codzienności? Wtedy byłoby to podle oszustwo naszego umysłu.

Kilka razy kochał się na plaży. Kilka razy został na niej upokorzony, szczególnie w młodości, tym okrutnym czasie gwałtownych emocji. Jak to wtedy wszystko bolało! Ale też jak cieszyło! Amplituda uczuć była ogromna – albo się było na dnie rozpaczy, albo w Himalajach szczęścia. Kolega nas upokorzył? Zdawało się, że to koniec świata, że z czymś takim nie da się żyć. Pocałowała nas dziewczyna? Szczęście wręcz nas rozsadzało. Potem jednak amplituda się zmniejszała – coraz mniej było w stanie wprawić człowieka w prawdziwy, głęboki smutek, ale też niewiele naprawdę zachwycić i odebrać oddech. I tak z każdym rokiem ta krzywa się spłaszczała, aż do linii prostej. Wtedy następowała śmierć. Marek umarł kilkanaście tygodni wcześniej.

Przypomniawszy sobie, jak bardzo cierpiał, gdy przed laty odeszła Kasia. Jak się po prostu rozbeczał, zadzwonił do Olesia i poprosił, by przyjechał do niego, bo nie wie, co ma teraz robić. Ona stwierdziła, że jednak nie może tak

żyć, że kocha swojego chłopaka i nie jest w stanie podzielić życia między nich obu. Oczywiście Marka też kocha, ale on jest silny i sobie poradzi, a Igor może sobie coś zrobić. Tak mówiła i on chciał w to wierzyć. Wolał taką wersję od wyznania, że ona po prostu już go nie kocha. Nigdy się nie dowiedział, jak było naprawdę, ale wówczas – a nawet teraz – był jej wdzięczny, że tak właśnie to przedstawiła.

Od początku zresztą wiedział, że ten romans nie może skończyć się dobrze. Już przecież na pierwszej randce, po namiętym seksie na stole notariusza, powiedziała mu, że ma chłopaka. Nie oszukiwała go. Pocieszał się myślą, że jeśli kogoś oszukuje, to Igora, nie jego. Że z nim jest szczerą, więc to działa na jego korzyść. No i że on jest blisko, gdy tamten chłopczyzna siedzi w Gdańsku i rzadko może się z nią widywać.

Rozmawiali o nim raz, może dwa razy, zupełnie przypadkowo, jakby go nie było. Ale on był. Czasami Kasia prosiła Marka, by przez kilka dni do niej nie dzwonił, mówiła, że sama się do niego odezwie. Wiedział, że jest wtedy z Igorem, ale nie cierpiał. Czekał na jej telefon, a ona zawsze się w końcu odzywała i znów byli razem, szczęśliwi. Bo bycie tym drugim na początku nie przeszkadza. Nawet jakoś łechce naszą próżność i daje poczucie wyższości nad dupkiem, który jest zdradzany. Jednak to mija i powoli to my stajemy się zazdrośni. Zazdrościmy kretynowi nawet tego, że niczego się nie domyśla i po prostu jest szczęśliwy.

Marek uświadomił sobie to wszystko przy okazji Wigilii i sylwestra. Romans z Kasią trwał już kilka miesięcy. Przyszły święta. Igor przyjechał do domu, a Kasia wróciła do siebie, do Cieszyna, i nagle okazało się, że to z nim spędza cały czas, w tym sylwestra. Bo przecież oficjalnie są ze sobą, więc nie może się wykręcić od wspólnego przywitania z nim Nowego Roku. Marek zresztą czuł, że tu nie chodzi tylko o jakiś obowiązek, ale że ona naprawdę woli być w tym czasie z Igorem. Tamten był jej pierwszą miłością, ich związek trwał sześć lat. Prawie naturalne było zatem, że właśnie z nim spędzi sylwestra.

Zniósł to dzielnie. Nie miał pretensji, powiedział Kasi, że wszystko rozumie i że nie ma sprawy. Że będzie na zabawie z przyjaciółmi, więc nie

musi się nim przejmować. Przyjęła to z wyraźną ulgą – widać było, że jej to ciąży. Zapewniła go, że odezwie się z życzeniami, jak tylko będzie mogła, a on pojął, że prosi go, by do niej nie dzwonił. Zaakceptował to, choć uważał, że przesadza. Jakiś niewinny esemes w sylwestrową noc chyba nie wzbudziłby specjalnych podejrzeń.

Pojechał z przyjaciółmi do Szklarskiej Poręby. Bawili się świetnie i raz nawet, dwa dni przed sylwestrem, udało mu się pogadać chwilę z Kasią przez telefon. Ale już 31 grudnia nie odezwała się. Kiedy zaczęła się impreza, Marek miał przy sobie telefon, by szybko odpowiedzieć na esemesa lub odebrać, gdyby Kasia mogła się z nim skontaktować. Ale nic takiego się nie stało. Po dwunastej zaczęły przychodzić esemesy od znajomych i Marek za każdym razem miał nadzieję, że to ona, lecz nie dała znaku życia. Spił się tej nocy do nieprzytomności.

Gdy około południa obudził się ze strasznym kacem, od razu sprawdził komórkę. Przyszło kilka nowych wiadomości, ale żadna nie była od niej. Napisała dopiero drugiego stycznia wieczorem – że całuje, pozdrawia i przeprasza, że tak późno pisze. Marek wiedział już wtedy, że to koniec. Że nie jest tak, że nie mogła napisać, ale że nie chciała. Przecież mogła to zrobić nawet przy Igorze, pod pretekstem, że wysyła eskę do koleżanki czy kolegi.

W końcu Kasia wróciła na studia do Katowic, a Igor wyjechał do Gdańska, więc Marek spotykał się z nią jeszcze kilka miesięcy. Przeżyli kilka pięknych chwil, ale on rozumiał, że to się skończy. W sylwestra dotarło do niego, że jest niekochany albo kochany mniej, a to oznaczało, że nie zdoła zatrzymać jej przy sobie. Zaczął być zazdrosny – nie tylko o Igora, ale też o innych facetów, z którymi ją widywał. To pogarszało sytuację, lecz nie potrafił nic na to poradzić. Kiedy jest się zakochanym na zabój, tak jak on był wówczas, można jedynie patrzeć na nadciągający koniec i wściekać się na siebie za popełnianie kolejnych głupstw i błędów. Bo wielka miłość nie potrafi kalkulować – ona albo się udaje, albo nie. A jego zmierzała do katastrofy.

Ta przyszła banalnie – Kasia wyjechała na parę tygodni do Szwajcarii do pracy. Gdy wróciła, miała już wszystko poukładane w głowie. Przyjechała do niego i oznajmiła, że odchodzi. Że dziękuje mu za wszystko, ale musi być

przy Igorze. Najgorsze było to, że chciała jak najszybciej wyjść, a jego łzy nie tyle ją wzruszyły, ile zdenerwowały. Chyba naprawdę wierzyła, że jest taki twardy, i była niemiłe zaskoczona, gdy się rozkleił. Marek byłby gotów zaakceptować nawet jej litość, tymczasem w niej wzbierał niesmak. Gdy wreszcie wyszła, oboje chyba poczuli ulgę – ona, bo już nie musiała patrzeć na to, jak Marek rozpacza, a on, bo nie musiał oglądać pogardy w jej oczach. Niemniej rozryczał się potem i aż do przyjazdu Olesia nie potrafił się uspokoić.

W późniejszych latach spotykali się jeszcze wiele razy – najpierw na korytarzach wydziału, a potem, gdy Kasia przeniosła się do Krakowa, także w kawiarniach. Ale ich miłość się skończyła. Marek był przekonany, że to ostatnie tak silne jego zaangażowanie. I żył w tym przeświadczeniu aż do momentu, w którym w jego życiu pojawiła się Becia.

Kelner przyniósł mu kolejnego drinka, oczywiście z parasolką w środku. Było już grubo po siedemnastej.

Cały dzień na plaży – pomyślał. – Tak właśnie spędzę resztę życia. Na plaży i z parasolkami w drinkach.

Wstał, ubrał się i ruszył do apartamentu. Był bardzo zmęczony.

Dlaczego po całym dniu nicnierobienia człowiek jest tak wyczerpany? – zastanawiał się. – Pewnie ma to jakieś fizjologiczne wytłumaczenie, ale umrę, nie poznawszy odpowiedzi na to pytanie. Podobnie jak na to, dlaczego wiatr zazwyczaj uspokaja się pod wieczór i dlaczego zawsze widzimy jedną stronę Księżyca. Kiedyś tłumaczono mi to, ale widać są takie rzeczy, które zapomina się zaraz po ich usłyszeniu.

Ale rzeczywiście był nieziemsko zmęczony. Nie wziął nawet prysznic i padł na łóżko.

Wykąpię się przed przyjściem Madzi – pomyślał i błyskawicznie zasnął.

Obudziło go stukanie. Stukanie, nie pukanie. Spojrzał na zegarek – była 21.13. Zerwał się na równe nogi i podbiegł do drzwi.

– Co jest, nie kochasz mnie już? – zapytała Magda, przechodząc obok niego.

– Kocham, tyle że nawet zakochany chłopak musi się czasem przespać – odparł, zamykając drzwi. – Zwłaszcza gdy ma pięćdziesiąt lat.

– Nie pięćdziesiąt, tylko czterdzieści dziewięć, więc nie histeryzuj – powiedziała, siadając na łóżku. – Ale wyglądasz... Jak świstak, który właśnie przebudził się z zimowego snu.

– I tak się czuję – rzekł Marek i poszedł do łazienki.

– A ty dokąd? – Magda zerwała się i zagroziła mu drogę. – Nie dasz całusa swojej Madzi?

– Bardzo chętnie – powiedział, odsuwając głowę – ale nie jesteśmy w filmie, więc po śnie jedzie mi z ust. Jeśli zatem królowna Madzia pozwoli, udam się do łazienki celem rytualnych ablucji.

– Królowna pozwala. – Magda pocałowała go w policzek i wróciła na łóżko.

– Jesteś głodna? – zawołał z łazienki. – Bo ja nie jadłem nic od obiadu i chętnie wrzuciłbym coś na ruszt.

– A wiesz, to dobry pomysł. Tylko zamów coś prostego, na szybko.

Marek złożył zamówienie i pół godziny później dostarczono do pokoju pierogi z mięsem, szpinakiem i rydzami.

Zjedli ze smakiem, popijając piwem. A potem się kochali.

– No, no, no – powiedziała Magda po drugim razie. – Kto by się spodziewał podwójnego strzału po pięćdziesięciolatku...

– Nie przesadzaj – odparł Marek. – Mam tylko czterdzieści dziewięć lat.

Roześmiała się i położyła obok niego. Zaczęli rozmawiać, aż w pewnym momencie zeszli na kwestię małżeństwa.

– Ty nigdy nie chciałaś wyjść za mąż? – zapytał Marek. – No wiesz, po rozstaniu z ojcem Kamila.

– Wyjść za mąż to może nie, ale parę razy wiązałam się z facetami. Nigdy jednak nie trwało to długo.

– Bo miałaś dziecko?

– Nie tyle dziecko, ile syna.

– Co masz na myśli? – zdziwił się Marek. – Przecież to to samo.

– Niezupełnie – powiedziała. – Oczywiście większości nie przeszkadzało, że mam dziecko, bo chcieli mnie tylko przelecieć od czasu do czasu. Liczyło się jedynie to, że bachor nie zniszczył mi cycków i figury. Nawet tym, którzy mieli wobec mnie poważniejsze plany, dziecko nie robiło jeszcze wielkiej różnicy. Ale gdy okazywało się, że to syn, rzędała im mina. Jakoś nagle byli mną mniej zainteresowani.

– To dziwne, że płęć dziecka aż tak zmieniała sytuację. – Marek nie do końca jej wierzył. – To nie ma sensu.

– Ma – zaprzeczyła Magda. – A przynajmniej dla nich się to liczyło. Jeden powiedział mi nawet wprost, że gdyby to była dziewczynka, nie przeszkadzałoby mu to, ale chłopak już tak. Po prostu, jak stwierdził, widziałby w Kamilu swojego poprzednika, a tego nie chciał.

– Dziwne – stwierdził Marek.

– Wcale nie takie dziwne. Gdy byłam tu kiedyś z innymi dziewczynami na safari, przewodnik opowiadał gościom, że lew, który przejmuje władzę nad stadem, zagryza wszystkie lwiątką splotzone przez jego poprzednika. Robi to, by zwiększyć szanse na przekazanie swoich genów, nie czyichś. Ludzie, jak widać, mają tak samo.

– Ale przynajmniej nie zagryzają cudzych dzieci. – Marek uśmiechnął się gorzko.

– Jesteś pewien? Ja myślę, że to robią, tyle że nie dosłownie. I są gorsi, bo mają z tego frajdę. Taki jest nasz gatunek. U lwów ma to jakiś sens, jest w tym jakiś ład. W okrutnych zachowaniach ludzi nie ma żadnego sensu i ładu.

Marek popatrzył na nią. Właściwie powiedziała to, co on twierdził od lat. I co w jakimś stopniu zaprowadziło go tutaj. Skąd u tej młodej kobiety takie dojrzałe i gorzkie przemyślenia?

– Z doświadczenia – powiedziała nagle Magda.

Marek przestraszył się, bo wyglądało to tak, jakby czytała w jego myślach.

– Co? – zapytał pospiesznie.

– Z doświadczenia wiem, jak to jest mieć syna i próbować znaleźć fajnego

faceta – odparła. – Beznadziejna sprawa. Już lepiej dać sobie spokój i skupić się na dziecku.

Marek był rozczulony jej szczerością i zdziwiony mądrością. Nie po raz pierwszy zresztą pozytywnie go zaskoczyła. Próbował się do niej dobrać, ale ostatecznie, nawet przy jej pomocy, nic z tego nie wyszło.

– No, no – roześmiała się – już się tak nie popisuj. Dwa razy to naprawdę dużo. I dla mnie, i dla ciebie. Przytul mnie i idziemy spać, okay?

– Okay – powiedział i pocałował ją.

Magda podeszła tylko do komputera, zalogowała się na swoim profilu i ustawiła powiadomienia. Potem wróciła do łóżka i przytuliła się do Marka.

DZIEŃ SZESNASTY

20 GRUDNIA

Marka obudził jakiś dźwięk. Podniósł głowę z poduszki i popatrzył na zegarek. Była 2.37. W łazience widać było światło – Magda się kąpała. Położył się na wznak i zapalił nocną lampkę.

– Obudziłam cię. Przepraszam – odezwała się, wracając do pokoju.

– Nic się nie stało.

– Zamówienie. – Wskazała głową komputer.

– Jasne, rozumiem – rzekł Marek. – Taki job.

Magda zrzuciła z siebie ręcznik i zaczęła się ubierać. Potem usiadła na chwilę przy biurku i zrobiła makijaż. Wreszcie wstała, wzięła torebkę i podeszła do łóżka.

– Ładna jest twoja dziewczyna? – zapytała.

– Najładniejsza – odparł, ale nie potrafił ukryć smutku.

Zauważyła to.

– Nie bądź dzieciak – powiedziała i usiadła przy nim. – Wiesz przecież, kim jestem, prawda?

– Prawda – wydusił z siebie. – Wszystko rozumiem.

– Zuch chłopak! – rzuciła głośno, pocałowała go w policzek i szybko wstała. W drzwiach odwróciła się jeszcze i spytała: – Do dziewiątej?

– Do dziewiątej – potwierdził.

Gdy zamknęła za sobą drzwi, Marek zgasił lampkę i próbował zasnąć. Męczył się aż do czwartej.

Obudził się krótko przed południem. Poszedł pod prysznic, a po powrocie do pokoju usiłował zamówić Magdę na dwudziestą pierwszą, ale jej profil był nieaktywny.

Czyżby trafił się jej wymagający długodystansowiec? – pomyślał z zazdrością i jakimś żalem. – A może po prostu te dziewczyny mają prawo do przerw i wylogowania się z systemu?

Był w złym humorze – nie miał ochoty ani na bieganie, ani na leżenie na plaży. Po trzynastej poszedł wreszcie na obiad, znalazł ustronne miejsce w cieniu, przy basenie i zamówił krwisty stek.

Dziewięćdziesiąt procent klientów bierze „medium” – pomyślał. – Ciekawe dlaczego? Naprawdę dlatego, że taki lubią, czy po prostu wybierają coś bezpiecznego i nijakiego zarazem? Bo co to znaczy „medium”? Ani krwisty, ani „well done”. Czyli żaden.

Zamówił też wytrawne australijskie czerwone wino.

Cała nasza cywilizacja zrobiła się „medium” – bawił się wciąż tą samą myślą. – Wszystko jest coraz bardziej umiarkowane, a przez to pozbawione smaku, niestrawne. Brakuje dramatyzmu, antycznych wyborów, szans na okazanie heroizmu. Postheroiczne czasy na miarę postheroicznych ludzi. Szczyt dramatu to konflikt z szefem albo dylemat zdradzić żonę czy nie. Tak naprawdę życie upływa nam na załatwianiu spraw, shoppingu, dbaniu o zdrowie i urządzaniu się. Miałka i obrzydliwa egzystencja żuków gnojarczy. Przez kilkadziesiąt lat toczymy przed sobą kawał gówna, by ostatecznie się nim stać. Ot, cała tajemnica.

Kelner przyniósł gorący, ociekający krwią stek polany sosem grzybowym. Marek zabrał się do niego z wprawą.

Jeszcze kilka lat temu był przynajmniej kłopot z uchodźcami, więc przy okazji skrajna prawica na całym niemal Starym Kontynencie zaczęła rosnąć w siłę i pojawił się problem nowego Hitlera. Państwa zostały wyposażone we wszystkie niezbędne narzędzia prawne i inwigilacyjne, które przestraszeni obywatele dali do rąk ich funkcjonariuszom – odtwarzał w myślach to, co stało się w ostatnich latach w Europie – więc szybko zinfiltrowały środowiska muzułmańskich fundamentalistów i rozbiły je. A szkoda, bo to byli ostatni ludzie na tym kontynencie, którzy jeszcze w coś wierzyli. Strasznie głupie było to wszystko, co mieli w swoich kudłatych pałach, ale jednak mieli w sobie wiarę, za którą byli gotowi zabić i oddać życie. Po nich nie było już nikogo, kto by naprawdę chciał żyć inaczej niż w wersji „medium”. No może poza durnymi nacjonalistami, ale to jednak było intelektualne dno.

Marek skończył jeść. Poprosił o kawę i tort czekoladowy, rozsiadł się wygodnie i zaczął obserwować ludzi przy basenie. Wszyscy poruszali się jakoś ślamazarnie, jakby na zwolnionym filmie.

Wczasowicze tak mają – pomyślał i przypomniał sobie wszystkie te lata, gdy sam latał do takich ośrodków. – Wolno się ruszają, jakby właśnie skończyli szychtę na kopalni. No i mają takie strapione miny.

Zawsze go dziwiło, że najbardziej uśmiechnięci są w tych kurortach pracownicy obsługi, goście natomiast przez większość czasu są ponurzy. Smutek tropików.

Uśmiechnął się do siebie.

No i co z tego, że mogę się bawić takimi asocjacjami? – zaczął się zastanawiać. – I że jestem odczytany i zanurzony w europejskiej kulturze? Ilu jednak książek nie dane mi było przeczytać? Ilu rzeczy nie wiem?

Świetnie pamiętał swój pierwszy kryzys i pierwszą utratę wiary w to, że jego wysiłki jako naukowca mają jakkolwiek sens. To było w chwili, gdy wszedł do biblioteki uniwersytetu w Ołomuńcu. Przebywał tam na stażu w latach dziewięćdziesiątych i wówczas biblioteka ta była

najnowocześniejsza w całej Europie Środkowej. To w niej pierwszy raz zobaczył coś, co dziś jest normalne w każdej szanującej się placówce tego typu. Chodziło o sposób zamawiania książek. Nie robiło się tego tak, jak on robił przez całą młodość w Polsce, czyli u jakiejś kobiety za ladą, tylko szło wzdłuż półek i osobiście wybierało pozycje.

Tak więc szedł wtedy długimi alejkami między regałami bibliotecznymi i nagle pomyślał: Boże, przecież ja nie zdołam przeczytać nawet setnej części zgromadzonych tu książek! A takich bibliotek są tysiące. Po co właściwie czytać, jeśli ma się świadomość skromności swej wiedzy? Już na początku trzeba założyć, że przez całe życie zdołamy poznać ledwie mikroskopijną część tego, co zgromadziła ludzkość. A skoro tak, to po chuj w ogóle zaczynać?! Po chuj udawać, że możemy do czegoś dojść, jeśli poza naszym zasięgiem jest dziewięćdziesiąt dziewięć procent wiedzy? I to nie całej, tylko specjalistycznej, z naszej dziedziny. Przecież to nie ma sensu. Najmniejszego.

Ostatecznie poświęcił się nauce – pisał książki, wykladał, był komentatorem politycznym. Zawsze jednak gdzieś w głębi wstydził się, bo wszystko, co mówił i myślał, mogło zawierać błędy. Jego wiedza była w końcu fragmentaryczna, a więc ułomna. Jeśli zaś była ułomna, mogła być też nieprawdziwa. Wszystko, co miał w głowie, mogło być nieprawdziwe tylko dlatego, że wziął książkę z tej, a nie innej półki. Nie wierzył w Boga, ale przecież gdyby w młodości sięgnął po inne lektury, mógłby dzisiaj zabijać w imię Allaha. Był zwolennikiem wolnego rynku, ale czy naprawdę miał to przemyślane? Przecież gdyby ktoś polecił mu inne książki, mógłby głosić dziś idee alterglobalistyczne i cytować Marksa, a przynajmniej Piketty'ego. Ten sceptycyzm poznawczy towarzyszył mu przez całą naukową karierę i przeniósł się na inne sfery jego życia. To on doprowadził do tego, że odrzucił patriotyzm, bo swoją polskość także postrzegał jako przypadkową i niekonieczną. I to ów życiowy sceptycyzm pozbawił go większości uczuć wyższych. A gdy tylko zrezygnował z niego w jednej sprawie – wierności i miłości jego kobiet – trafił do „Great Final”.

Trzeba było wytrwać w słodkim sceptycyzmie – pomyślał – to nikt by mnie

nie zranił, nie zdradził i nie pozbawił chęci życia. Ale zachciało mi się zrobić wyjątek od metody, której byłem wierny od wejścia do ołomunieckiej biblioteki.

Zamówił jeszcze jeden kieliszek wina. Z kawą i tortem czekoladowym smakowało wyśmienicie. Wciąż obserwował basen i jego wzrok przykuła para bardzo młodych ludzi – mieli nie więcej niż dwadzieścia kilka lat. Nie mógł uwierzyć, że przyjechali tu umrzeć.

Ponad godzinę przyglądał się im, popijając wino. W pewnym momencie podnieśli się z leżaków i ruszyli w jego stronę. Trochę się przestraszył, że zauważyli jego natrętne spojrzenia i będą mieć o to pretensje. Ale nie – usiedli dwa stoliki dalej i zamówili pizzę. Rozmawiali po czesku. Marek świetnie znał ten język, w końcu urodził się dziesięć kilometrów od granicy z Czechami, a część pracy naukowej poświęcił właśnie temu krajowi. Cenił też literaturę i kino południowych sąsiadów.

Zagadał do tej pary po czesku. Byli mile zaskoczeni, choć od razu zorientowali się, że jest obcokrajowcem.

– Cholera, sądziłem, że mój czeski jest na tyle dobry – Marek wyraził żal – że przynajmniej powitanie mnie nie zdradzi.

Młodzi się zaśmiali.

– Nie, nie, naprawdę jest super, tylko trochę szwankuje panu akcent – powiedział chłopak.

– A ja się prawie dałam nabrać – dodała dziewczyna.

– Trudno się dziwić – powiedział chłopak i roześmiał się. – Jana jest Słowaczką.

– Tak? – zdziwił się Marek. – Nie zorientowałem się.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Bo prawie nic nie mówiłam.

– Mam na imię Pavel, a to, jak pan już wie, Jana – rzekł chłopak.

– A ja mam na imię Marek i jestem z Polski – odezwał się Kastor. – I wolałbym, żebyście mówili do mnie po imieniu, okay?

– Jasne – powiedziała Jana. – Będzie nam bardzo przyjemnie.

– Mogę zapytać, ile macie lat? – odezwał się Marek.

– Dziewiętnaście – odparł Pavel. – Choć ja jestem starszy od Jany o ponad dwa miesiące.

– Bardzo młodzi jesteście. Nie za młodzi?

Dziewczyna i chłopak popatrzyli na siebie.

– Za młodzi na co? – zapytała Jana.

– Na pobyt tutaj.

Zapadła cisza.

– Przepraszam, to nie moja sprawa – rzekł wreszcie Marek. – Nie chciałem być nieuprzejmy.

– Nie ma problemu – powiedział Pavel. – Nie jesteś pierwszym, który zadał nam to pytanie. Ja przyleciałem przedwczoraj, Jana przed czterema dniami, ale już dwa razy nas o to pytano. Więc nie czuj się winny.

– Nawet nie wiedziałem – zaczął się tłumaczyć Marek – że to jest legalne. Myślałem, że są jakieś dolne limity. Rozumiecie, wiekowe...

Coraz bardziej się plątał, a młodzi byli tym lekko rozbawieni.

– Nie, nie ma żadnych limitów – oznajmiła Jana. – Only money is the limit – dodała.

– Też byliśmy tym zdziwieni – dodał Pavel. – Tam, w Europie. Ale rzeczywiście tylko kasa jest ograniczeniem. Bo w końcu nie mieliśmy pieniędzy na kontach emerytalnych czy w firmach ubezpieczeniowych – kontynuował. – Jedynym sposobem było opłacenie pobytu w tym ośrodku żywą gotówką. Tanie to nie było, ale na kilkudniowy pobyt zdołaliśmy jakoś zbierać.

– Ja zresztą byłem sprytniejsza od Pavla – dodała Jana – i po prostu wzięłam kredyt w banku. – Roześmiała się. – Nie mam rodziny, więc gdy zorientują się, że zalegam ze spłatą pierwszej raty, nie będą nawet mieli od kogo ściągnąć należności. Taki figiel na koniec zrobiłam systemowi.

– Ja tak nie mogłem – powiedział chłopak. – Oboje rodzice żyją, więc narobiłbym im kłopotów. To oni sfinansowali mi pobyt w „Great Final”.

– Rodzice?! – Marek mocno, może nawet za mocno wyraził swoje zdziwienie.

– Tak – potwierdził Pavel. – Zaszantażowałem ich. Powiedziałem, że albo pomogą mi odejść z tego świata w sposób cywilizowany, albo podetnę sobie żyły lub wyskoczę z okna. Zwłaszcza to pierwsze wydało im się tak brutalne, że ostatecznie, po wielu dniach rozmów, dali mi kasę.

– Ja nie mam nikogo bliskiego, więc nikt mi nie mówił, co mam robić – powiedziała dziewczyna. – Ale też nikt nie mógł mi pomóc.

– Ale naprawdę to jest legalne? – Marek wciąż nie dowierzał. – To, że tacy młodzi ludzie mogą tu być? Nie musicie mieć jakichś zaświadczeń lekarskich, że to przemyślana decyzja? Że to nie chwilowa depresja? Przepraszam, że tak dopytuję...

– Nie ma sprawy – rzuciła Jana. – Nie, nie potrzeba żadnych zaświadczeń. Wystarczy wyrażona na piśmie wola. Tak jak zapewne i w twoim przypadku. Takie są regulacje Unii Europejskiej. Z ukończeniem osiemnastego roku życia zyskujesz pełnię praw, również do eutanazji. Po wprowadzeniu tej usługi był zresztą jakiś protest stowarzyszeń rodziców i Kościołów, ale sąd unijny, w Luksemburgu chyba, orzekł, że byłoby to dyskryminowanie obywateli Unii ze względu na wiek.

– Ale przecież to może być jakaś przejściowa zmiana nastroju. Nie obrażcie się, ale buzują w was hormony i możecie podejmować decyzje pod wpływem silnych emocji albo depresji.

– A ludzie w twoim wieku albo starsi nie? – zapytał Pavel. – Myślisz, że oni nie decydują się na śmierć pod wpływem emocji? I że u nich gospodarka hormonalna jest w porządku?

Młodzi uśmiechnęli się do siebie – widać było, że mają to przemyślane i że już nieraz musieli odpowiadać na takie argumenty. Marek uznał, że nie ma sensu udowadniać im, że mogą się mylić.

– Może macie rację – powiedział. – Zresztą to nie moja sprawa.

Zapadła cisza. W tym czasie podszedł do nich ciemnoskóry kelner i przyniósł pizzę.

– Mogę jeszcze o coś zapytać? – odezwał się po chwili Kastor.

– Oczywiście – odparła Jana.

– Ty, Pavle – rzekł – przyleciałeś przedwczoraj, a Jana kilka dni wcześniej. Dlaczego nie przylecieliście razem?

– Bo się wcześniej nie znaliśmy – odpowiedziała dziewczyna.

– Jak to?

– Zwyczajnie. Poznaliśmy się wczoraj, tu, przy basenie. Pavel zobaczył, że czytam słowacką książkę, i podszedł do mnie. Tyle. Spędziliśmy wieczór na plaży, opowiadając sobie swoje historie, które zresztą są prawie identyczne. A dziś leżeliśmy razem przy basenie. Nie jesteśmy parą, jeśli to miałeś na myśli.

– Mówiąc szczerze, byłem o tym przekonany – przyznał Marek.

Młodzi się roześmiali.

– Romeo i Julia kończą razem w „Great Final”? – zapytał Pavel. – Proszę cię, to by było aż nadto banalne. Pewnie jeszcze dlatego, że nasze rodziny nie zgadzają się na ślub, co? To dwudziesty pierwszy wiek!

– Racja. – Marek poczuł się głupio, bo naprawdę tak to sobie wyobrażał. – Ale jeśli mogę zapytać, co was tu sprowadziło?

– Miłość – powiedziała Jana. – A cóż by innego? Zawiedziona miłość. Z jakiego innego powodu dziewiętnastolatek mógłby pragnąć śmierci? Przecież nie z powodu bankructwa czy strachu przed ratami kredytu.

– Ale czy to nie równie banalne, wybaczcie mi tę uwagę, jak ten scenariusz z Romeem i Julią, o którym wspomniał Pavel?

– Może i tak – przyznała dziewczyna. – Może to jest równie banalne, ale nam nie o oryginalność chodzi. Mamy na nią wyjebane.

– Gdybyśmy chcieli się popisywać – dodał Czech – nie byłoby nas tu, lecz siedzielibyśmy w necie i zadziwiali czymś znajomych na fejsie.

– A więc zawiedziona miłość? – upewniał się Marek. – W obu przypadkach?

– Tak – potwierdziła Jana. – W skrócie, bo nie ma sensu wchodzić

w szczegóły, u mnie to był facet starszy o dwanaście lat. Ale żonaty i z dzieckiem. Kiedy już się mną nacieszył, zdradził wreszcie, że kogoś ma i że nie zamierza od tego kogoś odejść. Problem w tym, że ja już byłam w nim śmiertelnie zakochana. Koniec historii.

– U mnie megapodobnie, tyle że bez małżonka i dziecka – odezwał się Pavel. – Zakochałem się w dziewczynie z klasy. Ponad rok byłem w rajku, ale pewnego pogodnego dnia ona oznajmiła, że już mnie nie kocha i że jest z innym. I tyle.

– I dlatego chcecie sobie odebrać życie? – spytał Marek. – Bo ktoś was zdradził, okazał się wobec was nielojalny?

– Nie o to chodzi – powiedziała Jana. – Nie chodzi o mojego słodkiego mężusia ani o ślicznotkę Pavla. Nie jesteśmy głupi i widzimy, że oni nie zasługiwali na naszą miłość. A już na pewno nie zasługują na to, by z miłości do nich się zabić...

– No właśnie – przerwał jej Marek. – Chcecie dać im tę satysfakcję? Chcecie umrzeć, bo dwoje nielojalnych ludzi oszukało was i zraniło?

– Tu w ogóle nie chodzi o nich – rzekł Pavel. – Uświadomiliśmy to sobie wczoraj na plaży, kiedy rozmawialiśmy wieczorem. To nie z ich powodu chcemy umrzeć. Nie chcemy żyć, bo nie warto. Po prostu. Jeśli życie serwuje nam takie coś na początku naszej drogi, to po co w ogóle nią iść? Tu jest problem. Nie chodzi więc o nich, lecz o nas. O to, że już na starcie splugawiono w nas coś najświętszego, najintymniejszego. Oczywiście moglibyśmy się pozbierać i iść dalej, ale nie chcieliśmy. Nie chcemy być twardzi i nie zważać na kolejne zdrady i klęski. Nie zamierzamy brać udziału w tym wyścigu twardzieli, w tych zawodach na kolejne życiowe porażki. Najpierw trzeba przeżyć zdradę pierwszej miłości, potem śmierć rodziców i nielojalność żony lub męża, a na koniec nieczułość dzieci i samotność starości. Wygrywa ten, kogo mniej to zabolą, komu nie drgnie powieka przy najgorszym nieszczęściu.

Chłopak przerwał i napił się soku, który przyniósł usłużny kelner.

– My doskonale wiemy, Marku – odezwała się Jana – że przyszyby kolejne miłości i kolejni partnerzy. Tylko nie chcemy na nich czekać i patrzeć, jak

również oni nas zdradzają. A tak byłoby. Jesteś starszy, widziałeś to, przeżyłeś. Powiedz, że nie.

– Nie mogę, bobym was oszukiwał.

– Sam widzisz – zdawał się triumfować Pavel.

– Ale zdarzają się prawdziwe miłości i prawdziwie szczęśliwe małżeństwa – zaoponował Marek trochę wbrew sobie.

– Widziałeś je? – zapytała dziewczyna. – Naprawdę je widziałeś? A jeśli nawet, jesteś pewien, że to było prawdziwe? Przecież nie wiesz, czy szczęście pary, która wydaje ci się idealna, nie jest zbudowane na kłamstwie. Nikt z nas nie ma dostępu do tego, co dzieje się między ludźmi żyjącymi ze sobą kilkanaście czy kilkadziesiąt lat. To osobny świat, którego strzegą przed innymi. Wyobraź sobie, ile sekretów i tylko im znanych faktów musi ich łączyć. Jak bardzo intymna, choć często patologiczna więź ich spaja. Więc szczęście, które prezentują na zewnątrz, nie musi mieć nic wspólnego z prawdą...

– Zresztą – Pavel wszedł jej w słowo – to wspólne życie jest tak naprawdę ciągłym pozbywaniem się siebie. Musisz to wiedzieć. Każdego dnia, chcąc utrzymać związek, rezygnujesz z czegoś. Miliardy ludzi stopniowo wyrzucają się na śmietnik, bo tylko to pozwala być z kimś innym, chroni przed samotnością. Małżeństwo to powolna, ale systematyczna rezygnacja ze wszystkiego, co czyni nas osobną jednostką. Za bycie z kimś płacimy niebyciem sobą.

Marek nie wiedział, co powiedzieć, bo w gruncie rzeczy uważał tak samo. Jednak nie mógł też spokojnie przyjąć tego, że ci młodzi ludzie odbiorą sobie życie, bo się go boją. A raczej, bo boją się bólu, który przyniesie. Było w tym coś nieakceptowalnego.

– Ale czy musicie tak bardzo skupiać się na innych? – próbował argumentować. – Może da się zbudować szczęśliwe życie bez opierania go o kogoś innego? Rozumiem, że małżeństwo czy inny związek są bardzo ryzykowne, bo jakoś uzależniamy nasze szczęście od innego człowieka, ale samotne życie też może być udane.

– Może i tak – odparła Jana – ale my już się o tym nie przekonamy. Pobyt Pavla kończy się pojutrze. Mój jutro.

Marek był zbity z tropu.

– Tak szybko?! – prawie krzyknął.

– Na więcej nie było mnie stać – odpowiedział chłopak.

– Mojego banku też nie. – Jana uśmiechnęła się łagodnie.

Wszyscy umilkli.

– Ale może, skoro już się tu poznaliście – podjął niepewnie Marek – no nie wiem, może byście...

– Byli ze sobą? – przerwała mu dziewczyna. – To chcesz powiedzieć? Żebyśmy się teraz w sobie zakochali, złapali się za ręce i żyli szczęśliwie? Skąd w tobie takie pokłady romantyzmu?

– I kiczu – dodał Pavel, po czym roześmiał się głośno, a Jana mu zawtórowała.

Markowi zrobiło się głupio, bo rzeczywiście jego sugestia była niemądra, zwłaszcza po tym, co wcześniej usłyszał od Patricka.

– Może masz rację, Pavle. – Uśmiechnął się przepraszająco. – To nie było zbyt wyrafinowane fabularnie.

– Nie, to było nawet słodkie – stwierdziła dziewczyna. – Niczym w scenariuszu amerykańskiego kina rodzinnego.

Pavel i Jana popatrzyli na siebie i dopili sok.

– Nie gniewaj się, Marku, ale będziemy już uciekać – powiedział Pavel. – Miło było cię poznać.

– Mnie was również – odparł Kastor, wstając.

Jana podała mu dłoń.

– Do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Marek został sam. Jakiś czas siedział jeszcze przy basenie, ale potem postanowił wrócić do apartamentu i sprawdzić, czy może już zamówić Magdę na wieczór.

Był bardzo zdziwiony, bo jej profil wciąż informował, że jest „nieдоступna”. Było grubo po siedemnastej, a jemu nie chciało się już wychodzić.

Wykąpał się i zaczął czytać Gombrowicza. Zasnął po kilku stronach *Dzienników*. Obudził się po dwudziestej, gdy za oknem był już mrok. Podszedł do komputera i sprawdził profil Magdy. Wciąż nie mógł jej zamówić.

– Kurwa mać! – powiedział na głos. – Co jest? Jakaś przydługa orgietka?

O ile przed kilkoma godzinami było mu smutno, o tyle teraz opanowała go złość. Zawsze tak było – gdy tylko coś szło nie po jego myśli, szybko wpadał w zły nastrój. Zwłaszcza w kontaktach z kobietami. Od razu podejrzewał je o najgorsze... i najczęściej miał rację. To chyba był wynik jego bogatych i przykrych zazwyczaj doświadczeń z nimi. Za wiele razy zdradzały z nim mężów i chłopaków, by potem mógł uwierzyć, że wielogodzinne spóźnienie to skutek korków, a za nieodbieranie telefonu odpowiada wyładowana bateria w komórce. Za dużo widział w życiu, by udawać, że nic nie widzi. Płacił zazdrością za zdrady, których dawniej był przyczyną.

– Wszystko ma swoją cenę – powiedział kiedyś do Beci, gdy próbowała przekonać go, że go nie zdradza. – Może i jesteś mi wierna, ale ja nie potrafię ci uwierzyć. Muszę teraz zapłacić za to, co zrobiłem innym ludziom. Za to, że dymałem ich dziewczyny i żony.

– Ale dlaczego ja mam za to płacić? – spytała go, płacząc.

Teraz też pierwszą reakcją na nieobecność Magdy były zazdrość i niechęć do niej. Inni ludzie zazwyczaj najpierw się niepokoją. Boją się, że ich partnerowi stało się coś złego. Marek całe dorosłe życie w pierwszej kolejności bał się, że to jego partnerka robi coś złego jemu. Potem miał wyrzuty sumienia – gdy okazywało się, że miała stłuczkę albo że naprawdę wyładowała jej się bateria w telefonie. Ale nie zmieniało to jego podejścia. Przy następnej okazji znów najpierw węszył zdradę.

To myślenie bardzo przydawało mu się w pracy politycznej, gdy przez pięć lat sprawował mandat europosła i gdy współtworzył niemal od zera dwie partie. Wówczas podejrzliwość, szukanie spisków, brak zaufania nawet do

najbliższych współpracowników pozwalały mu utrzymać się na powierzchni i nie dać się ograć innym. Ale w życiu prywatnym ta cecha wykluczała zbudowanie czegokolwiek trwałego.

Gdy wszystko świetnie się układało, Marek był najlepszym partnerem pod słońcem, ale gdy tylko coś zaczynało się psuć i należało zaufać dziewczynie, zawodził na całej linii. Nie stać go było na zaufanie, a bez tego nie mogło być mowy o jakiegokolwiek dłuższej relacji.

– Nie ufam Bogu, księżom, rodzinie i współpracownikom – powiedział kiedyś Beci. – Dlaczego miałbym zaufać tobie?

– Bo cię kocham, głuptasie – próbowała go przekonywać.

– Oni też tak twierdzą, a bez przerwy mnie oszukują, nawet nie mając w tym celu – odparł Marek. – Ty masz go na pewno, więc twoja zdrada, jak zdrada każdej kochanki czy żony, jest jeszcze pewniejsza.

Życie nauczyło go nie ufać i oczekiwać od świata najgorszego. Nie potrafił tak po prostu wyrzucić tego z głowy i nagle, jak piętnastolatek, zacząć wierzyć komuś, w którym interesie mogło być okłamywanie go. Nie chciał skakać do basenu, nie mając pewności, że jest w nim woda. Musiał za każdym razem sprawdzać, czy rzeczywiście tam jest. I w większości przypadków okazywało się, że basen jest pusty. Zaufał tylko kilka razy, w tym Beci. I za każdym razem okazywało się, że popełnił błąd.

Był wściekły na Magdę, bo nie było już szans na wspólną noc. Powodowany gniewem sprawdził w intranecie, jakie atrakcje zapewnia „Great Final” na następny dzień.

– Animacje w basenie, beach fitness i safari – przeczytał na głos.

Propozycje taplania się w basenie z obwisłymi emerytkami i ostrego wycisku na plaży pod nadzorem jakiegoś umięśnionego Murzyna od razu odrzucił. Wybrał safari.

– Wyjazd o piątej rano?! – zawołał. – Pojechało ich?! No niech będzie.

Zamówił miejsce i od razu dostał informację, że jego rezerwacja została uwzględniona i że proszony jest o stawienie się obok recepcji o 4.45. Śniadanie, jak wyczytał w e-mailu, będzie już w samochodzie, a powrót

planowany jest na 20.00.

W porządku, przynajmniej dzień jakoś zleci – pomyślał.

Poprosił przez telefon o środki nasenne i pięć minut później boj przyniósł mu je do pokoju. Połknął tabletkę i popił wodą. Gdy się kładł, była dwudziesta pierwsza. Znał siebie – musiał się wyspać, inaczej będzie umierał na tym durnym safari. Nim zgasił światło, sprawdził jeszcze raz komputer.

– Głupia dziwka! – rzucił i położył się spać.

DZIEŃ SZESNASTY

20 GRUDNIA

Marka obudził jakiś dźwięk. Podniósł głowę z poduszki i popatrzył na zegarek. Była 2.37. W łazience widać było światło – Magda się kąpała. Położył się na wznak i zapalił nocną lampkę.

– Obudziłam cię. Przepraszam – odezwała się, wracając do pokoju.

– Nic się nie stało.

– Zamówienie. – Wskazała głową komputer.

– Jasne, rozumiem – rzekł Marek. – Taki job.

Magda zrzuciła z siebie ręcznik i zaczęła się ubierać. Potem usiadła na chwilę przy biurku i zrobiła makijaż. Wreszcie wstała, wzięła torebkę i podeszła do łóżka.

– Ładna jest twoja dziewczyna? – zapytała.

– Najładniejsza – odparł, ale nie potrafił ukryć smutku.

Zauważyła to.

– Nie bądź dzieciak – powiedziała i usiadła przy nim. – Wiesz przecież, kim jestem, prawda?

– Prawda – wydusił z siebie. – Wszystko rozumiem.

– Zuch chłopak! – rzuciła głośno, pocałowała go w policzek i szybko wstała. W drzwiach odwróciła się jeszcze i spytała: – Do dziewiątej?

– Do dziewiątej – potwierdził.

Gdy zamknęła za sobą drzwi, Marek zgasił lampkę i próbował zasnąć. Męczył się aż do czwartej.

Obudził się krótko przed południem. Poszedł pod prysznic, a po powrocie

do pokoju usiłował zamówić Magdę na dwudziestą pierwszą, ale jej profil był nieaktywny.

Czyżby trafił się jej wymagający długodystansowiec? – pomyślał z zazdrością i jakimś żalem. – A może po prostu te dziewczyny mają prawo do przerw i wylogowania się z systemu?

Był w złym humorze – nie miał ochoty ani na bieganie, ani na leżenie na plaży. Po trzynastej poszedł wreszcie na obiad, znalazł ustronne miejsce w cieniu, przy basenie i zamówił krwisty stek.

Dziewięćdziesiąt procent klientów bierze „medium” – pomyślał. – Ciekawe dlaczego? Naprawdę dlatego, że taki lubią, czy po prostu wybierają coś bezpiecznego i nijakiego zarazem? Bo co to znaczy „medium”? Ani krwisty, ani „well done”. Czyli żaden.

Zamówił też wytrawne australijskie czerwone wino.

Cała nasza cywilizacja zrobiła się „medium” – bawił się wciąż tą samą myślą. – Wszystko jest coraz bardziej umiarkowane, a przez to pozbawione smaku, niestrawne. Brakuje dramatyzmu, antycznych wyborów, szans na okazanie heroizmu. Postheroiczne czasy na miarę postheroicznych ludzi. Szczyt dramatu to konflikt z szefem albo dylemat zdradzić żonę czy nie. Tak naprawdę życie upływa nam na załatwianiu spraw, shoppingu, dbaniu o zdrowie i urządzaniu się. Miałka i obrzydliwa egzystencja żuków gnojarczy. Przez kilkadziesiąt lat toczymy przed sobą kawał gówna, by ostatecznie się nim stać. Ot, cała tajemnica.

Kelner przyniósł gorący, ociekający krwią stek polany sosem grzybowym. Marek zabrał się do niego z wprawą.

Jeszcze kilka lat temu był przynajmniej kłopot z uchodźcami, więc przy okazji skrajna prawica na całym niemal Starym Kontynencie zaczęła rosnąć w siłę i pojawił się problem nowego Hitlera. Państwa zostały wyposażone we wszystkie niezbędne narzędzia prawne i inwigilacyjne, które przestraszeni obywatele dali do rąk ich funkcjonariuszom – odtwarzał w myślach to, co stało się w ostatnich latach w Europie – więc szybko zinfiltrowały środowiska muzułmańskich fundamentalistów i rozbiły je. A szkoda, bo to byli ostatni ludzie na tym kontynencie, którzy jeszcze w coś wierzyli.

Strasznie głupie było to wszystko, co mieli w swoich kudłatych pałach, ale jednak mieli w sobie wiarę, za którą byli gotowi zabić i oddać życie. Po nich nie było już nikogo, kto by naprawdę chciał żyć inaczej niż w wersji „medium”. No może poza durnymi nacjonalistami, ale to jednak było intelektualne dno.

Marek skończył jeść. Poprosił o kawę i tort czekoladowy, rozsiadł się wygodnie i zaczął obserwować ludzi przy basenie. Wszyscy poruszali się jakoś ślamazarnie, jakby na zwolnionym filmie.

Wczasowicze tak mają – pomyślał i przypomniał sobie wszystkie te lata, gdy sam latał do takich ośrodków. – Wolno się ruszają, jakby właśnie skończyli szychtę na kopalni. No i mają takie strapione miny.

Zawsze go dziwiło, że najbardziej uśmiechnięci są w tych kurortach pracownicy obsługi, goście natomiast przez większość czasu są ponurzy. Smutek tropików.

Uśmiechnął się do siebie.

No i co z tego, że mogę się bawić takimi asocjacjami? – zaczął się zastanawiać. – I że jestem odczytany i zanurzony w europejskiej kulturze? Ilu jednak książek nie dane mi było przeczytać? Ilu rzeczy nie wiem?

Świetnie pamiętał swój pierwszy kryzys i pierwszą utratę wiary w to, że jego wysiłki jako naukowca mają jakikolwiek sens. To było w chwili, gdy wszedł do biblioteki uniwersytetu w Ołomuńcu. Przebywał tam na stażu w latach dziewięćdziesiątych i wówczas biblioteka ta była najnowocześniejsza w całej Europie Środkowej. To w niej pierwszy raz zobaczył coś, co dziś jest normalne w każdej szanującej się placówce tego typu. Chodziło o sposób zamawiania książek. Nie robiło się tego tak, jak on robił przez całą młodość w Polsce, czyli u jakiejś kobiety za ladą, tylko szło wzdłuż półek i osobiście wybierało pozycje.

Tak więc szedł wtedy długimi alejkami między regałami bibliotecznymi i nagle pomyślał: Boże, przecież ja nie zdołam przeczytać nawet setnej części zgromadzonych tu książek! A takich bibliotek są tysiące. Po co właściwie czytać, jeśli ma się świadomość skromności swej wiedzy? Już na początku trzeba założyć, że przez całe życie zdołamy poznać ledwie mikroskopijną

część tego, co zgromadziła ludzkość. A skoro tak, to po chuj w ogóle zaczynać?! Po chuj udawać, że możemy do czegoś dojść, jeśli poza naszym zasięgiem jest dziewięćdziesiąt dziewięć procent wiedzy? I to nie całej, tylko specjalistycznej, z naszej dziedziny. Przecież to nie ma sensu. Najmniejszego.

Ostatecznie poświęcił się nauce – pisał książki, wykladał, był komentatorem politycznym. Zawsze jednak gdzieś w głębi wstydził się, bo wszystko, co mówił i myślał, mogło zawierać błędy. Jego wiedza była w końcu fragmentaryczna, a więc ułomna. Jeśli zaś była ułomna, mogła być też nieprawdziwa. Wszystko, co miał w głowie, mogło być nieprawdziwe tylko dlatego, że wziął książkę z tej, a nie innej półki. Nie wierzył w Boga, ale przecież gdyby w młodości sięgnął po inne lektury, mógłby dzisiaj zabijać w imię Allaha. Był zwolennikiem wolnego rynku, ale czy naprawdę miał to przemyślane? Przecież gdyby ktoś polecił mu inne książki, mógłby głosić dziś idee alterglobalistyczne i cytować Marksa, a przynajmniej Piketty'ego. Ten sceptycyzm poznawczy towarzyszył mu przez całą naukową karierę i przeniósł się na inne sfery jego życia. To on doprowadził do tego, że odrzucił patriotyzm, bo swoją polskość także postrzegał jako przypadkową i niekonieczną. I to ów życiowy sceptycyzm pozbawił go większości uczuć wyższych. A gdy tylko zrezygnował z niego w jednej sprawie – wierności i miłości jego kobiet – trafił do „Great Final”.

Trzeba było wytrwać w słodkim sceptycyzmie – pomyślał – to nikt by mnie nie zranił, nie zdradził i nie pozbawił chęci życia. Ale zachciało mi się zrobić wyjątek od metody, której byłem wierny od wejścia do ołomunieckiej biblioteki.

Zamówił jeszcze jeden kieliszek wina. Z kawą i tortem czekoladowym smakowało wyśmienicie. Wciąż obserwował basen i jego wzrok przykuła para bardzo młodych ludzi – mieli nie więcej niż dwadzieścia kilka lat. Nie mógł uwierzyć, że przyjechali tu umrzeć.

Ponad godzinę przyglądał się im, popijając wino. W pewnym momencie podnieśli się z leżaków i ruszyli w jego stronę. Trochę się przestraszył, że zauważyli jego natrętne spojrzenia i będą mieć o to pretensje. Ale nie –

usiedli dwa stoliki dalej i zamówili pizzę. Rozmawiali po czesku. Marek świetnie znał ten język, w końcu urodził się dziesięć kilometrów od granicy z Czechami, a część pracy naukowej poświęcił właśnie temu krajowi. Cenił też literaturę i kino południowych sąsiadów.

Zagadał do tej pary po czesku. Byli mile zaskoczeni, choć od razu zorientowali się, że jest obcokrajowcem.

– Cholera, sądziłem, że mój czeski jest na tyle dobry – Marek wyraził żal – że przynajmniej powitanie mnie nie zdradzi.

Młodzi się zaśmiali.

– Nie, nie, naprawdę jest super, tylko trochę szwankuje panu akcent – powiedział chłopak.

– A ja się prawie dałam nabrać – dodała dziewczyna.

– Trudno się dziwić – powiedział chłopak i roześmiał się. – Jana jest Słowaczką.

– Tak? – zdziwił się Marek. – Nie zorientowałem się.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Bo prawie nic nie mówiłam.

– Mam na imię Pavel, a to, jak pan już wie, Jana – rzekł chłopak.

– A ja mam na imię Marek i jestem z Polski – odezwał się Kastor. – I wolałbym, żebyście mówili do mnie po imieniu, okay?

– Jasne – powiedziała Jana. – Będzie nam bardzo przyjemnie.

– Mogę zapytać, ile macie lat? – odezwał się Marek.

– Dziewiętnaście – odparł Pavel. – Choć ja jestem starszy od Jany o ponad dwa miesiące.

– Bardzo młodzi jesteście. Nie za młodzi?

Dziewczyna i chłopak popatrzyli na siebie.

– Za młodzi na co? – zapytała Jana.

– Na pobyt tutaj.

Zapadła cisza.

– Przepraszam, to nie moja sprawa – rzekł wreszcie Marek. – Nie chciałem

być nieuprzejmy.

– Nie ma problemu – powiedział Pavel. – Nie jesteś pierwszym, który zadał nam to pytanie. Ja przyleciałem przedwczoraj, Jana przed czterema dniami, ale już dwa razy nas o to pytano. Więc nie czuj się winny.

– Nawet nie wiedziałem – zaczął się tłumaczyć Marek – że to jest legalne. Myślałem, że są jakieś dolne limity. Rozumiecie, wiekowe...

Coraz bardziej się plątał, a młodzi byli tym lekko rozbawieni.

– Nie, nie ma żadnych limitów – oznajmiła Jana. – Only money is the limit – dodała.

– Też byliśmy tym zdziwieni – dodał Pavel. – Tam, w Europie. Ale rzeczywiście tylko kasa jest ograniczeniem. Bo w końcu nie mieliśmy pieniędzy na kontach emerytalnych czy w firmach ubezpieczeniowych – kontynuował. – Jedynym sposobem było opłacenie pobytu w tym ośrodku żywą gotówką. Tanie to nie było, ale na kilkudniowy pobyt zdołaliśmy jakoś uzbierać.

– Ja zresztą byłem sprytniejsza od Pavla – dodała Jana – i po prostu wzięłam kredyt w banku. – Roześmiała się. – Nie mam rodziny, więc gdy zorientują się, że zalegam ze spłatą pierwszej raty, nie będą nawet mieli od kogo ściągnąć należności. Taki figiel na koniec zrobiłam systemowi.

– Ja tak nie mogłem – powiedział chłopak. – Oboje rodzice żyją, więc narobiłbym im kłopotów. To oni sfinansowali mi pobyt w „Great Final”.

– Rodzice?! – Marek mocno, może nawet za mocno wyraził swoje zdziwienie.

– Tak – potwierdził Pavel. – Zaszantażowałem ich. Powiedziałem, że albo pomogą mi odejść z tego świata w sposób cywilizowany, albo podetnę sobie żyły lub wyskoczę z okna. Zwłaszcza to pierwsze wydało im się tak brutalne, że ostatecznie, po wielu dniach rozmów, dali mi kasę.

– Ja nie mam nikogo bliskiego, więc nikt mi nie mówił, co mam robić – powiedziała dziewczyna. – Ale też nikt nie mógł mi pomóc.

– Ale naprawdę to jest legalne? – Marek wciąż nie dowierzał. – To, że tacy młodzi ludzie mogą tu być? Nie musieliście mieć jakichś zaświadczeń

lekarskich, że to przemyślana decyzja? Że to nie chwilowa depresja? Przepraszam, że tak dopytuję...

– Nie ma sprawy – rzuciła Jana. – Nie, nie potrzeba żadnych zaświadczeń. Wystarcza wyrażona na piśmie wola. Tak jak zapewne i w twoim przypadku. Takie są regulacje Unii Europejskiej. Z ukończeniem osiemnastego roku życia zyskujesz pełnię praw, również do eutanazji. Po wprowadzeniu tej usługi był zresztą jakiś protest stowarzyszeń rodziców i Kościołów, ale sąd unijny, w Luksemburgu chyba, orzekł, że byłoby to dyskryminowanie obywateli Unii ze względu na wiek.

– Ale przecież to może być jakaś przejściowa zmiana nastroju. Nie obrażcie się, ale buzują w was hormony i możecie podejmować decyzje pod wpływem silnych emocji albo depresji.

– A ludzie w twoim wieku albo starsi nie? – zapytał Pavel. – Myślisz, że oni nie decydują się na śmierć pod wpływem emocji? I że u nich gospodarka hormonalna jest w porządku?

Młodzi uśmiechnęli się do siebie – widać było, że mają to przemyślane i że już nieraz musieli odpowiadać na takie argumenty. Marek uznał, że nie ma sensu udowadniać im, że mogą się mylić.

– Może macie rację – powiedział. – Zresztą to nie moja sprawa.

Zapadła cisza. W tym czasie podszedł do nich ciemnoskóry kelner i przyniósł pizzę.

– Mogę jeszcze o coś zapytać? – odezwał się po chwili Kastor.

– Oczywiście – odparła Jana.

– Ty, Pavle – rzekł – przyleciałeś przedwczoraj, a Jana kilka dni wcześniej. Dlaczego nie przylecieliście razem?

– Bo się wcześniej nie znaliśmy – odpowiedziała dziewczyna.

– Jak to?

– Zwyczajnie. Poznaliśmy się wczoraj, tu, przy basenie. Pavel zobaczył, że czytam słowacką książkę, i podszedł do mnie. Tyle. Spędziliśmy wieczór na plaży, opowiadając sobie swoje historie, które zresztą są prawie identyczne. A dziś leżeliśmy razem przy basenie. Nie jesteśmy parą, jeśli to miałeś na

myśli.

– Mówiąc szczerze, byłem o tym przekonany – przyznał Marek.

Młodzi się roześmiali.

– Romeo i Julia kończący razem w „Great Final”? – zapytał Pavel. – Proszę cię, to by było aż nadto banalne. Pewnie jeszcze dlatego, że nasze rodziny nie zgadzają się na ślub, co? To dwudziesty pierwszy wiek!

– Racja. – Marek poczuł się głupio, bo naprawdę tak to sobie wyobrażał. – Ale jeśli mogę zapytać, co was tu sprowadziło?

– Miłość – powiedziała Jana. – A cóż by innego? Zawiedziona miłość. Z jakiego innego powodu dziewiętnastolatek mógłby pragnąć śmierci? Przecież nie z powodu bankructwa czy strachu przed ratami kredytu.

– Ale czy to nie równie banalne, wybaczcie mi tę uwagę, jak ten scenariusz z Romeem i Julią, o którym wspomniał Pavel?

– Może i tak – przyznała dziewczyna. – Może to jest równie banalne, ale nam nie o oryginalność chodzi. Mamy na nią wyjebane.

– Gdybyśmy chcieli się popisywać – dodał Czech – nie byłoby nas tu, lecz siedzielibyśmy w necie i zadziwiali czymś znajomych na fejsie.

– A więc zawiedziona miłość? – upewniał się Marek. – W obu przypadkach?

– Tak – potwierdziła Jana. – W skrócie, bo nie ma sensu wchodzić w szczegóły, u mnie to był facet starszy o dwanaście lat. Ale żonaty i z dzieckiem. Kiedy już się mną nacieszył, zdradził wreszcie, że kogoś ma i że nie zamierza od tego kogoś odejść. Problem w tym, że ja już byłam w nim śmiertelnie zakochana. Koniec historii.

– U mnie megapodobnie, tyle że bez małżonka i dziecka – odezwał się Pavel. – Zakochałem się w dziewczynie z klasy. Ponad rok byłem w rajku, ale pewnego pogodnego dnia ona oznajmiła, że już mnie nie kocha i że jest z innym. I tyle.

– I dlatego chcecie sobie odebrać życie? – spytał Marek. – Bo ktoś was zdradził, okazał się wobec was nielojalny?

– Nie o to chodzi – powiedziała Jana. – Nie chodzi o mojego słodkiego

mężusia ani o ślicznotkę Pavla. Nie jesteśmy głupi i widzimy, że oni nie zasługiwali na naszą miłość. A już na pewno nie zasługują na to, by z miłości do nich się zabić...

– No właśnie – przerwał jej Marek. – Chcecie dać im tę satysfakcję? Chcecie umrzeć, bo dwoje nielojalnych ludzi oszukało was i zraniło?

– Tu w ogóle nie chodzi o nich – rzekł Pavel. – Uświadomiliśmy to sobie wczoraj na plaży, kiedy rozmawialiśmy wieczorem. To nie z ich powodu chcemy umrzeć. Nie chcemy żyć, bo nie warto. Po prostu. Jeśli życie serwuje nam takie coś na początku naszej drogi, to po co w ogóle nią iść? Tu jest problem. Nie chodzi więc o nich, lecz o nas. O to, że już na starcie splugawiono w nas coś najświętszego, najintymniejszego. Oczywiście moglibyśmy się pozbierać i iść dalej, ale nie chcieliśmy. Nie chcemy być twardzi i nie zważać na kolejne zdrady i klęski. Nie zamierzamy brać udziału w tym wyścigu twardzieli, w tych zawodach na kolejne życiowe porażki. Najpierw trzeba przeżyć zdradę pierwszej miłości, potem śmierć rodziców i nielojalność żony lub męża, a na koniec nieczułość dzieci i samotność starości. Wygrywa ten, kogo mniej to zaboli, komu nie drgnie powieka przy najgorszym nieszczęściu.

Chłopak przerwał i napił się soku, który przyniósł usługujący kelner.

– My doskonale wiemy, Marku – odezwała się Jana – że przyszyby kolejne miłości i kolejni partnerzy. Tylko nie chcemy na nich czekać i patrzeć, jak również oni nas zdradzają. A tak byłoby. Jesteś starszy, widziałeś to, przeżyłeś. Powiedz, że nie.

– Nie mogę, bobym was oszukiwał.

– Sam widzisz – zdawał się triumfować Pavel.

– Ale zdarzają się prawdziwe miłości i prawdziwie szczęśliwe małżeństwa – zaproponował Marek trochę wbrew sobie.

– Widziałeś je? – zapytała dziewczyna. – Naprawdę je widziałeś? A jeśli nawet, jesteś pewien, że to było prawdziwe? Przecież nie wiesz, czy szczęście pary, która wydaje ci się idealna, nie jest zbudowane na kłamstwie. Nikt z nas nie ma dostępu do tego, co dzieje się między ludźmi żyjącymi ze sobą

kilkanaście czy kilkadziesiąt lat. To osobny świat, którego strzegą przed innymi. Wyobraź sobie, ile sekretów i tylko im znanych faktów musi ich łączyć. Jak bardzo intymna, choć często patologiczna więź ich spaja. Więc szczęście, które prezentują na zewnątrz, nie musi mieć nic wspólnego z prawdą...

– Zresztą – Pavel wszedł jej w słowo – to wspólne życie jest tak naprawdę ciągłym pozbywaniem się siebie. Musisz to wiedzieć. Każdego dnia, chcąc utrzymać związek, rezygnujesz z czegoś. Miliardy ludzi stopniowo wyrzucają się na śmietnik, bo tylko to pozwala być z kimś innym, chroni przed samotnością. Małżeństwo to powolna, ale systematyczna rezygnacja ze wszystkiego, co czyni nas osobną jednostką. Za bycie z kimś płacimy niebyciem sobą.

Marek nie wiedział, co powiedzieć, bo w gruncie rzeczy uważał tak samo. Jednak nie mógł też spokojnie przyjąć tego, że ci młodzi ludzie odbiorą sobie życie, bo się go boją. A raczej, bo boją się bólu, który przyniesie. Było w tym coś nieakceptowalnego.

– Ale czy musicie tak bardzo skupiać się na innych? – próbował argumentować. – Może da się zbudować szczęśliwe życie bez opierania go o kogoś innego? Rozumiem, że małżeństwo czy inny związek są bardzo ryzykowne, bo jakoś uzależniamy nasze szczęście od innego człowieka, ale samotne życie też może być udane.

– Może i tak – odparła Jana – ale my już się o tym nie przekonamy. Pobyt Pavla kończy się pojutrze. Mój jutro.

Marek był zbity z tropu.

– Tak szybko?! – prawie krzyknął.

– Na więcej nie było mnie stać – odpowiedział chłopak.

– Mojego banku też nie. – Jana uśmiechnęła się łagodnie.

Wszyscy umilkli.

– Ale może, skoro już się tu poznaliście – podjął niepewnie Marek – no nie wiem, może byście...

– Byli ze sobą? – przerwała mu dziewczyna. – To chcesz powiedzieć?

Żebyśmy się teraz w sobie zakochali, złapali się za ręce i żyli szczęśliwie? Skąd w tobie takie pokłady romantyzmu?

– I kiczu – dodał Pavel, po czym roześmiał się głośno, a Jana mu zawtórowała.

Markowi zrobiło się głupio, bo rzeczywiście jego sugestia była niemądra, zwłaszcza po tym, co wcześniej usłyszał od Patricka.

– Może masz rację, Pavle. – Uśmiechnął się przeprasząco. – To nie było zbyt wyrafinowane fabularnie.

– Nie, to było nawet słodkie – stwierdziła dziewczyna. – Niczym w scenariuszu amerykańskiego kina rodzinnego.

Pavel i Jana popatrzyli na siebie i dopili sok.

– Nie gniewaj się, Marku, ale będziemy już uciekać – powiedział Pavel. – Miło było cię poznać.

– Mnie was również – odparł Kastor, wstając.

Jana podała mu dłoń.

– Do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Marek został sam. Jakiś czas siedział jeszcze przy basenie, ale potem postanowił wrócić do apartamentu i sprawdzić, czy może już zamówić Magdę na wieczór.

Był bardzo zdziwiony, bo jej profil wciąż informował, że jest „niedostępna”. Było grubo po siedemnastej, a jemu nie chciało się już wychodzić.

Wykąpał się i zaczął czytać Gombrowicza. Zasnął po kilku stronach *Dzienników*. Obudził się po dwudziestej, gdy za oknem był już mrok. Podeszedł do komputera i sprawdził profil Magdy. Wciąż nie mógł jej zamówić.

– Kurwa mać! – powiedział na głos. – Co jest? Jakaś przydługa orgietka?

O ile przed kilkoma godzinami było mu smutno, o tyle teraz opanowała go złość. Zawsze tak było – gdy tylko coś szło nie po jego myśli, szybko wpadał

w zły nastrój. Zwłaszcza w kontaktach z kobietami. Od razu podejrzewał je o najgorsze... i najczęściej miał rację. To chyba był wynik jego bogatych i przykrych zazwyczaj doświadczeń z nimi. Za wiele razy zdradzały z nim mężów i chłopaków, by potem mógł uwierzyć, że wielogodzinne spóźnienie to skutek korków, a za nieodbieranie telefonu odpowiada wyładowana bateria w komórce. Za dużo widział w życiu, by udawać, że nic nie widzi. Płacił zazdrością za zdrady, których dawniej był przyczyną.

– Wszystko ma swoją cenę – powiedział kiedyś do Beci, gdy próbowała przekonać go, że go nie zdradza. – Może i jesteś mi wierna, ale ja nie potrafię ci uwierzyć. Muszę teraz zapłacić za to, co zrobiłem innym ludziom. Za to, że dymałem ich dziewczyny i żony.

– Ale dlaczego ja mam za to płacić? – spytała go, płacząc.

Teraz też pierwszą reakcją na nieobecność Magdy były zazdrość i niechęć do niej. Inni ludzie zazwyczaj najpierw się niepokoją. Boją się, że ich partnerowi stało się coś złego. Marek całe dorosłe życie w pierwszej kolejności bał się, że to jego partnerka robi coś złego jemu. Potem miał wyrzuty sumienia – gdy okazywało się, że miała stłuczkę albo że naprawdę wyładowała jej się bateria w telefonie. Ale nie zmieniało to jego podejścia. Przy następnej okazji znów najpierw węszył zdradę.

To myślenie bardzo przydawało mu się w pracy politycznej, gdy przez pięć lat sprawował mandat europosła i gdy współtworzył niemal od zera dwie partie. Wówczas podejrzliwość, szukanie spisków, brak zaufania nawet do najbliższych współpracowników pozwalały mu utrzymać się na powierzchni i nie dać się ograć innym. Ale w życiu prywatnym ta cecha wykluczała zbudowanie czegokolwiek trwałego.

Gdy wszystko świetnie się układało, Marek był najlepszym partnerem pod słońcem, ale gdy tylko coś zaczynało się psuć i należało zaufać dziewczynie, zawodził na całej linii. Nie stać go było na zaufanie, a bez tego nie mogło być mowy o jakiegokolwiek dłuższej relacji.

– Nie ufam Bogu, księżom, rodzinie i współpracownikom – powiedział kiedyś Beci. – Dlaczego miałbym zaufać tobie?

– Bo cię kocham, głuptasie – próbowała go przekonywać.

– Oni też tak twierdzą, a bez przerwy mnie oszukują, nawet nie mając w tym celu – odparł Marek. – Ty masz go na pewno, więc twoja zdrada, jak zdrada każdej kochanki czy żony, jest jeszcze pewniejsza.

Życie nauczyło go nie ufać i oczekiwać od świata najgorszego. Nie potrafił tak po prostu wyrzucić tego z głowy i nagle, jak piętnastolatek, zacząć wierzyć komuś, w czyim interesie mogło być okłamywanie go. Nie chciał skakać do basenu, nie mając pewności, że jest w nim woda. Musiał za każdym razem sprawdzać, czy rzeczywiście tam jest. I w większości przypadków okazywało się, że basen jest pusty. Zaufał tylko kilka razy, w tym Beci. I za każdym razem okazywało się, że popełnił błąd.

Był wściekły na Magdę, bo nie było już szans na wspólną noc. Powodowany gniewem sprawdził w intranecie, jakie atrakcje zapewnia „Great Final” na następny dzień.

– Animacje w basenie, beach fitness i safari – przeczytał na głos.

Propozycje taplania się w basenie z obwisłymi emerytkami i ostrego wycisku na plaży pod nadzorem jakiegoś umięśnionego Murzyna od razu odrzucił. Wybrał safari.

– Wyjazd o piątej rano?! – zawołał. – Pojechało ich?! No niech będzie.

Zamówił miejsce i od razu dostał informację, że jego rezerwacja została uwzględniona i że proszony jest o stawienie się obok recepcji o 4.45. Śniadanie, jak wyczytał w e-mailu, będzie już w samochodzie, a powrót planowany jest na 20.00.

W porządku, przynajmniej dzień jakoś zleci – pomyślał.

Poprosił przez telefon o środki nasenne i pięć minut później boj przyniósł mu je do pokoju. Połknął tabletkę i popił wodą. Gdy się kładł, była dwudziesta pierwsza. Znał siebie – musiał się wyspać, inaczej będzie umierał na tym durnym safari. Nim zgasił światło, sprawdził jeszcze raz komputer.

– Głupia dziwka! – rzucił i położył się spać.

DZIEŃ SIEDEMNASTY

21 GRUDNIA

Obudził go nie budzik, który nastawił na 4.15, lecz telefon.

– Mister Kastor? – usłyszał.

– Yes.

– We are waiting for you at the reception – powiedziała jakaś kobieta.

Spojrzał na zegarek – była 4.55.

– I'm sorry, I'll be there in five minutes – rzucił do słuchawki, po czym podsumował krótko sytuację: – Kurwa mać!

Wziął prysznic, wskoczył w uszykowane przezornie wieczorem ubranie, zajrzał na profil Magdy – wciąż była „niedostępna” – i parę minut po piątej zjawiał się przy recepcji. Wraz z Murzynem w mundurze khaki, który tam na niego czekał, szybko wyszedł przed hotel. Na parkingu stał już duży samochód terenowy. Mężczyzna, który go przyprowadził, okazał się ich kierowcą i przewodnikiem.

– I'm sorry – rzucił Marek do trzech siedzących w aucie osób.

Nikt nie zareagował – byli na niego wściekli. On jednak miał to w dupie, jak wszystko i wszystkich, i to już od dawna. Ruszyli chwilę po tym, jak wsiadł.

Przewodnik, Kamis, był Senegalczykiem i mówił po angielsku z wyraźnym francuskim akcentem. Pozostałymi uczestnikami wyprawy była para Hindusów i Grek. Hindus mógł mieć siedemdziesiątkę, ale jego żona była mniej więcej w wieku Marka. Grek wyglądał na sześćdziesiąt lat.

Kamis zaproponował śniadanie, które czekało przy siedzeniach, lecz nikt nie miał na nie ochoty.

– Przepraszam, że tak wcześniej – zaczął swą słabą angielszczyzną – ale zwierzęta rano wstawać. I chodzić, i polować. Potem upaść. Zwierzęta spać. My też. A wieczór zwierzęta znów aktywne. My też.

Marek wywnioskował z tego, że najpierw będą śledzić zwierzęta rankiem, potem zrobią sobie przerwę na lunch i sjęstę, a po południu wznowią obserwację. Był kiedyś na safari w Kenii, więc wiedział, jak to mniej więcej wygląda. Za to Hindusi i Grek najwyraźniej nie zrozumieli, jaki jest plan dnia. Nie miał zamiaru im niczego wyjaśniać.

Ruszyli i już po kilkunastu minutach zobaczyli pierwsze okazy fauny – zebry i żyrafy.

– One razem żyć – wyjaśnił Kamis. – Żyrafa widzi wysoko, zebra nisko. Razem bezpieczne. Dlatego przyjaźń między nimi. Pomagać sobie.

A więc na tym polega przyjaźń? – pomyślał Kastor. – Może i ten Murzyn ma rację. Wynikające ze wzajemnej ochrony i pomocy poczucie bezpieczeństwa musi być właśnie przyjaźnią. To ciepłko rozlewające się po ciele, gdy beztrósko spędza się czas z bliskimi ludźmi. I ta błogość wynikająca z ich obecności i z przekonania, że można na nich liczyć.

Wspomniał dwóch przyjaciół, jacy mu jeszcze zostali. Olesiowi nigdy niczego nie musiał wybaczać i nigdy się na nim nie zawiódł. Czasami facet go nudził lub irytował, ale jego przyjaźni zawsze mógł być pewien. Z Tomkiem sprawa nie wyglądała tak prosto, bo dwa razy niemal zerwali kontakty. Poszło oczywiście o baby. W tej kwestii Tomek nie potrafił być lojalny, ale ostatecznie zdobył się na przeprosiny, a Marek mu wybaczył. I chyba obu kosztowało to równie dużo – bo Tomek nie lubił przeproszać, a Marek wybaczać. W tym wypadku była to więc raczej intelektualna niż duchowa i, jako taka, łatwiejsza do utrzymania. Na szczęście dla obu Tomek zakochał się w pewnej idiotce i związał z nią na dość długo, a gdy w końcu zerwał z tą kobietą, obaj byli już na tyle starzy, że uznali, iż porywy serca i moszny nie są w stanie nadwerężyć ich relacji. Aż do wyjazdu Marka do „Great Final” pozostawali w głębokiej przyjaźni.

Resztę przyjaciół stracił kilka lat wcześniej w okolicznościach tak banalnych, że aż niewartych wzmianki. Ot, brak zaproszenia na imprezę,

posunięta za daleko obmowa, za mocny komentarz pod adresem grubej żonki faceta... i koniec. Pamiętał tylko, że przy każdej kolejnej stracie coraz mniej czuł, choć jeszcze niedawno nie wyobrażał sobie życia bez tego człowieka. To, co dotychczas wydawało mu się esencją egzystencji, nagle okazywało się przypadkowe, zbędne, nawet nieprzyjemne. Bardzo to było dziwne. A może jednak wcale nie?

Tymczasem jechali z Kamisem odkrytym wozem i zimne powietrze wdzierało się do kabiny. Marek był na to przygotowany – wzięł polar. Grek, wiedząc, że ranki są naprawdę chłodne, wciągnął gruby sweter. Ale para Hindusów drżała z zimna i nie bardzo nawet chciała wstawać, by podziwiać przyrodę. Chyba żalowali, że wybrali się na tę wycieczkę.

Marek nie lubił Hindusów. Nie lubił Indii. Był tam raz i postanowił nigdy nie wracać. Nie chodziło nawet o to, że strasznie zatrzał się w New Delhi i srał tydzień, narażając się na krańcowe odwodnienie. Szło raczej o to, co tam zobaczył. Bo wbrew opiniom głupich Amerykanów czy Europejczyków to nie jest kraj łagodnych braminów i uśmiechniętych mnichów. To najbardziej seksistowskie i przesiąknięte przemocą państwo świata. Powszechnie akceptowane są w nim rasizm i kastowość, ludzi stojących niżej w hierarchii społecznej i religijnej traktuje się jak śmieci, a skrajne nierówności, bieda i głód nikogo nie wzruszają, bo taki obraz świata zgodny jest z tym, co te śniade ćwoki odnajdują w swojej paranoicznej religii. Tak, jest barwna, ale gdy się jej bliżej przyjrzeć, wygląda jak bajka napisana przez sadystę dla upośledzonych dzieci. Przy niej nawet Abraham chcący zabić swego syna, bo tak szepcze mu do ucha pieprznęty Jahwe, wydaje się wcieleniem rozsądku. Ten ciąg bredni, które składają się na hinduską wiarę, nawet nie jest śmieszny czy przerażający. Jest powieścią idioty pokolorowaną przez daltonistę.

No i obowiązuje tam przyzwolenie na niewyobrażalną przemoc wobec kobiet, nie tylko psychiczną. To nie przypadek, że w statystykach zgwałceń Indie są na jednym z pierwszych miejsc. Przekonują się o tym te białe idiotki z Kalifornii czy Prowansji, które jadą tam szukać sensu życia, a kończą jako ofiary zbiorowych gwałtów.

– Głupie cipy – mruknął Marek. – Dobrze im tak.

Grek i Kamis popatrzyli na niego. Dopiero teraz zorientował się, że powiedział to na głos.

– Głupie cipy – powtórzył po polsku, patrząc na obu mężczyzn, a ci, nie rozumiejąc go, odwrócili wzrok.

Przez dłuższy czas oglądali tylko kolejne zebry i gazy – głupie czteronogie stworzenia, których jedyną umiejętnością jest szybki bieg.

– Zebra nie koń – zauważył Kamis. – Nie utrzymać człowieka na grzbiecie. Złamać się kręgosłup.

Marek nigdy nie rozumiał miłości ludzi do koni, a konkretnie do jeżdżenia na nich. Pojmował użyteczność tych głupich i płochliwych, ale silnych zwierząt i nie miał pretensji o to, że wykorzystywano je do pracy na rzecz człowieka, jednak kreowanie dosiadanania ich na prestiżowe zajęcie było dla niego niewyobrażalne.

Jedno zwierzę siedzi na drugim – myślał. – Czy to normalne? Chyba już Gombrowicz pisał o tym wynaturzeniu. A robienie z tego snobistycznego hobby to już naprawdę przesada.

Jeszcze większą przesadą było dla niego doszukiwanie się w koniach specjalnej inteligencji. W porównaniu z kotami czy psami były jego zdaniem jak pager przy smartfonie.

Po pewnym czasie zatrzymali się, a ich czarnoskóry przewodnik wyłączył silnik. Zapadła cisza.

– Tu droga lwów – powiedział Kamis. – My czekać. Możliwe zobaczyć lwy.

Zrobiło się już trochę cieplej, więc nawet para Hindusów wstała i wypatrywała drapieżników. Minęło jednak wiele minut, a nie widać było ani lwów, ani żadnych innych zwierząt. Ale w pewnym momencie dostrzegli zbliżającego się do nich bawołu. Marek widział już te stworzenia w Kenii i to one robiły na nim największe wrażenie. Nie lwy czy hieny, ale właśnie bawoły. Wiedział, że są odważne i szalone. Raz nawet był świadkiem, jak jeden byk zaatakował jeepa z turystami. Tak po prostu, w przypiływie szału czy dla kaprysu. Nie bały się nikogo – ani ludzi, ani innych zwierząt, w tym

lwów. Dorosły, zdrowy bawół mógł zabić jednym uderzeniem rogów tego wielkiego kota i dlatego oba gatunki zazwyczaj się omijały. Chyba że młode lwice chciały sprawdzić swoje umiejętności – wtedy zaczepiały jakiegoś osobnika, ale zawsze ostrożnie, wiedząc, jak może się to dla nich skończyć.

Właśnie taki wielki, samotny osobnik szedł prosto na nich. Kamis odbezpieczył karabin i nakazał wszystkim w aucie usiąść. Włączył silnik, ale na razie nie ruszał. Bawół wciąż się do nich zbliżał. Wreszcie stanął dwa metry od wozu i patrzył w ich kierunku. W jego wzroku nie było agresji ani strachu. To nawet nie było zainteresowanie. Po prostu przyszedł zobaczyć coś, co zwróciło jego uwagę, nic więcej. Stał i się im przypatrywał.

– Gdyby my na ziemi – rzekł cicho Senegalczyk – on zaatakować nas i zabić. Ale my w aucie, to on stać i patrzeć. Bardzo silny. Bardzo sam.

Marek patrzył na bawołu. W pewnym momencie byk także spojrzął na niego. Trwało to może dwie, trzy sekundy. Kontakt dwóch zwierząt. Bez emocji, jedynie wzajemna obserwacja. Marek poczuł głęboką solidarność z tym czymś, co stało naprzeciwko niego. Nie potrafił tego wytłumaczyć, ale bardzo mocno doświadczył. Patrzyli na siebie jeszcze chwilę, a potem bawół powoli odwrócił się i zaczął oddalać. Nie patrzył już na nich, nie zwracał uwagi na ludzi. Po prostu poszedł w swoją stronę. Marek obserwował go, nie potrafiąc się ruszyć. Miał wrażenie, że odchodzi ktoś bardzo mu bliski, ktoś ważniejszy dla niego niż większość ludzi, których spotkał w życiu. Chciał wysiąść z jeepa i pójść za tym zwierzęciem. Razem z nim odejść. Wiedział, że to absurdalne, ale miał pewność, że połączyła go z tym stworzeniem więź głębsza niż z Kamisem, Grekiem i Hindusami.

– Jedziemy – przewodnik przerwał ciszę. – Teraz już za gorąco. Zwierzęta spać. My lunch. Potem relaks. Potem znów safari.

Samochód ruszył, a Kastor usiadł. Nie był w stanie się odezwać. Chciał już być u siebie w apartamencie.

Do campingu dotarli po godzinie. Czekali tam na nich lunch, basen oraz specjalne namioty wyposażone w klimatyzację i prysznice. Dochodziło południe. Senegalczyk poinformował ich, że mają teraz czas wolny i że zbiórka jest o szesnastej. Na szczęście ani Grek, ani Hindusi nie przejawiali

ochoty na wspólne spędzenie tych czterech godzin, więc Marek mógł najpierw spokojnie popływać w basenie, a potem samotnie zjeść obiad. W obozie było jeszcze kilka innych ekip, o wiele bardziej zintegrowanych niż ich wycieczka. Ludzie jedli w małych grupach, rozmawiali, śmiali się, pływali. Marek przypominał sobie safari w Kenii – zachowywał się tak samo. To było ledwie trzy lata wcześniej. Była z nim wówczas dziewczyna, której imię przywołał dopiero po chwili dramatycznych usiłowań.

Po lunchu poszedł do namiotu, wziął prysznic i uciął sobie poobiednią drzemkę – najśłodszą ze wszystkich. Lubił moment zasypiania, to uczucie pełnej błogości. Trochę gorzej było z wybudzaniem się. Jeśli drzemka trwała kwadrans lub dwa, nie było problemu, ale jeśli pozwolił sobie na dłuższy sen, przebudzenie było koszmarem. Czuł się wtedy, jakby przebiegł w tym czasie maraton.

Obudził go nastawiony na 15.45 budzik. Wstał z trudem i opłukał twarz zimną wodą. Punktualnie o szesnastej zameldował się przy jeepie. Kamis i Grek byli już na miejscu. Chwilę jeszcze poczekali na Hindusów, a gdy i oni dotarli, ruszyli na safari.

Teraz to Hindusi mieli przewagę nad Markiem – powietrze było nagrzane i nawet podczas jazdy nie przynosiło ulgi. Para z Indii była zachwycona, wreszcie bowiem mogła robić to, co wszyscy ich pobratymcy lubią najbardziej, czyli pocić się i śmierdzieć. Markowi doskwierał upał, lecz wiedział, że z każdą minutą będzie on słabł, więc zaopatrzył się tylko w butelkę wody mineralnej i stanął w aucie, by wypatrywać zwierząt.

Po kilkunastu minutach jazdy Kamis ustawił jeepa na lekkim wzniesieniu, z którego rozpościerał się wspaniały widok na rozległą równinę. Wyłączył silnik i polecił im uważnie oglądać sawannę przez lornetki. Od czasu do czasu wskazywał im coś, co uchodziło ich uwagi. Był to zazwyczaj przyczajony w trawach lew lub kryjąca się przed upałem hiena.

Widok był zaiste imponujący – horyzont rysował się daleko, a płaska sawanna pozwalała oglądać wiele obrazów jednocześnie. Widać było nie tylko żyrafy, zebry i antylopy, ale także majestatycznie maszerujące słonie i stada hien oraz lwów szukających dogodnych miejsc do polowania.

Zwierzęta szły znad wodopoju w stronę lasu. Kamis wyjaśnił, że każdego dnia przebywają tę samą, liczącą dziesięć kilometrów trasę: rano z lasu nad wodę, po południu w drugą stronę.

– W lesie ciepło w nocy – tłumaczył – więc w nocy one w lesie. W dzień one do wody, bo tam chłód. A wieczorem z powrotem do lasu, bo nad wodą zimno w nocy. Las dać ochrona.

Czyli całe stada codziennie maszerowały raz w jedną, raz w drugą stronę.

– Jak my do roboty i z powrotem – zauważył sensownie Grek.

– Tak, do pracy i do domu – potwierdził Kamis.

Marek pamiętał, że gdy pierwszy raz był na safari, właśnie widok powracających z wodopoju zwierząt zaskoczył go najbardziej. Wcześniej sądził, że odbywa się to w jakimś porządku, że stada idą obok siebie i że przypomina to trochę przemarsz wojsk. W rzeczywistości wyglądało to jednak inaczej – o ile niektóre osobniki już dawno zaczęły wracać, o tyle większość jeszcze taplała się w wodzie. Stada rozciągały się na kilka kilometrów, a wiele zwierząt szło samotnie i zatrzymywało się, by jeszcze coś zjeść albo schronić się w cieniu. To one właśnie najczęściej padały ofiarą lwów i hien.

W pewnym momencie Kamis powiedział, by skierowali lornetki na pobliskie drzewa. Dosłownie kilka sekund później wybiegła spośród nich antylopa goniona przez dwie lwice. Szybko oddalała się od nich i widać było, że nie zdołają jej dogonić. Ale gdy antylopa trochę zwolniła, pewna wygranej, dokładnie przed nią wyskoczyła z trawy trzecia lwica. Jednym skokiem dosięgła szyi zwierzęcia i obaliła je na ziemię. Wyglądało na to, że czekała tam na antylopę, a pozostałe samice tylko udawały atak, w rzeczywistości pełniąc funkcję naganiaczek.

Teraz podbiegły do ofiary, która już się nie ruszała, i w kilka sekund rozszarpały ją. Po chwili z pobliskich krzaków do ciężko dyszących lwic wybiegło kilka lwiatek. Samice odciągnęły części ciała antylopy w cień i ułożywszy się obok nich, zaczęły jeść. Małe biegały między nimi wyraźnie zadowolone.

– Szczęśliwa rodzina – powiedział Senegalczyk. – Do jutra dość jedzenia. Szczęśliwi.

Uwagę Marka przykuła jednak reakcja stada antylop, które z najwyższej stu metrów obserwowały całe zajście. Na początku niezwykle czujne, gotowe w każdej chwili uciekać, zaczęły znowu skubać trawę, zmierzając powoli w stronę lasu. Nie przeżywały żalu po stracie członka stada. Taki los codziennie spotykał jakieś zwierzę, więc przyzwyczyły się do tego. Musiały dbać o siebie, o to, by przeżyć kolejny dzień. Najwyraźniej czuły, że każde z nich wcześniej czy później zostanie zabite przez lwy lub hieny. Zupełnie jak więźniowie Auschwitz czy Kołomy, którzy też żyli po to, by przetrwać kolejny dzień, ale bez wielkiej nadziei, że ostatecznie unikną śmierci. Chodziło raczej o to, by nie zginąć dziś. Jutro było już niemal perspektywą eschatologiczną.

Marka zawsze fascynowały wspomnienia tych, którzy przeżyli piekło obozów koncentracyjnych czy gułagów. Do lektury Borowskiego lub Czapskiego nie pchała go jednak niezdrowa fascynacja śmiercią i okrutnymi praktykami oprawców, lecz pytanie o to, co utrzymywało więźniów przy życiu. Przecież nie mogli wiedzieć, że wojna skończy się w 1945 roku albo że Stalin umrze w roku 1953. Skąd więc w nich ta nadzieja przetrwania i gotowość do nieludzkiego cierpienia? Skąd ta zwierzęca chęć przeżycia? Dla kogo? Dla dzieci? Boga? W końcu wielu z nich straciło już dzieci i wiarę. Skądinąd tacy umierali najszybciej i Marek wcale się temu nie dziwił. Po co mieli znosić te okropności? Tylko po to, by móc znosić je nadal? Nie rozumiał, dlaczego ci ludzie nie rzucali się masowo na druty lub w inny sposób nie popełniali samobójstwa. Wystarczyło wyjść w nocy na kamczacki mróz i zasnąć, marząc o ciepłych krajach. Dlaczego tak uporczywie trzymali się życia, które było piekłem? W nadziei na co? Na wyzwolenie? Na koniec wojny? Na śmierć tyrana?

Straszna jest ta chęć życia i gotowość do zaakceptowania wszystkiego, co pozwoli przetrwać. To przyzwolenie na mordowanie innych, zobojętnienie na to, a przynajmniej psychiczne odseparowanie się od tego. Jakie mechanizmy za tym stoją? Przecież nie ludzkie. Nie te, które uczyniły z nas

dumne istoty, za jakie się uważamy. W takich sytuacjach odzywa się w nas coś zwierzęcego – atawistyczna chęć przeżycia bez względu na koszty, własne i cudze, bez oglądania się na cierpienie lub śmierć innych. To właśnie wtedy człowiek sprowadzony zostaje do poziomu zwierzęcia z afrykańskiej sawanny i zachowuje się jak zwierzę. Czuł to Witkacy i dlatego odebrał sobie życie – w tym akcie autodestrukcji był po raz ostatni człowiekiem. Wiedział, że jeśli tego nie zrobi, zginie z rąk swych bliźnich dla kilku monet lub kromki chleba, a jeśli przeżyje, to tylko jako zwierzę próbujące przetrwać w warunkach okupacji. Jedynie zabijając siebie, mógł zachować człowieczeństwo.

Bo wyłącznie człowiek zna samobójstwo, akt dobrowolnego pozbawienia się życia. Nie w obronie potomstwa czy przy poszukiwaniu jedzenia – ten rodzaj poświęcenia zna świat animalny. Świadome samobójstwo, w imię niezgody na egzystencję, której nie chcemy, jest najbardziej ludzkim gestem, na jaki możemy się zdobyć. Życ za wszelką cenę potrafi byle bakteria. Odebrać sobie życie potrafi tylko człowiek.

Kamis włączył silnik i ruszyli, by – jak powiedział – przeciąć drogę słońiom i zobaczyć je z bliska. Senegalczyk znał park narodowy jak własną kieszeń i wiedział doskonale, gdzie i o której godzinie pojawią się poszczególne stada. Rzeczywiście, gdy pół godziny później zatrzymali się w środku buszu, zobaczyli idące w ich stronę stado sześciu słońi. Na czele podążała wielka samica – to one w świecie tych zwierząt są przewodnikami i przywódcami – w środku dwa słońiatka, obok nich zaś dwa samce. Na samym końcu zobaczyli starą słońicę.

– To babcia. – Kamis wskazał maruderkę. – Jest już bardzo stara.

Stado zbliżało się do nich powoli. W odległości dosłownie dziesięciu metrów od auta zaczęło przechodzić przez drogę, na której się zatrzymali. Majestatycznie, jeden po drugim, słońie przecinały trakt. Jedynie małe prawie przez niego przebiegły. Idąca za wszystkimi stara samica zatrzymała się nagle pośrodku – widać było, że jest bardzo zmęczona. Stado także stanęło.

– Widzicie jej tylne nogi? – zapytał Kamis. – Mokre. Ona sika. Zero

kontroli. Bardzo stara.

Istotnie, tylne nogi słonicy były mokre. Po chwili zresztą dotarł do nich odór uryny. Zwierzę stało na środku drogi i patrzyło na nich, a stado spokojnie czekało. Po jakichś dziesięciu minutach słonica ruszyła w jego stronę, a gdy zrównała się z innymi słoniami, te podjęły wędrówkę.

– Czy to prawda, że słonie mają swoje cmentarze? – zapytał Hindus. – Że przed śmiercią idą zawsze w jedno miejsce i tam umierają?

– Nieprawda – odparł Kamis. – Całkiem nieprawda. Ale prawda, że jak słoń umiera, to inne stać obok niego dzień czy dwa i czekać. Potem dopiero odejść. Ale długo czekać przy martwym słoniu.

Marek słyszał o tym. Nie było wiadomo, czy słonie po prostu nie wiedzą, co zrobić, gdy jeden z członków stada nie wstaje, czy to wyraz żalu i czuwanie nad zwłokami. Naukowcy nie potrafili tego rozstrzygnąć, a ludzie mieli skłonność do przypisywania zwierzętom ludzkich cech.

Przewodnik oznajmił, że to koniec safari i że powoli będą wracać do ośrodka. Obiecał, że po drodze zobaczą jeszcze hipopotamy.

– One zabijają każdy rok więcej ludzi niż lwy i inne zwierzęta razem – oznajmił.

Hindusi byli zdziwieni, Grek też. Marek dowiedział się o tym podczas wcześniejszych pobytów w Afryce. Pamiętał, że także go to zszokowało. Te pocieszne tłuscioszki większymi zabójcami niż lwy czy hieny? Ale tak właśnie było. Hipopotamy potrafią bardzo szybko biegać. Co prawda na krótkich dystansach, ale to wystarczy, by dogonić i bez trudu zabić człowieka. Nie zawsze zło wygląda groźnie. Prawdę mówiąc, niemal nigdy tak nie wygląda. Wprost przeciwnie – raczej jest ponętne, atrakcyjne. Inaczej by tak nie triumfowało.

Sam kilka razy dałem się zwieść takim pociesznym istotom – pomyślał Marek i uśmiechnął się. – Ostatecznie zawsze okazywały się bezwzględnymi zabójczyniami.

Jeep wolno przemierzał sawannę. Ciepłe pomarańczowe słońce sprawiało, że świat wyglądał pięknie w jego wieczornym świetle. Marek siedział

w swoim fotelu zmęczony całodniową wyprawą. Myślał o tym, jak bardzo różni się życie przeciętnego człowieka od egzystencji dzikiego zwierzęcia. To pierwsze jest zwykle bezpieczne i wygodne. Ludzie nie znają strachu przed śmiercią, a przynajmniej rzadko myślą o tym, że mogą stracić życie. Cywilizacja spowodowała, że ta obawa prawie zniknęła. I nie chodzi tu o metafizyczny lęk przed tym, co po naszej egzystencji, ale o zwykły lęk, że coś lub ktoś nas zabije. O ile zwierzęta żyją w ciągłym zagrożeniu życia, o tyle człowiek odseparował się od tego strachu i trwa w błogim poczuciu, że nic mu nie zagraża – co najwyżej jakiś kierowca, który zapił lub zasnął za kierownicą. Prawdopodobieństwo gwałtownej śmierci jest więc zerowe. U zwierząt natomiast odwrotnie – prawie stuprocentowe, za to szansa na śmierć ze starości bliska zeru.

Marek zastanawiał się nad tym od dłuższego już czasu. Pierwszy raz przyszło mu to do głowy podczas ponownej lektury Sienkiewicza. Jego bohaterowie nie nosili szabel dla ozdoby, ale dla zwiększenia swojego bezpieczeństwa. Jeszcze kilkaset lat temu, i to nawet w cywilizowanych krajach, prawdopodobieństwo gwałtownej, przedwczesnej śmierci z rąk innych ludzi było bardzo wysokie. Ówczesna egzystencja przebiegała według paradygmatu zwiększania szans na przeżycie i zmniejszania prawdopodobieństwa zostania ofiarą, była więc niemal zwierzęca. Tak zresztą jest i dziś, ale tylko w czasie upadku państwa, konfliktów zbrojnych i rewolucji. Z kolei w cywilizowanym, dobrze zorganizowanym państwie strach przed śmiercią z rąk innego człowieka praktycznie nie istnieje. Antropolodzy chyba nie uwzględnili tej fundamentalnej zmiany przy badaniu życia współczesnych. Kilka wieków temu nawet królowie nie kładli się spać bez strachu o to, czy obudzą się rano. Tymczasem teraz w zasadzie każdy, nawet bezrobotny, może być spokojny, że bez trudu przeżyje kilkadziesiąt lat. Coś, co było marzeniem książąt i królów, jest obecnie doświadczeniem przeciętnego mieszkańca Zachodu. Nigdy nie dręczy go strach przed nagłą śmiercią – chyba że przedawkuje dragi lub spije się na balkonie u kumpla, który mieszka na dwudziestym piętrze. To musiało mieć ogromny wpływ na genotyp człowieka, który nie odczuwa już strachu przed czyhającą zewsząd śmiercią i nie sypia nerwowo, gotów w każdej chwili

zerwać się i uciekać.

Marek pomyślał o tym, jak wiele dzieli ludzi od ich praprzodków, którzy każdego dnia walczyli o przeżycie na tych sawannach. Musieli rywalizować ze zwierzętami o łupy i o dostęp do wody, a także bić się ze swoimi pobratymcami. Dziś już wiemy, że ewolucja homo sapiens nie przebiegała linearnie, że człowiek myślący nie zastąpił po prostu innych ludzi, lecz prawdopodobnie egzystował razem z neandertalczykami czy denisowianami – być może wojował z nimi, a być może kopulował. Jego świat musiał być taki jak ten, który Kastor oglądał podczas tego safari – był codzienną walką o zdobycie mięsa i o zabezpieczenie się przed atakiem zwierząt. Całą swoją uwagę koncentrował na tym, by przeżyć, nic innego go nie obchodziło.

Jak więc doszło do tego, że stał się tym, czym jest dzisiaj? Jak z przemierzającego sawanny myśliwego przeistoczył się w twórcę smartfonów i odrzutowców? Zwolennicy inteligentnego projektu – z ich wiarą w boską interwencję i logicznym, choć może nie nazbyt prawdziwym wytłumaczeniem tego przejścia – mieli tu przewagę nad takimi jak Marek. A on? Naprawdę wierzył, że to połączenie ewolucji i szczęśliwych przypadków spowodowało, iż ten owłosiony dzikus, którym człowiek był jeszcze sto tysięcy lat temu, zmienił się w osobnika surfującego po internecie i tworzącego filmy psychologiczne? Czy takie wyjaśnienie nie brzmi jeszcze bardziej absurdalnie niż ta bajeczka o boskim tchnieniu?

Kamis ze smutkiem poinformował ich, że niestety nie zobaczą dziś hipopotamów, bo nie ma ich w miejscu, gdzie zwykle wieczorem żerują. Nikt jednak specjalnie się tym nie zmartwił, bo wszyscy byli bardzo zmęczeni i chcieli jak najszybciej znaleźć się w pokojach. Senegalczyk szybko ruszył w stronę „Great Final”.

Do ośrodka dotarli w niecałą godzinę. Marek był wykończony. Podziękował Kamisowi za wyprawę. Na żegnanie się z Grekiem i Hindusami nie miał najmniejszej ochoty. Coś jedynie burknął w ich stronę i ruszył do apartamentu. Gdy tylko wszedł do pokoju, zniknął w łazience i wziął długi, gorący prysznic. Stał pod bijącą go po ramionach wodą i rozkoszował się jej

ciepłem.

Jak niewiele trzeba człowiekowi, by był szczęśliwy – pomyślał.

Wiedział jednak, że to nieprawda – że człowiekowi trzeba do szczęścia dużo, bardzo dużo. I że jedynie niewielu udaje się to szczęście osiągnąć. Na pewno nie udało się jemu. A mówiąc dokładniej, przestało mu się udawać, bo był czas, gdy mógł powiedzieć, że jest szczęśliwy. Ale to było dawno.

Jednak czy naprawdę dawno? Przecież ostatni raz był szczęśliwy jeszcze w tym roku. A że miał wtedy poczucie, że to ostatni raz? I że będzie to szczęście krótkotrwałe, za które zapłaci śmiercią? To już inna sprawa. Niemniej były momenty, a nawet dni i tygodnie, gdy Beca dawała mu szczęście. Więc może bez tych melodramatycznych sformułowań, że to dawno i nieprawda...

Po wyjściu z łazienki marzył tylko o jednym – by położyć się do łóżka i zasnąć. Podszedł jednak jeszcze do komputera. Wahał się chwilę, czy go włączyć, ale ostatecznie nacisnął „Enter”. Wszedł na profil Magdy. Była „niedostępna”.

Położył się do łóżka i natychmiast zasnął.

DZIEŃ OSIEMNASTY

22 GRUDNIA

Obudziło go pukanie do drzwi, tak przynajmniej mu się wydawało. Spojrzał na zegarek – była 3.51. Przez chwilę leżał bez ruchu, sprawdzając, czy mu się to przyśniło czy jednak naprawdę ktoś pukał. Minęło dziesięć, może piętnaście sekund i znów usłyszał pukanie.

Podszedł do drzwi i zapytał:

– Kto tam?

– To ja, Magda.

Otworzył. Nie patrząc na niego, weszła i bez słowa skierowała się do łazienki. Marek zamknął drzwi i wrócił do łóżka. Słyszał, jak dziewczyna napełnia wodę do wanny i się rozbiera. Kąpała się prawie pół godziny.

– Zgaś światło, proszę – powiedziała, stanąwszy w progu pokoju.

– Dlaczego?

– Po prostu zgaś. Bardzo cię proszę.

Marek wyłączył nocną lampkę. Magda podeszła, wsunęła się pod kołdrę, odwróciła do niego plecami i powiedziała:

– Obejmij mnie.

Przytulił się do niej i objął ją w pasie.

– Co się stało? – zapytał.

– Jutro ci opowiem – wyszeptała. – A teraz pocałuj mnie i śpijmy, dobrze?

– Dobrze – odparł i pocałował ją w szyję.

Magda błyskawicznie zasnęła – już po minucie usłyszał jej miarowy, spokojny oddech. Sam dopiero przed świtem zapadł w nerwowy,

przerywany sen.

Obudził się po ósmej, wstał i poszedł się wykąpać. Gdy wrócił, wciąż spała, usiadł więc w fotelu i zaczął czytać. Po ponad godzinie zobaczył, że otworzyła oczy.

– Dzień dobry – powiedział.

– Dzień dobry, Marku – odparła i przewróciła się na drugi bok. – Mogę jeszcze pospać?

– Oczywiście. Jak długo chcesz.

Ale po kilku minutach odwróciła się do niego.

– Już nie zasnę – powiedziała i usiadła na łóżku. – Zamówisz dla nas śniadanie?

– Jasne. Co byś chciała zjeść?

– Cokolwiek – rzuciła i poszła do łazienki.

Marek zamówił śniadanie. Obfite, bo – jak poinformował dziewczynę z obsługi – jest bardzo głodny. Po dwudziestu minutach taca dotarła do jego apartamentu. Niemal w tym samym momencie Magda wyszła z łazienki owinięta tylko w ręcznik.

– Śniadanie podane – oznajmił i zaprosił ją do stolika.

Nie rozmawiali, słychać było jedynie muzykę płynącą z telewizora. Dopiero po dłuższej chwili, gdy pili już kawę, zapytał:

– Powiesz mi w końcu, co się stało?

Popatrzyła na niego.

– Na pewno chcesz to usłyszeć?

– Na pewno – rzekł. – Ale możesz oszczędzić mi szczegółów.

– Serio chcesz wiedzieć, co robiłam przez ostatnie dwa dni? Nie domyślasz się? Przecież wiesz, kim jestem i co tu robię. Nie przyjechałam tu na wczasy.

– Nie interesują mnie szczegóły – powtórzył. – Chcę tylko wiedzieć, czy nie stało ci się coś złego.

– Nie. Nic oprócz tego. – Wstała, odwróciła się do niego tyłem i zrzuciła

ręcznik. Na jej plechach i pośladkach widać było siniejące krwawe pręgi.

– Kto ci to zrobił? – zapytał wzburzony Marek.

– Klient, któż by inny? – odparła, po czym na powrót owinęła się ręcznikiem i usiadła.

– Kurwa, zawiadomię DeWaela! – prawie krzyknął.

– Patricka? – prychnęła. – Był na łodzi i o wszystkim wie.

– Wie? I pozwolił na to?

– Pewnie. Ja też na to pozwoliłam.

– Co? To się stało za twoją zgodą?

– Oczywiście – przytaknęła. – Za moją zgodą, za zgodą Patricka, no i za dodatkową opłatą.

– Czyli to było dobrowolne? – Marek chciał potwierdzenia.

– W jakimś sensie tak. Nie było przymusu. Patrick obiecał mi premię.

Zapadła cisza. Marek nie patrzył na Magdę.

– A co myślałeś? – odezwała się nagle. – Nie wiedziałeś, kim jestem? Tak było miło, ale się skończyło, bo kurwa okazała się kurwą? Biedny Mareczek sądził, że to takie opowieści tylko i że ona w gruncie rzeczy jest niewinna, a na koniec szlachetnego życia zafunduje sobie niezwykły romansik. Z kurwą, ale bez całego tego kurestwa. Otóż nie, chłopczyku. Chcesz się zakochać w kurewce? Proszę bardzo, ale z pełną świadomością, bez tego kiczowatego romantyzmu. Chcesz czułości? Okay, ale pamiętaj, kim jestem. I nie rób takiej zbolalej miny, udając, że ci mnie żal i że nie wiedziałeś, jak świat wygląda. Tak właśnie wygląda.

– Magdo, przecież nie o to chodzi.

– Ależ właśnie o to chodzi! – rzuciła. – Tak, dwa dni rznąłam się z dwoma nadzianymi zombiakami. Zgodziłam się na rzeczy, na które nie chciały się zgodzić inne, i w czterdzieści osiem godzin zarobiłam tyle, ile one zarabiają w miesiąc. Taka jest prawda i miej odwagę się z nią zmierzyć, a jak ci nie pasuje, to każ mi spierdalać i skończmy tę żenującą relację, która tylko nas rani. Chciałeś kurwy, to ją masz.

– Przestań – rzekł i gwałtownie przyciągnąwszy ją, pocałował w usta. – Nie mów tak.

Magda się rozplakała.

– Marku, przepraszam, ale to nie ma sensu. Przecież ty za parę dni umrzesz. Co ja mam potem robić? Tęsknić za tobą? Myśleć, że może gdybym spotkała cię kilka lat temu, dałbyś mi szczęście i bylibyśmy najlepszą parą pod słońcem? Ty umrzesz, a ja będę wspominać te nasze kilkanaście dni. I co, ma mi to wystarczyć na resztę życia? Przestańmy się spotykać, proszę cię. Nie mogę tu nadal pracować i być z tobą. Nie mam już na to siły. Za bardzo cię... Za bardzo się zaangażowałam. A muszę zarabiać, bo jestem tu dla Kamila. Musisz mnie zrozumieć. Ty dostaniesz złoty strzał i odejdiesz uśmiechnięty, jak wy wszyscy, a ja znów będę musiała za wszystko płacić. Przez następne kilka lat będę obciążała kolejnym truposzom, myśląc o tobie i o tym, co między nami było.

Marek patrzył na nią bez słowa. Po chwili poszła do łazienki, a gdy wróciła, była gotowa do wyjścia.

– Tak naprawdę przyszedłam się pożegnać. – Kucnęła przy nim i wzięła jego twarz w dłonie. – Nigdy się już nie spotkamy. Muszę żyć, a ty odbierasz mi wolę życia. Najchętniej odeszłabym z tobą za te kilka dni, ale to niemożliwe, bo mam syna. – Pocałowała go. – Marku, popatrz na mnie. Kocham cię. Zrozumiałam to już jakiś czas temu. Kocham cię, ale nie mogę z tobą dłużej zostać. Kamil beze mnie nie przeżyje. Muszę do niego wrócić, a ty mi to uniemożliwiasz. Jeszcze jedno spotkanie z tobą, a znienawidzę siebie i rzucę tę pracę. Nie stać mnie na taki luksus. Na życie zgodnie z ideałami i moralnością mogą sobie pozwolić tacy bogacze jak ty. Tacy jak ja muszą żyć tak, jak im świat pozwala. Nie ja ustalałam te reguły, ale muszę się do nich stosować. I muszę nadal dawać dupy, dla syna. – Wstała i podeszła do drzwi.

Marek nie ruszył się z miejsca.

– Postaram się jak najszybciej o tobie zapomnieć, choć nie będzie to łatwe – powiedziała, odwróciwszy się jeszcze. – Ty też o mnie zapomnij. Tak będzie lepiej dla nas obojga. – Wyszła, zamykając za sobą cicho drzwi.

Marek został sam. Zupełnie nie wiedział, jak zareagować. Był zaskoczony

tym, co mu powiedziała. Tym, że tak wiele dla niej znaczy i że tak bardzo się zaangażowała. Z drugiej strony dźwięczały mu w uszach jej słowa, że musi go zostawić dla Kamila, bo ten bez niej nie przeżyje. Dała mu do zrozumienia, że kogoś kocha bardziej. To była kalka tego, co kiedyś usłyszał od Kasi. Gdy go opuszczała, powiedziała, że Igor może sobie coś zrobić, że bez niej nie przetrwa.

Czy ja zawsze muszę być tym drugim? – pomyślał. – Tylko dlatego, że podobno jestem silny psychicznie? Nawet teraz, na końcu, zostaję sam, bo inni wiedzą, że sobie poradzę i że można mnie bezkarnie skrzywdzić. Bezkarnie, bo nie będę rozpaczał i jakoś się pozbieram.

Był zaskoczony całą tą sytuacją. Nie spodziewał się, że krótko przed śmiercią pozna jeszcze kogoś, kto go poruszy, kto będzie go choćby w najmniejszym stopniu obchodził. W końcu przyleciał tu, by z nikim się już nie wiązać. Chciał niczego nie czuć, nie mieć związków z kimkolwiek.

A jednak ta dziewczyna nie była mu obojętna. Czuł to od samego początku, od ich pierwszego spotkania. Weszła do jego pokoju jako anonimowa prostytutka, ale wyszła już jako Magda, osoba, która przebiła jego pancerz. W ciągu paru minut zrobiła to, co wielu jego partnerkom nie udawało się przez miesiące, a nawet lata. Więc od początku wiedział, że to nie zwykły romans z seksem w tle, że tu zaczęła się jakaś dziwna gra, której nie planował i nie kontrolował. Ale czy nie chciał? Przecież mógł to przerwać w każdej chwili, mógł jej nie zamawiać, nie wybrać jako tej, z którą miał prawo spędzić dodatkowe dwie godziny dziennie. Jednak tego nie zrobił, więc chyba pragnął, by to się rozwijało.

Ale Magda się nie myliła – to nie miało sensu. On za dziesięć dni będzie trupem, a ona musi żyć. Podjęła jedyną słuszną decyzję.

– Zuch dziewczyna! – powiedział na głos.

Gdyby lepiej potrafili powstrzymywać emocje, mogliby się jeszcze spotykać. Ona odetchnęłaby od innych klientów i miło spędzała z nim czas, on miałby dobry seks i inteligentną rozmówczynię. Ale spierdolili to – ona, bo zaangażowała się jak nastolatka, a on, bo do tego dopuścił. Spierdolili to, bo pozwolili emocjom płynąć tak, jak mogłyby i powinny płynąć w innym

miejscu i czasie. Gdyby do ich spotkania doszło w jakimś hotelu w Warszawie przed paru laty. Gdyby on po prostu był jej klientem, a ona zwykłą prostytutką. Tak, wtedy byłyby jakieś szanse. Ale nie tu, nie w tej umieralni. Nie na kilka dni przed jego śmiercią.

Narastała w nim złość. Nie przyjechał tu, by znów mieć zamęt w głowie i zastanawiać się nad losem innych. To miał być miesiąc przygotowań do odejścia, a nie wakacje z blondynką. Za nieco ponad tydzień już go nie będzie. Oto, co się liczy. Gdyby chciał się nadal szamotać w budowaniu związków i doznawać kolejnych rozczarowań, zostałby w Polsce i jeszcze kilkanaście lat bawił w takie cyrki. Tymczasem pragnął od tego wszystkiego uciec. Zwłaszcza od tych damsko-męskich emocjonalnych zapasów.

– Kurwa mać! – krzyknął. – Na chuj mi takie coś?!

Włożył sportowy strój i wyszedł z apartamentu. Pobiegł na plażę, a potem wzdłuż oceanu, aż do siatki i z powrotem. Kilkaset metrów przed hotelem, gdy był już bardzo zmęczony, rozebrał się i wszedł do wody. Spędził w niej dobrą godzinę, unosząc się na falach.

Wrócił do siebie i zaczął się zastanawiać, co będzie robił przez cały dzień. Dochodziło dopiero południe.

Stwierdził, że nic nie będzie robił. Po prostu. Nie będzie czytał, nie będzie myślał, nie będzie rozmawiał. Spędzi dzień zupełnie bez celu, czyli tak, jak od początku chciał przeżywać tu każdy z trzydziestu dni życia, jakie mu pozostały. Przebrał się więc i poszedł na lunch.

Kiedyś mówiło się „obiad” – pomyślał – a teraz „lunch”. No i za mojej młodości obiad składał się z zupy, drugiego dania i kompotu. A lunch to przystawki, main course i deser z kawą.

Kawę do obiadu nauczył się pić dopiero w Brukseli. Na początku go to dziwiło. W jego ziemniaczanej ojczyźnie kawę piło się rano, jako dodatek do kanapek z jajkiem i pomidorem, lub po południu – do ciasta. Ale jako coś kończącego obiad? Nigdy. Tyle że w kraju nad Wisłą obiad jadło się po powrocie z pracy – cały dzień człowiek ciągnął na kanapkach zrobionych przez żonę i dopiero w domu wpychał w siebie dwudaniowy obiad, bo to tańsze niż jedzenie na mieście. A w Brukseli lunch był środkiem dnia, nie

jego zwieńczeniem. Po nim wracało się do pracy, więc espresso czy americano były konieczne, żeby się jakoś pobudzić.

Kiedyś, właśnie za swojego europosłowania, o mało co zaliczyłby wpadkę dyplomatyczną. W trakcie bardzo uroczystego lunchu, podczas oficjalnego przywitania delegacji z Rosji, wpadł w straszną śmiechawkę. Wiadomo, toast następował po toaście, a goście zostali tak posadzeni, by rozmawiali ze sobą. No i Marek siedział między dwoma przedstawicielami Dumy Państwowej. Wciąż z nimi dyskutował, słuchając coraz to nowych toastów, aż w pewnym momencie przypomniał sobie, że matka uczyła go, że przy stole się nie gada. Więc zaczął sobie wyobrażać, że wstaje, dzieli się ze wszystkimi tą maminą mądrością i prosi o jedzenie w ciszy. Tak go ta wizja rozbawiła, że musiał szybko wyjść z sali, dusząc się ze śmiechu.

Tak, większość rad i informacji, które otrzymujemy od rodziców, kompletnie nie przydaje się w dorosłym życiu. To aż dziwne, że ci najbliżsi nam ludzie tak bardzo są później nieprzydatni ze wszystkimi swoimi pouczeniami i wskazaniem. Jeszcze dziwniejsze jest to, do jakiego stopnia nas nie znają. Niby spędzają z nami całe życie, ale w pewnym momencie tracimy z nimi kontakt. Oczywiście większość z nas ich kocha i szanuje, ale przecież nie przejmujemy się już ich uwagami i mądrościami i nie bierzemy ich pod uwagę. Ci, którzy są z nami od początku, którzy widzieli, jak sikamy i walimy w pieluchy, nic o nas nie wiedzą. Pierwszy lepszy kumpel zna nas lepiej i może nam coś sensownie podpowiedzieć, ale nie rodzice – oni zawsze już będą śmieszni, usiłując podsunąć nam najlepsze rozwiązania. Mogą nas wesprzeć psychicznie i objąć, ale na pewno nie są nam w stanie doradzić.

Może dzieje się tak właśnie dlatego, że oni wciąż widzą w nas te małe dzieci? Że nie potrafią zrezygnować z przekonania, że wiedzą o nas wszystko? Bo kiedyś naprawdę tak było – gdy mieliśmy dziesięć lat, byliśmy dla nich otwartą księgą. Ale potem następował ten dziwny okres dojrzewania, w którym każdy kolega z klasy rozumiał nas lepiej niż nasi starzy, wciąż przeświadczeni, że doskonale nas znają i wiedzą, co jest dla nas najlepsze. A to już wówczas była gównem prawda. Są ostatnimi, którym

byśmy się zwierzyli i którzy nas rozumieją. Później zaś z roku na rok ta przepaść między pokoleniami się pogłębia, aż dochodzi do tego, że ani oni nie rozumieją nas, ani my ich. Widzimy ich na drugim brzegu, czujemy coś do nich, wiemy, że jesteśmy im coś winni, ale nie mamy pojęcia, jak do nich mówić, jak do nich wrócić, jak im pomóc. Są tacy bliscy i obcy zarazem. Nic nas z nimi tak naprawdę nie łączy, a jednak nie potrafimy ich opuścić. I to jedynie pogłębia wyrzuty sumienia – bo oni czekają na każdy kontakt z naszej strony, a my się do niego zmuszamy. Oni są wdzięczni za każdy miły gest, a my dozujemy je, jakbyśmy mieli ograniczoną ich liczbę. Odwraca się sytuacja z dzieciństwa, kiedy to oni mieli swoje życie, a my byliśmy od nich uzależnieni i za uśmiech matki czy ojca zrobilibyśmy wszystko. Najwięksi okrutnicy muszą długo i ciężko pracować na to, by dzieci w końcu ich znienawidziły. Bo nawet bicie i brak czułości nie są w stanie od razu spowodować, by miłość dziecka się ulotniła. Nawet molestowanie seksualne nie sprawia, że dzieci przestają natychmiast kochać swoich oprawców. Ale na koniec życia role się odwracają – nie ma takiej podłości i okrucieństwa dzieci wobec rodziców, których ci drudzy by nie wybaczyli. Karuzela pojebańców.

Marek cały dzień spędził na plaży. Starał się o niczym nie myśleć. Mniej więcej co godzinę wchodził do oceanu, by trochę się ochłodzić, po czym wracał na leżak, zamawiał kolejny koktajl i wystawiał się na słońce. Przed osiemnastą zaczęło się robić chłodniej, więc postanowił wrócić do apartamentu.

Wziął szybką kąpiel, przebrał się i poszedł na kolację. Miał nadzieję, że nie spotka nikogo, kto będzie chciał się do niego dosiąść i pogadać. Zajął stolik na werandzie, z widokiem na plażę, zamówił owoce morza i białe wino. Chciał się upić.

Jeśli dotrwam – pomyślał – zobaczę wreszcie, co jest w tym cholernym night-clubie, do którego dotąd nie dotarłem. Wstyd. Już ponad dwa tygodnie tu siedzę i ani razu tam nie byłem.

Kiedyś byłoby to nie do pomyślenia. Jeszcze dziesięć lat temu ciągnęło go w weekendy do ludzi, na imprezy i do klubów. Ale potem zupełnie mu to

przeszło. Lubił się rozkoszować tą zgodą na starzenie się, nie przeciwstawiał się temu ani psychicznie, ani fizycznie. Śmieszyli go ci wszyscy, którzy tracili godność w ciągłej pogoni za młodością, a właściwie w ucieczce przed starością. Robili sobie operacje plastyczne, inwestowali w używki i zmieniali styl życia, byle wciąż wyglądać i zachowywać się jak młodzi. Marek czuł odrazę do młodości – była rozkrzyczana, głupia i prymitywna. Pewna siebie, wulgarna i okrutna. Grupki młodych mężczyzn wywoływały w nim jedynie strach połączony z pogardą. Inny, co oczywiste, miał stosunek do młodych kobiet, ale nawet one, gdy były w większej grupie, wzbudzały w nim niechęć.

Dlatego tak bardzo się zdziwił, że zakochał się w Beci. W ogóle tego nie planował i ta miłość go zaskoczyła. Poznali się zresztą idiotycznie. W pociągu do Warszawy, widząc, że wagon jest prawie pusty, usiadł na pierwszym lepszym miejscu, nie sprawdzwszy nawet, jaki numer ma na bilecie. Gdy pociąg ruszył, a on na dobre już się rozsiadł, zjawiała się piękna, szczupła dziewczyna. Zauważył ją na peronie, gdy rozmawiała z jakimś chłopakiem. Zwrócił uwagę na jej specyficzną urodę, ale wyglądała na licealistkę, więc nie zaprzętał sobie nią głowy. A teraz stała tuż obok z biletem w ręku i patrzyła na niego.

– Przepraszam, ale chyba siedzi pan na moim miejscu – powiedziała w końcu.

Marek rozejrzał się po wagonie. Wszystkie fotele dookoła były wolne, więc nie rozumiał, dlaczego po prostu nie zajmie jednego z nich.

– To moje miejsce, proszę pana – powtórzyła.

Nie wiedział, czy ma być na nią wściekły czy się roześmiać. Gdyby była facetem, pewnie zareagowałby gniewem, ale była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu widział.

– Proszę wybaczyć, już się przesiadam – wydukał w końcu. – Nie będzie pani miała nic przeciwko, jeśli usiądę tam? – Wskazał miejsce naprzeciwko.

– W żadnym wypadku – odparła i dodała z lekkim uśmiechem: – Będzie mi bardzo przyjemnie.

Marek przeniósł swoje rzeczy na nowe miejsce, a ona od razu zagadała do

niego.

– Jestem Beata, ale wszyscy mówią do mnie Beca. – Wyciągnęła dłoń.

– A ja jestem Marek i wszyscy mówią do mnie Marek – odpowiedział, wywołując jej śmiech.

– Pan do Warszawy?

– Tak. Dokładnie tam, dokąd i pani.

Beca znów się uśmiechnęła.

Całą podróż przegadali. Okazało się, że ma dwadzieścia jeden lat i studiuje komunikację społeczną, więc znaleźli wiele wspólnych tematów. Chyba oboje byli zaskoczeni, że mimo ogromnej różnicy wieku rozmawia im się tak dobrze. Co ciekawe, mieli tego samego dnia wracać na Śląsk. Marek namawiał ją, by zdecydowała się na późniejszy pociąg – ten, którym on jechał. Powiedziała, że się postara, ale nie obiecuje.

Załatwiał swoje sprawy w stolicy, ale wciąż się zastanawiał, czy spotka ją wieczorem w pociągu. Gdy wreszcie dotarł na stację i wszedł na peron, na którym stał ekspres do Katowic, zobaczył ją w wagonie restauracyjnym. Zapukał w szybę, a ona obróciła się i spojrzała na niego. Nie uśmiechała się, lecz z ufnością i otwartością patrzyła mu prosto w oczy. Marek nie mógł się ruszyć. Wreszcie otrząsnął się, wszedł do pociągu i podszedł do jej stolika. Beca wstała, zarzuciła mu ręce na szyję i bez słowa pocałowała go w usta. Wiedział już, że ta miłość go zabije. Nie mylił się.

Jeszcze tego samego wieczoru, w połowie drogi między Warszawą a Katowicami, kochali się. W pociągu prawie nie było pasażerów, a oni po kolacji w Warsie znaleźli pusty przedział. To był namiętny, wolny od słów seks. I absolutnie bezwstydnym. Nie zastanawiali się, jak to, co robią, zostanie odebrane przez drugą osobę. Ogarnęła ich fala żaru, czułości i bliskości. Coś, na co Marek już nie czekał i czego się nie spodziewał. A na pewno nie ze strony kogoś tak młodego. Wtedy jeszcze nie wiedział, jak młodego.

Kelner zapytał, czy przynieść kolejną butelkę wina. Marek nawet nie zauważył, jak opróżnił tę, którą zamówił do kolacji. Oczywiście zgodził się. Znad lądu wiał przyjemny ciepły wietrzyk, była dopiero dwudziesta pierwsza

i zapowiadało się, że upije się, zanim otworzą night-club.

– No trudno – powiedział do siebie. – Chyba nie będzie mi dane go obejrzeć.

Kelner przyniósł nowe wino, otworzył butelkę i dał mu do powąchania korek. Marek nie miał ochoty na udział w tym sommelierskim rytuale, ale nie chciał wyjść na chama, więc odegrali tę śmieszoną scenkę – on, udając znawcę wina, a tamten, udając profesjonalistę najwyższej klasy. W końcu jednak, nie wytrzymując już tej nieznośnej formy, Marek chwycił butelkę za szyjkę i zaczął pić „z gwinta”, jak to się kiedyś mówiło u niego na podwórku. Kelner, zamiast się oburzyć, roześmiał się głośno. Widać i jemu ciążył ten teatrzyk, w którym obaj zagrali.

Mężczyzna oddalił się, a Marek – z winem w dłoni – rozsiadł się, patrząc na czarny już ocean. W pół godziny wypił drugą butelkę i chwiejnym krokiem ruszył do apartamentu. Było mu niedobrze. Gdy tylko wszedł do pokoju, rzucił się do łazienki i z wymiotował do wanny. Kiedy poczuł się lepiej, posprzątał po sobie, wziął chłodny prysznic i zwałił się na łóżko. Patrzył na komputer, zastanawiając się, czy sprawdzić profil Magdy. Nie zdecydował się jednak na to.

– Głupia dziwka – wybełkotał.

Bardzo szybko zasnął.

DZIEŃ DZIEWIĘTNASTY

23 GRUDNIA

Obudził się ze strasznym kacem – głowę rozrywały mu kolejne fale bólu. W końcu zwałował się z łóżka, poszedł do łazienki i wziął chłodny prysznic, a potem zadzwonił do recepcji i poprosił o leki przeciwbólowe.

Całe przedpołudnie spędził w pokoju. Zaciągnął zasłony i po prostu leżał w łóżku. Z każdą godziną było mu coraz lepiej, ale dopiero około pierwszej zdecydował się wyjść z apartamentu. Mrużąc oczy i mocno się pocąc, poszedł na plażę i zanurzył się w oceanie, czując, że tylko lekki wysiłek może mu pomóc. Pływał już dobrą chwilę, gdy nagle poczuł silny skurcz w prawym udzie. Zdarzało mu się to od czasu do czasu – kolejna pamiątka po treningach karate – ale pierwszy raz w wodzie. Ból z każdą sekundą narastał i nagle Marek zorientował się, że to może się bardzo źle skończyć. Od brzegu dzieliło go około pięćdziesięciu metrów, a na plaży nikogo nie było. Wiedział, że nie może spanikować i nerwowo próbować wydostać się z wody, bo wtedy na pewno się utopi. Usiłował opanować oddech i jak najdłużej utrzymać się na powierzchni, lecz ból nie ustępował, a on czuł, że słabnie i że przy każdym wynurzeniu nabiera coraz mniej powietrza. Strach zajrzał mu w oczy – był prawie pewny, że jeśli za chwilę nie odzyska władzy nad ciałem, zginie. Chciał krzyczeć, ale nie miał już siły i tylko rozpaczliwie młócił ramionami fale.

A więc tak to się skończy – przebiegło mu przez głowę... i w tym właśnie momencie skurcz ustąpił.

Marek odzyskał nagle władzę w udzie, nabrał głęboko powietrza, położył się na plecach i starał nie ruszać. Stopniowo regulował oddech. Zniknęły objawy paniki. Powoli, bardzo powoli zaczął płynąć w stronę brzegu. Po

dwóch minutach wyczołgał się na plażę i leżał na piasku. Był wyczerpany.

Gdyby się utopił, wszystko wokół wyglądałoby tak samo. Fale równie mocno uderzałyby o brzeg, ptaki w taki sam sposób krążyłyby nad wodą, w ośrodku wszyscy zajęci byłiby tymi samymi sprawami, którym akurat się oddawali. Świat nie odnotowałby jego śmierci, tak jak nie odnotował śmierci miliardów ludzi przed nim. Tych, którzy zginęli podczas wojen punickich, wypraw krzyżowych i drugiej wojny światowej, a także tych zupełnie bezimiennych, którzy od zarania dziejów umierali naturalną śmiercią. Tylu ludzi już odeszło, tymczasem góry stały tak jak zawsze, ocean bił o brzeg z tą samą bezmyślną zawziętością, drzewa zaś na przemian traciły liście i się w nie ubierały.

Czy każdy człowiek ma to samo co on poczucie wyjątkowości i tak samo uważa, że jest osobnym, niezniszczalnym światem? Przecież historia powinna nas nauczyć tak naprawdę jednego – że nasze życie nie ma znaczenia. A geografia, że skoro góry powstały w wyniku tych wszystkich procesów, o których słyszymy w szkole, to doprawdy jesteśmy mali. Jakże nieistotna jest nasza egzystencja! Tymczasem nie potrafimy zaakceptować tego, że nasze życie nie ma najmniejszego znaczenia dla świata, o wszechświecie nie wspominając. Bo jeśli do tych gór i lasów dodamy to, co wiemy o planetach, gwiazdach i galaktykach, nasza egzystencja będzie już nie tylko nieistotna, ale pozbawiona sensu. Zupełnie przypadkowa i zbędna.

Uspokoił oddech. Więc tak właśnie mógł skończyć – po prostu się utopić. Ale skąd nagle u niego ta wola przetrwania? Dlaczego tak zawzięcie walczył o życie, które z własnej woli zakończy już za nieco ponad tydzień? Czyżby tak naprawdę nie chciał umrzeć? Nie, to nie to. Nie chciał umrzeć w bólu i z płucami pełnymi wody. Przyleciał tu, bo chciał odejść godnie. Nie, to też nie to. Miał w dupie godność, podobnie jak wszystkie inne wartości z tej szlachetnej półki, na której przez wieki układali je filozofowie i księża. Nie zależało mu na godnej śmierci, lecz na odejściu bez bólu i tego oczekiwał od fachowców z „Great Final”. Nie po godność tu przyjechał, ale po bezbolesną śmierć poprzedzoną wspaniałym miesiącem w luksusowym hotelu.

Podniósł się i podszedł do leżącego na piasku ubrania. Włożył koszulkę

i szorty, po czym ruszył do baru przy plaży. Był wyczerpany, ale ból głowy o dziwo mu minął.

Świetny sposób na kaca – pomyślał i uśmiechnął się. – Amerykanie powinni opatentować podtapianie. Zbiliby na tym kupę kasy.

W barze spędził dwie godziny. Pił dzin z tonikiem i jadł kanapki z łososiem. Nie miał pomysłu na to, jak spędzić resztę dnia. Myślał o Magdzie, ale po ich ostatniej rozmowie rozumiał, że próby kontaktu nie mają sensu. Może i mógłby ją zamówić, a ona musiałaby przyjść do jego apartamentu, ale przecież nie tego chciał. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie poprosić DeWaela o kolejne przyspieszenie wielkiego finału, uznał jednak, że byłaby to głupota. Po pierwsze, nie chciał rezygnować z tych kilku ostatnich dni życia w luksusie, po drugie, nie zamierzał odchodzić z tego świata wściekły na jakąś dziwkę. To byłoby żenujące. Nie, wykorzysta pozostały mu czas na myślenie i rozrywkę.

Dokończył drinka, wrócił do siebie i sprawdził, które dziewczyny są wolne. Dostępnych było kilka, w tym Roksana, którą poznał trzeciego wieczoru, oraz Magda. Wybrał jednak Chinkę, której profilu nie widział wcześniej. Zamówił ją i dostał informację, że będzie u niego za kwadrans. Wziął szybki prysznic i gdy zapukała, był już gotowy.

Poprosił o masaż z „happy endem”. Dziewczyna bardzo sprawnie i fachowo go wymasowała, a po jakiejś godzinie zrobiła mu loda. Gdy kończył na jej piersiach, przez głowę przebiegła mu myśl, że jeszcze kilka godzin wcześniej walczył o życie, a teraz przeżywa rozkosz z piękną kobietą i że te dwie rzeczy nijak się do siebie mają.

Podziękował jej, a ona grzecznie się ukloniła i wyszła. Dopiero gdy zamknęła za sobą drzwi, uświadomił sobie, że to kolejna dziewczyna, której nie zapytał nawet o imię.

Było już sporo po osiemnastej i zaczynało zmierzchać. Marek poczuł głód. Wahał się, czy zamówić jedzenie do pokoju, czy pójść do restauracji. Ostatecznie zdecydował, że wyjdzie i zje coś w barze przy plaży.

Gdy tam dotarł, okazało się, że bar jest prawie pełny. Zdziwiło go to, bo zazwyczaj w restauracjach i barach ośrodka świeciło pustkami. Zapytał

kelnera o przyczynę tej wysokiej frekwencji.

– Winter holidays.

– Winter holidays? – zdziwił się Marek.

Zapewne chłopakowi chodziło o święta Bożego Narodzenia, tak właśnie określane w Unii. Ale przecież był dopiero dwudziesty trzeci grudnia, więc jakie święta? Kelner nie potrafił tego wyjaśnić. Faktem jednak było, że prawie wszyscy goście mieli świąteczne dodatki – czerwone kapelusiki, doklejaną brodę Świętego Mikołaja lub różdżki śnieżynek. Z głośników leciały amerykańskie przeboje świąteczne, trochę ludzi tańczyło na środku baru.

Marek zajął miejsce w rogu sali i zamówił burrito oraz piwo Corona. Przypatrywał się ludziom – większość była w wyśmienitym nastroju. Nieco go to zaskoczyło, gdyż mieszkańcy „Great Final” nie tryskali zwykle humorem, ale – jak widać – w czasie świąt stał się cud. Nawet zombiaki ożyły i promieniowały optymizmem.

Jego uwagę przykuł pewien starszy mężczyzna. Siedział sam na lewo od niego i chyba jako jedyny nie uśmiechał się ani nie podrygiwał w rytm muzyki. Po prostu patrzył na ludzi i pił wino. W pewnym momencie ich spojrzenia się skrzyżowały. Facet podniósł kieliszek i pozdrowił Marka, po czym z jakąś dziwną zachłannością wypił alkohol. Marek skinął mu głową. Po kilkunastu minutach mężczyzna znów go pozdrowił i zaprosił gestem do siebie. Marek wziął butelkę corony i ruszył do niego.

– Zapraszam – powiedział tamten po angielsku. – Będzie mi miło spędzić z panem kilka chwil.

Marek przedstawił się i usiadł. Okazało się, że mężczyzna ma na imię Sven, pochodzi z Norwegii i ma osiemdziesiąt jeden lat.

– To dziwne – rzekł Sven w pewnym momencie.

– Co?

– Ogólnie wszystko. – Uśmiechnął się. – Ale mnie konkretnie chodzi o ten wieczorek.

– Co w nim dziwnego? – spytał Marek.

– Te rytuały. Czapeczki, brody, dzwoneczki, kolędy. Przecież to nie ma nic wspólnego z rzeczywistością i z tym, co się stało dwa tysiące lat temu.

– Myślisz, że Chrystus nie śpiewał kolęd?

Sven docenił żart.

– Chyba nawet Maryja ich nie nuciła – rzucił. – Ale mówię serio. Czasy nam się zlaicyzowały, ale w głębi duszy pozostaliśmy wiernymi dziećmi Kościoła. A konkretnie wielu Kościołów.

– W głębi czego? – spytał ironicznie Marek.

Norweg się roześmiał.

– No widzisz, nawet w języku jesteśmy konfesyjni. Nie potrafimy żyć bez Kościoła. W coś musimy wierzyć, taka już nasza natura. A jak nie wierzymy, to przynajmniej praktykujemy. Bez świadomości i refleksji, ale praktykujemy. Potrzeba wiary czy mitu przejawia się nawet po tym, jak wiarę i mit porzucimy, i to na różne sposoby: w obrzędach, w języku – na czym właśnie mnie przyłapałeś – i w rytuałach. Takich choćby jak ta zabawa.

– Kim jesteś z zawodu?

– Raczej, kim byłem – zauważył Sven. – Byłem profesorem, antropologiem.

– To słychać.

– W tym, co mówię, czy w tym, jak mówię? Bo profesorowie są strasznie nadęci i mają nieznośną manierę pouczenia wszystkich.

Marek się uśmiechnął.

– Coś o tym wiem. Sam wiele lat pracowałem na uczelni. Ale wracając do tego, co powiedziałaś... Sądzisz, że nie potrafimy się uwolnić od tej konfesyjności? Że nawet ateści są w gruncie rzeczy wierzący?

– Pomijając indywidualne przypadki, tak – powiedział Sven. – Tylko naprawdę niewielu ludziom udaje się w nic nie wierzyć. Reszta musi mieć jakichś bogów lub przynajmniej bożków.

– Jakich? – zaciekał się Marek, bo czuł, że ten człowiek myśli podobnie jak on.

– Różnych. To mogą być jakieś bóstwa zastępcze. Widziałeś pewnie na ulicach polskich miast podrygujących śmiesznie wyznawców Hare Kriszna. Zatem to może być taka bezpośrednia zamiana jednego gówna na drugie. Ale to najbardziej banalne. Najciekawsza z antropologicznego punktu widzenia jest zamiana jednego bóstwa na inne bez świadomości tej zamiany. Tak się stało między renesansem a oświeceniem, kiedy Boga osobowego zastąpiono bogiem-człowiekiem. Ubóstwiono człowieka, nie zdając sobie sprawy, że zarówno w sensie psychologicznym, jak i antropologicznym forma, a nawet w pewnym sensie treść kultu pozostały takie same. Człowiek zabił Boga, ale nie mógł znieść nowego świata, więc pozostało mu tylko ubóstwienie siebie. Wiedział, że to wiara fałszywa, lecz wolał ją od rzeczywistości bez Boga.

– Jako politolog wiązałem kiedyś tę zmianę z pojawieniem się pojęcia narodu – rzekł Marek. – To nie przypadek, że w czasach postępującej laicyzacji, zwłaszcza elit, nagle musiano wynaleźć coś na kształt Boga, co legitymizowałoby nowy ustrój polityczny. Jeśli stracił on sankcję z góry, trzeba było nadać mu sankcję od dołu, czyli od ludu. I tak powstał naród jako coś, co jest święte, nienaruszalne, czemu trzeba być bezwarunkowo wiernym. Z kilkoma wyjątkami przed dziewiętnastym wiekiem narody nie istniały, ale nagle nastąpił prawdziwy ich wysyp, bo w świecie bez Boga coś musiało być święte i musiało uzasadniać trwanie reżimu politycznego.

– Ja bym do tego dodał jako antropolog – zauważył Sven – że było to też niezwykle ważne z punktu widzenia dobra człowieka. Bo ten, pozbawiany wciąż wiary, odzierany ze złudzeń przez kolejne wynalazki i odkrycia, czuł się coraz bardziej zagubiony. Kiedyś świat był oczywisty, w sensie – dany. Był taki, jaki był, i już. Ale po reformacji wszystko zaczęto podważać, nawet dogmaty. Jeśli okazywało się, że Matka Boska może nie być święta, to już nic nie było pewne. Świat się zatem rozpadał i należało nadać mu jakieś ramy, inaczej bowiem żyjący w nim człowiek postradałby zmysły. To był wspólny interes rządzących i rządzonych. Ci pierwsi za pomocą nacjonalizmu legitymizowali swoje rządy – od teraz znów święte, oczywiste i naturalne, bo sprawowane w imię narodu, którego sensu, jak kiedyś Boga, nie podawało

się w wątpliwość. Ci drudzy również byli szczęśliwi, bo w coraz dziwniejszym i coraz bardziej niepewnym świecie wreszcie dostawali coś, co mogli czcić i dla czego mogli się poświęcać, a nawet, w ostateczności, oddać życie.

– To się trzyma kupy – stwierdził Marek.

– I to jak! – Sven uśmiechnął się. – Ale naród to nie jedyny bożek wynaleziony po tym, jak wspólnymi siłami zabiliśmy poprzednie. W wynajdywaniu ersatzów ludzie wykazywali podziwu godną kreatywność. Jednym z pierwszych nowych bożków była miłość. O ile we wcześniejszych wiekach była to dziwna i niebezpieczna choroba, od której lepiej było się trzymać z daleka, o tyle z nastaniem nowych, bezbożnych czasów zaczęła urastać do roli głównego tematu rozmyślań i ulubionego fetyszu.

– No ale przecież w średniowieczu byli trubadurzy i inni tego typu romantyczni wyznawcy miłości.

– Owszem, ale traktowano ich jak nieszkodliwych szaleńców. Dopiero romantyzm przyniósł przełom w tej materii. Romantycy wykazali tu prawdziwe mistrzostwo: miłosne uniesienie uczynili centralnym punktem egzystencji. Przez setki, a nawet tysiące lat ludzie pobierali się, żeby mieć dzieci i zwiększyć swoje szanse przeżycia, zwłaszcza na starość. Aż tu nagle usłyszeli, że zenić się lub wychodzić za mąż trzeba z miłości i że święty związek małżeński ma spajać nie jasno zdefiniowany wspólny interes, ale bliżej nieokreślone uczucie. Całkowita rewolucja! W dodatku niewątpliwie będąca skutkiem uśmiercenia bogów. Miłość została uduchowiona, więcej – deifikowana. Stała się nowym bożkiem, za którego ludzie ginęli i w imię którego zabijali. Tyle krzywd, ile wyrządzono z miłości, popełniono wcześniej tylko w imię różnych bogów i narodów.

– Ten bożek chyba do dziś jest najsilniejszy, nie uważasz? – zapytał Marek, który coraz bardziej lubił Svena.

– Pewnie tak – rzekł Norweg. – Ale nie jest jedyny. Żyjemy w czasach pełnych bóstw. To powrót do politeizmu, wręcz jego rozkwit. Zamiast obiecywanego świata bez jednego Boga dostaliśmy w prezencie od nowoczesności świat wielu bogów, przy czym jeden jest głupszy od

drugiego, a każdy zazdrosny o swoją pozycję. Prawdziwy antyk.

– Co masz na myśli?

– Co mam na myśli? – powtórzył Sven. – Jakie nowe bożki? Ot, choćby feminizm, ekologizm i wszystkie inne -izmy. Zwolennicy tych idei upierają się, że gdy tylko uwierzymy w ich boga, świat stanie się piękny i sprawiedliwy. Że wystarczy, na przykład, zwiększyć liczbę kobiet w parlamentach, a wreszcie nastanie pokój, bo przecież baby są mniej skore do kłótni. Albo że gdy będzie ich więcej w zarządach spółek giełdowych, gospodarka ruszy z kopyta. Przecież to bezmyślna, oderwana od rzeczywistości wiara w nowego bożka. A jednak z każdym rokiem coraz więcej ludzi wierzy w te bzdury, tak jak kiedyś wierzyli, że gdy zabije się kilkuset niewolników, to Nil wyleje. Podobnie jest z ekologami – to już nie dbałość o środowisko, tylko opakowana w niby-naukowe teorie wiara w Matkę Ziemię i jej prawa, którym powinniśmy być posłuszni. Ekoterrorysty potrafią zabić, by uratować ludzkość.

– Coś w tym jest – powiedział Marek.

– No pewnie, że jest – rzekł twardo Sven. – Współcześni ludzie nie potrafią żyć bez mitu i wiary. To silniejsze od nich, prawdziwa atawistyczna potrzeba. Najwyraźniej sądzą, że tylko wiara czyni życie człowieka wartościowym, bez względu na jej przedmiot. Zauważyłeś, że nie ma takiego idiotyzmu, który nie znalazłby wyznawców? Scjentolodzy wierzą, że zostawili nas na Ziemi kosmici i że po nas przylecą. Hindusi uważają, że jak byłeś dobrą rozwielitką, to w nagrodę możesz zostać na przykład pająkiem. Katolicy twierdzą, że jakiś duch zapłodnił Ziemiankę, a ta, skądinąd wciąż dziewica, urodziła syna, który od zawsze był z owym duchem częścią trójdzielnego bóstwa. Nie ma takiego gówna, które nie znalazłoby wyznawców, mówię ci. Ileś procent Amerykanów wierzy, że Kennedy żyje, że Hitler schronił się w brazylijskiej dżungli i że kosmici porywają nas dla eksperymentów. Potrzeba wiary jest silniejsza niż cokolwiek w życiu człowieka, niewykluczone wręcz, że konstytutywna dla naszego gatunku. W końcu spośród wszystkich żyjących na tej planecie wierzy tylko nasz. Może więc tym tak naprawdę różnimy się od zwierząt? Nie przeciwstawnym

kciukiem, ale właśnie koniecznością życia w wierze? Może człowiek zaczął się, gdy po raz pierwszy spojrział w niebo i w coś uwierzył? – Norweg zamilkł, nalał sobie wina i wziął mały łyk. – I chyba tym należy tłumaczyć ten dziwny tłumek przed nami, te brody, dzwoneczki i kolędy – kontynuował po chwili. – Pewnie, że oni biorą to w nawias, ale jednak bawią się tym. Na kilka czy kilkanaście dni przed śmiercią bawią się w religię, w wiarę. To znamienne.

– Czyli uważasz, że mimo wszystko jest w tym jakaś prawda?

– Prawda o wszechświecie? – odpowiedział pytaniem Sven. – O Bogu i życiu po śmierci? W takim sensie nie. Ale prawda o człowieku – tak. W tym jest jakaś prawda o nas.

Marek zorientował się, że jest już niezłe wstawiony. Zresztą w żyłach Svena też najwyraźniej krążyło sporo alkoholu. Zamówili butelkę białego wina i nadal obserwowali bawiących się. Trochę jeszcze rozmawiali, ale właściwie o niczym ważnym. Raczej przekomarzali się i ironizowali na temat tańczących.

Po pewnym czasie Marek zdobył się na odwagę i zapytał:

– Po co tu przyjechałeś?

Norweg się uśmiechnął.

– Chyba po to samo co ty.

– No tak, oczywiście. – Kastor się zmieszał. – Nie tyle po co, ile dlaczego. Jeśli to nie jest zbyt intymne pytanie...

– Odpowiedź jest banalna – rzekł mężczyzna. – Nie chodzi o ból istnienia czy niezgodę na świat. To też nie kwestia manifestu moralnego ani postawy filozoficznej. Jeśli tak myślałeś, to muszę cię rozczarować.

– Więc co, jeśli nie niezgoda na świat? – spytał Marek.

– Ból, fizyczny ból – powiedział Sven. – A raczej niemożność zniesienia go. Teraz widzisz mnie w najlepszej formie, ale rak trzustki z przerzutami do płuc i jelit wymaga mnóstwa leków, z morfiną włącznie. Prawie całą dobę cierpię męki, które ustają tylko na dwie, trzy godziny po końskiej dawce prochu. Żyję tak już prawie rok i mam dosyć. Zwyczajnie, po ludzku dosyć. Przyjechałem tu po jedno: po skrócenie mąk. Swoje sprawy uporządkowałem

już dawno. Jak zapewne wiesz, ten nowotwór to szybki zabójca, więc wszystkie kwestie związane z dziedziczeniem załatwiłem natychmiast po diagnozie. Pożegnałem się też profilaktycznie z rodziną i przyjaciółmi, choć może słowo „przezornie” byłoby bardziej adekwatne. – Uśmiechnął się i kontynuował: – Śmierć jednak nie nadeszła. Wysłała za to swoich braci mniejszych, czyli potworne bóle. Po kilku miesiącach się poddałem. Wolę ją niż jej małych koleżków. Chcę odejść, bo nie mogę już znieść tych długotrwałych ataków. To wszystko. Niczego więcej nie oczekuję. Całe piękno świata, które miałem zobaczyć, zobaczyłem. Nie czeka mnie już nic poza zmianą pieluch, bolesnymi zastrzykami i jeszcze boleśniejszymi napadami. Nie ma na co czekać. Kurczowe trzymanie się życia nie ma sensu, jeśli ma ono tak wyglądać. Życie samo w sobie nie jest wartościowe. Wartościowe jest tylko, przepraszam za pleonazm, wartościowe życie. Rozumiesz?

– Chyba tak – odparł Marek. – Mam jeszcze jedno pytanie.

– Słucham.

– Cierpienie uszlachetnia? W moim kraju tak się mówi.

– Żartujesz? – Sven się roześmiał. – Jak niby ma uszlachetniać? W czym i kiedy mam być szlachetniejszy? Wtedy, gdy zwijam się z bólu? Gdy sram pod siebie, bo już nie mogę wytrzymać? Gdy muszę szprycować się morfiną, ponieważ wyję na cały dom? Miałoby mnie to czynić szlachetniejszym? Jeśli już, to pokorniejszym. Bo rzeczywiście, jak sikasz w pieluchy z bólu, to nie myślisz już o sobie tak jak w młodości. Ale żeby miało cię to uszlachetniać? W żadnym razie. To raczej upadła.

– A może chodzi o to, że nasze cierpienie uszlachetnia innych? – dopytywał Marek. – Może inni ludzie, patrząc na nasz ból, stają się szlachetniejsi?

– A to już, wybacz, chuj mnie obchodzi. – Sven nieco się zdenerwował. – Naprawdę w dupie mam, czy kogoś moje cierpienie czyni lepszym. Zresztą nie przypuszczam. Pielęgniarki i lekarze po wstępnym wstrząsie szybko obojętnieją na to, a znajomi i rodzina, gdy raz zobaczą cię w prawdziwym ataku bólu, spierdalają jak najdalej. Nie wiem, czy moje doświadczenie

można uogólnić, ale raczej nie potwierdzam twojej humanistycznej tezy o uszlachetniającej roli cierpienia. Może zresztą my, ludzie Zachodu, wychowani w kulturze chrześcijańskiej, nie potrafimy myśleć inaczej i wszelkie nasze skojarzenia zawsze już będą krążyć wokół bólu? Jeśli naszym wzorem przez dwa tysiące lat był skatowany i ukrzyżowany Chrystus, to chyba nie zdołamy podejść do tego inaczej niż afirmatywnie. Buddystom z ich grubym bogiem, który siedzi z roześmianą gębą i wygląda na szczęśliwego, łatwiej chyba być zadowolonym z życia. A my? Jak mamy być radośni, skoro całe życie towarzyszy nam wiszące na ścianie zmaltretowane ciało naszego Boga? Z czego mamy się cieszyć, skoro nasza egzystencja przebiega zawsze w cieniu tego broczącego krwią mężczyzny? Nie, Marku, cierpienie nie uszlachetnia. I życie w toposie cierpiącego Boga także nie uszlachetnia. Obie te rzeczy sprawiają, że nasza egzystencja jest nie do zniesienia.

Sven był już wyraźnie pijany, lecz nie przeszkadzało mu to w jasnym formułowaniu myśli. Marek też czuł, że alkohol w nim buzuje, ale czuł się wyśmienicie. Muzyka dobrze wszystkich nastrajała i ludzie wyglądali na zadowolonych. Norweg mimo wszystko także najwyraźniej był w dobrym humorze.

– Tak, Marku – odezwał się – eutanazja to wspaniały wynalazek. Prawdziwie humanistyczny sposób rozstania się ze światem. To cudownie, że u kresu życia możemy skorzystać z profesjonalnej pomocy i uniknąć upokarzających nas cierpień. Kiedyś zabijano starych ludzi ze względów ekonomicznych, obecnie robi się to z powodów humanitarnych.

– Nie do końca się z tym zgodzę – powiedział Marek. – Myślę, że pieniądze również odgrywają tu pewną rolę. Państwa pozbywają się w ten sposób zniedołężniałych starców, którzy obciążaliby budżet.

– Może i tak. – Mężczyzna wypił kolejny kieliszek wina. – Ale co w tym złego? Uważam, że to racjonalne rozwiązanie. Nie ma co udawać, że opieka paliatywna nic nie kosztuje. Kosztuje, i to bardzo dużo. O wiele więcej niż leczenie młodych ludzi. Tylko idealiści nie myślą o pieniądzach, bo uszlachetnia to ich rozumowanie. Ludzie mądrzy muszą brać pod uwagę

i ten aspekt. Jasne, gdyby pieniędzy było w bród, inaczej by to wszystko wyglądało. Ale tak nie jest, więc finansując kosztowne utrzymywanie przy życiu starych i zniedołężniałych, którzy wymagają ciągłej opieki, odbieramy dostęp do pewnych świadczeń części młodzieży.

– To już populizm – zaproponował Marek, ale niezbyt ostro.

– Nie populizm, tylko fakty – odparł Sven. – Czyste, odsączone z ideologii fakty. Tak jest i każdy, kto się wymądrza na temat eutanazji, musi brać to pod uwagę. Budżety współczesnych państw nie są bez dna, więc jeśli się coś finansuje, odbywa się to kosztem czegoś innego. Zatem pozwalając godnie umierać starcom, ułatwiamy życie młodym. Tak po prostu jest.

– Czyli uważasz, że jedno życie jest lepsze od innego?

– No jasne! – wykrzyknął Sven. – Na przykład moje życie było o wiele cenniejsze dwadzieścia lat temu, gdy byłem sprawnym, zawsze uśmiechniętym pracownikiem uniwersytetu, niż jest dzisiaj. Życie młodych jest o wiele wartościowsze niż życie starych. Cywilizacje i ludzie, którzy uważają inaczej, umierają. Czy twoje życie nie było przypadkiem lepsze, bardziej ekscytujące dziesięć lat temu?

– Wiesz, że nie o to pytałem – rzekł Marek.

– Wiem. Pytałeś o to, czy życie dwóch różnych ludzi ma odmienną wagę – powiedział Norweg. – Ale przecież to oczywiste i ty to wiesz, tylko wstydzisz się do tego przyznać, bo jesteś chrześcijaninem albo humanistą. Albo, co byłoby najgorsze, i jednym, i drugim. Ale jak na to spojrzysz bez zbędnych emocji, zobaczysz, że życie jednego człowieka bywa lepsze i wartościowsze od życia innego. Michał Anioł był po stokroć ważniejszy niż jego oberżysta, a ty niż wielu twoich byłych studentów, którzy zapewne bawili się komórkami na wykładach. Nie udawaj takiego egalitarysty, bo to żenujące. Ludzie się od siebie różnią i jedni są lepsi i bardziej godni życia niż inni.

– Ale mówiliśmy o eutanazji.

– Tak – przytaknął Sven – i o tym, że życie młodych jest wartościowsze niż życie przykutych do łóżek staruchów. I ma to wymiar jak najbardziej wymierny, bo finansowy. Ale, jak powiedziałem, nie on jest dla mnie

najważniejszy w mojej pochwalie eutanazji. Najważniejszy jest jej wymiar ludzki, to, że eutanazja pozwala nam zachować godność, do końca być człowiekiem, a nie wijącą się z bólu kupą mięsa. Kiedyś samobójców nie chowano w poświęconej ziemi, ich ciała zaś wieszano na drzewach, bo uważano, że życie człowieka nie należy do niego, lecz do Boga. Ale gdy się już okazało, że Boga nie ma, musiało zniknąć to tabu i musiały upaść ostatnie bariery zabraniające ludziom decydowania o swojej śmierci. Skoro bowiem żyjemy w czasach, w których człowiek może decydować o swoim życiu, to musieliśmy też na szczęście uznać, że może decydować o swojej śmierci. Że nie należy do Boga, partii czy państwa, a zatem ma prawo umrzeć, kiedy tylko zechce i z powodu, jaki uzna za stosowny.

– Pamiętasz czasy, gdy to lekarze musieli wydawać zgodę na eutanazję? – spytał Marek. – To musiało być upokarzające.

– I było – potwierdził Norweg. – Jacyś obcy ludzie sprawdzali, czy nie masz depresji lub choroby psychicznej, i od nich zależało, co możesz zrobić ze swoim ciałem. To było po prostu podłe i uwłaczające godności. Te podania, komisje, konsylia, a ty jak petent czekający na zgodę! Zupełnie, kurwa, nie rozumiem, jak ludzie mogli się poddawać takiej procedurze. Dlaczego po prostu nie skakali z okien? W porządku, strach przed bólem. Ale czy taka procedura nie była jeszcze boleśnieszka?

Marek nic nie powiedział. Był już pijany. Nie bardzo miał zresztą ochotę na polemizowanie ze Svenem. Bo i po co? W końcu Norweg podzielał większość jego argumentów, a etap prowadzenia sporów dla samych sporów Kastor miał już dawno za sobą. Jakieś dwadzieścia lat temu uznał, że nie bawi go dyskutowanie tylko po to, by wykazać się swoimi erystycznymi umiejętnościami, by upokorzyć rozmówcę lub zabłysnąć przed słuchaczami. Nie musiał niczego nikomu udowadniać. Już dawno nie musiał, a na pewno nie tu i teraz.

Posiedział ze Svenem jeszcze pół godziny, patrząc na tańczących i bawiących się ludzi. W pewnej chwili Norweg podniósł się ciężko, pożegnał i wolno ruszył przed siebie. Widać było, że każdy krok sprawia mu ból. Nie żartował więc i nie popisywał się, gdy mówił, że jego egzystencja wolna jest

od cierpienia jedynie kilka godzin każdego dnia. Gdy był już przy basenie, odwrócił się, popatrzył na Marka, po czym podniósł dłoń do skroni. Kastor uśmiechnął się do niego i odwzajemnił gest. Obaj wiedzieli, że już nigdy się nie zobaczą.

Kelner podszedł do stolika i zapytał, czy ma coś przynieść. Marek zdecydował się na armaniak.

Rozchodniaczek – pomyślał. – Tak to się kiedyś nazywało. Ostatni kieliszek pity tuż przed wyjściem, bardzo często w przedpokoju, na stojąco, w atmosferze pijackiej czułości.

To było ciepłe wspomnienie z czasów, gdy miał wielu przyjaciół i chciał z nimi spędzać wieczory. Nie myślał wówczas, tak jak potem, że to marnowanie czasu, zabijanie go ze strachu przed czymś wielkim i mrocznym. Ech, wspaniały okres durnej i szalonej młodości pełnej imprez, znajomych i dziewczyn! Musiał przyznać, że młodość mu się udała. Nie to, co chujowe dzieciństwo w cieniu ojca pijaka i dojrzałość w cieniu zdrad, podłości i poczucia bezsensu.

Przypomniał sobie ojca. Był brutalny i wulgarny jak ówczesna rzeczywistość. Pił, bo niczego lepszego nie można było wtedy robić. Pracę miał w dupie. Zawsze była, bo takie były zasady w socjalistycznej Polsce, więc o nią nie dbał. Nie miał żadnych talentów, więc nie mógł być wybitny w jakiegokolwiek dziedzinie – zero szans na zostanie artystą krakowskiej bohemy, wybitnym inżynierem czy choćby sprytnym aparaczykiem. Miał jedynie rozsadzającą go energię, całe pokłady tłumionej energii. To ona nie pozwalała mu pierdolnąć się po robocie na kanapę i, jak każdy inny mieszkaniec krainy socjalistycznego dobrobytu, oglądać telewizji. Coś nim ciskało na prawo i lewo. Gdyby był choć trochę lepszy, choć odrobinę szlachetniejszy, może ten wewnętrzny niepokój zaprowadziłby go do opozycji albo do partii. Tam mógłby uwolnić to, co w nim kipiało. Ale ten chuj był na to zwyczajnie za głupi. Rozładowywał się, bijąc żonę i psychicznie znęcając się nad synem, a jak mu się to znudziło, bo zaiste, nie było to zajęcie zbyt fascynujące, ruszał w miasto – do koleżków i kurew. Tam wyciągał wentyl i spuszczał z siebie powietrze, które inaczej rozsadziłoby mu głowę.

Po szalonym weekendzie mógł przez dwa, trzy dni w miarę spokojnie żyć, głównie lecząc kaca i odsypiając nocne picie, ale już koło środy czy czwartku znów narastała w nim złość na to wszystko, co wokół, na tę szarość i nijakość. No i zaczynał wariować.

Marek często myślał, że gdyby jego rodzice żyli w kapitalizmie, gdyby urodzili się te kilkadziesiąt lat później, byłoby pewnie szczęśliwym małżeństwem, on zaś miałby wspaniałe dzieciństwo. Stary byłby może jakimś biznesmenem, a całą energię poświęcał firmie i walce z konkurencją. Nie miałby czasu na picie, bo napięprzanie się z innymi biznesmenami byłoby wystarczająco czasochłonne. Byłoby też pełno rozrywek, więc nie szukałby jedynej w wódce. No i kurwy nie niszczyłyby mu może życia rodzinnego.

Kapitalizm to jednak fajny ustrój – pomyślał. – Chujowy, wręcz obrzydliwy, ale najlepszy z możliwych.

Dochodziła północ, a on był już naprawdę pijany. Postanowił pójść spać, ale gdy tylko spróbował się podnieść, runął jak długi pod stół, wywracając stojące na nim szkło. Natychmiast podbiegło do niego dwóch kelnerów i posadziło na sąsiednim krześle.

– Sir, are you all right? – zapytał jeden z nich.

– Yeah, I'm fine – odparł bełkotliwie.

Jeszcze raz, przy ich pomocy, spróbował wstać. Poszło mu lepiej. Grzecznie się pożegnał i ruszył przed siebie. Po kilku minutach, zataczając się mocno, dotarł do apartamentu. Zdołał tylko ściągnąć buty i zwałił się na łóżko. Zasnął błyskawicznie.

DZIEŃ DWUDZIESTY

24 GRUDNIA

Wigilia – pomyślał, gdy tylko otworzył oczy. – Ostatnia Wigilia.

Dochodziło południe, gdy zdołał się wreszcie zwlec z łóżka, wziąć prysznic i zalogować w intranecie. Na ten dzień dyrekcja ośrodka zapowiedziała kilka atrakcji, między innymi... lepienie bałwana! Tak, tak, Patrick zapewniał swoim zombiakom nawet takie uciechy. Co prawda, miało się to odbyć w kuchni, przy lodówkach i zamrażarkach, więc w miejscu niezbyt atrakcyjnym, ale sam pomysł dowodził kreatywności i pokazywał, że nie bez powodu gambijski ośrodek „Great Final” uważany jest za jeden z najlepszych.

DeWael zapraszał też na wspólną kąpiel w Atlantyku w towarzystwie „black Santa Claus”, jak to ujęto, oraz na kolację wigilijną.

O, ukłon w stronę mej ojczyzny kochanej – pomyślał zgryźliwie Marek, bo sądził, że Wigilia specjalnie traktowana jest tylko w Polsce. – Ciekawe, ilu ludzi zgromadzi się na tej imprezce i czy będzie się ona czymś różnić od wczorajszej potańcówki.

Stwierdził jednak, że pójdzie na tę kolację i porządnie się na niej urżnie, choć na samą myśl o alkoholu robiło mu się niedobrze. Słońce prażyło już, a on wciąż miał porządnego kaca.

Nie było wyjścia – musiał wcześniej znaleźć miejsce w którejś z klimatyzowanych restauracji, zjeść coś i strzelić sobie klina.

– Wigilia – westchnął cicho, gdy tylko opuścił apartament i uderzyła go fala gorąca. – Atmosfery świątecznej raczej dziś nie poczuję.

Przypomniał sobie swoje pierwsze święta po śmierci matki. Wiedział, że nie może spędzić ich w domu, bo wszystko będzie mu ją przypominać.

Zdecydował, że poleci gdzieś daleko, tak daleko, by ani przez chwilę nie czuć „magii świąt”, i wykupił lot do Boca Chica na Dominikanie. To był błąd. Owszem, pogoda nie przypominała zimowej aury charakterystycznej dla polskiej Wigilii, a ostre picie w towarzystwie dziwek nie miało nic ze świątecznej atmosfery, ale nie uwzględnił tego, że Dominikana to kraj katolicki, a jego obywatele to wierne dzieci Kościoła. W efekcie im bliżej było do rocznicy narodzin Chrystusa, tym więcej w hotelu i poza nim pojawiało się świątecznych elementów. Skończyło się na tym, że kiedy w Wigilię zamówił na całą noc dwie piękne kurwy, chcąc zapomnieć o bożym świecie, te między jednym ruchaniem a drugim śpiewały mu lokalne kolędy, a na końcu *Cichą noc* po hiszpańsku.

Ale to i tak było lepsze od pierwszych świąt w domu, w którym ostatnie miesiące spędziła jego matka i w którym wszystko mu ją przypominało. Bo następna Wigilia była już w Polsce, choć zaraz po niej wyjechał. Po prostu wybrali się z Becią w góry i tam, w ekskluzywnym hotelu, Marek przetrwał ten okres. Ona uczyła się jeździć na nartach, on szusował w tym czasie do woli, a wieczory spędzali na rozmowach i seksie.

Teraz, skacowany, szybko przebył drogę między apartamentem a najbliższym barem. „Destination” nie miał co prawda dostępu do plaży i nie zapewniał widoku na ocean, ale nadrabiał to wydajną klimatyzacją i dużym wyborem alkoholi. A tego właśnie było trzeba Markowi.

Usiadł i niezwłocznie zamówił krwawą mary, kanapkę z łososiem i litrową butelkę wody mineralnej. Poprosił też o podkręcenie klimatyzacji, żeby było naprawdę zimno. W barze siedziały jeszcze tylko trzy osoby, więc obsługa poszła mu na rękę.

A może wcale nie? – pomyślał. – Może ten kelner nic nie zrobił, tylko udał, że obniżył temperaturę? Przecież nie mogę stwierdzić, czy jest nastawiona na osiemnaście czy na dziewiętnaście stopni. A facet zyska moją sympatię, choć się nawet nie wysilił.

Tak czy owak, poczuł się lepiej. Nie wiedział, czy to wpływ drinka, klimy czy kanapki, ale postanowił nie opuszczać „Destination”. Tak właśnie wyobrażał sobie rajskie życie – jako powstrzymywanie się od jakichkolwiek

czynności. I bardzo podobnie brzmiało jego credo: „Nie robić nikomu niczego złego”. Na nic więcej nie było go od lat stać, ale też uważał, że niewiele więcej by do tego dodał, nawet gdyby mógł coś z siebie wykrzesać. Niekrzywdzenie ludzi i zwierząt były od dawna jego jedynymi przykazaniami.

Wiedział, że to minimalizm i że każdy etyk by go wyśmiał. Wszak trzeba czynić dobro, wędrować po świecie i wciskać je wszystkim, których się spotka na swej drodze. Nie miał nic przeciwko takiemu ofensywnemu moralizmowi, ale osobiście go nie lubił i nie był w stanie stosować. Nawet nie próbował, szczerze mówiąc. Po krótkiej młodości, w której jego etyczna sfera domagała się uszczęśliwienia absolutnie każdej istoty, porzucił na zawsze przykry i męczący obowiązek proliferacji dobra. Zadowalał się nieczynieniem zła i tego samego oczekiwał od bliźnich – nie chciał od nich niczego poza tym, żeby go nie krzywdzili. A najlepiej byłoby, gdyby mu dali święty spokój.

Tę postawę nazywał „środkowoeuropejskim buddyzmem”, choć miał świadomość semantycznego nadużycia. Ale co ktoś mógł mu zrobić? Tak właśnie określał swą etykę i miał w dupie, czy jakkolwiek ma się to do prawdziwego buddyzmu. Po prostu starał się nie sprawiać cierpienia ludziom i zwierzętom. Nie chciał dodawać kolejnego głosu do wycia, jakim zanosi się ta planeta, kolejnej cegiełki do budowy sali tortur, jaką jest Ziemia. Pragnął jedynie nie cierpieć i nie powodować cierpienia innych. Dziś, pod koniec życia, mógł spokojnie powiedzieć, że kompletnie mu się to nie udało.

Kiedyś złapał się na myśli, że jego estetyka podążyła za etyką. Bardzo go ubawiła ta konstatacja, bo odkąd zmniejszył tempo życia i ofensywny moralizm zastąpił defensywnym buddyzmem, zmieniły się też jego gusta literackie i filmowe. Zorientował się, że lubi tylko te dzieła, w których praktycznie nic się nie dzieje, a męczyły go filmy czy powieści, w których następowały gwałtowne zwroty akcji lub zaskakujące wydarzenia. Często wręcz wyłączał telewizor albo odkładał książkę, gdy bohaterowie za dużo doświadczały i za bardzo przeżywali. Widział w tym jakiś fałsz, bo życie zazwyczaj nie obfituje w takie chwile – jest raczej monotonne i zlewa się

w jeden nieprzerwany, niezrozumiały ciąg. Jasne, są w nim momenty, które decydują o późniejszym biegu, ale o wiele mniej w nich egzotyki i gwałtowności niż w tych opisywanych w literaturze lub przedstawianych w filmie. I za to właśnie coraz bardziej nie lubił sztuki – za fałszowanie życia, za przyspieszanie go, kolorowanie i porządkowanie. Normalna egzystencja jest niespieszna, monotonna i nieuporządkowana. No i niezrozumiała. A sztuka zakłamuje ją, pokazując życie w skrócie i z pointą.

Dlatego w ostatnich latach w zasadzie przestał oglądać filmy i zrezygnował z powieści – nie mogły zaspokoić jego potrzeb estetycznych. W jego wersji nikt by ich nie oglądał i nie czytał. W filmie czy w książce coś musi się dziać, bohater musi pokonywać przeszkody, które w efekcie zmieniają go i czynią kimś innym. No i coś musi z tego wynikać – jakaś mądrość. Tyle że to wszystko zaczęło go najpierw nużyć, a potem irytować. Jediną formą sztuki, z jaką potrafił obcować, pozostała poezja, w której nie ma potrzeby budowania akcji i prowadzenia bohatera przez przeciwności losu. Nie ma też potrzeby sensu i porządku. Wiersz może na chwilę zabrać nas do czegoś przypadkowego i osobnego, nieistotnego i pozbawionego ciągu dalszego, niezrozumiałego i niepragnącego zrozumienia. Może nas zachwycić szczegółem, a potem zepchnąć w otchłań melancholii trafną metaforą. Potrafi porazić pięknem, a zarazem wstrząsnąć brzydotą. Czyli jest bliższy życiu niż dłuższe formy literackie lub filmowe. Tak, w ostatecznym rozrachunku liczyła się tylko poezja.

Spędził w barze kilka godzin. Było mu przyjemnie chłodno, kac powoli, ale systematycznie mijał. Po piętnastej zdecydował się nawet na lekki lunch. Jego żołądek przyjął tę propozycję ze zrozumieniem, choć bez entuzjazmu. W „Destination” co chwila zmieniała się klientela, ale nigdy nie było więcej niż pięć osób. Muzyka była cicha i przyjemna – jakieś bossa nova, chillout i instrumentalne przeróbki starych przebojów z początku XXI wieku. Dokładnie tak wyobrażał sobie relaks. Bezmyślnie gapił się na ludzi kąpiących się w basenie i opalających na leżakach. Dzieliły go od nich bezpieczny dystans i szyba baru. Idealnie.

Nigdy nie bał się samotności, jeśli już, to raczej jej utraty. Przez lata, nim

jeszcze zdobył majątek i nim to zrozumiał, przerażeniem napawała go myśl, że straci pracę i wyląduje na ulicy. W tej idiotycznej wizji nie bieda czy głód były jednak najstraszniejsze – najbardziej bał się, że wtedy straciłby samotność. Bo bezdomność to, wbrew pozorom, wcale nie samotniczy żywot, lecz ciągły kontakt z innymi – w schronisku, na melinie, w kolejce po żarcie, w tłumie pod OPS-em – tyle że to tacy inni, z którymi nic nas nie łączy. Poza tym to też ciągle brutalna walka o dobra doczesne, choć rzecz jasna nie są to wakacje na Seszelach, jaguar czy modelka z Fashion TV, jak to jest na szczycie drabiny społecznej. Jednak na jej dole walka jest równie zażarta, mimo że toczy się o koc, zupe, jabola czy bezzębną kurwę. Tej degradacji, tego upadku bał się podwójnie. Ale podstawowym lękiem napawała go i tak groźba utraty samotności.

Ludzie całe życie dążą do tego, by być z innymi, a Marek właściwie cały czas od nich uciekał. Może powodem było jego dzieciństwo? Był jedynakiem, zawsze miał swój pokój, więc nie był przyzwyczajony do obecności ludzi, do dzielenia z nimi życia. Poza tym model rodziny, który obserwował z bliska, nie był zachęcający. Widział, jak dwoje ludzi, jego matka i ojciec, cierpi na skutek tej bliskości. Najlepiej i najbezpieczniej czuł się wtedy, gdy nie było ojca – ryzyko awantury wyraźnie się wówczas zmniejszało. A gdy dodatkowo nie było też matki, spadało do zera. Samotność oznaczała zatem święty spokój i bezpieczeństwo.

Dlatego zapewne później czyjaś obecność kojarzyła mu się z zagrożeniem – ten ktoś, nawet ukochana kobieta, mógł zranić, zdradzić, zawieść. Samotność natomiast równała się całkowitej kontroli nad sytuacją, zwłaszcza jeśli mógł ją sobie zorganizować tak, jak chciał. A to akurat potrafił – w jego domu wszystko było na swoim miejscu, zaplanowane, wykluczało niespodzianki. Piękny, przewidywalny i bezpieczny świat. Tego właśnie chciał... i nigdy tak naprawdę nie potrafił osiągnąć. Dopiero tutaj, w Gambii, na tydzień przed śmiercią, mógł się poczuć komfortowo.

Nigdy nie rozumiał tego pragnienia zatracenia się w drugiej osobie. Nawet gdy był zakochany, a przecież zdarzyło mu się to trzy razy w życiu, nie umiał wczuć się w myślenie tych, którzy porzucali swoją samotność i,

nieślychanie radzi, oddawali się całkowicie komuś innemu. Nie był w stanie pojąć, jak można aż tak nienawidzić siebie, by to zrobić. Wiedział też, że to jeszcze nic w porównaniu z tym, co się dzieje, gdy dojdą dzieci – wtedy już zupełnie nie ma się dla siebie czasu ani możliwości ucieczki w samotność. Coś tam niby zawsze można wynegocjować z partnerką, ale nie na dłuższą metę, ponieważ wcześniej czy później napotka się te oczy spaniela pełne pretensji o to, że ona wciąż użera się z dziećmi, podczas gdy on sobie czyta lub wychodzi z kumplami. To także go przerażało – nie pretensje partnerki, te bowiem jakoś by jeszcze zniósł, ale ten obowiązek poświęcania każdej wolnej chwili dzieciom. Bo przecież to rola, na którą się zgodziliśmy, nasza inwestycja. I dalejże zamykać książki niedokończone, odchodzić od gazet nieprzeczytanych, wyłączać filmy nieobejrzone. Wiele razy zadawał sobie jedno pytanie: Gdybym miał dzieciaki, o ile byłbym uboższy w tym, co wiem o świecie? W końcu za zabawy z dziećmi, które skądinąd są bardzo miłe, płaci się straconymi lekturami, a więc zgłupieniem.

Zresztą, czy to się da zmierzyć? Czy wiedza i czułość są porównywalnymi wartościami? Bity informacji versus ilość endorfin? Radość ze zrozumienia czegoś kontra błogość dziecięcego pocałunku? Może po prostu jest tak, że jedni rodzą się z potrzebą tego pierwszego, a inni od zawsze szukają drugiego? Ale przecież widywał ludzi i mądrych, i rodzinie spełnionych. Więc jak? Da się to połączyć? Kiedyś odpowiedział na to pytanie następująco: Tak, są tacy, ale on do nich nie należy i już. Owszem, niektórym się to udaje, lecz on nie jest do tego stworzony i byłby nieszczęśliwy, próbując to urzeczywistnić. A przy okazji unieszczęśliwiłby innych. Więc chyba jednak miał rację, odmawiając udziału w tego rodzaju eksperymentach i kultywując swoją samotność, a nawet się nią nieco pretensjonalnie brandzując.

Po siedemnastej opalający się przy basenie zaczęli się powoli zbierać. Wyglądali na utrudzonych całodziennym leżeniem, popijaniem drinków, zajadaniem przekąsek i dostojnym pływaniem. Ociężale zabierali swoje rzeczy i niespiesznie zmierzali do apartamentów. Przy basenie i w barze zrobiło się pusto. Marek został właściwie sam, nie licząc kelnerów.

Tak samo jak w Wigilię w Polsce wczesnym popołudniem – pomyślał. –

Tam też nagle koło trzynastej, czternastej ulice pustoszały, a ludzie znikali w czeluściach swoich domostw.

Bardzo lubił ten moment. W młodości w każdą Wigilię spotykał się w południe z przyjaciółmi na rynku w Raciborzu i spacerował z nimi godzinę lub dwie. Niby załatwiali jeszcze jakieś sprawy, niby robili ostatnie zakupy, które zleciły im rodziny, ale tak naprawdę włóczyli się i obserwowali ludzi. Zawsze widzieli wtedy tych samych dawnych kupli, którzy przyjeżdżali na święta z Reichu. Zamieniali z nimi kilka słów i szli dalej. A na końcu siadali „u Włocha”. Tak się mówiło o kawiarni na rynku, choć nazywała się inaczej, bardziej wyszukanie i prowadził ją Grek. No ale wszyscy raciborzanie twierdzili, że najlepsze lody są „u Włocha”, więc chodziło się „do Włocha”.

Tam spędzali ostatnią godzinę, dopóki kelnerki nie poprosiły ich o wyjście. Zazwyczaj było to krótko po drugiej. Dawali dziewczynom sute napiwki, bo atmosfera była świąteczna, i rozchodzili się do domów. Marek lubił wówczas samotnie pochodzić jeszcze kilka kwadransów po mieście. To wtedy następował ów cud znikania. Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, Racibórz pustoszał. W pewnym momencie Marek rozglądał się i orientował, że jest zupełnie sam, nawet w najbardziej ludnym na co dzień miejscu. Każdego roku próbował uchwycić tę chwilę, w której miasto się wyludniało, ale nigdy nie zdołał. Niezmiennie jednak był zaskoczony tą przemianą. A po latach już tylko bawił się myślą, że ona zaraz nastąpi, a on tego nawet nie zauważy. Że skonstatuje jedynie, iż nastąpiła, i że będzie się nią cieszyć i myśleć, że został sam w tym mieście, w całej Polsce, na świecie. Sam. Ostatni człowiek.

Teraz też przestrzeń wokół niego nagle opustoszała. Nie było nikogo przy basenie i tylko za barem stał znudzony Murzyn oglądający coś na swoim smartfonie.

A więc Wigilia wszędzie jest taka sama – stwierdził. – Moja Wigilia wszędzie jest taka sama.

Wstał od stolika, pożegnał się z kelnerem i wyszedł z baru. W apartamencie wykąpał się i włożył bardziej oficjalny strój – marynarkę i koszulę z mankietami, która gdy ją pakował, wydawała mu się zbędnym

balastem.

A jednak się przydała – pomyślał. – Niech się dzień święty święci.

Przywiózł też do Gambii dwa krawaty, ale uznał, że tego byłoby już za wiele. Zdecydował się tylko na poszetkę.

– Wystarczy tej elegancji – powiedział na głos. – I tak się Bogu nie spodobam. Nie jestem w jego guście. On w moim też nie.

Przed dziewiętnastą wyszedł i udał się prosto do restauracji, w której miała się odbyć kolacja wigilijna. Miło zaskoczył go fakt, że gdy się do niej zbliżał, nie dobiegała z niej głośna muzyka. Na miejscu okazało się także, że nie ma dzikich tłumów, a jedynie kilkanaście osób. Co było już zupełnie fantastyczne – nie ustawiono jednego wielkiego stołu, przy którym wszyscy musieliby razem siedzieć. Każdy mógł usiąść, gdzie chciał, nawet przy osobnym stoliku. Lepiej już być nie mogło. Z głośników leciały kolędy różnych krajów, a nie tylko te amerykańskie hity, które słyszał poprzedniego dnia.

Bardzo to wszystko stylowe – pomyślał.

Kelnerzy poczekali do dziewiętnastej i oficjalnie rozpoczęto uroczystość. Nie było żadnych religijnych odniesień – jedynie zapowiedź dobrej uczyty przy utworach z całego świata stworzonych specjalnie na „tę okazję”, jak to dyplomatycznie ujęto.

I rzeczywiście – didżej puszczał kolędy z różnych krajów, a kelnerzy, wychodząc z kuchni, obwieszczali donośnie, co serwują i z jakiego państwa pochodzi potrawa.

Idealnie – stwierdził Marek. – Żadnych wspólnych śpiewów, składania sobie życzeń, wzajemnych czułości. Po prostu idealnie.

Kolacja trwała już prawie godzinę, gdy z głośników rozległy się pierwsze dźwięki *Lulajże, Jezuniu*. Marek spojrzał na salę, mając nadzieję, że nie zobaczy nikogo, kto rozpozna kolędę. Niestety, dostrzegł starszą już kobietę, na pewno po sześćdziesiątce, która nie dość, że nuciła pod nosem, to jeszcze bezczelnie patrzyła na niego.

– Kurwa – rzucił cicho. – Kurwa mać.

Odwrócił wzrok, ale było już za późno. Kątem oka widział, jak kobieta podnosi się i zmierza w jego stronę. Wciąż udawał, że jej nie dostrzega, wierząc naiwnie, że jak nie będzie na nią patrzył, ona nie podejdzie.

Groteskowy solipsyzm – pomyślał gorzko.

W końcu stanęła nad nim i nie mógł już dłużej udawać, że jej nie widzi. Podniósł powoli wzrok. Tylko na to czekała.

– Pan Kastor, prawda? – stwierdziła bardziej, niż spytała. – Bardzo mi miło.

– Mnie także – skłamał, wciąż licząc w głębi serca, że na tym się skończy, że baba odejdzie i zostawi go w spokoju. Ale nie – ona cały czas tkwiła obok niego, wymuszając zaproszenie do stolika. Bo przecież jest kobietą, a on mężczyzną, więc nie wypada, by stała, gdy on siedzi.

To zmaganie trwało dłuższą chwilę, ale Marek wiedział, że jest na straconej pozycji – bo ona baba, a on chłop, jest Wigilia, a polska kultura i szarmanckość zobowiązują. Słowem, dupa blada. Wreszcie uległ i z uśmiechem, który wiele go kosztował, powiedział:

– Tak, to ja. Przysiadzie się pani?

Pani, owszem, przysiadła się. I to jak! Całym swym babskim cielskiem i całą swą polskością. Usiadła tak, jakby siedziała tam już od wieków i na wieki miała zostać.

– Poznałam pana, jak tylko pan wszedł – zaszczębiotała. – Siedzę tu już od szóstej i czekam na zmrok, bo pierwszej gwiazdki należy wypatrywać, prawda? Tradycja zobowiązuje. No więc jak pan wszedł, to ja się siebie pytam: Czy to nie aby pan Kastor, mój ulubiony komentator polityczny? No i sobie odpowiadam: Ależ tak, to on! Ale pan był taki zamyślony, więc nie chciałam przeszkadzać. Aż tu nagle słyszę naszą kolędę. I jak nie spojrzę na pana, jak nie zerknę! I widzę, że się pan rozpromienia, że patrzy po sali i szuka bratniej duszy, coby pana tu mogła wspomóc. No i nasze wzroki się spotkały...

– Spojrzenia – przerwał jej Marek.

– Słucham? – spytała zdziwiona. – No tak, spojrzenia, nie wzroki. Moja

wina. To jednak wychodzi, że ktoś w telewizjach gadał i się na tym zna. Tak czy inaczej, zobaczyłam, że pan patrzy, więc się zdobyłam na odwagę, no i podeszłam. Bardzo pana przepraszam, że tak nieproszona, ale jesteśmy tu chyba jedyni z Polski, więc pomyślałam, że jakoś raźniej będzie.

– Jest jeszcze kurwa z Polski – sprostował Marek.

– Że co, przepraszam? – Kobieta zatrzepotała rzęsami. – Kurwa, za przeproszeniem? Jest pan pewien?

– Tak, jestem pewien – rzekł. – Obu tych spraw: że jest z Polski i że jest kurwą.

– Ale może ona z Ukrainy jest, panie Marku? – Natrętka rozpaczliwie chwytła się nadziei, nie wierząc prawdopodobnie, że ktoś z jej ojczyzny może się parać prostytutką.

– Nie, proszę pani – odparł. – Ona jest z Polski.

Kobieta zamilkła, przeżywając tę hańbę. Marek wiedział już mniej więcej, z kim ma do czynienia. Musiała być nauczycielką lub działaczką społeczną. Nie chciał jej ranić, ale z każdą chwilą coraz bardziej go irytowała.

– No tak, no tak – westchnęła. – W każdym stadzie są czarne owce.

– Co pani ma na myśli? – spytał Marek, choć zdawał sobie sprawę, czego może się po niej spodziewać.

– No przecież pan wie, nawet w naszym narodzie bywają kobiety niegodne.

– Nawet w naszym narodzie? A niby w czym jest on lepszy od innych?

– Niech mnie pan nie podpuszcza. – Uśmiechnęła się do niego niepewnie.

– Przecież pan wie, czym Polacy górują nad innymi, i tylko się pan ze mną drażni.

– W żadnym wypadku – powiedział. – A w czym to jesteśmy lepsi od innych, że tak trudno pani uwierzyć, że jedna z hotelowych dziwek jest Polką?

– No przecież i ja, i pan możemy być dumni z tego, że jesteśmy Polakami – odparła, wciąż nie mając pewności, czy nie jest prowokowana. – Pan mnie podpuszcza, prawda?

– Nie, proszę pani – rzekł Marek surowo, nie patrząc na nią. – Ja naprawdę uważam, że jak się jest Brytyjczykiem, Włochem, Francuzem czy Niemcem, to można być dumnym ze swojego pochodzenia. Choć, przyznam, nigdy nie rozumiałem, jak można się szcycić tym, że jakiś wynalazca jest tej samej narodowości co my. No bo jaki jest niby mój wkład w to, że kilkaset lat wcześniej ktoś ważny mówił tym samym językiem co ja? Czy blondyni robią wielkie halo o to, że kilku znaczących ludzi też było blondynami? Czy łysi chwalą się, że są tacy sami jak Platon, a brodaci, że są podobni do Chrystusa? Okay, zdołałbym uzasadnić, że jakiś bezrobotny naziol z Francji czy Niemiec, któremu nic w życiu nie wyszło, rekompensuje sobie swoje porażki tym, że jego poprzednikiem był sławny żabojad lub szwab. Ale, do licha, jak można być polskim patriotą?! Jak można na poważnie być dumnym, że się pochodzi od Lecha? To jak chodzić z wypiętą piersią, bo kibicuje się Pelikanowi Radom. Przecież myśmy prawie nic nie dali światu.

– O przepraszam, panie Marku – przerwała mu kobieta. – Tu już pan przesadza. A Kopernik? A Skłodowska? A Chopin? Co pan wygaduje? Każdy na świecie zna te nazwiska.

– Przede wszystkim, nawet jeśli zna, to nie kojarzy z Polską – odparł Marek. – Kopernik to dla większości ludzi Niemiec, Skłodowska zaś jest znana jako Curie, czyli podobnie jak Chopin, kojarzona z Francją. Ale okay, nieważne nawet, jak o tym myślą inni, bo chuj nas w sumie powinno obchodzić, co jakieś ciolki sądzą na ten czy inny temat. Ważne, że nawet jeśli możemy być dumni z tych trojga, to jak na jeden z najliczniejszych narodów w Europie to żałośnie mało. Na Kopernika przypada kilkunastu wybitnych włoskich naukowców, na Skłodowską dziesiątki francuskich chemików, a na Chopina dziesiątki niemieckich kompozytorów.

– Nie może pan tak mówić!

– Ależ mogę! – prawie krzyknął Marek, który czuł, że jest już trochę pijany. – Chce pani testu? Proszę podać nazwisko wybitnego Polaka, a ja wymienię dziesięciu bardziej znanych przedstawicieli tej samej dziedziny z innych narodów. No, niech pani podejmie to wyzwanie.

– To dziecinada – stwierdziła. – Nie będziemy się licytować. Zresztą jak to

można porównać? Jeden pisarz drugiemu nierówny.

– Dokładnie to mam na myśli – nie odpuszczał Marek. – Właśnie tak to widzę. Tyle tylko, że zawsze to polski pisarz czy naukowiec nie jest równy swoim zachodnim lub wschodnim odpowiednikom. Niech pani wreszcie wydusi z siebie nazwisko jakiegoś polskiego geniusza i zweryfikujemy moje twierdzenie.

– Nie będę niczego na siłę wymyślać. – Kobieta wyraźnie chciała się już wycofać z dyskusji i wrócić do swojego stolika, ale teraz to Marek był bardziej zainteresowany podtrzymaniem rozmowy.

– Ależ niech się pani nie krępuje – otwarcie prowokował. – Proszę podać pierwszą lepszą polską sławę i zobaczymy, jak się ten człowiek ma do konkurencji.

– No nie wiem – próbowała dramatycznie znaleźć jakieś wyjście. – Może Mickiewicz. Tu chyba pan nie zaprzeczy, że to jednak znaczące nazwisko?

Marek popatrzył na nią i wybuchnął śmiechem.

– Proszę pani, na świecie ludzie wiedzą, kim byli Goethe i Puszkina, a nawet ich czytają, ale nie mają bladego pojęcia, kim był Mickiewicz. To Polacy uczynili go wielkim pisarzem, ale nawet oni nie znają jego twórczości. Nie znam nikogo, kto wróciłby do niego po skończeniu szkoły. No, może paru moich znajomych sięgnęło po tę głupawą opowieść o głupawych warchołach, jaką jest *Pan Tadeusz*. Ale dziewięćdziesiąt dziewięć procent Polaków nie czyta swojego wielkiego wieszczka. I skądinąd mają rację, bo nic w nim nie ma. Wycie patriotyczne, religijne banialuki i quasi-mistyczne bredzenie. Mickiewicz, podobnie zresztą jak Słowacki czy Norwid, są po prostu nieznani. Jeśli zapyta pani Portugalczyka czy Hiszpana o pisarzy z naszej części Europy, to zapewne wymieni kilku pisarzy rosyjskich i czeskich oraz kilkunastu niemieckich, ale nie przypomną sobie żadnego nazwiska polskiego prozaika czy poety. Niech pani to przyjmie do wiadomości.

Kobieta milczała. Chyba żałowała, że do niego podeszła. Ale on się rozkręcił i nie zamierzał przestać. Najwyraźniej odczuwał przyjemność ze sprawiania jej przykrości.

– Tak jest ze wszystkim – kontynuował. – Rozumie pani? Ze wszystkim. Niech pani weźmie listę noblistów – tam po prostu nie ma polskich nazwisk. Była Skłodowska, potem Sienkiewicz i Reymont, a skończyło się na nieczytanych i mało znanych Miłoszu i Szymborskiej. I tyle. Jesteśmy zadupiem intelektualnym świata. Prymitywami potrafiącymi jedynie naprawiać krany mądrzejszym od nas i dawać dupy bogatszym. Jasne, są wśród nas niegłupi ludzie, ale marzą tylko o tym, by spierdolić z kraju i jakoś urządzić się na Zachodzie. Mamy kartoflane gęby i kapuściane łby. Czasem coś tam błysnie na tym naszym gnojowisku, ale szybko gaśnie i ginie pod grubą warstwą gówna.

Kobieta wciąż milczała.

– My nawet w sporcie jesteśmy łajzami – ciągnął Marek, co chwila wypijając podawane przez kelnerów tradycyjne napoje z różnych krajów. – Można by pomyśleć, że niewiele trzeba, by naród osiłków i ćwoków osiągnął tu jakieś wyniki, ale nie, w sporcie też szósty naród Europy jest na każdym kroku jebany w dupę. Nawet w dziedzinach wymagających zwykłego napierdalania nie możemy się wybić. Owszem, niekiedy okupujemy niszowe dyscypliny – chód sportowy, skoki narciarskie czy rzut kulą – ale krótko i tylko dlatego, że nikt się taką chujozą nie zajmuje. Bezmózgie kartofle nie potrafią niczego osiągnąć w sporcie, bo tu również trzeba myśleć, wykazać się pracowitością, konsekwencją i uporem oraz korzystać z rad mądrzejszych od siebie. A to zdecydowanie za dużo dla naszych rodaków. Chwilowo się postawić, unieść się na moment, to tak! Ale długo i systematycznie do czegoś dążyć, nawet jeśli to tylko sport, to już nie. Dlatego jesteśmy mistrzami tylko w jednej dziedzinie: bezmyślnym i spektakularnym umieraniu za ojczyznę. Zabić może się dać pierwszy lepszy idiota i my właśnie w tej konkurencji postanowiliśmy się wybić. Obryzgać wszystkich swoją juchą, zasyfić cały świat wyprutymi za ojczyznę flakami, upierdolić, co tylko się da, krwawymi szczątkami – oto nasz narodowy sport. Kill Bill 3. Dzieci Tarantino, kurwa jego mać!

– Proszę przestać! – syknęła kobieta.

– Ani mi się śni – rzekł Marek. – Jest Wigilia, czas prawdy i pojednania,

a ja właśnie mam kaprys powiedzieć pani prawdę i pojednać się z panią w niej. Ale najpierw musi pani usłyszeć, co myślę o naszej wspaniałej Polsce i naszych wspaniałych rodakach. Rzygać mi się chce na widok tych wszędobylskich ciuli, którzy zachwycają innych tym, jak dobrze mogą im zrobić albo jak widowiskowo mogą zdechnąć. Mistrzowie zbiorowego samobójstwa, zawsze dumni, że potrafią na oczach wszystkich strzelić sobie w łeb. Tak długo upuszczali sobie krwi, że już nic nie zostało. Przez stulecia wysyłali swoich najlepszych synów na śmierć, szkoląc ich w sztuce spektakularnego umierania, a teraz w całej tej i tak niezbyt mądrej nacji są już tylko imbecyle, żule i kurwy. Ich szlachetni poprzednicy albo się zapili, albo dali się zabić tym, którzy sobie chcieli do nich postrzelać, albo dawno wyrzekli się związków z polskością.

Kobieta wstała.

– Jest pan obrzydliwy! – rzuciła mu w twarz.

– Możliwe, że dla pani tak – odpowiedział niezrażony – ale na szczęście umrę nie jako Polak, ale jako człowiek. I nie za ojczyznę, ale za siebie. To będzie moja śmierć i to ja nadam jej sens. Nie Mickiewicz, nie Dmowski z Piłsudskim i nie Pan Bóg ze swoją Matką Boską Częstochowską. W dupie mam ten naród nieudaczników, nierobów, chamów i miłośników taniej wódki, szarych ubrań i przeliczania wszystkiego na złotóweczki. Dość już mam tych zakompleksionych Januszów, ich grubawych Grażynek i tępych Andżelin, tych śmierdzieli, którym jebie spod pach, i chroniących się po kościołach czarnych leni. No i tych pięknych młodzieńców o niebieskich oczętach, co to marzą jedynie o tym, żeby kogoś zajebać ze śpiewem o wielkiej Polsce i Wyklętych na ustach!

Kobieta uderzyła go w twarz.

– Jeszcze z tej strony – powiedział zaczepnie, nadstawiając drugi policzek.
– Tylko tak po staropolsku, na odlew. Tak jak się kiedyś parobka bijało. Przez pysk, soczyście i szlachecko. Jeszcze Polska nie zginęła, póki my bijemy! No, dawaj, dziewczeczko z laseczka!

Kobieta szybkim krokiem wyszła z restauracji. Marek rozejrzał się po sali. Kilka osób patrzyło na niego, ale zaraz odwróciło wzrok.

– Vodka, please – rzucił, przywoławszy kelnera. – Polish one.

– We don't have Polish vodka, sir. I'm deeply sorry – odparł kelner. – But we can offer you Russian, Ukrainian or Swedish one.

– So Russian, please – zdecydował się Marek.

Postanowił upić się na umór.

Urządę sobie Wigilię po polsku, jak Pan Bóg przykazał – pomyślał. – Czyli urżnę się nieziemsko, a potem się rzewnie rozplacę nad niesprawiedliwością świata i nad tym, że nikt mnie nie rozumie.

Szybko wypił pięćdziesiątkę wódki i raz jeszcze przywołał kelnera, by zamówić całą butelkę.

Po co biedak ma drałować tam i nazad? – pomyślał. – Ludzkim trza być i dobrym dla innych. Wszak Polacy w taki wieczór nawet zwierzęta traktują dobrze, więc co dopiero czarnego.

Powoli, kieliszek po kieliszku, wlewał w siebie zmrożoną stolichną, zagryzając śledzikami i pasztecikami. Wypił już ponad pół butelki, gdy poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. To była Magda.

– Chodź – powiedziała.

– Dokąd? – zapytał, podnosząc się z krzesła.

– Do ciebie – odparła i wzięła go za rękę.

– Dobrze, tylko jeszcze naleję sobie jednego.

Magda sama wzięła butelkę, chwyciła z sąsiedniego stołu czysty kieliszek i napełniła oba.

– Wesołych świąt, Marku – powiedziała i jednym haustem wychyliła zawartość kieliszka.

– Wesołych, Madziu – rzekł cicho i także szybko wypił.

Wyszli z restauracji i ruszyli prosto do jego apartamentu. Gdy tylko znaleźli się w pokoju, Magda podeszła do komputera. Po chwili z jego głośników rozległy się dźwięki *Lulajże, Jezuniu*.

– Przytul mnie – poprosiła.

Marek podszedł i objął ją z całej siły.

– Kocham cię i nie chcę żyć bez ciebie – powiedziała. – Nawet jeśli to ma być tylko tydzień. Jeśli moje szczęście ma trwać tak krótko, trudno. Niech trwa.

Pocałowali się i powoli zaczęli rozbierać, wciąż patrząc sobie w oczy. A potem położyli się na łóżku i kochali. Trwało to bardzo krótko.

Ułożyli się obok siebie. Z głośników komputera dochodziły ostatnie akordy *Lulajże, Jezuniu*.

– Ja też cię kocham, Madziu – powiedział Marek.

– Wiem. – Popatrzyła na niego. – Wiem, Marku. Inaczej bym do ciebie nie podeszła.

DZIEŃ DWUDZIESTY PIERWSZY

25 GRUDNIA

Marek obudził się pierwszy. Popatrzył na zegarek – dochodziła dziesiąta. Wokół panowała cisza. Lubił tę specyficzną ciszę pierwszego dnia świąt – czy dwudziestego piątego grudnia, czy pierwszego dnia świąt wielkanocnych. Nikt nie jechał wtedy do pracy, nie kursowały autobusy, sklepy i biura były pozamykane. Czasami specjalnie wcześniej zrywał się z łóżka, by jej posłuchać. Nawet gdy mieszkał już na wsi, akurat w te dni cisza była intensywniejsza niż zazwyczaj – jakby wszyscy umarli i on został sam na Ziemi. Lubił bawić się tą myślą: jedyny człowiek na wymarłej planecie.

Najdelikatniej jak mógł wysunął się z łóżka i chciał już iść do łazienki, gdy nagle Magda się odwróciła i powiedziała:

- Ucieknijmy stąd.
- Co?! – Zatrzymał się gwałtownie.
- Ucieknijmy stąd – powtórzyła.
- Ale dlaczego?
- Marek, ja już nie mogę tu zostać.
- Co się stało? – spytał zaniepokojony i usiadł na łóżku. – Coś przecież musiało się stać.
- Rzeczywiście – odparła. – Stało się, i to coś złego.
- Mów.
- Pracowałam tu za friko – zaczęła. – Przedwczoraj okazało się, że przez cały ten czas robiłam facetom lody za wikt i opierunek. Tak się kiedyś mówiło, prawda?
- Ale jak to się stało?! – niemal krzyknął Marek. – Przecież masz kontrakt.

– No właśnie o niego chodzi – powiedziała Magda. – Okazało się, że to shit. Podpisałam kontrakt, który, owszem, daje mi kasę, ale pod warunkiem, że trzy razy go przedłużę. Rozumiesz? Musiałabym tu pracować jeszcze sześć lat, żeby wypłacili mi pieniądze. Sześć lat!

– A jak nie?

– A jak nie, to nie zapłacą mi ani centa i jeszcze będę musiała tu przez rok robić dobrze zombiakom, żeby, uważaj, zwrócić koszty utrzymania. Rozumiesz, co to oznacza? Jestem załatwiona. Kompletnie. Umawiałam się na konkretną kasę i na konkretne terminy, ale oni mnie oszukali!

– Patrick? – zapytał.

– Nie, nie on – odparła. – Te chuje w Brukseli. Tam, gdzie podpisywałam papiery. On nie ma z tym nic wspólnego. Wczoraj z nim rozmawiałam. Chyba nawet szczerze mi współczuje, ale jest bezradny. Nie może mnie puścić, bo straciłby ciepłą posadkę. I tyle w temacie. Dlatego ja uciekam.

– Jak niby? Przeskoczysz przez druty? Przecież wiesz, jak to się skończy.

– Nie dbam o ryzyko. Nie zostanę tu! – wybuchnęła Magda. – Nie wytrzymam tu nawet roku, a co dopiero sześciu lat. Wracam do Kamila, nawet jeśli mam być bez grosza.

Rozpłakała się, a Marek ją przytulił. Nie wiedział, co o tym myśleć. Nie wiedział, czy dziewczyna go kocha. Wiedział tylko, że on kocha ją. Ale przecież nie miał pewności, że nie jest po prostu ofiarą cwanej kurwy. Tyle razy był oszukiwany i tyle razy sam oszukiwał, że nie potrafił jej tak po prostu zaufać. Było mu głupio, że nie ma w sobie tej naturalnej, naiwnej wiary w drugiego człowieka. Ale taki już był.

– Okay, pójdę do Patricka i pogadam z nim – oznajmił.

– Ale o czym? – Magda była przestraszona. – Przecież on jest po drugiej stronie. Nie rozumiesz? Jeśli się dowie, że chcę nawiać, nie dopuści do tego.

– Ufasz mi? – zapytał Marek.

– Tak.

– To pozwól mi działać, dobrze?

– Dobrze – zgodziła się. – Ale uważam, że to błąd. On jest po drugiej

stronie, mówię ci.

– On dba tylko o siebie – stwierdził Marek. – O własną dupę. Nie chce cię puścić, bo straciłby na tym. Ale może się okazać, że na tym zyska.

– Jak? – spytała Magda z niedowierzaniem.

– Jeszcze nie wiem – odparł szczerze. – Ale wiem, co na niego działa. Daj mi tylko trochę czasu. – Pocałował ją. – A teraz coś zjedzmy, dobrze?

Podszedł do telefonu, by zamówić śniadanie do pokoju.

– Masz jakieś specjalne życzenia?

– Nie.

– Uśmiechnij się – rzucił w jej stronę. – Wszystko będzie dobrze.

– Nie lubię, gdy faceci tak mówią. Wtedy zawsze wszystko idzie źle – powiedziała, ale uśmiechnęła się i poszła wziąć prysznic.

Marek zadzwonił do biura DeWaela, lecz nikt nie odpowiadał. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że jest Boże Narodzenie i nawet tacy cynicy jak Patrick mają wolne. Zadzwonił więc do recepcji i zostawił wiadomość, że pilnie chce się spotkać z dyrektorem. Recepcjonistka zapewniła, że przekaże ją tak szybko, jak to możliwe.

Tymczasem boj przyniósł śniadanie i usiadł z Magdą na balkonie, by cieszyć się świątecznym jedzeniem i sobą. Marek bardzo się zdziwił, gdy po kilkunastu minutach zadzwonił telefon. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy usłyszał od recepcjonistki, że dyrektor oczekuje go w swojej willi w odległej, niedostępnej dla gości części ośrodka.

Podzielił się dobrymi wieściami z Magdą i poprosił, by spokojnie dokończyła śniadanie, a wychodząc, po prostu zatrzęsnęła za sobą drzwi.

– To dla ciebie – powiedziała, pokazując mu telefon komórkowy. – Jest w nim tylko jeden numer: „Madzia”. Pisz, kiedy tylko będziesz chciał. To najlepsza metoda kontaktu.

– Fajnie, dziękuję – rzekł i ruszył do drzwi.

– Marku! – zawołała za nim.

Odwrócił się w progu.

– Tak?

– W nocy nie żartowałam, mówiąc o tym, co do ciebie czuję – powiedziała niepewnie.

– Ja też nie – odparł i się uśmiechnął.

Chciał już wyjść, ale jeszcze raz zawołała go po imieniu.

– Pamiętaj, nie wyjadę bez ciebie.

– Nie bądź dzieckiem, kochanie – rzekł Marek ze smutkiem, nie patrząc jej w oczy. – Przecież wiesz, jak jest.

Zamknął za sobą drzwi i szybkim krokiem poszedł do recepcji. Czekający tam na niego boj zaprowadził go do willi DeWaela. Była imponująca, Marek nie dziwił się więc, że ukryto ją przed wzrokiem gości. Wszak to z ich pieniędzy dyrektor postawił sobie ten pałac.

Patrick stał w holu wielkości nowojorskiego Grand Central. Serdecznie go uścisnął, a potem zaprosił do salonu.

– Skromnie tu, ale funkcjonalnie – skomentował Marek, rozglądając się po olśniewającym przepychem pomieszczeniu urządzonym w stylu empire.

DeWael roześmiał się gromko, rozbawiony żartem.

– Nic nie poradzę na to, że lubię wystawność – powiedział z rozbrajającą szczerością. – Co mi jeszcze w życiu pozostało poza odrobiną luksusu?

– Odrobiną? – Kastor uśmiechnął się. – Warunków życia mógłby ci pozazdrościć car.

– Staram się nie przynosić wstydu ośrodkowi – odparował Patrick. – Co ludzie pomyśleliby sobie o „Great Final”, gdyby zobaczyli, że jego dyrektor żyje w ubóstwie? – Nalał whisky do dwóch szklaneczek. – Magda, co? – przeszedł do rzeczy. – To jej sprawa cię tu sprowadza? Inaczej nie przyszedłbyś do swojego ostatniego przyjaciela...

– Co prawda, to prawda. – Marek uśmiechnął się. – Ty jesteś oszczędny, a ja nieśmiały. Taka z nas para.

DeWael znów głośno się roześmiał. Ale po chwili spoważniał.

– Marku, ja nie mam wyjścia – zaczął. – Nie w tych czasach. To już nie jest

złota era końca historii, w której takie ośrodki jak ten wydawały się czymś oczywistym. Każdy mój fałszywy ruch może się skończyć katastrofą wszystkich takich przybytków. Le Pen czy ten wasz nazista tylko czekają, by w jakimś ośrodku eutanazyjnym stało się coś złego. Wiem, jak wygląda sprawa Magdy, ale nie mam pola manewru. Podpisała głównianą umowę. Nie jest pierwszą ofiarą tych chujków z centrali, oni wykorzystają każdą naiwność. Ale jeśli zostanie do końca ostatniego kontraktu, wypłacą jej całą kasę. Mogę cię zapewnić, że będę o nią dbał. Nie pozwolę zrobić jej krzywdy, będzie dostawać tylko dobrych klientów. Mam swoje możliwości i lubię je wykorzystywać.

Tym razem to Marek się uśmiechnął.

– Nie mogę zrobić nic, by pomóc jej zerwać tę umowę – ciągnął DeWael, siadając – ale przyrzekam ci, że nie stanie jej się tu krzywda. Słowo przyjaciela.

Kastor usiadł na kanapie obok dyrektora.

– Patricku, mogę być szczery? – powiedział bardzo cicho.

– Chodzi ci o to, czy tu nie ma podsłuchu?

Marek skinął głową.

– Pytasz, czy pozwoliłem jakiemuś czarnuchowi zamontować podsłuch we własnym domu?! – prawie wykrzyczał Belg. – Nie, nie i jeszcze raz nie! To ja jestem panem dżungli i to ja zakładam tu podsłuchy!

Wstał i zaczął bić się pięściami po piersi oraz głośno pohukiwać niczym goryl. Widok wielkiego, grubego i uderzającego się po klatce piersiowej dyrektora był tak zabawny, że Marek zaczął się histerycznie śmiać.

– Okay, już przestań. Wierzę ci – wydukał w końcu.

Nieco spocony Patrick usiadł na kanapie i wypił łyk whisky.

– Skoro zatem możemy mówić szczerze – kontynuował Marek – to Magda chce uciec.

– Co ty pieprzysz?! – zareagował ostro DeWael.

– Chce uciec – powtórzył Marek. – Nie zamierza spędzić tu tych sześciu lat, a nawet roku, by odpracować dotychczasowy pobyt.

– No ale jak chce to zrobić?

– Nie wiem. Ona sama chyba też jeszcze nie wie. Ale znam ją na tyle, by wiedzieć, że nie żartuje. Ona naprawdę stąd ucieknie.

– Nie ma szans – skonstatował smutno Patrick. – Żadnych. Nie tacy próbowali stąd zwać. To się dla niej źle skończy.

– Mnie tego nie mów.

– To po prostu niemożliwe, wierz mi – ciągnął dyrektor. – Płacę mi za to, by to nie wchodziło w grę, rozumiesz?

– Rozumiem...

– Nie, nic nie rozumiesz! – przerwał mu brutalnie DeWael. – Gdyby udało jej się uciec, ja już mógłbym się pakować. Teraz rozumiesz? Musiałbym się spakować do jednej jebanej walizki i wrócić do Brukseli. Do tej deszczowej dziury, której symbolem jest szczający golas. Musiałbym resztę życia spędzić nie wśród tych dziewczyn, których uroki poznałeś na moim jachcie, ale wśród biurokratów z centrali „Great Final” przy Rue de Berceau w śmierdzącej frytkami stolicy Belgii. Oto, co by się stało, gdyby twojej Magdzie udało się stąd spierdolić. Wiesz zatem, co to oznacza?

– Wiem...

– Nie, nie wiesz! – znów ostro rzucił Patrick. – To, mój przyjacielu, oznacza, że muszę ją zabić!

Marek popatrzył na niego z przerażeniem. Wiedział, że Belg jest draniem i cynikiem, ale nie sądził, że posunie się do czegoś takiego. Nawet jeśli nie zamierzał tego zrobić, już sam fakt, że tym groził, był szokujący.

Czyżby jednak Magda nie myliła się, ostrzegając mnie przed rozmową z nim? – pomyślał. – Czyżbym popełnił błąd i naraził życie ostatniej kochanej osoby?

– Nie zrobisz tego! – krzyknął.

– Ależ oczywiście, że zrobię! – Patrick stanął nad nim. – Zabiję ją, i to tak, że nikt nie znajdzie jej ciała, rozumiesz?!

– Rozumiem, ale... – Marek był bliski paniki.

– Nie, nie rozumiesz – rzekł DeWael ciszej. – Ty ciągle niczego nie

rozumiesz.

Jego twarz była stężała od emocji, ale nagle w kącikach ust pojawił się delikatny uśmiech.

– Będę musiał ją zabić – kontynuował, a Marek ujrzał w jego oczach wesołe iskierki i zrozumiał, o co mu chodzi. – I, powtórzę, zrobić to tak, żeby nikt nie znalazł jej ciała!

Kastor wstał i spojrzał mu prosto w oczy.

– Ty draniu! – krzyknął. – Ty cwany, kuty na cztery nogi draniu!

Padli sobie w ramiona.

– Robiłeś to już? – zapytał Marek, gdy usiedli z powrotem na kanapie, a dyrektor znowu nalał im whisky. – To nie twój pierwszy raz, prawda?

– Przyjacielu, w moim wieku niczego już nie robi się po raz pierwszy – odparł Patrick wyraźnie z siebie zadowolony. – Można nawet powiedzieć, że specjalizuję się we wskrzeszeniach.

– Jak to wygląda?

– Za każdym razem inaczej, ale zasada jest ta sama – powiedział Belg. – Najpierw ktoś ginie, a potem szczęśliwie się odnajduje. Rzecz jasna, w Europie i pod innym nazwiskiem. To trudna logistycznie operacja, ale dla fachowców nie ma rzeczy niemożliwych.

– Ile?

– No i w tym właśnie problem, bo wskrzeszanie zmarłych nie jest tanie. – Na twarzy Patricka pojawił się szelmowski uśmieszek.

Marek wiedział, że jest na dobrej drodze do załatwienia sprawy.

– Masz stawkę dla przyjaciół?

– Wyłącznie – prawie obruszył się DeWael. – Dla nikogo innego tego nie robię.

– Zatem ile?

– Tyle, ile kosztuje dom na Mazurach w północnej Polsce. – Patrick powiedział to tak szybko, jakby od dawna był przygotowany na tę rozmowę.

Marek się roześmiał.

– Ty podły draniu, wiedziałeś, że do ciebie przyjdę, i znałeś cenę, za którą mi pomożesz, prawda?

– Nie potwierdzam i nie zaprzeczam. – Belg był z siebie dumny. – Domyślałem się tego, odkąd Magda przyszła do mnie ze swoim problemem. Wiedziałem przecież, że jesteś w niej zakochany i że ty dla niej nie jesteś zwykłym zombiakiem. Pamiętałem też, że nie paliłeś się do propozycji Christiana, by cię sklonować. Trochę cię na to naciągnęliśmy, nieprawdaż?

– Rzeczywiście, nie byłem do tego przekonany – potwierdził Marek – i chętnie oddam ci ten dom w zamian za uwolnienie Magdy. Na końcu życia zrobię wreszcie jakiś dobry uczynek.

– O tak. I przy jednej okazji uszczęśliwisz dwie osoby: mnie i ukochaną. Czyż to nie wspaniałe?

– Owszem. – Marek trącił jego szklaneczkę swoją. – Za wolność Magdy.

– Oraz za przyjaźń, miłość i wszystkie inne bzdury – dodał Patrick i wypił whisky do dna.

– Co teraz?

– Zostaw wszystko mnie – rzekł DeWael. – Muszę opracować plan, skombinować papiery dla Magdy, zorganizować przerzut do Bandzulu, a potem do Europy. Przygotuję też dokumenty do przepisania na mnie twojego domu. No i będę musiał przekazać Christianowi, że zmieniłeś ostatnią wolę i zamiast sklonować się w jego klinice, umrzesz bezpowrotnie, a obiecany mu dom trafi się jednak schronisku dla zwierząt.

Marek popatrzył na Patricka. Wiedział, że to oszust i cynik, ale czuł do niego ogromną sympatię i darzył przyjaźnią. Tak, na końcu życia znalazł ostatniego przyjaciela i ostatnią miłość. Tyle że – zabawne – przyjaciel był hochsztaplerem, a ukochana kurwą. C'est la vie.

Spędzili ze sobą jeszcze dwie godziny, rozmawiając w miłej atmosferze i zastanawiając się nad najlepszymi rozwiązaniami. Belg zaproponował, by Marek został na obiad, ale on chciał przekazać Magdzie dobre wieści. Pożegnali się więc i obiecali sobie, że będą w kontakcie.

Już przy drzwiach Patrick zapytał:

– Kwestii swojego odejścia jesteś pewien?

– Niczego nigdy nie byłem pewien – odparł Marek. – Na tym właśnie polegał mój problem: inni byli zawsze pewni swych racji, filozofii i postępowania, a ja tej pewności nie miałem. Ale tego akurat jestem pewien jak niczego w całym swoim życiu.

Uścisnęli sobie dłonie. Marek wyszedł z willi, a boj, który czekał nieopodal, odprowadził go do recepcji. Do apartamentu poszedł już sam, a właściwie pobiegł. Chciał jak najszybciej podzielić się z Magdą tym, co ustalił z dyrektorem, lecz nie zastał jej w pokoju. Na łóżku leżała jedynie kartka: „Musiałam wyjść. Bądźmy w kontakcie. Kisses. Madzia”.

Obok kartki spoczywał telefon, który dała mu wcześniej. Marek wziął go i poszedł coś zjeść do japońskiej restauracji. Zamówił zupę z łososia, sashimi i japońskie piwo.

Gdy zjadł już wszystko, w tym wyjątkowo niesmaczny deser, który przypominał smakiem śledzia, usiadł wygodnie na tarasie z widokiem na ocean i wyciągnął komórkę. Nie było żadnych wiadomości od Magdy, więc zdecydował się wysłać esemesa.

„Good news. Ucieczka z Alcatraz chyba się uda. ☺ Gałuski”.

Odłożył telefon na stolik, ale szybko się zorientował, że trzeba go schować, bo jest oficjalny zakaz i ktoś mógłby zacząć się zastanawiać, dlaczego zombiak ma komórkę. Wyłączył też dźwięk, zostawiając jedynie opcję „wibracje”, by nie przegapić wiadomości od Madzi.

Nie sądziłem, że będę jeszcze czekał na esemesa od kogoś – pomyślał. – Życie jest jednak pełne niespodzianek, nawet na końcu. Szkoda, że nie po nim.

Zamówił kolejne piwo i zaczął się zastanawiać nad tym, co DeWael powiedział o sytuacji w Europie. To prawda, że czasy multikulturalizmu odchodziły do historii pod naporem szarych falang prawicowych nacjonalistów. W kilku krajach liberałowie i lewicowcy trzymali się jeszcze, ale w niektórych państwach Unii władzę przejmowali dziarscy chłopcy ze swoimi starzejącymi się liderami, którzy marzyli o nowej, faszystowskiej

w istocie przyszłości kontynentu. Zalew imigrantów z Afryki i Azji, który nastąpił dekadę wcześniej, spowodował reakcję zwrotną i demokratyczne rządy powoli, ale systematycznie zaczęły padać – najpierw w Europie Środkowo-Wschodniej i południowej, a potem także w niektórych krajach starej Unii. Do tego kilka zamachów terrorystycznych pozwoliło prawie całkowicie pozbawić obywateli ich praw, obawa przed następnymi zaś, zwłaszcza ze strony islamistów, wprowadziła masy wyborców w taką histerię, że oddały się we władanie tym, którzy najgłośniejszy krzyczyli przeciwko „ciapatym” i proponowali najprostsze recepty. Innych, bardziej skomplikowanych elektoraty nie chciały lub nie potrafiły zrozumieć, no i zaczął się powrót do starych, dobrych lat trzydziestych XX wieku, zupełnie jakby nikt nie wyciągnął wniosków z historii. Jedyne siłą broniącą jeszcze starego modelu byli biurokraci, mocno okopani na swych pozycjach i żelazną ręką egzekwujący wypełnianie traktatów unijnych, ale z każdym rokiem słabli i widać było, że w końcu ulegną okrutnym brunatnym trendom. A wtedy mocarstwa rozpoczną swój koncert. Gdy zaś zagrają, zgromadzonej w operze publiczności odechce się ich muzyki, choć teraz żąda coraz mocniejszych i potężniejszych tonów, znudzona Mozartem, a patrząca z utęsknieniem w stronę Wagnera. Rosjanie, Chińczycy i Amerykanie zagrają go tak donośnie, że nie zostanie kamień na kamieniu z tej pięknej opery, w której Europejczycy siedzą wygodnie w swoich frakach i krzyczą: „Mocniej, maestro, mocniej! Chcemy więcej emocji! Mamy prawo do drżenia trzewi! Niechaj coś nami wstrząśnie, bo znudzeni jesteśmy straszliwie!”.

Marek zamówił kolejne piwo. Nie chciał się upić, ale po prostu suszyło go po obiedzie.

Czy wszyscy tak reagują na japońskie żarcie, czy tylko nadwiślańskie organizmy nawykłe do kartofli, schabowego i kapusty? – pomyślał.

Kelner przyniósł mu butelkę piwa i nalał do szklanki.

Jeszcze kilka lat wcześniej Marek naprawdę bał się tego, co niosą nowe czasy, ten coraz bardziej równy krok. Ogłupione przez media i otumanione przez polityków masy coraz chętniej spoglądały w stronę autorytarnych rozwiązań. Demokracja, ledwo dwie dekady wcześniej uznawana wciąż za

optymalną formę ustroju, przestawała kogokolwiek zadowalać. Naprawdę powtarzał się scenariusz sprzed stu lat, gdy nagle bardzo wielu Europejczyków zapadło na różne formy choroby autorytarnej i na rozmaite sposoby eksperymentowało z dyktaturami i despotiami, byle tylko nie mieć u siebie tej pedalskiej demokracji. Obecnie prawie to samo dzieje się na Starym Kontynencie, ale także w Stanach Zjednoczonych, Rosji i różnych państwach Azji oraz Ameryki Południowej. Marek czuł, że to fatalnie się skończy – wojną światową, a przynajmniej konfliktem na tyle rozległym, że pogrzebie dotychczasowy sposób życia. Jego życia. Może i nie zginie w zawierusze dziejowej, ale nie będzie mógł żyć tak jak przez ostatnie lata. Nie będzie już jego pięknej i czulej apokalipsy, na własnych zasadach i w zgodzie z własną poetyką. Co najwyżej zazna tej apokalipsy, którą szykowali wszystkim politycy – śmierdzącej krwią, potem, spermą, spalenizną i trupami. Czuł wojnę i nadchodzący koniec. Sądził, że już za kilka lat historia znów ruszy w swój szalony taniec, pociągając wszystkich do okopów, pieców krematoryjnych i gruzowisk. Albo do czegoś zupełnie innego, bo przecież to już nie będzie wyglądać tak jak za Hitlera i Stalina. Putin, Trump i Le Pen przygotowują inne atrakcje, a dawne dekoracje zastąpi coś nowocześniejszego. W końcu generałowie na rozkazach polityków zawsze szykują nowe zabawki. Co tym razem? Broń chemiczna, biologiczna, jądrowa, wojna hybrydowa? Bóg jeden raczy wiedzieć, ale atrakcji na pewno nie zabraknie – już nowi prestidigitatorzy się o to postarają. A on nie chciał umierać we własnym gównie, w moczu innych, ściśnięty w jakimś wagonie czy celi. Nie zamierzał pozwolić, by ktoś poniewierał jego ciałem.

Od zawsze był katastrofistą, czuł nadchodzący koniec. Albo precyzyjniej – uważał, że rzeczywistość jest krucha, ma bardzo słabe podstawy. Znał historię i wiedział, że to dwadzieścia pięć lat od początku wieku jest wspaniałym okienkiem dziejowym, krótką chwilą, gdy nikt nikogo nie eksterminował. Rzecz jasna w jego okolicach, w Europie. Wystarczyło bowiem wychylić nos spod niebieskiej kołderki z dwunastoma gwiazdkami, by dostrzec, że wojny wciąż toczą się i zbierają żniwo, by poczuć trupi powiew historii. To szaleństwo ani na moment nie ustało, ani na moment nie przestano mordować kobiet i dzieci, tyle że dzieje się to z dala od

Europy. Historia nie przestała żywić się krwią niewinnych, a dowodziła tego rosnąca każdego dnia liczba ofiar.

Czy był to główny powód, dla którego przyjechał do „Great Final”? Strach przed wkroczeniem wojny na kontynent, na którym żył? Pewnie nie, ale nie było też tak, że nie miał on na to wpływu. Witkacy odebrał sobie życie dopiero wtedy, gdy barbarzyńcy weszli do jego świata. Marek postanowił ich uprzedzić.

Kelner zaproponował jeszcze jedno piwo. Marek wahał się chwilę, bo nie chciał się upić, ale tak miło się siedziało i patrzyło na ocean, że się zgodził. Mógł, co prawda, zamówić bezalkoholowe, jednak nie uznawał czegoś takiego. Broń Boże z powodów ideologicznych – po prostu piwa bezalkoholowe mu nie smakowały.

Skąd wziął się u niego ten katastrofizm, to poczucie, że wszystko jest kruche i że obecny pokój to jedynie krótkie intermedium między okresami wojen i zawieruch? Może po prostu z lektur historycznych, które są w istocie zapisem mordów i podbojów bez chwili oddechu, bez sekundy spokoju. Ale przecież wiedział doskonale, że to nieprawdziwy obraz historii, że wojny, owszem, od zawsze towarzyszyły ludziom, lecz nie były ich codziennością. Codziennością były nuda i banalność egzystencji oraz nierozzerwalnie związany z nią trud. I raczej to ostatnie legło u podstaw jego poczucia, że wszystko, co dobre, musi się szybko skończyć i zamienić w coś okrutnego. Bo takie właśnie jest życie – nie pozostawia czasu na radość i beztroskę, a za każdym uśmiechem czają się dramat i śmierć. Jak w wypadku tego młodego Czecha z Cieszyna, który w 1913 roku ożenił się z piękną Polką, znalazł pracę u Żyda Cohna i myślał, że wreszcie życie mu się jakoś ułoży, bo niby dlaczego nie. Jego uśmiech na ślubnej fotografii zawsze towarzyszył Markowi w chwilach uniesień i szczęścia. Nie mógł nie myśleć o tym uśmiechu Honzy czy Jaromira z Cieszyna w pięknym, spokojnym roku Pańskim 1913.

A może raczej za tą katastroficzną manierą stało jego dzieciństwo spędzone w cieniu ojca pijaka? Bo jeśli w najważniejszym dla kształtowania się człowieka okresie jeden z dwóch filarów, na których powinny się opierać bezpieczeństwo i zaufanie do świata, okazuje się papierową wydmuszką, to

może zostaje to już do śmierci? Jeśli ten, kto powinien dawać wiarę w ludzi i zapewniać opiekę, okazuje się kłamcą i oprawcą, trudno się dziwić, że dziecko patrzy potem podejrzliwie na świat? Taki dzieciak dorasta w świadomości, że to, co jest, może przestać być, że ten, kto ma być gwarancją bezpieczeństwa, jest źródłem zagrożenia i że świat jest pełen nieprzyjemnych niespodzianek. Marek świetnie pamiętał, jak jego maleńki świat codziennie był zagrożony – wszystko zależało od tego, czy ojciec przyjdzie z pracy o czasie, czyli trzeźwy, czy też spóźni się parę godzin, czyli wróci pijany. Z każdym kwadransiem jego spóźnienia narastała groza, bo wiadomo było, że to już nie jedno piwko z kumplem, tylko kilka flaszek na melinie. Wówczas tatuś przeistaczał się w surowego Jahwe, który nie miał litości dla swoich wiernych. Po powrocie sprawdzał, czy jego lud – Marek i jego matka – nie ma innych bogów przed nim, i ogłaszał nowe przykazania. Lud zaś, choć starał się ze wszystkich sił, zawsze okazywał się nie dość oddany, nie dość gorliwy i nie dość pokorny. Wtedy to Bóg musiał karać go dla jego dobra i na chwałę swoją. Wywierał surową pomstę, niepomny na krzyki i zaklinania, nie cofał ojcowskiej ręki przed wymierzeniem najsurowszej kary. Bo surowość Pana jest drugą stroną sprawiedliwości. Był tedy Bóg Ojciec surowy i sprawiedliwy, by dziatki jego nie błędziły i nie ulegały pokusie.

Zapewne dlatego właśnie całe lata po śmierci ojca Marek wciąż postrzegał świat jako kruchy i niepewny, a spokój jako chwile niezасłużonego i ulotnego szczęścia. I z tego samego powodu nie potrafił ufać ludziom. Jeśli miał wybrać między tym, że ktoś go zdradzi, a tym, że ktoś będzie mu wierny, zawsze obstawiał pierwszą możliwość. Skłonność ta bardzo przydawała mu się w polityce – w niej każdy każdego chciał zdradzić, więc prawie zawsze trafnie odczytywał intencje partnerów. Co innego w życiu prywatnym. Ile razy, kierując się tą zasadą, przegrał piękny związek i wspaniałe relacje? Ile kobiet zraził do siebie nieuzasadnionym brakiem zaufania? Ile odepchnął tym, że nie potrafił po prostu im uwierzyć?

Ale nie umiał inaczej – nie potrafił ufać i wierzyć. Na początku bardzo go to męczyło i bolał nad tym. Widział, jak wszyscy wokół tworzą związki i jak

sobie zawierają. On nie potrafił – wszędzie węszył podstęp i zdradę, wszędzie doszukiwał się kłamstwa. Im więcej zresztą miał romansów i im więcej czyichś żon dupczył, tym bardziej ta nieufność w nim rosła. Hipoteza znajdowała coraz to nowe empiryczne potwierdzenia. Każdy związek z zajęłą kobietą utwierdzał go w przekonaniu, że ludziom nie można wierzyć. Zaczęło się więc od niemożności zaufania ojcu pijakowi, a skończyło na braku wiary w ludzi i w Boga. Wszystko, co znał, było oszustwem, zatem wszystko, na co czekał, także musiało nim być.

Z czasem udoskonalął jedynie techniki rozpoznawania kłamstw i kłamców. Już w dzieciństwie musiał w ułamku sekundy – po analizie wyrazu twarzy ojca, odoru z jego pijackiej gęby i stopnia zamglenia oczu – stwierdzić, czy może podejść do potwora, czy też musi uciekać gdzie pieprz rośnie, bo tatuś zaraz wpadnie w szal. Otrzymał solidne przygotowanie, zanim jeszcze wszedł w dorosłe życie i zaczął świadomie zadawać sobie pytania w najbardziej interesującym go paradygmacie prawda-falsz. Potem tylko nabrał wprawy, zdobył naukowe narzędzia i mógł jeszcze trafniej stwierdzać, kto go okłamuje, a kto nie.

Najgorsze jednak było to, że prawie zawsze, gdy podejrzewał, iż ktoś bliski będzie go chciał oszukać, jego przewidywania się sprawdzały. Szczególnie dobrze działało to w stosunku do kobiet, które deklarowały miłość do niego. Tu nie było wyjątków od reguły – każde takie wyznanie oznaczało, że wcześniej czy później ta partnerka go oszuka.

Z zainteresowaniem obserwował, jak inni zgadzają się na kłamstwa, jak sami kłamią i chcą wierzyć w serwowaną im nieprawdę. Nigdy zresztą nie wiedział, czy ten spektakl oszustw jest wynikiem ślepoty biorących w nim udział aktorów czy świadomej decyzji, że lepiej pewnych rzeczy nie widzieć i o pewnych rzeczach nie wiedzieć. Obie opcje budziły w nim obrzydzenie i nie mógł się tylko zdecydować, co bardziej go odstręcza – ślepotą czy zakłamanie. Sam nie potrafił się zdobyć ani na jedno, ani na drugie. Nie chciał się na to zdobywać.

Perwersyjną wręcz przyjemność sprawiało mu łapanie na kłamstwach tych, którzy uważali, że mogą bezkarnie go zwodzić. Było to dziwne, ale nie

potrafił się tym nie sycić. Widział kumulujące się kłamstwa i zaciskał powoli na szyi ofiary pętlę splecioną z małych oszustw, by ostatecznie ją zdemaskować. A potem, gdy był już sam, strasznie się podniecał swoim nieszczęściem i tym, że kłamca zastawia teraz sieć na kogoś innego. Dlatego nigdy nie odczuwał zazdrości, widząc później swoją byłą dziewczynę z jakimś facetem. Wiedział, że obecnie to on pada ofiarą jej brudnych trików, i współczuł mu. Ale tylko tak, jak można współczuć dziecku z zespołem Downa, komuś niepełnosprawnemu umysłowo. Czyli z góry i z pogardą.

Nagle poczuł wibrację telefonu w kieszeni. Dyskretnie go wyciągnął i odczytał esemesa od Magdy:

„Nie mogę się teraz wyrwać, ale wpadnę do ciebie w nocy. Śpij czujnie. Kisses. Madzia”.

Spojrzał na zegarek – była prawie osiemnasta.

Zostało mi siedem dni życia, niespełna sto siedemdziesiąt godzin, a kilka najbliższych zamierzam poświęcić na sen – pomyślał. – Gdy obudzę się rano z Magdą, będę miał ich znowu kilka mniej. Tymczasem nic nie czuję, żadnego strachu. Dziwne, naprawdę dziwne.

Przypomniał sobie loch w Lizbonie. Choć nie, to nie był loch, bo loch kojarzy się z podziemiami. To była mała kamienna wieża przy porcie, u podstawy której znajdowała się cela. Miała jakieś dwa metry wysokości, zakratowane okno i w dawnych czasach służyła do wykonywania wyroków śmierci. Skazany, wprowadzony do niej w czasie odpływu, wiedział, że gdy nadejdzie przyływ, cela wypełni się wodą, a on utonie. Straszna śmierć. Oczekiwanie na przyływ musiało być okropne, podobnie jak powolne, ale systematyczne napływanie wody do celi. Najpierw skazany czuł ją wokół kostek, gdy wdzierała się przez żelazne drzwi. Potem podnosiła się, obejmując kolana, uda i biodra. I wreszcie więzień patrzył, jak przelewa się przez zakratowane okno i unosi jego ciało. Jak bardzo musiał być przestraszony, wiedząc, że niedługo złapie ostatni haust powietrza! Czy walczył o oddech, czy też był już wówczas pogodzony z losem? Musiał jeszcze próbować krzyczeć. I na ten krzyk przerażenia, na ten skowyt zabijanego zwierzęcia, na to skomlenie o życie czekali zgromadzeni na

brzegu gapie. Bo to musiał być przerażający dźwięk – ryk życia i skowyt śmierci zarazem.

Jak wyglądają ostatnie godziny skazańców w innych celach? Czy każdy umiera tak samo? A może każda ostatnia noc skazańca jest inna? Śpią wtedy? Płaczą? Wspominają młodość i bliskich? Złorzeczą swoim oprawcom? Jaka będzie jego ostatnia noc? Co będzie wtedy myślał? Czy wytrwa w tym spokoju, z jakim tu przyjechał i w jakim jest teraz? Czy zazna w końcu strachu? A może po prostu prześpi ją spokojnie?

Postanowił wrócić do apartamentu, położyć się do łóżka i poczekać na przyjście Magdy.

– Bóg się urodził, więc spokojnie mogę iść spać – mruknął pod nosem i się uśmiechnął.

Po kilku minutach był u siebie. Dochodziła dopiero dziewiętnasta, ale zaczęło się już zmierzchać. Wszedł na balkon i wyglądał jakiejś gwiazdy na niebie, ale wciąż było za jasno, więc wrócił do pokoju i poszedł do łazienki. Po długiej, ciepłej kąpieli sprawdził jeszcze, czy Magda się nie odezwała. Ekran komórki był pusty, więc szybko napisał:

„Idę spać. Dzwonź głośno i pukaj, a będzie ci otworzone”.

Chwilę poczytał Manna, a potem zgasił światło i wygodnie położył się na wznak. Szybko zasnął.

DZIEŃ DWUDZIESTY DRUGI

26 GRUDNIA

Usłyszał pukanie. Poderwał głowę z poduszki i zerknął na budzik – była 1.47. Pukanie się powtórzyło. Wstał i otworzył drzwi, a Magda weszła, całując go delikatnie w usta.

– Obudziłam cię? – zapytała. – Przepraszam. Wezmę tylko prysznic i idziemy spać, okay?

– Okay – powiedział cicho, bo choć na nią czekał i chciał z nią być, przebudzony w środku nocy pragnął jedynie jak najszybciej wrócić do łóżka.

Magda poszła do łazienki, a on położył się i mimo szumu wody pod prysznicem błyskawicznie zasnął. Gdy kilka minut później wsunęła się do łóżka i przytuliła do niego, obudził się tylko na chwilę.

– Chcesz się kochać? – zapytała.

– Bardzo, ale jutro, dobrze?

– Zachowujesz się jak mąż po dziesięciu latach małżeństwa – szepnęła mu do ucha i pocałowała go w szyję.

Uśmiechnął się, odwrócił i objął ją. Wkrótce już spali.

Obudzili się przed ósmą. Pierwszy wstał Marek, najwyraźniej wypoczęty po dwunastogodzinnym śnie. Magda nie zamierzała tak szybko otworzyć oczu, ale całował ją po stopach, czego nie znosiła, więc zaczęła się w końcu histerycznie śmiać, co zupełnie ją wybudziło.

– Dobrze, dobrze, już wstaję – powiedziała. – Tylko przestań!

Zwlokła się z łóżka i poczłapała do łazienki, udając bardziej zasnęłą, niż była w rzeczywistości.

– Śniadanie? – rzucił w jej stronę.

– Chętnie – mruknęła. – I działkę koki na pobudzenie po przerwaniu pięknego snu.

Marek zamówił śniadanie kontynentalne, ale gdy pół godziny później boj postawił je pod drzwiami, Magda wciąż siedziała w łazience.

– Kochanie, wychodź. Piękniejsza już nie będziesz.

Po chwili drzwi się otworzyły i Magda stanęła w nich z turbanem na mokrych włosach i ze szczoteczką w zębach.

– Po co myjesz zęby? Przecież zaraz jemy.

– A może mój królewicz będzie mnie chciał pocałować przed śniadaniem? – rzuciła zalotnie. – I co ja, biedna Magdusia, wtedy powiem? Że jebie mi z pyska jak smokowi, bo mi się nie chciało kłów umyć? A wtedy mój księżę porzuci mnie dla innej.

– To królewicz czy księżę? – zapytał Marek.

– A skąd ja, głupia kuchenna cipa mam to wiedzieć, paniczu? – Kokieteryjnie wygięła się i zatrzepotała rzęsami. – Jakże mi o tym rozstrzygać, mój łaskawco? Jam jeno prosta służka i posługaczka we dworze.

Marek podszedł do niej, objął ją w pasie i pocałował.

– I spełnił się mój sen – powiedziała, patrząc mu w oczy. – Oto mój król mnie pocałował. Przemienię się teraz w żabę.

Marek uśmiechnął się i zaprosił ją na balkon, na który wyniósł tacę ze śniadaniem. Był rześki poranek, więc można było tam spędzić godzinę lub dwie. Gdy zaczęli jeść, Magda zapytała, jak poszła rozmowa z DeWaelem. Przekazał jej szczegóły, a mówiąc dokładniej – konkluzje.

– Ile cię to będzie kosztowało? – spytała.

– W sumie nic.

– Niemożliwe! Patrick niczego nie robi za darmo.

– Zgadza się – przyznał. – Ale weźmie to, co i tak już spisałem na straty. Dom na Mazurach.

– Ten, który chciałeś zainwestować w klonowanie?

– Skąd wiesz? – zdziwił się.

– Przecież byłam na jachcie, gdy cię urabiał z tym Francuzem. Nie pamiętasz?

– Prawda. Wiedziałaś, o czym rozmawialiśmy?

– Nie dało się nie usłyszeć. Poza tym, jak możesz się domyślić, nie byłeś pierwszym zombiakiem, któremu to proponowali.

– Oczywiście. To raczej nie był jednorazowy występ.

– No dobrze, a co z naszą ucieczką? – zapytała. – Jaki przedstawił scenariusz? Jak to będzie wyglądało?

Marek popatrzył na nią. Nie wiedział, czy się nie przesłyszał, udawał jednak, że nie zauważył tego „naszą”.

– Patrick pracuje nad tym – odparł niepewnie i zaczął nalewać kawę, ale w końcu nie wytrzymał i powiedział: – Magda, my nie uciekamy razem. Uciekasz sama.

– Jak to sama?

– No sama.

– Nie uciekam sama. Uciekam z tobą.

– Nie, kochanie. Mówiłem ci, że ja zostaję.

– A ja ci mówiłam, że nie wyjadę bez ciebie.

– Nie bądź dzieckiem. Wiesz, że to niemożliwe.

– A ty nie bądź starcem. Powiedziałam ci: bez ciebie nie jadę.

Był zdziwiony jej oporem, ale wyglądało na to, że naprawdę nie zamierza wyjechać bez niego. Spróbował się odwołać do tego, co dla niej najważniejsze.

– Madziu, kochanie – chwycił jej dłonie – zapomniałaś o Kamilu? To dla niego tu przyjechałaś, więc wracaj do Polski. Zrób to dla niego.

– Nie, Marku – odparła i uwolniła dłonie. – Ja już postanowiłam. Wrócę z tobą albo nie wracam. Nie chcę jechać do dziecka, które kocham, jako była kurwa i kobieta, która zostawiła na śmierć ukochanego. Jeśli miałabym tak wrócić, to lepiej niech mnie już nigdy nie zobaczy. Chcę pojechać jako matka i kochająca kobieta, a nie wywłoka, która szmaciła się kilka lat, i to na darmo.

Marek patrzył na nią. Było w niej tyle determinacji, że szybko zrozumiał, że przekonywanie jej nie ma sensu. Naprawdę podjęła już decyzję i się nie cofnie. Nie wiedział jednak, jak zareagować.

– Kochanie... – zaczął.

– Naprawdę nie rozumiesz? – przerwała mu ostro. – Kocham cię i nie pozwolę ci umrzeć. Nie pozwolę, by największa miłość mego życia tak po prostu odeszła. Za mało jej zaznałam, by nie widzieć, że to właśnie ty nią jesteś. Wiem, że potrafię dać ci szczęście i że sama będę przy tobie szczęśliwa. Całe życie przegrywałam. Przez całe moje pieprzone życie miłość mi uciekała, aż nagle dopadła mnie tu, w ośrodku eutanazyjnym, w którym pracuję jako dziwka.

– Nie mów tak... – próbował jej przerwać.

– Ale tak jest – kontynuowała. – Patrzmy na sprawy tak, jak one wyglądają, a nie tak, jak chcielibyśmy je widzieć, bo nie wyciągniemy dobrych wniosków. Prawda jest właśnie taka: ja jestem dziwka, ty facetem, który chce rozstać się z życiem, a oboje trafiliśmy tu, bo byliśmy głęboko nieszczęśliwi. I jeszcze jedno: tak się jakoś chujowo złożyło, że się w sobie zakochaliśmy.

Zapadła ciężka cisza.

– Marku, popatrz na mnie – przerwała ją w końcu Magda. – Jeśli mnie nie kochasz, jeśli nie jest tak, jak mówiłeś, to pojedź sama. Bez szemrania przyjmę twoją wspaniałomyślną ofertę i nigdy się już nie zobaczymy. – Otoczyła jego twarz dłońmi i przyciągnęła. – Ale musisz mi teraz prosto w oczy powiedzieć, że mnie nie kochasz.

Kastor milczał.

– Popatrz na mnie! – krzyknęła. – Popatrz na mnie i powiedz, że mnie nie kochasz! No powiedz to!

Marek spuścił wzrok. Magda objęła go i pocałowała w policzek.

– Widzisz, głuptasie – wyszeptwała. – A teraz ratuj nas, proszę. – Łzy stanęły jej w oczach. – Zrobisz to? Wyciągniesz nas stąd?

Marek popatrzył na nią, ucałował jej dłonie i powiedział:

– Tak, wyciągnę nas stąd.

Magda uwiesiła mu się na szyi i po prostu się rozbeczała.

Spędzili ze sobą cały rano. Gdy wyszła, Kastor skontaktował się z recepcją i ponownie poprosił o spotkanie z dyrektorem. Oddzwoniono po godzinie, informując, że DeWael przyjdzie do niego o piętnastej. Nie pozostało mu nic innego, jak na niego czekać. Napisał Magdzie, że ma spotkanie z Patrickiem i że odezwie się zaraz po nim.

Rozmowa przebiegła bardzo sprawnie, zupełnie jakby Belg znów spodziewał się jego prośby. W dwie godziny uporali się z wszystkimi kwestiami i gdy po siedemnastej Magda przysłała esemesa, pytając, jak idą negocjacje z dyrektorem, mógł jej odpisać, że właśnie skończyli spotkanie i że ma dobre wieści.

„Mogę teraz wpaść?” – napisała.

„Wpadaj!”

Przyszła w ciągu kwadransa.

– No mów! – Nie potrafiła ukryć podniecenia. – Jak poszło? Zgodził się?

– Tak, i to bez większych problemów – zaczął Marek. – Miałem wręcz wrażenie, że był na to przygotowany. Chyba nie pierwszy raz to robi i nieźle na tym wychodzi.

– Ile cię to będzie kosztować? – zapytała nieśmiało.

– Mniej niż wywiezienie stąd ciebie. Chyba masz wyższą wartość – zażartował. – Kawalerkę w Warszawie, którą zapisałem ostatniej partnerce i jej dziecku. Trudno, będą sobie musieli czegoś poszukać.

– A jakieś szczegóły wielkiej ucieczki?

– Na razie musi to wszystko przemyśleć – odparł Marek. – Jedno jest pewne: to będzie w noc sylwestrową. Więcej ma nam powiedzieć jutro lub pojutrze. Spotkamy się w trójkę u niego w willi i omówimy szczegóły. Tymczasem załatwi notariusza, żeby mógł na niego przepisać dom na Mazurach, czyli okup za ciebie, i mieszkanie w Warszawie, czyli haracz za mnie. Tyle.

Magda rzuciła się na niego i przytuliła go z całych sił.

– Kocham cię i będę cię kochać aż do końca!

– Na pewno mojego. – Uśmiechnął się. – Biorąc pod uwagę mój wiek, to nie będzie trudne.

– Głuptas jesteś. – Odsunęła się nieco. – Będziemy żyli długo i szczęśliwie, zobaczysz.

– Stawiam na szczęście – odparł i pocałował ją w czoło. – Nawet jeśli nie będzie długie.

Magda popatrzyła na niego kokieteryjnie.

– Czyż to nie definicja głębokiego gardła? Szczęście krótkie, ale za to intensywne?

Marek się roześmiał.

– Masz absolutną rację – powiedział i zaczął ściągać spodnie. – Krótko, ale za to pięknie.

Uklękła przed nim i wzięła jego penisa głęboko do ust. Był jeszcze miękki, więc bez trudu się w nich zmieścił. Drażniła go językiem, nie pozwalając jednak, by się wysunął. Gdy stwardniał potężnie, zaczęła gwałtownie poruszać głową, patrząc na Marka.

– Dawno się nie kochaliśmy – wyjęczał.

Magda tylko cofnęła głowę, nabrała spazmatycznie powietrza, wypluła ślinę na jego podbrzusze i ponownie wzięła głęboko jego kutasa. Szybko poruszała głową, masując jego jądra i wciskając mu palec w anus. Po niespełna dwóch minutach eksplodował jej na twarz. Przytuliła się do jego brzucha, rozsmarowała po nim spermę i zaczęła wolno ją zlizywać. Marek uniósł ją i pocałował w usta.

– Kocham cię, Madziu – powiedział.

– Ja ciebie też, Marku.

Wzięli prysznic i zaczęli się zastanawiać, co zrobić z wieczorem. Do tej pory nie mogli pokazywać się razem w ośrodku – Marek miał ograniczony dostęp do dziewczyn, a ona musiała być dyspozycyjna. Ale w obecnej sytuacji uznali, że reguły się zmieniły.

– Chyba nie wyrzucą nas z kolonii za złamanie regulaminu.

Magda uśmiechnęła się i odparła:

– Na pewno. W końcu zapłaciłeś już za transport do domu.

Postanowili, że pójdą do restauracji fusion nawalić się na okoliczność nowego życia. Magda powiedziała tylko, że musi się przebrać, by nie wyglądać – jak to ujęła – jak kocmołuch.

– Teraz jestem prawie pani Kastor, a nie bitch Magda from Poland – rzuciła i wybiegła z pokoju.

Umówili się w restauracji za pół godziny. Marek także postanowił ubrać się elegancko. Coś ważnego działo się w jego życiu i chciał to uczcić. Czuł zapewne coś innego niż Magda, ale przecież nie kłamał, gdy zapewniał, że ją kocha. Włożył jedyną marynarkę, którą zabrał, jasne spodnie i granatowe zamszowe mokasyny, skropił się tak, jakby szedł na pierwszą randkę, i ruszył do restauracji.

Lokal świecił pustkami, co bardzo go ucieszyło. Nie wstydził się Magdy, ale też nie chciał się z nią afiszować. Wybrał stolik z widokiem na ocean i zamówił aperitif. Magda przyszła po mniej więcej kwadransie. Wyglądała olśniewająco. Zbliżyła się do stolika, a gdy wstał, by się z nią przywitać, zapytała:

– Czy to miejsce jest wolne, psze pana?

– Czekają na panią.

Usiedli, a Marek przywołał kelnera. Złożyli zamówienie i pijąc meksykańskie piwo, patrzyli na ocean.

– Opowiesz mi o niej? – przerwała ciszę Magda.

– O kim? – zapytał, choć wiedział, że miała na myśli Becię.

– O swojej ostatniej dziewczynie. Chyba powinnam coś o niej wiedzieć, nie uważasz?

– To nie jest niezbędne, ale też żadna z tego tajemnica.

– Ale to ona cię tu doprowadziła, prawda?

– Poniekąd – powiedział. – Ale tylko poniekąd. To trochę bardziej skomplikowane.

– Jak wszystko, Marku.

– Masz rację, jak wszystko – odparł. – Co mam ci powiedzieć? Chyba już wspominałem, że spotkaliśmy się w pociągu i że była młoda.

– Mówiłeś, że miała dwadzieścia jeden lat – potwierdziła Magda.

– Tak mi powiedziała, ale prawda była inna. W rzeczywistości miała dwa lata mniej, a skłamała, obawiając się, że jeśli się dowiem, nie będę się chciał z nią spotykać.

– Niespodzianka już na początku. – Magda się uśmiechnęła.

– Potem miało być ich więcej – rzekł Marek – ale ta rzeczywiście była niezła. Jednak nie zniechęciło mnie to do niej. Można nawet powiedzieć, że wręcz przeciwnie...

– Boże ty mój, już to widzę! – Magda zaśmiała się głośno. – Stary zboczeniec musiał się jarać, że ma nastkę w łóżku.

– Nie powiem, schlebiało mi to – potwierdził Marek i uśmiechnął się. – Zwłaszcza gdy pokazywaliśmy się razem. Prawie zawsze brano nas za ojca i córkę i czasami bawiliśmy się takimi sytuacjami, a nawet je prowokowaliśmy. Udawaliśmy ojca i córkę, by potem, na oczach śliniących się rówieśników Beci, zacząć się całować. Gdybyś widziała te rozdziawione gęby pryszczatych chłopców.

– Żenujące numery starzejącego się playboya i nastolatki. – Magda udawała oburzenie.

Marek roześmiał się.

– Masz rację, to było lekko żenujące, ale nie mogliśmy sobie tego odmówić. Początki były niezwykle: ona pokazywała mi swój świat, a ja jej mój, i oboje byliśmy zafascynowani tym, co widzimy.

– Jej zachwyt rozumiem, ale twój? – Magda nie ukrywała wątpliwości. – Co niby mogło cię zachwycić? Jej koleżanki?

– Gdzież tam. – Machnął ręką. – Fascynowało mnie to, jak ci młodzi ludzie żyją, jakie mają wartości, czym się kierują. Puszczala mi swoje ulubione kawałki na YouTube, zupełnie nieznanne mojemu pokoleniu, a dla jej rówieśników bardzo ważne. Już wtedy zrozumiałem w sumie, że to się nie może udać, bo ona funkcjonowała w innym kręgu kulturowym, w innych

narracjach, innych asocjacjach. Ja odwoływałem się do Dostojewskiego czy Rotha, a dla niej najważniejszy był Mac Miller. Jej rzeczywistość opisywali amerykańscy i polscy raperzy i to oni byli dla niej autorytetami. Światy przedstawione w mojej i jej głowie były całkiem inne, jakbyśmy pochodzili z różnych krajów lub nawet cywilizacji. Musiałem być dla niej kimś w rodzaju zbowidowca, który odwiedził kiedyś moje liceum i opowiadał o tym, jak było pod Lenino. Natomiast ona była dla mnie niczym mówiąca nieznanym językiem istota z kosmosu.

– Dlaczego się wtedy nie wycofałeś?

Marek westchnął cicho.

– Bo już ją kochałem, choć jeszcze nie zdawałem sobie z tego sprawy. Wiedziałem, że to się nie może udać, ale nie wyobrażałem sobie dnia bez kontaktu z nią. Przecież wiesz, jak to jest. To jak narkotyczne uzależnienie. Poza tym na początku zawsze obie strony wykazują dużo dobrej woli, by zrozumieć partnera, by wyjść mu naprzeciw, nawet zrezygnować z części siebie. Dopiero potem następuje to usztywnienie, ta obrona własnych racji, jakby tylko one istniały na świecie i tylko one się liczyły. Więc wchodziłem w jej świat i poznawałem tych barbarzyńców, którzy nie czytają niczego obszerniejszego niż trzy strony, którzy na niczym nie potrafią skupić się dłużej niż kwadrans, dla których historia zaczęła się dekadę temu. – Pokręcił głową, dając wyraz niesmakowi. – To naprawdę barbarzyńcy, używam tego słowa świadomie. Niekiedy czuli i sympatyczni, ale jednak barbarzyńcy: nieświadomi, skąd przychodzą i dokąd zmierzają, całkowicie skupieni na tu i teraz, niezdolni do jakiegokolwiek abstrakcji czasowej czy uchwycenia się w procesie zmiany. A do tego żądni wszelkich rozrywek i pozbawieni refleksji dotyczącej ich kosztów, zupełnie jakby życie nie było też na serio. No i seks...

– Co seks? – zainteresowała się Magda.

– Seks z Becią był niesamowity. – Marek uśmiechnął się i puścił do niej oko.

– Mrugaj sobie do chomika w terrarium – rzuciła, znowu udając oburzenie.

– Seks był niewiarygodny – kontynuował, wiedząc, że się nie obraziła. – A nawet nie tyle sam seks, ile to, co się działo wówczas z moim ciałem... Wiesz, byłem już wtedy przed pięćdziesiątką, ale erekcje miałem niezawodne, co w tym wieku wcale nie jest normą. Potrafił mi stanąć dwie minuty po pierwszym razie. Nie żartuję.

– No już się tak nie podniecaj, bo znów ci stanie i nie będzie wiadomo, co z tym począć. – Magda uśmiechnęła się złośliwie.

– Ale cały czas – powiedział Marek – czułem, że coś jest nie halo. Chyba zawsze tak jest, gdy starszy facet ma dużo młodszą partnerkę. To syndrom starzejącego się Otella, który ma wokół młodych, napakowanych konkurentów, a do tego widzi, jak patrzy na nich jego ukochana. Tak właśnie było w naszym przypadku. Becia pochodziła z mało ciekawego domu i chciała być podziwiana, bo to poprawiało jej samoocenę. Mój podziw jej schlebiał, ale chyba nie wystarczał. Ukradkiem obserwowałem, jak odwzajemnia spojrzenia facetów, którzy widząc nas razem w mieście, musieli o mnie myśleć jak o starym dupku, któremu wyruchaliby laskę, gdyby nie to, że siedzi obok niej. Niby nie powinienem się przejmować opiniami takich chujków, ale było inaczej. Widziałem ich pogardliwy wzrok i ten kurewski uśmiezek w kącikach ust Beci.

– Złapałeś ją na czymś?

– Nie chciałem, choć raczej bez trudu by mi się to udało. Ważne, że wiedziałem o tym całym teatrze, o tej upokarzającej mnie pantomimie. Wreszcie podczas wakacji na Mauritiusie poprosiłem faceta, od którego nie potrafiła oderwać oczu na dyskotecę, by ją zerznął. Podszedłem do niego i po prostu zaproponowałem, by przeleciał moją żonę. Początkowo się wystraszył. Myślał, że to jakaś prowokacja albo że proponuję mu trójką. Ostatecznie jednak podszedł ze mną do Beci. Ona odrzuciła mój pomysł i chciała wracać do hotelu, ale czułem, że ta myśl jej się spodobała i że oburza się tylko dla zasady. Po dłuższej rozmowie i kilku drinkach wreszcie się zgodziła. Pojechaliśmy we trójkę do naszego hotelu i tam zostawiłem ich w pokoju, a sam czekałem na korytarzu, przy windach. Gdy pół godziny później facet wyszedł, wyciągnąłem sto euro. Nie chciał wziąć, ale

wytłumaczyłem mu, że to dla mnie ważne, i w końcu uległ. Potem poszedłem do pokoju, położyłem się na łóżku i zgasilem światło. Gdy Becia wyszła z łazienki, wtuliła się we mnie i powiedziała, że mnie kocha.

Marek umilkł, a Magda nie paliła się do zadawania pytań.

– Powtórzyliśmy to parę razy na innych wyjazdach – odezwał się wreszcie – i wydawało mi się, że to załatwiło sprawę. Ona miała swój wymarzony seks i przygody, o których czytała w necie i o których śpiewali jej idole, a ja miałem jej miłość. Potem, na jej życzenie, skończyliśmy z tym. Stwierdziła, że nie potrzebuje dodatkowych wrażeń i że czego miała doświadczyć, już doświadczyła. Skupiliśmy się na sobie i było to najpiękniejsze pół roku w naszym związku. A jakby tego było mało, pewnego pięknego ranka wyszła z łazienki i oznajmiła, że jest w ciąży. Byłem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Rok wcześniej nie sądziłem, że jeszcze kogoś pokocham, a tu nie dość, że ta dziwna miłość trwała, to jeszcze zmajstrowaliśmy małego Wiktora.

– Masz syna?! – prawie krzyknęła Magda.

– Poczekaj chwilę, już kończę. – Uśmiechnął się. – Nie żebym jakoś pragnął dziecka, ale gdy Becia powiedziała mi o nim, po prostu rozryczałem się ze szczęścia. Nie zamierzaliśmy się chajtać, ale ona mieszkała już wówczas na stałe u mnie, no i powiedzieliśmy o wszystkim jej rodzicom. Wydawali się zadowoleni – w końcu się jej pozbywali, no i ich królownę zabierał bogaty facet. Ot, gwarancja, że będą mieli na wódkę do końca życia. Ale w drodze do powszechnego szczęścia nastąpiła mała awaria.

– Jaka?

– Banalna – odparł. – Zupełnie przypadkowo, w sposób tak idiotyczny jak samo życie, dowiedziałem się, że dziecko nie jest moje.

– Tak mi przykro – powiedziała Magda.

– Mnie też trochę było. – Marek uśmiechnął się smutno.

– Jak zareagowałeś? Co ci powiedziała?

– W ogóle nie zareagowałem. Nie dałem nic po sobie poznać.

– Ale dlaczego?

– Bo ta mała kurewka zabiłaby to dziecko – odparł. – To był dopiero koniec trzeciego miesiąca. A nawet gdyby był czwarty czy piąty, i tak usunęłaby ciążę. Ta sucz nie zawahałaby się ani sekundy, gdyby się okazało, że zamiast bogatego europościa będzie musiała wrobić w dzieciaka jakiegoś swojego kolegę z Sosnowca. Nie miałyby litości. Wtedy to już wiedziałem.

– Więc co zrobiłeś?

– Nic. Udawałem, że wszystko jest w porządku. Kupowałem ciuszki dla dziecka, urządzaliśmy jego pokój – normalne przygotowania każdej pary w oczekiwaniu na rozwiązanie.

– Wytrzymałeś tak sześć miesięcy? – nie dowierzała Magda.

– Wiedziałem, że to ostatnie sześć miesięcy mojego cierpienia i udawania.

– Wtedy właśnie postanowiłeś tu przyjechać? – zapytała, patrząc mu w oczy.

Marek przytaknął. Nie była to do końca prawda, nie chciało mu się jednak tłumaczyć, kiedy ostatecznie podjął decyzję, że się zabije. I tak by mu nie uwierzyła.

– Co było dalej?

– Nic szczególnego – powiedział. – Nie dociekałem, kto naprawdę jest ojcem dziecka. Nie interesowało mnie to, tak jak nie interesowały mnie już kobieta i dziecko, które tak niedawno jeszcze kochałem. Wszystko umarło. Czekałem tylko na poród, by oddać się śmierci.

Marek zamilkł, a Magda nie miała odwagi pytać o cokolwiek.

– W końcu zaczęły się bóle porodowe – odezwał się po chwili. – Spakowaliśmy do auta wszystkie potrzebne rzeczy i szybko pojechaliśmy do szpitala. Gdy Becia była odwożona na salę porodową, popatrzyła na mnie i powiedziała: „Kocham cię najmocniej na świecie”. Spojrzałem jej prosto w oczy i wtedy stało się coś dziwnego. Zupełnie jakby ona po prostu zobaczyła w nich, że ja wiem. Jej twarz nagle stężała. Złapała mnie za rękę i krzyknęła jeszcze raz: „Marku, kocham cię! Kocham cię!!!”. Nigdy więcej się nie spotkaliśmy. Pojechałem do domu, spakowałem rzeczy, które kupiliśmy dla małego, i zawiozłem je do jej rodziców. Zastałem ich pijanych, ale nie na

tylko, by nie byli w stanie zrozumieć tego, co im przekazałem. Poinformowałem ich, że dziecko nie jest moje i że Bacia jest w szpitalu w Raciborzu. Poprosiłem też, by skontaktowali się z ginekologiem, który ją prowadził, i zostawiłem im jego numer. Jej ojciec zaczął coś bełkotać, ale obróciłem się na pięcie i wyszedłem. Taki był koniec tej romantycznej historii.

Przez dłuższy czas milczeli.

– Nigdy nie żałowałaś? – spytała wreszcie Magda.

– Czy nie żałowałem, że w jednej chwili straciłem dziecko i ukochaną kobietę? – zadrwił. – Wiele razy, prawie każdego dnia. Bo gdy dowiedziałem się, że Wiktor nie jest moim synem, poczułem się tak, jakbym ich stracił w wypadku samochodowym. Naprawdę. Tak to bolało. Wyobraź sobie, że przygotowujesz się tygodniami na przyjście szkraba na świat, otaczasz czułością jego matkę, snujesz plany na przyszłość i wszystko sobie przewartościowujesz... a tu nagle jeb!

– Wiesz, że nie o to pytałam – przerwała mu Magda. – Czy nie żałowałaś, że ją wtedy zostawiłeś?

– Nie, nie żałowałem – odparł. – Nie napawałem się jej rozpaczą i nie myślałem o tym, jak będzie sobie tłumaczyć to, że zerwałem z nią kontakty. To by było jakieś tanie. Wtedy byłem już trupem, emocjonalnym trupem, więc zemsta mnie nie interesowała. Bacia była mi już wówczas zupełnie obojętna, tak jak cały świat, i nie mogłbym z nią dłużej być, jeśli o to pytałaś. Więc nigdy nie żałowałem, że jej nie wybaczyłem i że nie żyłem z nią potem długo i szczęśliwie, robiąc już tylko oryginalne Mareczki. Na to było za późno. Ostatnią rzeczą, która przez te pół roku trzymała mnie przy życiu, była chęć uratowania Wiktora. Był synem innego faceta i symbolem zdrady, jakiej dopuściła się Bacia, ale też małym, niewinnym człowiekiem. W jakiś sposób nawet się z nim związałem. Może kiedyś jego matka opowie mu całą tę historię. Ale to już będzie zależeć od tej dziwki.

– Co było dalej?

– Nic – powiedział Marek. – Nie widziałem się z nią od tamtego czasu. Próbowła się ze mną kontaktować po wyjściu ze szpitala, dzwoniła i pisała

esemesy, ale mój prawnik przekazał jej, że jeśli to się nie skończy, będzie miała kłopoty. Zresztą jej tęsknotę za mną ukoił fakt, że zapisałem jej warszawskie mieszkanie. A raczej Wiktorowi, bo dokument jasno mówił, że kawalerka jest jego, ona zaś tylko opiekuje się nią do jego pełnoletniości.

– To ta kawalerka, którą teraz musisz oddać Patrickowi?

– Niestety tak. Bacia dowie się o tym na początku stycznia. Ale poza tym mieszkaniem naprawdę nie miałem już niczego, czym mógłbym się wykupić. Chyba nie chcesz, bym żałował?

– Oczywiście, że nie. Chciałam tylko wiedzieć.

Ocean był już zupełnie czarny, dochodziła dwudziesta pierwsza. W restauracji byli prawie sami – reszta klientów gdzieś się ulotniła. Zamówili jeszcze po piwie i siedzieli, patrząc na wodę i trzymając się za ręce. W pewnej chwili Magda obróciła się w stronę Marka i powiedziała:

– Będę dla ciebie dobra.

– Wiem, kochanie. – Popatrzył na nią. – Wiem.

Pół godziny później zdecydowali się na powrót do apartamentu. W pokoju wypili ostatnie piwo, a potem kolejno wzięli prysznic i położyli się do łóżka.

– To co, seks małżeński? – zamruczała Magda.

Marek się uśmiechnął.

– Bardzo proszę, tylko włączę reklamy na jakimś kanale. Niech rytuał się dopełni.

I rzeczywiście włączył telewizor i nastawił kanał z telesprzedazą. Magda się roześmiała. Narzuciła na nich lekkie prześcieradło, które pełniło funkcję kołdry, i zgasła wszystkie lampki. Jedynym źródłem światła był ekran telewizora.

– Tak dobrze? – zapytała.

– Doskonale, pani żono – odparł. – A teraz proszę zaspokoić pana męża szybko i bez zbędnych ceregieli.

Magda najpierw wzięła jego członka do ręki, a gdy zesztyniał, weszła okrakiem na Marka i wsunęła sobie penisa do pochwy. Bardzo szybkimi ruchami bioder doprowadziła go do orgazmu.

– Jest pan zadowolony? – spytała, schodząc z niego.

– A jakże! Wielcem rad – odparł Marek i pocałował ją w policzek.

– Idziemy spać? – Odwzajemniła pocałunek.

– Tak, tylko pójde się szybko opłukać.

Gdy po kilku minutach Marek wrócił do łóżka, Magda już chrapała. Przytulił się do niej i zasnął.

DZIEŃ DWUDZIESTY TRZECI

27 GRUDNIA

Obudzili się po dziewiątej i zdecydowali, że na śniadanie pójdą do jednego z barów. Zaskoczyło ich to, że był w nim prawie komplet.

– Ludzie nawet w obliczu śmierci zachowują nawyki – powiedział Marek. – Jeśli zawsze jedli śniadanie o określonej godzinie, to kilka dni przed śmiercią, gdy mogą jeść o dowolnej porze, i tak postąpią tak jak wcześniej.

Zjedli w miarę szybko, bo Magda musiała gdzieś biec.

– Ty ciągle pracujesz? – zapytał Marek.

– A co, zazdrosny jesteś? – Uśmiechnęła się i pocałowała go.

– Oczywiście, że nie – odparł nieco urażony. – Po prostu chciałem wiedzieć.

– Skoro pan profesor taki ciekawski, to donoszę, że oficjalnie wciąż pracuję, ale gadałam z Patrickiem i powiedział, że mój profil będzie dziś i jutro zajęty. Taka sztuczka techniczna i prezent dla ciebie, jak się wyraził. Happy?

– Very happy. A kiedy ty z nim rozmawiałeś, co?

– Marku, ty naprawdę jesteś zazdrosny! – Magda ucieszyła się. – Słodziak z ciebie!

– Nie jestem zazdrosny, tylko interesuję się tym, co się dzieje z moją dziewczyną.

– No już dobrze, dobrze. – Roześmiała się. – Nie bądź taki obraźliwy. Do zobaczenia wieczorem. Muszę pozłatwiać swoje sprawy. Pamiętaj, że jestem tu troszkę dłużej niż ty.

Marek został sam.

Czyżby znów odzywała się we mnie zazdrość? – pomyślał. – Ledwo mi na kimś zaczęło zależeć, a już wraca ten potwór? Boże, jakie to jednak żalosne i przewidywalne.

Wiedział oczywiście, że to problem dorosłych dzieci alkoholików. Mają zaniżoną samoocenę, dlatego nie wierzą, że mogą być dla kogoś najważniejsi i najcenniejsi na świecie. Jeśli nie byli tacy dla matki czy ojca, to dlaczego mieliby być dla żony czy męża? Stąd ich zazdrość, która jest jedynie formą strachu przed odrzuceniem. Marek długo nie rozumiał, co się z nim działo, gdy kolejne dziewczyny po krótkiej idylli nagle zaczynały prowokować go do ataków zazdrości. Był wściekły na nie, ale jeszcze bardziej na siebie. Albo inaczej – był zażenowany sobą. Nie ma bowiem nic bardziej zawstydzającego niż zazdrosny facet, który wrzeszczy na swoją kobietę na ulicy czy ją nawet szarpie. Lub przegląda w tajemnicy jej komórkę, sprawdza jej e-maile i śledzi znajomych na Facebooku.

Chociaż uważał, że takie zachowania są żenujące, sam to robił. No, może poza szarpaniem i kłótniami na ulicy. Ale już ukradkowe sprawdzanie telefonu lub sceny zazdrości w nocnym klubie, kiedy jego partnerka zbyt długo z kimś tańczyła, zdarzały mu się często. Sytuację pogarszała jeszcze różnica wieku, bo podobały mu się coraz młodsze dziewczyny, więc okazji do zazdrości było więcej.

I teraz doświadczył tego samego ukłucia czy raczej duszności, bo u niego zazdrość objawiała się czymś w rodzaju braku tchu, jak po ciosie w splot słoneczny. Powinien się w sumie cieszyć – oznaczało to wszak, że naprawdę mu na Magdzie zależy – ale nie lubił tego uczucia i gardził sobą, gdy go ogarniało.

Uświadomił sobie, że już dawno nie kąpał się w oceanie, i postanowił popływać. Poszedł do apartamentu, przebrał się i szybko, prawie biegiem ruszył na plażę. Było na niej zadziwiająco dużo ludzi – oczywiście jak na ten ośrodek. To nie była plaża we Władysławowie, na której leżący ludzie przypominali mu o masowych grobach Chorwatów i Bośniaków, które widział kiedyś w telewizji – splątane, obsypane piaskiem ciała w jasnych ubraniach lub pólnagie. Co to, to nie. Na plaży „Great Final” przebywało

może dwadzieścia osób, ale jak na tutejsze zwyczaje i tak był to tłum. Nie chciało mu się iść daleko w poszukiwaniu samotności. Właściwie nawet podobało mu się to, że wszystko wokół przypomina normalny hotel z normalnymi gośćmi. Wybrał miejsce w pobliżu czterech opalających się dziewczyn. Mówiły po rosyjsku i najwyraźniej były zatrudnionymi w ośrodku prostytutkami, choć nie widział ich wcześniej w intranecie. Tak czy owak, uznał, że to miłe, iż wszystko wokół wygląda tak jak na zwyczajnych plażach w kurortach.

Rozebrał się do kąpielówek, zostawił ręcznik i ubranie na piasku i wszedł do wody. Oddalił się nieco od brzegu i poczuł, jak ruch sprawia mu radość. Pływał prawie godzinę. Gdy wracał na plażę, zagadnął go gruby, owłosiony na plecach i ramionach mężczyzna z wielkim złotym krzyżem na szyi.

– Priwiet! – rzucił w jego stronę.

– Priwiet – odparł Marek.

– Wy nie Russkij. – Mężczyzna uśmiechnął się. – Wy Paliak ili Giermaniec.

– Paliak, Paliak. – Kastor odwzajemnił uśmiech. – A wy kanieszna Russkij.

– Kanieszna! Ale ja znam polski!

Marek się zdziwił. Facet prawie nie miał obcego akcentu.

– Pięknie pan mówi po polsku. Jak to się stało?

– Dziesięć lat żyłem we Warszawie, proszę pana – odparł Rosjanin. – Na początku lat dziewięćdziesiątych. To nauczyłem się języka, no i go nie zapomniałem.

– Naprawdę świetnie pan mówi – pochwalił go Marek, który uwielbiał język rosyjski. – Prawie bez błędów.

– Bardzo panu dziękuję. – Mężczyzna podniósł się, bo do tej pory siedział po pas w wodzie, i wyciągnął rękę. – Wania jestem.

– Marek.

– Oj, ja miałem w rodzinie Marika. Mogę ci mówić Marik?

Rosjanin prawdopodobnie uznał, że wraz z podaniem imienia przechodzi się na „ty”. Normalnie Marek może by i protestował, ale w sumie Rusek sprawiał sympatyczne wrażenie, więc postanowił spędzić z nim kilka chwil

i pozwolić mówić do siebie po imieniu.

– Jasne, będzie mi bardzo miło – odparł.

– Ty widzisz te dziewczyny tam, na kocu? – Wania wskazał grupkę kobiet, obok których Kastor zostawił ubranie. – One moje. To teraz też twoje. Prosto z Moskwy przyleciały one do mnie na miesiąc. Z samej Moskwy, mojej Moskwy...

Wziął Marka pod rękę, wyszli razem z wody i ruszyli w stronę dziewczyn. Te od razu się podniosły i przywitały. Marek zapamiętał tylko imię najładniejszej z nich – Masza.

– Cóż, Marik, zjemy coś? – spytał Rosjanin.

– Czemu nie?

Wania wydał polecenie dziewczynom i wszystkie cztery pobiegly w stronę hotelu. Zostali sami.

Marek nie lubił Rosjan i unikał ich. To już byli zresztą w zasadzie postRosjanie – ci, których rodzice przez siedemdziesiąt lat komunizmu rozpychali się łokciami, tratowali na dworcach i donosili na sąsiadów. Rodacy Czechowa, Achmatowej i Puszkina wyginęli lub zostali zdeptani przez hordy chamów, którym nie przeszkadzał komunizm z jego wulgarnością. Ci, którzy przetrwali ten ustrój, mieli więc geny po buraczanych przodkach wycierających smarki w rękaw, kapujących na kulaków i żrących się w wielorodzinnych mieszkankach na Arbacie. Dzieci arystokracji i ziemian zaś pomarły w łagrach lub uciekły za granicę. Zdaniem Marka współcześni Rosjanie byli potomkami najbardziej brutalnych, wulgarnych i bezwzględnych chłopów i nie dało się ich lubić.

Ale ten Rusek był po prostu sympatyczny. Marek nie miał złudzeń co do tego, kim był, a także kim mógłby być, gdyby spotkali się w innych okolicznościach. Jednak tu był tylko uśmiechającym się do niego i mówiącym po polsku Wanią.

– A jak trafiłeś do Polski? – zapytał.

– A prosto – odparł mężczyzna. – Na studia przyjechałem. Studiować mnie się zachciało na Zachodzie. U nas wtedy Jelcyn rządził, więc ja hyc do Polski

i dalejże studiować fizykę we Warszawie.

– Jak długo?

– No zeszło parę latek. – Wania uśmiechnął się. – Konkretnie to dziesięć. Nie było u mnie jakoś głowy do nauki. Chęć była, ale głowy nie było. Nie żebym ja tłuć jakiś był, nawet tak Marik nie myśl. Ale po prostu czasu nie starczało. Handlowałem na bazarze, walutą spekulowałem. Co ja się wtedy towaru nawoziłem, to tylko ja wiem i mój stary kręgosłup, co to on się teraz co rusz o swoje upomina. – Roześmiał się i wskazał swoje plecy. – Więc z tej nauki to niewiele wyszło.

Z hotelu wracały dziewczyny, a każda z nich coś niosła. Po chwili na kocach przed mężczyznami leżały wszystkie możliwe produkty: ikra, bliny, łosoś, twarożek. No i oczywiście trzy litrowe butelki wódki. Wszystko, czego może chcieć szczęśliwy człowiek.

Rosjanki usiadły kilka metrów od nich i też zaczęły coś jeść i pić, ale tak, by im nie przeszkadzać. Wania nalał sobie i Markowi po szklance wódki i wzniosł toast za przyjaźń.

– W kilka lat ja stałem się bogaty – kontynuował po chwili. – Co ja mówię bogaty. Tak bogaty, że już nie wiedziałem, jak jestem bogaty! Urodziła mnie się córka pierwsza i szczęśliwy ja byłem, Marik, bardzo szczęśliwy. I korzystałem z życia, ile się dało. No bo jak nie korzystać, kiedy ono jedno? To grzech straszliwy je marnować, a ja grzeszyć nie zamierzałem, bom bogobojny. – Roześmiał się i nalał im znowu wódki do szklanek. – Com użył, to moje. Tego się po prostu opisać nie da. Najpiękniejsze kobiety ze mną do łóżka szły, najwspanialsze jachty moje były, ikrę jedliśmy wiadrami. I życie smakowało, Marik. Każdy dzień był jak początek świata, nie było zachcianki, żeby ona nie była od razu spełniona przez moich ludzi. Zwiedziłem cały świat i zobaczyłem wszystkie jego cuda. Krew w żyłach płynęła szybko, nie trzeba jej było popędzać narkotykami. Choć i one były, co tu kryć. Ale nieczęsto, ot, żeby spróbować i nie żałować, że się nie spróbowało. Samo życie było jak narkotyk.

Rosjanin wypił całą szklankę wódki, nie oglądając się na Marka, który spauzował, bo czuł już alkohol w żyłach.

– Panem świata ja byłem, ot co! – krzyknął Wania. – Dawałem życie i je odbierałem. No co tu łąć, Marik, zabijałem. Gdyby nie ja ich, toby oni mnie, więc nie wahałem się, tylko żyłem coraz szybciej i mocniej. Wiedziałem, że życie jest krótkie, a moje to już na pewno długie nie będzie. I tak żyłem i nie dawałem żyć innym, normalna kolej rzeczy. Taki cały świat jest, przyroda też taka. Większy zagryza mniejszego, by przeżyć i swoim małym życie dać. Zabijałem takich jak ja, drapieżników, więc i żalu mało było. A że przy okazji trochę niewinnych żeśmy ubili? Taki już los człowieka, że nie zna dnia ani godziny. Jest, a potem go nie ma. Ot, tyle. Lasy będą tak samo szumieć, Wołga tak samo płynąć, Kaukaz tak samo stać nieporuszenie. A człowieka nie ma i nie będzie. Będą inni, ale zaraz też znikną. Stoi sad, a za chwilę ani śladu po sadzie. Człowiek jest jak ta wiśnia – wyrośnie, zakwitnie, owoce wyda, a przyjdzie jeden z drugim i na opał zetnie. Co tu krzyżeć? Co dramatyzować? Tak było, jest i będzie. Ot, przyszedłeś, człowieku, na ten boży świat i pożyłeś na nim chwilę, to idź już sobie, innym miejsce zrób, nie zawadzaj. Drudzy też chcą troszku pożyć, słońcem się nacieszyć, dziatkami zachwycić. Więc nie marudź, człowieku, tylko żyj najlepiej jak możesz, pij, śpiewaj, kochaj. A potem usiądź cicho i zapłacz nad tym wszystkim, coś stracił, coś przegrał, coś przeoczył w swoim biegu głupim. Zapłacz i umrzyj. Bo tyleś z tego wszystkiego zrozumiał, co jakaś mysz polna albo świerszcz, i tyleś przeżył, biedaku jeden.

Mężczyzna wstał chwiejnie.

– Ale póki serce w nas toczy krew czerwoną – zawołał – póki w nas dusza uwięziona, pijmy i cieszymy się tym, co dobry Bóg nam dał, i to za bezdurno, za nic, na chwałę swoją jedynie!

Wypił kolejną szklankę stolichnej, po czym usiadł naprzeciw Marka, objął go i się rozplakał. Siedzące obok dziewczyny prawie nie zwróciły uwagi na ten spektakl – widocznie nie pierwszy raz go oglądały. Teraz Marek nalał wódki.

– Wypijmy, przyjacielu – powiedział do Wani – za życie i za śmierć. Za sens i bezsens. Za pamięć i niepamięć. I za nas.

Stuknęli się szklankami i wychylili je do dna. Dziewczyny też wypily.

– Ale dlaczego tu jesteś, skoro tak kochasz życie, rodzinę i cały ten boży świat? – spytał Kastor po chwili.

– Eee, to prosta raczej historia – odparł Wania nieco już bełkotliwie. – Familii nie zdołał ja wywieźć z Rosji, durak. Zostawił o miesiąc za długo. Córka liceum chciała koniecznie w Moskwie dokończyć, bo koleżanki. No i ja się zgodziłem, choć wiedziałem, że tak nie wolno, że ryzyko. No i ułapili. Ułapili wszystkie: żonkę i moje trzy dziewczynki.

– Kto? – zapytał Marek. – Władze? Konkurencja?

– A czy to ważne? – rzekł Rosjanin. – Ważne, że ułapili i wypuścić nie chcą. Zabijają jak nic. Cały majątek już ja dałem i myślałem, że to wystarczy, że chwytit. Ale nie. Musiałem większemu ode mnie Miszy na łapę nastąpić i zapamiętał chuj. Zapamiętał i mojej duszy chce. Co ja mogłem zrobić, Marik? Uciec i życie ocalić? Co to za życie by było, jakbym wiedział, że za nie moja Natasza i dziewczynki musiały oddać swoje? Co to, job twoju mat', za życie by było?!

Mężczyzna uderzył pięścią w piach. Jakiś czas siedział jeszcze bez ruchu, a potem podniósł wzrok i wskazał najładniejszą dziewczynę z grupy, tę, którą Marek zauważył już wcześniej.

– Widzisz ją, tę piękną? – zapytał. – Widzisz Maszę? Ona tu przysłana przez nich. Ma pilnować, bym zdechł, bym nigdzie nie ujechał. Jak ona nie wróci za kilka tygodni do Moskwy, cała i zdrowa, i nie powie, że ja trup, to moje dziewczynki martwe. Mogę ją tu dupczyć jak pozostałe trzy kurwy, ale nie mogę skrzywdzić.

W tym momencie Masza popatrzyła na nich. Marek dopiero teraz spostrzegł, że choć jest zjawiskowo piękna, ma zimne, martwe oczy. Uśmiechnęła się do nich. Wania uniósł szklankę w jej stronę. Odwzajemniła gest, ale jej oczy pozostały skute lodem.

– Pójdę już. – Marek podniósł się z koca.

– Jak chcesz, przyjacielu – rzekł Wania. – Przepraszam, że nie zapytał ja o ciebie. Cham ze mnie. Gadałem tylko i gadałem o sobie. Odpuść mi, proszę.

– Nic się nie stało – zapewnił szczerze Kastor. – Dobrze się ciebie słuchało, naprawdę. Bądź zdrow i niech twoja rodzina ma się jak najlepiej.

Wania także się podniósł. Objął Marka i ponownie zapłakał.

– Dziękuję ci, przyjacielu, z całego serca dziękuję. Nie miej za złe głupiemu Wani, że plółł trzy po trzy.

Marek uwolnił się z jego objęć, uścisnął mu dłoń i ruszył w kierunku wejścia na plażę. Po drodze spojrzął raz jeszcze na Maszę. Jej twarz była zupełnie spokojna, jakby martwa.

Był w zasadzie pijany – tych kilka szklanek wódki zrobiło swoje. Niedawno minęła piętnasta, więc nie wiedział, dokąd iść. Było stanowczo za wcześnie na sen, ale w obecnym stanie mógł praktycznie tylko położyć się do łóżka lub kontynuować picie. Nigdy nie potrafił pojąć, jak ludzie mogą cały dzień być na rauszu po tym, jak zaczęli wlewać w siebie alkohol jeszcze przed południem. A już kompletnie nie rozumiał tych, którzy twierdzili, że taki rausz motywuje ich do pracy i zwiększa kreatywność.

W jego wypadku alkohol służył tylko temu, by się nawalić. Mniej lub bardziej, ale jednak się nawalić. Jeśli zaczynał, zawsze kończyło się to upojeniem, a potem był regeneracyjny sen. Inaczej nie miało to sensu. „Pije się po to, by się upić” – mawiał.

Stał teraz przy wejściu na plażę i nie wiedział, co z sobą począć. W końcu postanowił wrócić do apartamentu i sprawdzić, czy są jakieś wieści od Magdy. Okazało się, że dostał od niej dwa esemesy. W pierwszym – wysłanym o 12.13, czyli wtedy, gdy był już na plaży – pytała, czy jest w pokoju. Drugi, o godzinę późniejszy, informował, że jeśli teraz nie ma go w pokoju, to ona wpadnie do niego około dwudziestej pierwszej.

Spojrzął na zegarek – była 15.39. Nie miał już na nic ochoty. Kąpiel w oceanie i wypita na plaży wódka całkowicie go rozmontowały. Był tak zmęczony, że nie wzięwszy nawet prysznic, zwałił się na łóżko. Nastawił alarm w komórce na dwudziestą pierwszą i szybko zasnął.

Miał wrażenie, jakby leciał w jakąś przepaść, jednak nie bał się tego, przeciwnie – cieszył się tym. Ostatkiem świadomości uzmysłowił sobie, że to

tylko sen, ale miał też wrażenie, że tak właśnie będzie wyglądać śmierć – że będzie jak zapadanie się w coraz czarniejszą i zimniejszą przepaść. Uspokajała go ta perspektywa. Pozwolił sobie na swobodne opadanie w tę otchłań.

Obudził go piskliwy elektroniczny sygnał. Był cały spocony. Zaświecił nocną lampkę i spojrzął na wyświetlacz komórki – nie dostał żadnej nowej wiadomości. Wstał z trudem, poszedł do łazienki i wziął chłodny prysznic. Kiedy wracał do pokoju, usłyszał pukanie.

– Patrick zaprasza nas do siebie na dziesiątą rano – oświadczyła Magda, mijając go w drzwiach. – Podobno ma już wszystko przemyślane.

– Widziałaś się z nim? – spytał Marek najbardziej neutralnie, jak potrafił.

– O Boże, ty znów jesteś zazdrosny! – Roześmiała się.

– Wcale nie – skłamał.

– Słodkie to jest – powiedziała, podchodząc do niego – ale nie możesz być zazdrosny o kurwę, bo to nam zniszczy życie.

Marek wiedział, że Magda ma rację. Kolejny raz przekonał się, że jest bardzo mądra. Pocałował ją w usta.

– Przepraszam – wyszeptał. – Już nigdy nie wygłupię się takimi pytaniami.

– Trzymam cię za słowo. – Uśmiechnęła się. – Inaczej zażądam rozwodu.

Roześmiali się szczerze.

– Idziemy do restauracji czy wolisz, bym zamówił coś do pokoju? – spytał Marek.

– Wyjdźmy – odparła. – Patrick zasugerował, byśmy jak najczęściej pokazywali się razem. To podobno zgodne z jego planem. Więc idziemy na miasto, mój królu.

– W porządku, tylko się ubiorę. – Marek zrzucił ręcznik, który miał na biodrach.

– Hola, hola, panie zazdrośniku! – Magda uklękła przed nim. – A dokąd się pan tak spieszy? Czy naprawdę nie może pan okiełznać głodu na kwadrans?

Wzięła jego członka do ust, a gdy stwardniał, zaczęła mu ssać jądra. Po

pewnym czasie obróciła go i zmusiła, żeby się oparł o łóżko. Poczuł, jak jej wilgotny, gorący język omiata i drażni jego anus. Gdy w końcu zaczęła raz za razem wsuwać go do środka, jednocześnie gwałtownie trzepiąc mu fiuta, prawie zawył z rozkoszy. A potem pozwoliła mu trysnąć w usta, przełknęła spermę, po czym stanęła przed nim i dygnęła.

– No i było się tak spieszyć...

Marek nie wiedział, czy miała na myśli wyjście na kolację czy orgazm, ale postanowił nie kompromitować się głupimi pytaniami. Magda zniknęła w łazience, a on zaczął się ubierać. Po kwadransie byli już w barze „Ocean”.

To był piękny wieczór. Zamówili owoce morza i białe wino, beztrudno rozmawiali, śmiali się i całowali. Nawet nie zauważyli, kiedy minęła północ. Kelner poprosił ich o przejście do innej części baru, ale Magda zawołała:

– Idziemy potańczyć!

Markowi nie pozostało nic innego, jak się zgodzić. Chciał, żeby była szczęśliwa, a na taką w tej chwili wyglądała, lekko wstawiona, w przewiewnej sukience na ramiączkach i na wysokich obcasach.

Wzięła go za rękę i pociągnęła w stronę night-clubu.

– Byłeś tam już? – spytała. – Nie?! Więc idziemy. I żadnych sprzeciwów!

W klubie było więcej osób, niż się spodziewał. Część siedziała w lożach, część przy barze, a spora grupka tańczyła na środku sali. Magda od razu wkroczyła na parkiet, pociągając go za sobą. Przytuliła go i zaczęła całować. Początkowo się wzbraniał, ale potem uznał, że nie ma to sensu. Po pierwsze, sprawiało mu to przyjemność, po drugie, nie budziło zgorszenia, po trzecie, podobno mieli się ze sobą afiszować.

Przetańczyli kilka kawałków i Marek trochę się zmęczył. Zachęcił Magdę do pozostania na parkiecie, a sam poszedł do baru zamówić wino. Gdy już usiadł, mógł się lepiej rozejrzeć. W klubie było pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt osób. Na szczęście nie dostrzegł nikogo, z kim wcześniej rozmawiał, pił więc wino i obserwował ludzi, a Magda szalała na środku sali. Była zachwycająca i doskonale się poruszała – zmysłowo, ale nie wulgarnie. Z zadowoleniem zauważył, że kilku facetów też na nią patrzy.

Po kwadransie dołączyła do niego, uwiesiła mu się na ramieniu i zażądała wina. Wypili po kieliszku. W pewnym momencie zapytała, czy nie miałby nic przeciwko temu, by na chwilę podeszła do „dziewczyn”. Marek dopiero wtedy spostrzegł, że w jednej z łóż siedzi kilka prostytutek, których twarze znał z intranetu. Oczywiście, że nie miał nic przeciwko. Magda ruszyła w ich stronę, ale gdy była już na parkiecie, drogę zastąpił jej jakiś facet, chwycił ją za ramię i zaczął coś do niej mówić. Marek obserwował to ze swego miejsca, nie wiedząc, jak zareagować. Potem jednak zobaczył, że mężczyzna łapie Magdę za pośladki i mocno do siebie przyciska, i w jednej chwili doskoczył do nich. Przestraszone oczy dziewczyny nie powstrzymały go – wyrzwał faceta w twarz. Tamten lekko się zachwiał, ale utrzymał na nogach, więc Marek poprawił mawashi geri w bok głowy. Po prostu zadziałały odruchy wypracowane przez lata trenowania karate. Mężczyzna poleciał w lewo i uderzył twardo o parkiet.

– O co ci, kurwa, chodzi?! – krzyknął po angielsku. – O kurwę?!

Wtedy do Marka podbiegło dwóch ochroniarzy, chwyciło go za ramiona i wyprowadziło z klubu. Magda wybiegła za nimi i krzyknęła, by zostawili go w spokoju, ale oni nie chcieli zrobić Markowi krzywdy – ich zadaniem było zaprowadzenie porządku i to zrobili. Kilka sekund później ochroniarze wrócili do środka, a oni zostali na zewnątrz.

– Kto to był? – spytał Marek. – Klient?

– Tak – potwierdziła cicho Magda.

– Czego od ciebie chciał?

– A czego można chcieć od kurwy? – odpowiedziała pytaniem i wzięła go za rękę. – Chodźmy do domu.

Na miejscu wzięli razem kąpiel i położyli się na łóżku twarzami do siebie.

– A więc znowu przyszedł – rzekł Marek po dłuższej chwili.

– Kto?

– No ty, tam, w środku. – Dotknął jej piersi w okolicy serca.

– Czyli? – zaciekała się.

– No ty, miłości moja. – Uśmiechnął się. – Teraz ona wcieliła się w ciebie.

Magda usiadła w pościeli.

– To jakaś teoria?

– A jakże – odparł. – Moja ulubiona. Bo widzisz, każdy człowiek ma jedną miłość. Ona pędzi za nim przez całe życie, ale jest tylko jedna. Czasami traci się ją z oczu, czasami ona sama gdzieś znika i włóczy się po świecie, ale jak znów się pojawia, musi się wcielić w jakąś osobę.

– Nawet ładne.

– Prawda? – Marek uśmiechnął się. – Jedna miłość dla jednego człowieka. Jak anioł stróż. I oni się tak po świecie szukają: człowiek i jego miłość. Czasem z powodzeniem, ale najczęściej bez. Bo przecież to idiotyczne, w jakich ludziach się zakochujemy – jak inne mają charaktery, jak inne temperamenty, jak bardzo się różnią. A miłość jest ta sama, tylko wciska się w różnych ludzi. Więc choć musi się trochę do nich dostosować, tak naprawdę to wciąż ta sama miłość, która nas dopadła pierwszy raz w liceum czy na studiach. To ciągle ona, tyle że ulokowana w innym ciele i jakoś przez to ciało do nas przemawiająca, próbująca się przez nie przebić, pocałować, objąć. Ale musi do tego używać człowieka, którym zawładnęła, z wszystkimi jego zachciankami, zwyczajami, wadami i zaletami. A naszym zadaniem jest dostrzec ją poza tym wszystkim.

– I ty dostrzegłeś we mnie tę twoją miłość? – spytała Magda.

– Tak – potwierdził. – Wróciła do mnie. Jest w tobie. Wiem to.

– A gdyby mnie nie znalazła i gdybym nie zaproponowała ci ucieczki, to co by się z nią stało po twojej śmierci?

– Nie wiem, kochanie – odparł Marek. – Pewnie też by umarła. A może nie? Może wtedy dopiero by do mnie przyszła, już sama, bez jakiegoś ciała? Nie wiem.

– To bzdury, prawda? – Magda chciała się upewnić.

– No pewnie, że bzdury. – Uśmiechnął się. – Ale piękne, co? Chyba lepsze niż nauka o endorfinach i fizjologii mózgu w stanie podniecenia?

– Jasne, ale zupełnie nie w twoim stylu.

– Nie będzie mi mój styl mówił, co mam myśleć! – Marek roześmiał się

głośno. – Zwłaszcza gdy jestem zakochany. I kochany.

Magda pocałowała go.

– Chcesz się kochać? – zapytała.

– Nie. Idziemy spać, okay?

– Okay. – Znowu go pocałowała. – Ty, ja i twoja miłość.

– Trójkącik. – Uśmiechnął się.

– Nie, czworokącik – powiedziała i jeszcze raz go pocałowała.

Objęli się i zasnęli.

DZIEŃ DWUDZIESTY CZWARTY

28 GRUDNIA

Marek obudził się, gdy za oknami było jeszcze ciemno. Zerknął na budzik – była dopiero 4.08. Próbował zasnąć, ale bez powodzenia. Przypomniał sobie, że poprzedniego dnia przechrapał całe popołudnie, więc jego organizm chyba nie potrzebował więcej odpoczynku. Wysunął się z łóżka, usiłując nie zbudzić Magdy, co zresztą nie było trudne – spała jak zabita.

Wyszedł na balkon. Panowała prawie idealna cisza, jedynie dżungla pomrukiwała ponuro. Usiadł na krześle i położył nogi na poręczy.

Teraz przydałby się papieros – pomyślał. – Byłoby filmowo: noc, jarząca się końcówka papierosa i rozmyślenia o końcu świata. Bardzo to atrakcyjne.

Uśmiechnął się na tę myśl – nie palił, więc nie mógł zrealizować tego hollywoodzkiego scenariusza. Siedział zatem i patrzył na oświetlone kilkoma zaledwie lampami najbliższe otoczenie. W pewnym momencie między drzewami przemknął typowy dla tropików kot, trochę większy niż europejskie. I wtedy właśnie przypomniała mu się Mała. Kiedy opowiadał Magdzie o Beci, zapytała, czy to ona doprowadziła go do „Great Final”, czy to jej zdrada zaważyła na tym, że postanowił zakończyć życie. A on przytaknął. Prawda była jednak inna, tyle że nie mógł jej powiedzieć, bo decyzję podjął nie po zdradzie Beci, lecz po śmierci Małej.

Zresztą było to trochę bardziej skomplikowane. Widział wiele śmierci, w tym zwierząt, i miał świadomość, że to nie strata ukochanej kotki sama w sobie zawiodła go tutaj. Ale to wtedy wyczerpała mu się bateryjka. Tak to wówczas ujął: „Wyczerpała mi się bateryjka”. Bo każdy ma jakiś zasób energii – jedni większy, drudzy mniejszy – a gdy ten się wyczerpie, po prostu umieramy. I nie o siły witalne tu chodzi, lecz o chęć życia, o wolę

przetrwania. A właśnie tego listopadowego ranka jego bateryjka padła. Jeszcze tego samego dnia podjął kroki, by dokonać żywota w jakimś przyjemnym miejscu, niespełna dwa miesiące później zaś siedział na balkonie apartamentu w Gambii i patrzył na afrykańskiego kota.

Co się wówczas stało? Rzecz z pozoru zwyczajna – umarła jego ukochana kotka. Pięć miesięcy wcześniej zniknęła Gruba, siostra Małej. Po prostu pewnej czerwcowej nocy nie wróciła do domu. Marek od razu zaczął jej szukać, bo o ile Mała potrafiła zniknąć na cały dzień, o tyle w przypadku Grubej kilkugodzinna nieobecność była dziwna – zawsze lubiła dom i praktycznie nie wychodziła za ogrodzenie. Poszukiwania nie zdały się jednak na nic – Gruba nie wróciła ani tego, ani następnego dnia. Nie wróciła już nigdy.

Marek przeżywał to, ale nie jakoś dramatycznie. W wieku dwunastu lat łkał, bo zdechły mu wszystkie rybki – niechcący nalał gorącej wody do akwarium i się ugotowały – lecz teraz dobiegał pięćdziesiątki i wiedział, że koty czasami giną potrącone przez samochód lub zagryzione przez psy.

Dziwna była natomiast reakcja Małej. O ile za życia Grubej syczały na siebie i niekiedy dochodziło między nimi do niegroźnych bójek, o tyle teraz bardzo posmutniała. Przez tydzień miauczała, patrząc żałośnie na Marka, mniej jadła i nie chciała wychodzić z domu, jakby wciąż czekała na Grubą.

Z czasem pogodziła się ze stratą, a może zapomniała, że miała siostrę. Tak naprawdę nie wiemy przecież, co się dzieje w mózgach zwierząt. Jednak wyraźnie zmieniło się jej zachowanie – już wcześniej była typową przylepą i często wskakiwała Markowi na kolana, domagając się pieszczot, lecz teraz nie odstępowała go na krok. Chodziła z nim nie tylko po domu, ale także do pobliskiego sklepu, przed którym czekała niewzruszenie z psami, te zaś – co dziwne – nie atakowały jej.

Bardzo źle znosiła wyjazdy Marka. Jeden dzień potrafiła jeszcze wytrzymać, choć gdy wracał z pracy, widział nietknięte jedzenie w miseczce. Ale gdy kiedyś poleciał na urlop do Grecji, Oleś zadzwonił do niego i powiedział, by jak najszybciej wracał, bo kot od trzech dni prawie nie je, a weterynarz, którego wezwał, nie potrafi określić, ile jeszcze pożyje. Marek

przebukował bilet i następnego ranka był w domu. Kotka na jego widok najpierw się posikała, a potem pobiegła do miseczki i zjadła całą jej zawartość.

Od tamtej pory nigdzie już nie wyjeżdżał na dłużej niż dzień, a Małę pozwalał na wszystko – także na spanie z nim w łóżku, co wcześniej nie wchodziło w rachubę.

Ostatniego lata i jesieni spędzał już w domu całe dni. Wychodził tylko rano do sklepu z Małą, a potem byli razem do wieczora. Marek trochę pisał, wtedy zaś kotka kładła się obok laptopa. Jego cichy szum i wydzielane ciepło chyba działały na nią kojąco, bo od razu zasypiała. Gdy z kolei Marek czytał na werandzie, leżała obok niego i obserwowała ogród, jakby pilnowała, by nikt nie przeszkadzał mu w lekturze. Tak upływały im całe tygodnie.

Wtedy Marek nie miał już nikogo – matka zmarła, a od Beci odszedł kilka miesięcy wcześniej. Był bogaty, więc zrezygnował z pracy, zadowolając się utrzymaniem z lokat bankowych i dywidend z kilku spółek, w których akcje zainwestował. Tak pragnął spędzić resztę życia. O nic już nie walczył, niczego już nie chciał, na niczym już mu nie zależało. Żył z dnia na dzień i nie zamierzał już niczego się podejmować.

Drugiego listopada, dzień po tym, jak pojechał na grób matki, Mała zniknęła. Rano jak zwykle wyszła do ogrodu, ale nie wróciła. Kilka godzin później Marek obszedł całą wioskę, nawołując ją, ale bez skutku. Wiedział już, że musiało stać się coś złego. Szukał jej uparcie nie tylko w wiosce, ale też po okolicznych lasach, lecz gdy około drugiej w nocy zaczął padać śnieg, zrezygnował.

Obudził się przed siódmą. Szarzało. Ubrał się i wyszedł z domu, by kontynuować poszukiwania. I wtedy dostrzegł Małą na podjeździe. Podbiegł do niej, ale była już martwa. Prawdopodobnie umarła kilkanaście minut wcześniej, ponieważ ciało nie zdążyło jeszcze ostygnąć. Na śniegu widać było ślady – musiała się czołgać, używając przednich łap, bo tylne miała zmiażdżone. Tak właśnie dotarła do domu, a ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła przed śmiercią, było okno pokoju, w którym spał Marek. Umarła właściwie pod nim.

Wziął ją do środka, położył w jej ukochanym koszu i pozwolił roztopić się śniegowi, który miała na sierści. Wyglądała, jakby spała. Usiadł w fotelu i patrzył na nią. Umarła ostatnia istota, którą kochał. Wtedy właśnie pomyślał, że wyczerpała mu się bateryjka.

Zawinał ją w koc, wyniósł do ogrodu, wykopał dół i pochował, delikatnie przysypując ziemią. Kiedy wrócił do domu, uruchomił laptopa, tego samego, obok którego tak bardzo lubiła się kłaść. Wpisał w wyszukiwarce hasło: „Ośrodki eutanazyjne, bezbolesna śmierć”. Wskoczyło sto czterdzieści pięć tysięcy wyników. Pierwsza pojawiła się reklama sieci „Great Final”.

Spojrzał na zegarek – była już prawie siódma. Dniało, lecz nie ruszał się z miejsca. Postanowił, że da Magdzie jeszcze godzinę, a potem obudzi ją, czy jej się to spodoba czy nie, bo zaczynał być głodny.

Przed ósmą delikatnie pocałował ją w szyję. Otworzyła oczy, przeciągnęła się i uśmiechnęła do niego.

– Długo już nie śpisz? – zapytała.

– Chwileczkę – odparł. – Do śniadania u Patricka jeszcze dwie godziny, więc chciałbym zamówić coś do jedzenia. Masz ochotę?

– Tak, możemy coś przekąsić. – Wstała. – Może po prostu weźmy kawę i croissanty?

– Bardzo dobry pomysł. Nie przejemy się, a Patrick nie będzie obrażony, że nie towarzyszymy mu przy posiłku.

Magda poszła do łazienki, a Marek zamówił śniadanie. Po kwadransie siedzieli już na balkonie i popijali przyniesioną przez boja kawę. Krótko przed dziesiątą poszli do recepcji i w asyście strażnika dotarli do willi dyrektora.

– Mam nadzieję, że nic nie jedliście – przywitał ich DeWael.

– Wypiliśmy tylko kawę – powiedziała Magda.

– Doskonale – ucieszył się Patrick. – Wchodźcie.

Zaprowadził ich do salonu i posadził przy suto zastawionym stole.

– Kochani, mam dobre wieści – zaczął. – Wszystko praktycznie jest już przygotowane. Wielka ucieczka zakochanych nastąpi o północy w sylwestra.

Wasze nowe papiery będę miał jutro, samolot do Europy załatwiony. Tylko się cieszyć.

– Jakież szczegóły? – zapytał Marek.

– To będzie piękna, romantyczna śmierć dwojga kochanków – kontynuował Belg. – Po prostu gambijska wersja *Romea i Julii*, a ja w roli scenarzysty i reżysera!

– Patrick, szczegóły. – Marek udawał irytację.

– Już, już, mój niecierpliwy Romeo. – Dyrektor roześmiał się. – No więc około jedenastej wieczorem Oscar, mój najbardziej zaufany czarnuch, zawiezie was kolejno łódką na jacht zacumowany kilka mil od lądu. Celem tej prawie gondolowej wyprawy będzie rzekomo uroczysta sylwestrowa kolacja dla dwojga zakochanych: sentymentalnego zombiaka i naszej zakładowej kurwy, wybaczenie, proszę.

Magda i Marek się uśmiechnęli.

– Ale gdy tylko dotrzecie na pokład, stanie się wielkie nieszczęście – ciągnął Patrick z dumą. – Łódź wybuchnie i zabierze ze sobą Romea i jego ukochaną Julię. Uratuje się jedynie mój czarnuch, który nazajutrz potwierdzi, że widział, jak idziecie na dno z jachtem. W ten oto sposób pani Magda i pan Marek odejdą z tego świata, by zacząć nowe życie, bynajmniej jednak nie w niebiesiech. Pasuje?

Kastor się uśmiechnął.

– Pasuje.

– A tobie, Julio, pasuje?

– Jak najbardziej.

– No to wypijmy za ten happy end! – DeWael wznosił toast kieliszkiem prosecco.

– Za happy end! – powiedzieli Marek i Magda.

– Pracuję jeszcze nad drobnymi szczegółami – kontynuował Patrick. – Muszę zdecydować, który jacht poświęcić w tej pięknej katastrofie, bo przecież nie wysadzę swojego. Dopilnuję też faceta od lewych dokumentów i zadbam, by przerzut do Bandzulu odbył się bez problemów. To właściwie

tyle. Jakieś pytania?

– Ja nie mam żadnych – powiedział Marek.

– Ja w sumie też nie – dodała Magda. – Chcę jednak zobaczyć dokumenty, w których Marek przekazuje ci nieruchomości. Muszę mieć pewność, że się nie wycofa i że niczego razem nie knujecie.

– No i co my teraz zrobimy z tą podejrzliwą osóbką? – Belg zaśmiał się i spojrzał na Kastora. – Pozwolisz, by tak tobą rządziła i stawiała takie ultimatum?

– A niech ma tę pewność – rzekł Marek dobrotliwie. – Kiedy podpisujemy akty notarialne?

– Jutro – odparł Patrick.

– No to zrobisz kopie, żebyśmy mógł je pokazać tej niewierzącej pannie.

– Coś jeszcze, Magdo? – spytał DeWael.

– Nie, to wszystko – mruknęła i włożyła do ust spory kawałek łososia.

– A zatem świętujemy wielką ucieczkę przed wielkim finałem! – zawołał wesoło dyrektor. – Ale pamiętajcie, tego nie da się już zatrzymać. Nie ma odwrotu.

– Za ucieczkę! – Magda uniosła kieliszek.

– Za ucieczkę! – potwierdził Marek i pocałował ją w policzek.

Spędzili u Patricka całe przedpołudnie. Przeszli się z nim po ogrodzie, zwiedzili dom i obejrzeli jego kolekcję płyt analogowych, bo okazało się, że jest prawdziwym znawcą rocka. Ale choć zachęcał ich, by zostali na obiedzie, podziękowali mu, postanowiwszy wrócić do ośrodka. Marek umówił się z nim jeszcze tylko na spotkanie z notariuszem, a Magda poprosiła, by mogła na stałe wylogować się z intranetu.

– Wiesz, to mogłoby wzbudzić podejrzenia – zaproponował Belg.

Marek się z nim zgodził.

– Wytrzymasz te trzy dni – powiedział. – Nie histeryzuj.

– Łatwo ci mówić – nieco się obruszyła. – Nie ty będziesz musiał obciągnąć jeszcze kilku gościom.

– To zrobimy tak – odezwał się DeWael. – Nadal niby będziesz w pracy, ale dostaniesz zaświadczenie lekarskie, że jesteś chora, by pozostałe dziewczyny niczego się nie domyśliły, dobrze?

– Dobrze – zgodziła się z ociąganiem Magda.

– Trochę poleż u siebie, trochę pobądź u Marka – poradził Patrick – ale nie szalejcie już w ośrodku. Pokażcie się parę razy, ot, by uwiarygodnić tę wielką miłość, lecz nie walcie już nikogo w głowę w night-clubie, okay?

Marek dostrzegł spojrzenie Belga i zaczął się tłumaczyć.

– Strasznie cię przepraszam. Wiem, że głupio wyszło...

– Daj spokój, przyjacielu – przerwał mu dyrektor. – Należało się chujowi.

Cała trójka wybuchnęła śmiechem.

Pożegnali się w progu domu. Patrick wrócił do siebie, a Magda i Marek zostali odprowadzeni do recepcji.

– Dobra, idę do siebie trochę pochorować – powiedziała Magda.

Marek uśmiechnął się do niej.

– Okay, ale ozdrowiej wieczorem.

– Będę prosić o zdrowie Najjaśniejszą Panią i może wróci mi je około dwudziestej pierwszej.

– Ja też będę ją o to prosił. – Marek chwycił jej dłoń i pocałował.

Magda pobiegła, a on został przy recepcji. Po chwili postanowił pójść na plażę. Nie bardzo chciało mu się pływać, myślał raczej o odpoczynku w cieniu palm i miłym popołudniu. Wrócił więc tylko do apartamentu, żeby się przebrać, i kwadrans później leżał już na piasku.

Koherencja – pomyślał, zamówiwszy jakiś egzotyczny koktajl – o to w tym wszystkim chodzi. Nie możesz leżeć na plaży w Afryce i zamówić bigosu czy schabowego, choćby nawet wiedzieli, co to jest, bo to nie uchodzi. Jak jest plaża, ma być egzotyczny drink z parasolką, a nie wódka z sokiem porzeczkowym. Inaczej wszystko się rozpada. Koniec świata zaczął się właśnie od tego – od kuchni fusion. A potem było już mieszanie wszystkiego ze wszystkim i w końcu nic nie stało tam, gdzie powinno. Ale może to i dobrze. Koherencja utrzymywała świat na swoim miejscu do momentu,

gdy ludzie uświadomili sobie, jak jest on wielki i różnorodny. Później spójność można było zachować najwyżej przy zamawianiu drinków, a i to jedynie przy założeniu, że chciało się być jej wiernym.

Kelner przyniósł mu wreszcie koktajl. Był dokładnie taki, jaki powinien być egzotyczny drink zamawiany na plaży w Gambii u czarnego kelnera. Nawet nazwa była spójna – Sunset. Okay, słońce jeszcze nie zachodziło, ale poza tym wszystko się zgadzało: plaża, Murzyn, drink, słońce, ocean, parasolka. Jednia.

Marek obserwował ludzi. Kilka osób było w wodzie, kilkanaście leżało, jak on, w cieniu palm, trzy opalały się w pełnym słońcu.

Rak skóry już im niestraszny – pomyślał.

Widział też uwijających się przy gościach kelnerów, barmanów, osoby z obsługi. Absolutnie wszyscy byli na swoim miejscu, nikt nie wychodził z roli – goście byli gośćmi, kelnerzy kelnerami, sprzątaczkami sprzątaczkami. A on? Znów miał to wrażenie nieprzystawalności. Znów myślał, że przecież mógłby być gdzie indziej, z innymi ludźmi i mieć inne poglądy. Wiedział, że to, gdzie się znajduje, co myśli i kim jest, nie zależy od niego i że wszystko to mogłoby wyglądać zupełnie inaczej. Że mógłby robić, czuć i wiedzieć coś innego niż obecnie.

To była jedna z jego życiowych obsesji. Od młodości prawie codziennie towarzyszyła mu myśl, że mógłby być kimś innym, coś innego mieć w głowie, kierować się innymi wartościami. Co więcej, z wiekiem to przekonanie się pogłębiało, życie bowiem dostarczało kolejnych dowodów na to, jak bardzo się kiedyś mylił, jak dramatycznie zmieniał zdanie o kimś lub o czymś, jak różnymi wskazaniem moralnymi kierował się w odstępie kilku zaledwie lat. Komedia, na których ryczał kiedyś ze śmiechu, z czasem wydawały mu się po prostu głupie. Ludzie, których niegdyś podziwiał, po kilku latach budzili w nim jedynie współczucie. Poglądy i opinie potrafił kwestionować już po paru miesiącach.

Co więcej, tylko w takim zaprzeczaniu sobie i swoim poglądom widział prawdziwą wolność i prawdziwe człowieczeństwo. Ze strachem z kolei podchodził do tych wszystkich, którzy twierdzili, że przez kilkadziesiąt lat

nie zmienili opinii na jakiś temat. Nie wierzył, że można być aż tak głupim i niechętnym wiedzy pozwalającej zweryfikować mniemania z dawnych czasów. Może zresztą nie była to kwestia niewiary – widział przecież wielu prawicowych lub lewicowych pajaców czytających tylko te książki, które utwierdzały ich w dawno przyjętych założeniach. Jednak taką postawą gardził. Traktował tych ludzi jak niewolników tego, co wpadło im w ręce w młodości i czemu pozostali wierni. Słowa „wierni” używał oczywiście z przekąsem, gdyż bycie wiernym czemuś przypadkowemu nie wydawało mu się szczególnie chwalebne. Jakoś nie mógł, a raczej nie chciał podziwiać kretyków, którzy przez lata wkładali całą swą energię w to, by ich ciasny światek stawał się jeszcze ciaśniejszy, by nie dopuszczać do niego żadnych wątpliwości i by wzmacniać jedynie jego spójność i jednoznaczność. Dlatego właśnie katole z taką uwagą śledzili kolejne encykliki kolejnych papieży i doszukiwali się w nich kolejnych genialnych wskazówek, jak żyć w świecie, o którym nie śniło się Chrystusowi. I dlatego właśnie lewacy na wszelkie dialektyczne sposoby zachwalali kolejnych jugosłowiańskich filozofów, którzy odprawiali rytuały nad trupem Marksa, by choć na chwilę go ożywić i, przysuwając ucho do jego ust, usłyszeć wskazania brodacza, jak żyć.

Ale obrzydzenie, jakim napawały Marka spójność i jednoznaczność, nie oznaczało pogardy wyłącznie wobec integrystów politycznych. Oznaczało też niechęć do integrystów egzystencjalnych, którzy z tak wielu dróg przez życie potrafili zachwalać pod niebiosa jedynie tę, która im się przytrafiła. Tak: przytrafiła, a nie została przez nich wybrana. Bo przekonanie ludzi, że są kowalami własnego losu – że świadomie wybrali to, co mają, i że to oni kształtują swoje życie – od samego początku wydawało się Markowi naiwne i żałosne. Każdy dzień dostarcza w końcu dowodów na to, jak znikomy mamy wpływ na własną drogę. Każde wyjście z domu, każda znajomość, każde zdarzenie prowadzą do tysięcy nowych drzwi, które byłyby zamknięte lub niewidoczne, gdybyśmy akurat nie poszli na tę czy inną imprezę. Tymczasem gdy z niej wracamy, jesteśmy już w innym życiu. Otwierając jedno drzwi, zatraskujemy jednocześnie miliony innych, o których istnieniu nigdy się nie dowiemy.

I gdybyż jeszcze drzwi, w które zastukaliśmy, zostały przez nas wybrane! Ale tak nie jest. Nasze wybory nie są świadome. Są raczej instynktowne, ba! – wręcz przypadkowe. Przypadkiem bowiem trafiamy do takiej, a nie innej klasy i spotykamy tam takich, a nie innych kolegów, którzy mogą nas sprowadzić na złą ścieżkę albo – przeciwnie – zachęcić do czegoś ambitnego. Od tego, kto zostanie przywódcą w pierwszej klasie, do której nieświadomie zapiszą nas rodzice, zależeć będzie, czy wyjdziemy na ludzi, czy zejdziemy na psy. To, czy będziemy socjalistami czy konserwatystami, także nie jest wynikiem intelektualnych rozważań, ale skutkiem spotkania z jakimś człowiekiem lub książką. Wszystko, co następuje potem, jest zazwyczaj tylko konsekwencją tego przypadkowego wyboru. Jak opiłki do magnesu będą do nas ciągnąć przez lata daty, informacje i idee związane z tą pierwszą polityczną książką, którą od kogoś dostaliśmy.

A i potem, nawet jeśli zmienimy poglądy, to także stanie się przypadkiem – bardziej pod wpływem jakiegoś wydarzenia niż powolnej ewolucji intelektualnej opartej na logice. Marek tyle razy zmieniał poglądy w różnych sprawach, że świetnie rozumiał ten mechanizm – umysł służy nam nie do podejmowania decyzji, ale do ich późniejszej racjonalizacji. Coś dzieje się bez udziału intelektu, on zaś włącza się post factum jedynie po to, by uzasadnić całkowicie instynktowny, przypadkowy wybór.

I nie chodziło w tym tylko o poglądy. Chodziło o całe życie. Marek uważał, że całe jego życie, wszystko to, co się składa na niego, Marka Kastora, mogłoby wyglądać zupełnie inaczej. Przecież gdyby trzydzieści lat temu ożenił się z Ewą, dziś nie tylko nie byłby tutaj, ale też nie byłby tym Markiem Kastorem, jakiego znał on sam i jakiego znali jego bliscy. Miałby dzieci starsze niż Becia, może w wieku Magdy, a sam wykonywałby inny zawód i gdzie indziej mieszkał. I taki facet nie byłby nim. Więc kim by był? Wciąż Markiem Kastorem? W sensie prawnym zapewne tak, ale w metafizycznym byłby całkiem inną osobą, z którą on, Marek z „Great Final”, najprawdopodobniej nie miałby nic wspólnego. W końcu przez te trzydzieści lat tamten facet, działając w innych warunkach, podejmowałby miliony decyzji oddalających go od tego Marka, który teraz o tym myślał.

Nie rozumiał, jak ludzi może nie przerażać ta lekkość ich tożsamości – to, że są tym, kim są, ale równie dobrze mogliby być swoim przeciwieństwem. Że są ofiarami, ale mogliby być oprawcami. Że są ojcami rodzin, ale mogliby być samotnikami. Że są wojującymi lewicowcami, ale gdyby życie trochę inaczej im się ułożyło, byliby katolami modlącymi się o intronizację Chrystusa Króla na władcę Polski. Mimo niechęci zawsze zazdrościł innym tej nieświadomej spójności – byli tym, kim byli, i czerpali z tego radość. Potrafili się zdefiniować, a potem w tej autokreacji wytrzymać długie lata. Na przykład, gdy ktoś kochał podróże, umiał podporządkować temu całe swoje życie, nie zadając sobie pytania, dlaczego tak bardzo to polubił, czy to ma sens i czy nie mógłby robić czegoś innego. Nie, on po prostu był podróżnikiem i już. Zatracał się w tej roli do tego stopnia, że ona stawała się nim. Koniec kropka.

Wszyscy kreowali się na kogoś konkretnego – pracoholika, dobrą matkę, patriotę, działacza społecznego, zatraconego poetę, melancholika, dzielnego strażaka, szaloną dziewczynę, służącego ludzkości naukowca, brutalnego biznesmena. A gdy już sobie tę rolę wymyślili, nieprzerwanie ją odgrywali, nie zastanawiając się nad jej sensem, nad tym, czy aby nie są w tym śmieszni, no i czy ten wybór był najlepszy.

Marek nie potrafił wytrzymać w żadnej narzuconej sobie kreacji dłużej niż kilka miesięcy. Szybko dostrzegał jej ograniczenia, sztuczność i przypadkowość, a także to, że odgrywanie jednej roli uniemożliwia granie innej. No i najważniejsze – że wszystkie te role są właśnie rolami, udawaniem kogoś innego, a nie byciem sobą. Rozumiał, że nawet jeśli z całego repertuaru, który oferuje nam życie, wybierzemy tę najlepszą dla nas sztukę, a w niej wyszukamy najbardziej odpowiadającą nam postać, to i tak, grając ją, będziemy żyli czyimś, a nie swoim życiem. Że to wciąż będzie sztuka, nie życie. A sztuka jest sztuczna.

To, że ludziom taka sztuczność wystarczała, absolutnie go nie obchodziło, bo dawno przestał się nimi przejmować. Dla słabych i cierpiących rezerwował litość, silnymi i brutalnymi gardził. Ale sam nie potrafił pogodzić się z tym, że miałby z własnego życia zrobić przedstawienie, i to

w dodatku nie na swój użytek. Prawda bowiem jest taka, że większość ludzi odgrywa te swoje żałosne role właśnie dla bliźnich, nie dla siebie. Sami średnio się czują w swoim repertuarze, ale czerpią radość z tego, że publiczność jest zadowolona i klaszcze. „Przegranie własnego życia” – tak dwuznacznie określał ten rodzaj zachowania. „Przegranie”.

Był więc tym, kim był, ale miał świadomość, że równie dobrze mógłby być kimś zupełnie innym. I ta myśl paraliżowała go przez lata. Nie potrafił o niej zapomnieć, a lekceważyć nie chciał, gdyż oznaczała przypadkowość jego egzystencji i wszystkich jego życiowych wyborów, z aksjologicznymi włącznie. Oznaczała absurdalność jego życia.

Sartre pewnie musiał czuć to samo, ale świadomość, że ktoś już to przeżył i nawet opisał, nie pomagała Markowi. Jeśli bowiem całe jego życie było przypadkowe, jeśli mogło być inne, a nawet diametralnie różne, to wniosek musiał być jeden – nie miało ono znaczenia. Ani dla niego, ani tym bardziej dla świata. Dopóki miał bliskich, właśnie oni utrzymywali go na powierzchni. Dla nich jego śmierć mogła mieć znaczenie, jego życie zresztą też. Ale gdy umarła matka, a potem okazało się, że dla Beci liczą się jego pieniądze, nie on, ta argumentacja straciła znaczenie. Ostatnią kotwicą trzymającą go na świecie była Mała. Musiał żyć, bo go potrzebowała: czyścił jej kuwetę, dawał jedzenie, przytulał wieczorem i kładł się z nią spać. Jednak kiedy jakiś chuj przejechał ją autem lub załatwił łopata, ten wąty łańcuch kotwiczny pękł. Marek mógł już odpłynąć ze świata, o którym wiedział, że nie zauważy i nie odczuje jego zniknięcia.

Nie spostrzegł, że zasnął. Gdy się obudził, był na plaży prawie sam. Słońce zaszło prawdopodobnie kilka minut wcześniej, bo widział jeszcze na widnokręgu jego powoli znikającą czerwień. Czyli musiało być między osiemnastą a dziewiętnastą. Wrócił do siebie. Na podłodze pod drzwiami leżała koperta z informacją, że dyrektor spodziewa się go w swoim gabinecie nazajutrz o dziewiątej. Z szuflady wyciągnął komórkę – otrzymał esemesa od Magdy, że przyjdzie o dziewiętnastej. Spojrzał na zegarek – była 19.23.

Zostawił uchylone drzwi apartamentu i poszedł do łazienki wziąć prysznic. Gdy wyszedł z niej po kwadransie, Magda była już w pokoju.

– Te uchylone drzwi to dla mnie czy zawsze już będziesz je tak otwierał i patrzył, kto wpadnie w twoje sidła? – spytała i pocałowała go czule.

– Nie jestem wybredny – zażartował, ale zaraz dodał: – Wróciłem dosłownie przed chwilą i nie chciałem, żebyś czekała na korytarzu.

Magda poprosiła, by nigdzie nie wychodzili, bo oficjalnie, „przed dziewczynami”, jak się wyraziła, jest chora. Marek zaproponował więc, że zamówi kolację do pokoju i zjedzą na balkonie.

Pół godziny później boj przyniósł pizzę, zestaw serów i trzy butelki chilijskiego czerwonego wina.

– Dlaczego ty się właściwie we mnie zakochałeś, co? – spytała, gdy już prawie kończyli jeść i otworzyli drugą butelkę. – Dlaczego zapalałeś nagle uczuciem do kurwy z dzieckiem na karku?

– To chyba ja powinienem spytać, dlaczego piękna, młoda i robiąca mistrzowsko loda dziewczyna zakochała się w prawie dwa razy starszym facecie, w dodatku zombiaku – odparł Marek.

– To akurat łatwe pytanie. – Magda sięgnęła po wino. – Od wieków dziewczęta były wydawane za starszych, majątnych mężczyzn, którzy emanowali spokojem i dostatkiem. Nie widzę w tym nic dziwnego.

– No to właściwie odpowiedziałaś sobie na pytanie, dlaczego starszy facet zakochuje się w jakiejś pannicy. – Marek uśmiechnął się. – Tak było zawsze, tyle że wiek dwudziesty poczynił spustoszenia w tej mądrej tradycji. Szczeniaki zaczęły się wiązać ze szczeniakami i wszystko stanęło na głowie. Przez setki lat młoda dziewczyna sprawiała, że facetowi chuj stawał nawet po pięćdziesiątce, i dawała mu powód do życia, a starsi, majątni mężczyźni zapewniali pannicom stabilizację materialną, poczucie bezpieczeństwa i opiekę nad dziećmi. Pięknie to było poukładane, aż przyszły wszystkie te głupie rewolucje i skazały pary na to, by żyły razem pół wieku, patrząc na uwiad swych ciał. Dla pięćdziesięcioletniego faceta jego pięćdziesięcioletnia żona musi być obrzydliwa, zwłaszcza że widzi cały czas umieranie jej ciała. Na nią z kolei widok jego sflaczałego fiuta też nie działa pobudzająco. Po pewnym czasie szukają więc odskoczni, czegoś, co choć na chwilę przyspieszy bieg krwi w zwięzionych przez cholesterol żyłach. I tak zdradzają

się, rozwodzą lub przynajmniej żyją w separacji. Ale najczęściej po prostu egzystują razem, próbując nie patrzeć na siebie w łazience.

– Piękny obrazek – stwierdziła z sarkazmem Magda.

– Jednak prawdziwy, kochanie. – Marek napił się wina. – Smutny i prawdziwy. Długość życia ludzkiego zwiększa się z każdą dekadą, więc piekielna jest ta perspektywa, jaką ma dwoje dwudziestopięciolatek, którzy na ślubnym kobiercu przysięgają sobie, że nie opuszczą się aż do śmierci. Kurwa, przecież to jakieś pół wieku! Pół wieku patrzenia na uwiąd ciała, które kiedyś wzbudzało nasz zachwyt i dawało rozkosz. Jak to się może dobrze skończyć? Dlatego właśnie takie związki jak nasz są zarówno przeszłością, jak i przyszłością ludzkości. I za to chciałbym wypić.

Napełnił ich kieliszki i wypili do dna.

– Jestem w twoim typie? – zapytała Magda. – Pomijając to, że jestem prawie o połowę młodsza?

– To już wystarcza, bo to właśnie mój typ. – Uśmiechnął się. – Reszta jest prawie nieistotna. Ale szczerze mówiąc, nie mam żadnego typu. Kiedyś, w młodości, chyba majaczyłem o jakimś ideale wybranki mego serca, lecz potem wiele razy się przekonałem...

– Ooo, na pewno wiele, w to nie wątpię – przerwała mu.

– No więc wiele razy – Marek ucałował jej dłoń – przekonałem się, że nie ma czegoś takiego, jak ulubiony typ. Miłość i pożądanie nie wybierają. Potrafią wskazać każdego, nawet takiego, którego byś się nie spodziewała. Poza tym, wstyd się przyznać, z czasem zauważyłem, że podoba mi się coraz więcej kobiet, a nie coraz mniej. Gdy szedłem ulicą, zwłaszcza w dużych miastach, gdzie pełno jest studentek i dobrze zrobionych kobiet, stwierdzałem, że właściwie połowę z nich mógłbym przelecieć bez jakichś pretensji do siebie czy kaca moralnego. A wśród tych, które bym przeleciał, połowę mógłbym obdarzyć uczuciem. Nie mówię, że miłością, bo ta, jak powiedziałem, sama wybiera sobie ciała, w których nam się objawia, ale jakimś fajnym uczuciem. Dziwne, prawda?

– Wcale nie, bo ja mam tak samo – odparła Magda. – Nie obraż się, ale

u kobiet jest to jeszcze wyraźniejsze. O ile facetowi kobieta jednak musi się fizycznie spodobać, o tyle dziewczyna może się zadurzyć w każdym brzydaku, byleby miał w sobie coś fajnego. To może być pozycja społeczna, kasa, urok czy sex appeal, ale także głos czy poczucie humoru. Nie wiem, czy powinnam o tym mówić, ale zdarzało mi się pójść do łóżka z gościem, którego poznałam na przyjęciu i uznałam za mało atrakcyjnego, ale był taką zajebistą duszą towarzystwa, że pod koniec imprezy sama wchodziłam mu na kolana. Rozumiesz?

– Oczywiście – odparł Marek. – Sam tego doświadczyłem. Nie jestem szczególnie atrakcyjny, ale w dawnych czasach, gdy ani nie byłem bogaty, ani sławny, bywało tak, że z przystojniejszymi ode mnie kumplami poznawaliśmy jakieś laski i one na początku nie zwracały na mnie uwagi...

– Ale potem Mareczek zaczynał swoją nawijkę...

– I laseczki oczu ode mnie nie mogły oderwać. – Roześmiał się. – Oczywiście te najmądrzejsze.

– Oczywiście! – powiedziała Magda ze śmiechem. – Takie jak ja, prawda?

– Najprawdziwsza. – Przysunął się i pocałował ją. – A teraz też uważasz, że jestem najzabawniejszy i najinteligentniejszy z całego towarzystwa?

Magda rozejrzała się, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Jeśli mam być szczerą, muszę przyznać, że kręci mnie jeszcze ta palma i ta butelka. – Kolejno wskazała pobliską palmę i pustą butelkę po winie stojącą przy wejściu do pokoju.

– Co do palmy, chyba muszę uznać jej wyższość – Marek zaczął się lubieżnie uśmiechać – ale jeśli ta butelka cię tak jara, to może zaprosimy ją i unikniemy melodramatycznej sceny, gdy porzucisz mnie dla niej?

– Nie wiem, co masz na myśli, Mareczku – Magda popatrzyła mu w oczy – ale obawiam się, że to, co ja.

Marek wziął ją za rękę i podniósł się z krzesła. Weszli do pokoju, biorąc ze sobą butelkę. Stanęli obok łóżka i zaczęli się całować.

– Chcesz ją mieć w cipce, a mnie w dupci czy odwrotnie?

– Odwrotnie – wyszeptała mu do ucha.

Rozebrali się. Marek wziął szyjkę butelki do ust, ogrzał ją i nałożył na nią prezerwatywę, a Magda położyła się na plecach na łóżku i złapała pod kolanami. Marek najpierw zwilżył jej odbył językiem, potem zaś bardzo delikatnie zaczął wsuwać do niego butelkę, sprawdzając, czy nie sprawia jej bólu. Widząc jej uśmiechniętą twarz, zorientował się, że jest wręcz przeciwnie. Po kilku minutach sama chwyciła szyjkę butelki i zaczęła wsuwać ją w siebie i wysuwać. Marek wszedł delikatnie w jej cipkę. Skoordynowali swoje ruchy i bardzo powoli, ostrożnie zaczęli się pieprzyć. To Magda decydowała o częstotliwości i gwałtowności pchnięć Marka. Wreszcie z jej ust wydobył się jęk towarzyszący orgazmowi. Marek wysunął się z niej i skończył na jej brzuchu.

Po kilku minutach zasnęli.

DZIEŃ DWUDZIESTY PIĄTY

29 GRUDNIA

Wstali przed ósmą. Marek zamówił śniadanie do pokoju, a przed dziewiątą wyszedł na spotkanie z DeWaelem. Umówili się z Magdą, że gdy tylko podpisze akty notarialne, wszystko jej opowie.

Wrócił krótko przed południem i pokazał dwa dokumenty, które przynosiły na Patricka prawo własności domu na Mazurach i mieszkania w Warszawie.

– Happy? – zapytał. – Teraz mi wierzysz?

– Tak, teraz tak. – Magda uśmiechnęła się i przytuliła do niego. – Jakiś seks?

– A obrazisz się, jeśli zaproponuję wyjście na plażę?

– W żadnym razie – odparła – tylko pamiętaj, że oficjalnie jestem chora.

– No to może rozłożymy się gdzieś dalej? Wymkniemy się bocznym wyjściem i pójdziemy w stronę siatek chroniących ośrodek. Gdy biegałem, nigdy nie było tam ludzi.

Wziął kilka puszek piwa, jakieś chipsy i koc. Wyszli z apartamentu, przemknęli się na plażę i ruszyli w lewo. Kiedy zobaczyli w oddali siatkę i budkę strażnika, Marek rozłożył koc w cieniu palm. Rozebrali się do naga, a Magda owinęła szczelnie puszki ich ubraniami.

– Mama mnie tego nauczyła – powiedziała. – Zobaczysz, za kilka godzin będą tak chłodne, jakbyśmy je właśnie wyciągnęli z lodówki.

Postanowili wejść do oceanu, bo dłuższy marsz w słońcu ich zmęczył. Woda przyniosła im ulgę – kilkanaście minut bawili się w niej, całowali i pieścili. W końcu jednak wyszli na brzeg i położyli się na kocu.

– Mogłabym się stąd nie ruszać do końca życia – powiedziała Magda.

Marek się uśmiechnął.

– Taki właśnie miałem zamiar, przyjeżdżając tu.

– Przecież wiesz, co mam na myśli. – Szturchnęła go w bok. – Chodzi mi o to, że mogłabym tak z tobą...

– Wiem, wiem – przerwał jej.

Dłuższą chwilę leżeli w milczeniu.

– Dlaczego ludzie tak lubią ocean czy morze? – zaczął Marek. – Co ich tak w nich pociąga? Dokądkolwiek pojedziesz, uwielbiają leżeć na plaży i gapić się na fale, i to bez względu na to, w jakiej wychowali się kulturze. To musi być jakaś metafizyka, jakieś odwołanie do przeszłości. Prawdopodobnie morze kojarzy im się z ich pierwotnym życiem. Nie osobniczym, bo ta bajka o inkarnacjach jest durnowata, ale gatunkowym. Ludzie chyba jakoś czują, że kiedyś woda była ich domem, że to w niej spędzili miliony lat i że to z niej wyszli. To jak wspomnienie domu na wsi, w którym się człowiek urodził lub do którego przyjeżdżał na pierwsze wakacje. Jakaś nieświadomiona, ale odczuwalna tęsknota. Coś bardzo osobistego, lecz znajdującego się poza sferą ratio. Dlatego potrafią godzinami patrzeć na fale i co roku przyjeżdżać nad morze. Nie uważasz?

– Uważam – powiedziała Magda. – Zresztą podobnie jest z ogniem. To też coś pierwotnego.

Marek spojrzał na nią z uwagą.

– Przecież gdziekolwiek człowiek zobaczy ogień – kontynuowała – też nie może oderwać od niego wzroku. Wiadomo, że gdy napalisz w kominku, zwiększasz szanse na przelecenie panienki. Albo gdy jakąś grupą siedzi się przy ognisku, wszyscy wlepiają gały w ogień, a nie w siebie. Płomienie hipnotyzują i przyciągają. Ludzie siadają wokół ognia, choć mogliby rozpaść ognisko parę metrów dalej i siedzieć bokiem do niego, prawda? To też coś bardzo atawistycznego, związanego z czasami, gdy jako dzicy siadaliśmy wokół ognia, bo gwarantował przeżycie.

Marek już wiedział, dlaczego się w niej zakochał. Cieszył się, że jego

partnerka nie jest po prostu ładną szprychą, ale kimś, z kim może rozmawiać na takie tematy. W przeszłości rzadko się zdarzało, by widział w swojej dziewczynie towarzyszkę tego typu rozważań.

Chyba się starzeję – przemknęło mu przez głowę.

– Masz rację, o tym nie pomyślałem – rzekł. – Zatem woda i ogień to dowody naszej ewolucyjności. Innymi słowy, naszej fizyki, a nie metafizyki.

Magda się roześmiała.

– A jednak w takich chwilach – ciągnął – gdy patrzysz na ocean czy ogień, jesteś najbardziej wzniosły. Wiem, że brzmi to pretensjonalnie, ale tak właśnie jest. W szaleństwie pracy, w załatwianiu tysięcy spraw jesteś tylko bezmyślnym zwierzątkiem dbającym o swój byt. Ale gdy na chwilę wyłączasz się z tego wyścigu szczurów, gdy siadasz na plaży lub patrzysz w ognisko, odczuwasz swoją osobność. Wiesz, że się zdarzyłeś, że istniejesz i że to istnienie jest nieprawdopodobne. Tak, nieprawdopodobne, bo przecież mogło się nie zdarzyć. Ba, nie powinno ci się przytrafić, a jednak się przytrafiło – temu jednemu z kilkudziesięciu milionów plemników, na jednej z kwintylionów planet we wszechświecie. I nagle jesteś, stoisz na plaży i patrzysz na fale, z których kilkaset milionów lat temu wyszli na ląd twoi przodkowie. Przecież to sen wariata multiplikowany na komputerze. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wymyśliłby tego. Tymczasem jest, zdarzyło się. Toż to, kurwa, cud! Prawdziwy cud!

Magda znowu się roześmiała.

– Kocham cię – powiedziała.

– Oto kolejny cud! – krzyknął Marek. – Świat jest ich pełen, jak mawiają katolicy, trzeba się tylko rozejrzeć. – Pocałował ją i rzekł: – Ja ciebie też, skarbie.

Poleżeli na plaży jeszcze kilka godzin i dopiero głód zapędził ich do ośrodka. Magda powiedziała, że idzie się przebrać i że o dwudziestej może się zjawić w restauracji, ale by nie oczekiwał, że się zrobi na bóstwo, bo musi udawać chorą. Umówili się na ósmą w restauracji japońskiej.

Marek wykąpał się, poczytał trochę Miłosza i krótko przed dwudziestą

zjawił się w lokalu. Magdy jeszcze nie było, ale zamówił sushi i sake.

Przyszła jakieś pół godziny później. Rzeczywiście była ubrana skromnie i nie rzucała się w oczy. Marek wiedział, że potrafi błyszczeć, lecz tego dnia chciała wyglądać jak przeciętna dziewczyna i to też jej się udało.

Zjedli sushi jako przystawkę, a potem zamówili zupę łososiową z ananasek. Postanowili, że nie upiją się, tylko spędzą miło czas na tarasie restauracji. Żadnych brewerii czy ekstrawagancji – po prostu zwyczajna para spędzająca zwyczajny wieczór.

– Zauważyłeś, że dzisiaj był najspokojniejszy dzień, odkąd się poznaliśmy?
– spytała Magda. – W sensie, że nic się nie stało. Taki zwyczajny dzień.

– Masz rację – przyznał Marek. – Śniadanie, plażowanie, kolacja. Jeszcze gdyby zamiast tej japońskiej restauracji była smażalnia ryb „Flądra”, bylibyśmy już wspaniale banalni i cudownie polscy.

– Nie kpij. Mnie się to naprawdę podoba.

– Ale ja nie kpię. Uważam, że masz rację. To był normalny dzień i dziękuję ci za niego.

– A nie nudzisz się ze mną? – spytała zaniepokojona.

– Wprost przeciwnie – odparł szybko. – Dokładnie czegoś takiego szukałem przez ostatnie lata. Pragnąłem spokoju, lecz właśnie tego nie potrafiłem osiągnąć. Bo to chyba jest różnica między młodością a dorosłością. Młodość szuka wrażeń, podnieć i impulsów do działania, dorosłość zaś chce spokoju. Młodość pragnie, by ciągle coś się działo, dorosłość, by nie stało się już nic. Młodość marzy o zmianie, dorosłość o tym, by wszystko trwało tak, jak trwa. Młodość chce, by było lepiej, dorosłość, by nie było gorzej.

– Może masz rację – powiedziała Magda.

– Ależ oczywiście, że mam, Madziu – zapewnił Marek. – Mam, bo sam to przechodziłem. Gdy byłem w twoim wieku, oczekiwałem, że każdy dzień przyniesie coś nowego. Pragnąłem tego i cieszyłem się każdą zmianą. A po czym poznałem, że się zestarzałem? Po tym, że miałem nadzieję, iż każdy kolejny dzień będzie wyglądał tak samo. Nie mam pojęcia, jaki mechanizm

tu działa. Może jest tak, że życie ogólnie przynosi ból i rozczarowanie, a im jesteś starszy, tym lepiej to wiesz. Przeżyłeś już tyle zmian i prawie zawsze były to zmiany na gorsze, więc nie oczekujesz od życia niczego poza tym, by nie było gorzej. Tylko tyle. W młodości każdy weekend spędzałem na mieście ze znajomymi, szukając spotkań, romansów i rozmów. Jednak po pewnym czasie, to chyba było po czterdziestce, zauważyłem, że unikam przypadkowych kontaktów, chętnie spędzam czas w domu i nie nawiązuję właściwie nowych znajomości. Zupełnie jakbym oczekiwał od świata, by dał mi spokój i nie odebrał tego, co już sobie wypracowałem. Chciałem trwania terażniejszości, a nie, jak dawniej, nadejścia przyszłości.

– Z czego to się wzięło?

– No właśnie nie wiem – rzekł. – To może być to, o czym mówiłem: że mnóstwo doświadczeń uczy raczej dystansu do świata niż nastawiania się na to, że przynosi on dobre wieści. Z wiekiem człowiek staje się coraz bardziej cyniczny, a przynajmniej ostrożniejszy. Nie leci z otwartą przyłbicą na spotkanie wszystkiego, co nowe. Gdy widziałem młodych ludzi, którzy potrafili całą noc gadać o jakichś sprawach, otwierać się przed obcymi i powierzać im swoje sekrety, wiedziałem, że jestem stary. Mnie ani nie chciało się z nikim gadać, ani dociękać, co ten ktoś ma do powiedzenia, ani tym bardziej otwierać się przed innymi. A to dlatego, że całe życie uczy, by być ostrożnym w takich sprawach. Choć może to jeszcze coś innego? Może to nie tyle ostrożność, ile sceptyczne nastawienie do rzeczywistości i bliźnich? Co oni ci jeszcze mogą powiedzieć, czego byś już nie słyszał? Ile lat można debatować nad tym, czy lepiej mieć czy być? Albo czy Bóg istnieje czy też nie?

– A ja myślę, że to jeszcze coś innego – wtrąciła się Magda. – Myślę, że to może być związane ze świadomością, że najlepsze lata masz już za sobą, a teraz idą gorsze czasy. Że beztruską młodość zaliczyłeś, a przed tobą problemy zawodowe i osobiste.

– Masz rację – przyznał Marek. – Kiedyś powiedziałem nawet Olesiowi i Tomkowi, że właśnie weszliśmy w smugę śmierci naszych rodziców. Że staliśmy się dorośli, co znaczy tyle, że wkrótce zaczną umierać nasi rodzice

i że to będzie straszny czas. Najpierw ich choroby, potem śmierć, a jeszcze później życie bez nich. I tak się stało. Najpierw umarła matka Tomka, potem ojciec Olesia, wreszcie moja mama. Czyli wiedzieliśmy, że każda zmiana może być zmianą na gorsze. W takich chwilach zaczynasz sobie zdawać sprawę, że ty także umrzesz, co raczej nie poprawia nastroju. I tak oto każdy dzień staje się oczekiwaniem, żeby nic się nie stało.

– To chyba prawda, ale ja jeszcze wiele oczekuję od życia – powiedziała Magda.

– Bo jesteś ode mnie o pokolenie młodsza – stwierdził Marek. – Gdy miałem tyle lat, co ty, też oczekiwałem od życia czegoś nowego i dobrego. I nie mogę się na nie uskarżać: dostałem to, czego inni mogą mi tylko zazdrościć. Ale potem przyszła dorosłość i dzień uważałem za udany nie wtedy, gdy dał mi coś nowego, lecz wtedy, gdy nie odebrał czegoś starego. To chyba był jakiś nadwiślański buddyzm – niechęć do krzywdzenia kogokolwiek i pragnienie, by samemu nie doznać krzywdy. Tylko tyle. Czasy ostrej walki o prestiż, kasę, kobiety i pozycję społeczną stawały się zamierzchłą przeszłością, jakby wspomnieniami z historii, której nigdy nie było. Lękałem się i gardziłem tymi młodymi samcami, których walkę ze wszystkimi o wszystko oglądałem w każdym serwisie informacyjnym, i to bez względu na to, czy newsy dotyczyły polskiej polityki, konkursu chopinowskiego czy igrzysk olimpijskich. Nie mogłem patrzeć na to, jak bardzo ich wojna odbywa się kosztem innych ludzi i ich spokoju. Chciałem, by ich rytualne zapasy nie dotykały mnie, tworzyłem zatem coraz więcej zabezpieczeń przed brutalnością, okrucieństwem i nieobliczalnością świata ludzi i zwierząt. Kupowałem sobie spokój i bezpieczeństwo. Za pieniądze potrafiłem odseparować się od całego tego gówna i agresji świata. Żyłem w rzeczywistości, w której nic się nie działo, i chciałem, by stan ten trwał po kres moich dni. Ale nie udało mi się to. Nie uchroniłem mamy przed śmiercią, nie uchroniłem Beci przed żylastym chujem obcego faceta i nie uchroniłem Małej przed autem czy łopata jakiegoś wieśniaka.

– Małej przed autem czy łopata jakiegoś wieśniaka? – zdziwiła się Magda.
– O co chodzi?

Opowiedział jej o śmierci swojej kotki. Trochę się bał, że uzna całą tę historię za żenującą i niegodną pięćdziesięcioletniego faceta, ale przyjęła ją ze zrozumieniem, a nawet współczuciem.

Potem długo jeszcze siedzieli na tarasie i pili śliwkowe wino. O północy wyproszono ich, sugerując przenosiny do pobliskiego baru, ale uznali, że wrócą do apartamentu. Gdy leżeli już w łóżku, Magda przytuliła się do niego i zapytała:

– To nie był nudny dzień?

– Był – odparł. – I zarazem jeden z najwspanialszych w moim życiu. Bardzo ci za niego dziękuję.

Wkrótce już spali.

DZIEŃ DWUDZIESTY SZÓSTY

30 grudnia

Marek otworzył oczy i spojrzał na budzik – dochodziła dziewiąta. Obrócił głowę i spostrzegł, że Magda siedzi w fotelu i patrzy na niego.

– Marek, to już jutro.

– Tak, to już jutro.

Podeszła do niego i się przytuliła.

– Jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie – wyszeptała mu do ucha. – A ciebie chcę uczynić najszczęśliwszym mężczyzną.

Marek pocałował ją w policzek.

– A w usta? – spytała zalotnie.

– Chyba se jaja robisz! – Odwrócił twarz. – Takie rzeczy tylko w kinie. Kochankowie budzą się w pełnym makijażu i od razu zaczynają całować. Mnie nieładnie pachnie z ust.

– Daj mi natychmiast całusa! – krzyknęła i zaczęła szukać jego ust. – Chcę dowodu miłości!

Marek zakrył głowę poduszką.

– Nigdy, przenigdy! – wołał spod niej. – To obrzydliwe. Słyszysz? O-brzydli-we!

– W takim razie Madzia pocałuje Marka – tu się zawahała – pod pachami!

I zaczęła wpychać głowę pod jego prawą pachę. Bronił się jak mógł, ale tak, by jej przypadkowo nie uderzyć. W końcu złapał ją wpół i wsadził język do ust.

– No i co, świnko? – powiedział, gdy tylko przestał ją całować. – Zadowolona?

– Pewnie, że tak. – Uśmiechnęła się i ostentacyjnie oblizała. – Mniam.

– Zboczuch – rzucił Marek i jeszcze raz ją przytulił.

Wzięli razem prysznic, w czasie którego Magda zrobiła mu loda. Gdy się ubrali, chciał zamówić śniadanie, ale ona powiedziała, że musi uciekać, bo ma mnóstwo spraw do załatwienia.

– Wpadnę wieczorem! – zawołała, stojąc już w progu. – W kontakcie, okay?

– Okay – rzekł Marek.

Cofnęła się jeszcze od drzwi, podeszła i przytuliła do niego.

– Nie mogę uwierzyć, że to już jutro. Jutro!

Pocałowali się, po czym Magda w końcu wyszła.

– A więc to naprawdę już jutro – powiedział do siebie. – Kto by pomyślał!

Miał przed sobą cały dzień i żadnych planów.

Co by tu zrobić? – zastanawiał się. – Znów pójść na plażę?

To by naprawdę przypominało tę harówkę, którą widywał nad Bałtykiem. Strudzeni życiem i spaleni słońcem polscy mężczyźni pielgrzymowali codziennie po śniadaniu na plażę w Kołobrzegu. Objuczeni wiatrochronami, leżakami, parasolami i kocami wlekli się w stronę morza, poganiani przez skrzywione, wciąż marudzące żony i śmiejące się debilnie dzieciory. Po tygodniu takiej orki marzyli już zazwyczaj tylko o jednym – by wrócić do pracy, do kumpli i do chujowego życia z wypadami na ryby lub do knajpy z telewizorem, na którym mogli w spokoju obejrzeć jakiś mecz.

Gdybym miał dzieci, wszystko byłoby inaczej – stwierdził. – Dostarczają tyle radości i trosk, że człowiek nie ma czasu na żadne rozważania. Całą energię i emocje pakuje w utrzymanie i wychowanie progenitury. To idealny sposób na zapomnienie o życiu: zanurzyć się w nim i dać się zamęczyć i zachwycić dzieciom. Zwłaszcza zamęczyć.

Tak właśnie teraz czuł się Marek – perspektywa pójścia na plażę wydawała mu się tak męcząca, że wiedział, iż z tego nie skorzysta. Może po prostu zostanie w apartamencie i poczyta? Ale to też nie było możliwe, bo mimo udawanej przed Madzią obojętności przejmował się tym, co już za

kilkadziesiąt godzin ma się stać z jego życiem. Więc spokojna lektura w pokoju odpadała.

Co zatem zrobić z tym dniem? Iść do ludzi – chyba tylko to mu zostało. Usiąść gdzieś w cieniu i po prostu ich obserwować. To wydało mu się najciekawsze. Ludzie go fascynowali. Nie lubił ich, a może nawet nienawidził, ale byli najbardziej niewiarygodnym i nieprawdopodobnym zjawiskiem na tej planecie. Właśnie tak – niewiarygodnym i nieprawdopodobnym. Przy całym szacunku dla świata zwierząt, z ich niezwykłymi umiejętnościami i zdolnością przeżycia, to człowiek jest największym fenomenem tego globu. Nie ma rzeczy ciekawszej i bardziej frapującej. To on go opanował i to on go zniszczy. Oby jak najszybciej.

Kiedy zwiedzał zabytki, miasta czy ruiny, Marek często łapał się na tym, że nie potrafi przestać gapić się na ludzi. Zamiast oglądać architekturę lub piękne widoki, przypatrywał się mijanym osobom, ich strojom i minom. Potrafił godzinami siedzieć przy stoliku w Rzymie albo Atenach i obserwować przechodzących turystów i autochtonów. Bawił się odgadywaniem, skąd pochodzą, kim są z zawodu, dokąd akurat idą. Ale najczęściej po prostu patrzył na nich. Wiele razy zrezygnował ze zwiedzania, byle móc spokojnie kontemplować twarze przechodniów. I nigdy się tym nie nudził, nigdy nie miał dosyć.

Nie to, by interesowały go poszczególne osoby, bo – wbrew powszechnemu mniemaniu – nie uważał, że każdy ma do opowiedzenia ciekawą historię. Jego zdaniem było odwrotnie: większość ludzi miała banalne życie, które nie było interesujące nawet dla nich, nie mówiąc już o kimś postronnym. Markowi chodziło raczej o to, że oni są ciekawi jako rodzaj ludzki, a nie poszczególni jego przedstawiciele. Bo interesujące jest nie tyle życie jakiegoś Kowalskiego, ile człowieka jako takiego. Historia Kowalskiego jest zazwyczaj banalna: urodził się, kochał rodziców, chodził do szkoły, miał kolegów i problemy, przeżył kilka zawodów miłosnych, ale potem poznał dziewczynę, spłodził z nią potomstwo, zarabiał na rodzinę, zestarzał się i umarł. Każdy taki boleśnie przewidywalny żywot ma oczywiście swoje wariacje, ale w gruncie rzeczy jest podobny do innych.

I nudny. Natomiast historia człowieka – z jego ewolucją, zmaganiem się z innymi gatunkami, z walką o pożywienie i przetrwanie – jest fascynująca. Przecież jeszcze kilkadziesiąt tysięcy lat temu był jednym z wielu afrykańskich gatunków. Polował na zebry, antylopy i małpy, dzielił ekosystem z neandertalczykami, starał się nie wchodzić w drogę słońcom, hienom czy lwom. Żarł padlinę i surowe mięso oraz kopulował w stadzie, na oczach innych osobników.

Tymczasem nagle, zaledwie w ciągu kilkudziesięciu tysięcy lat, wzniósł Bazylikę św. Piotra w Rzymie, zaczął organizować pokazy prêt-à-porter i stworzył smartfon. To jednak coś, co pozornie nie miało prawa się zdarzyć. Gdyby katole byli choć trochę mądrzejsi, poszliby tym właśnie tropem. Bo jak to jest, że mamy z orangutanem czy szympansem dziewięćdziesiąt osiem procent wspólnych genów, ale one wciąż liżą sobie dupy na gałęziach, gdy my latamy boeingami i oglądamy filmy pełne efektów specjalnych? Jeśli Bóg naprawdę jest, to mamy tylko jeden dowód na jego istnienie – człowieka i jego skok ewolucyjny.

Marek poszedł na śniadanie. Zamówił jajka sadzone i kawę. Siedział na tarasie restauracji i wciąż myślał o tym, co przyszło mu do głowy po wyjściu Magdy – o człowieku jako takim albo raczej o ludziach. Wiedział bowiem, że nie ma czegoś takiego jak człowiek – są tylko ludzie, w dodatku z natury rzeczy różni. Choć może jednak nie? Przecież jest coś, co łączy ich wszystkich. Ale co to takiego? Dlaczego można zabić dwuletniego szympansa, a półrocznego człowieka nie, choć – jak dowodzą naukowcy – świadomość tego pierwszego, jego zdolność do odczuwania emocji jest wielokrotnie większa? Sześciomiesięczne dziecko to wszak tylko ryczący i robiący pod siebie kawałek mięsa, który nie odczuwa nic prócz bólu i głodu. Tymczasem dwuletni szympanś rozumie, czuje i o wiele dojrzej odbiera świat. A jednak po zabiciu go mielibyśmy o wiele mniejsze wyrzuty sumienia niż po uśmierceniu dziecka. Czy tylko dlatego, że dziecko należy do naszego gatunku i natura po prostu przejawia się w ten sposób? To, co bierzemy za sprzeciw moralny, jest jedynie zasadą zachowania gatunku? Czyli jesteśmy wyłącznie jednym ze zwierząt, które bezwzględnie mordują inne gatunki,

a chronią własny, wykorzystując wzniosłe uczucia i różne tabu? Tabu, za którymi nie stoi nic prócz racjonalnej zasady zwiększającej szanse przeżycia i przekazania genów? Samolubny gen – naprawdę tylko tym jesteśmy?

Nie zgadzał się na to, lecz nie potrafił znaleźć kontrargumentów dla tej biologicznej, naturalistycznej koncepcji człowieka. Przecież jeśli ją odrzucić, pozostawało tylko jedno rozwiązanie – istnienie Boga, który na jakimś etapie ewolucji tchnął w jeden z gatunków coś, co potem, też pewnie z boską pomocą, zostało nazwane duszą. Takie wytłumaczenie wydawało mu się jednak jeszcze bardziej idiotyczne niż przekonanie, że człowiek to tylko najsprytniejsze ze zwierząt, które jakimś zbiegiem okoliczności, a raczej ich tysiącami, stało się tym, czym jest dzisiaj. Jedno wyjaśnienie było więc głupsze od drugiego.

Poza tym nigdy nie lubił myśleć o jakimś wyabstrahowanym człowieku – wolał mówić o ludziach, z ich wielką różnorodnością. Nauczyły go tego podróże, które odbył w ostatnim dziesięcioleciu. Wtedy właśnie zobaczył, jak przedstawiciele tego samego gatunku potrafią się różnić, jak bardzo są niekiedy od siebie odlegli. Co bowiem łączy bogatego Holendra i biednego Kolumbijczyka? Prawie nic. I nie chodzi tu tylko o zasobność portfela, ale o sposób życia, wartości, to, czym dla jednego i drugiego są rodzice, wiara czy praca. Codzienna egzystencja pierwszego nie miała nic wspólnego z egzystencją drugiego. Holender dzielił czas między pracę w sektorze IT, do której dojeżdżał bezpiecznym volvo, picie piwa w swoim lofcie i odprowadzanie rodziców do ośrodka eutanazyjnego. A Kolumbijczyk? Całe życie spędzał w domu rodzinnym, w kościele i na wieczornych tańcach ze znajomymi. Nawet przez myśl by mu nie przeszło, że mógłby zabić swych zniedołężniałych rodziców przy pomocy lekarza, bo są uciążliwi i marudzą. Owszem, to przejaskrawiony przykład, ale czy nie dowodzi, że nie ma wyabstrahowanego człowieka, a są jedynie osadzeni w swoich kulturach i diametralnie różniący się ludzie?

Najciekawsze, że to przeświadczenie o całkowitej odrębności ludzi dopadło go nie w Afryce czy Ameryce Południowej, ale w zurbanizowanej i zindustrializowanej Japonii. Siedział wieczorem w knajpie w Osace

i obserwował ulicę. Około dziesiątej z pełnych wciąż restauracji zaczęły wychodzić grupki ludzi, on zaś szybko się zorientował, że to nie znajomi, lecz koledzy i koleżanki z pracy. Czytał o tym wcześniej i ten widok jedynie potwierdził to, co już wiedział. W Kraju Kwitnącej Wiśni pracownicy jednego biura idą wspólnie wieczorem do restauracji i spędzają w niej kilka godzin, pijąc sake i jedząc tradycyjne potrawy. W końcu rozchodzą się – trwa to niekiedy kilkanaście minut i jest zabawne dla obcokrajowca, bo ciągle kłaniają się sobie i uśmiechają – by nazajutrz o dziewiątej znów spotkać się w pracy i o dziewiętnastej wyjść na miasto. I tak każdego dnia, od poniedziałku do piątku, a czasami nawet do soboty. Na życie rodzinne nie ma w tygodniu czasu, gdyż wychodzi się z domu rankiem i wraca nocą. Dla małżonka i dzieci pozostaje niedziela.

Markowi wydawało się to początkowo nieludzkie – praktycznie brak czasu dla rodziny i dla siebie, absolutne oddanie pracy i firmie. Na myśl o tym, że musiałby codziennie spędzać wieczory z kolegami z roboty, ciarki przechodziły mu po plecach. Ale potem zaczął się zastanawiać. Owszem, dla niego było to nie do zaakceptowania, ale czy aby na pewno życie jego rodaków, pędzących z pracy wprost do domu, było lepsze od życia tych Japończyków? Co robi przeciętny Polak, gdy już dotrze do swojego zamku? Wali się na kanapę i gapi w telewizor albo kłóci z żoną i wyzywa dzieci. Tak, wizja szczęśliwego życia rodzinnego mieszkańców Zachodu jest daleka od prawdy. To po prostu mit.

Kto więc ma lepsze życie – Polak spędzający czas w towarzystwie coraz grubszej żony i dzieciaków czy Japończyk każdego wieczoru wychodzący do knajpy z kolegami z pracy, pijący to swoje śmierdzące sake i wyjący w konkursie karaoke? Pomijając już fakt, że na pewno poprawia to sytuację gospodarczą i wiąże człowieka z firmą – egzystencja tego drugiego jest po prostu ciekawsza.

Przykład z Japończykami był trudny do obrony i Marek to wiedział, choć zawsze fascynował go ten kraj. Gdy opowiadał znajomym o szczęśliwych mieszkańcach Kraju Kwitnącej Wiśni, nikt nie chciał mu wierzyć. Ale przecież nie ulegało wątpliwości, że przeciętny Brazylijczyk jest zupełnie

inny niż typowy Kowalski, że to dwa odrębne gatunki zwierząt, które łączy jedynie to, iż mają przeciwstawne kciuki i poruszają się na dwóch nogach. Natomiast już to, co z tymi kciukami i nogami robią, całkowicie ich różniło. Marka niezmiennie fascynowało podejście Latynosów do życia i to, jak bardzo odbiegało ono od nastawienia jego rodaków.

No bo o co, do cholery, chodzi w tym życiu? Pytanie wyśmiane już na wszystkie sposoby, ale tak naprawdę najważniejsze. Na wszystkie inne znane odpowiedzi albo przynajmniej się do nich zbliżamy, a to jedno wciąż nam się wymyka. Można nawet powiedzieć, że od tej jednej sensownej odpowiedzi się oddalamy.

Kiedyś to było oczywiste – by przeżyć. Przez tysiące lat homo sapiens miał w tej materii jasność: urodzić się, przetrwać, spłodzić potomków i uciekać ile sił przed zwierzętami i członkami innych plemion ludzkich. Potem rzecz się skomplikowała – celem stało się obłaskawianie bogów, by jakimś cudem przeżyć tu, na ziemi, a potem dostąpić czegoś niewiadomego, choć oczekiwanego po śmierci. Kreatywność rodzaju ludzkiego, wyobrażającego sobie, jak to coś po śmierci ma wyglądać, była zaiste nieograniczona. Miały na nas czekać w zaświatach dziewice, winogrona, przodkowie, stada bizonów, aniołowie, łąki zielone, morza łagodne. Tu nie było ograniczeń, a religie prześcigały się w ofertach – zwyciężał nie zawsze najlepszy towar, bo ważniejsza była akwizycja.

Najpopularniejszym produktem okazało się chrześcijaństwo, które przedstawiało tak naprawdę dwie opcje: pierwsza straszyla nieskończenie długim przypiekaniem, ćwiartowaniem, wydłubywaniem oczu i innymi torturami zrodzonymi w umyśle jakiegoś psychopaty, druga gwarantowała wieczne życie w chmurach, wśród istot pozbawionych płci i cech osobniczych, spędzane na śpiewaniu hymnów i radowaniu się z tego, że uniknęło się opcji pierwszej.

Aż dziw bierze, że wygrała tak beznadziejna oferta. Bo w końcu co to za wybór między wiecznymi mękami a wieczną nudą w niebiesiech? Nazbyt parciały był to produkt, zwłaszcza gdy porównało się go z tym, co zawierały pakiety innych religii – tabuny młodych dziewczyc, wieczne polowania, leżenie

na trawie i zbijanie bąków. A jednak oferta tego młodego Żyda z Palestyny przebiła wszystko – najwyraźniej zdecydowała udana akcja marketingowa, nie zalety produktu.

No i od tego czasu ludzie wiedzieli już, jaki jest sens ich egzystencji – zbawienie i nieskończone ziewanie po prawicy pańskiej. Ale potem i to się załamało, nawet nie tyle z powodu słabości tego, co opcja ta zawierała, ile wskutek napływu coraz bardziej sprawdzonych informacji, że oferta jest nieprawdziwa. Nikt nie potwierdzał jej odbioru, a nauka dostarczała dowodów na to, że nie może być realne to, co zawierały materiały promocyjne. Większość ludzi jednak nie wierzyła tym newsom i wciąż czekała na obiecany towar.

Do ostro wątpiących wysyłano w ostateczności najlepszego z domokrażców – niejakiego Pascala. Cwaniak ów twierdził, że może i obiecany produkt nie istnieje, ale w interesie wahających się jest w niego wierzyć, bo i tak nic nie tracą. Najdziwniejsze, że nawet ci sceptyczni łykali ten logiczny shit. Na jakiej zasadzie to działało? Bóg jeden raczy wiedzieć. Jednak Pascal przyłaził i prosił nie o pieniądze, ale o coś więcej – o ludzki żywot. I ludzie mu go powierzali! Oddawali mu swoje dusze, choć mówił, że jego towar nie jest pewny. W dodatku przedstawiał Boga jako idiotę, który musi wpuścić nas do rajy, bo choć nie wierzymy, to jednak coś innego zadeklarowaliśmy domokrażcy. Sensu w tym nie było za grosz, ponieważ za mglistą obietnicę czegoś, co może, ale nie musi być, ludzie poświęcali coś, co mieli naprawdę – swoje życie z jego radościami, niepowtarzalnością i pięknem.

A potem przyszło Oświecenie i wszystko się rozwaliło, gdyż odpowiedzi na pytanie o sens życia było nagle bez liku. Jeśli bowiem Boga nie ma, lub może go nie być, i jeśli już wcześniej wyszliśmy ze zwierzęcości, która nie stawiała nas przed takimi dylematami, to pojawiał się problem, co zrobić ze swoim nie tak znowu krótkim życiem. Skupić się na uciechach ciała? Na dręczeniu innych? Na pomaganiu bliźnim? Na zarabianiu kasy? Na walce o prestiż i władzę?

Ale każdy z tych wyborów pozostawał w takiej samej próżni teleologicznej.

Bez Boga, bez religijnego umocowania bycie marksistą, liberałem, monarchistą, sadystą, hedonistą, kucharzem, dziwką, pedałem, torreadorem czy numizmatykiem było tak samo sensowne lub bezsensowne. Życie można było przeżyć interesująco lub nie, podróżując lub siedząc na kanapie, bijąc żonę lub ją kochając, pocąc się lub używając antyperspirantów, oglądając mecze piłki nożnej lub marchewkę w ogródku – wszystko to jednak bez Boga nie miało znaczenia. I tak zawsze kończyło się ono śmiercią. Nieodwołalną, bezsensowną i nieuzasadnioną śmiercią.

Jest zatem jakiś sens życia obowiązujący wszystkich czy też zawsze musi się on odnosić do konkretnych ludzi? Jeśli ludzkość nie ma celu w swym trwaniu, to nie może też istnieć sens życia dla wszystkich, to proste. Wtedy poszczególny człowiek nadaje sens swojej egzystencji. Nie ma dobrego lub złego sensu życia. Jest tylko taki, który daje człowiekowi szczęście, a konkretnie uśmiech. Tak, cholerny, banalny uśmiech. Uśmiechasz się, to żyjesz z sensem. Jesteś skrzywiony, to pokazujesz, że tego sensu nie znalazłeś. Jeśli radość na twojej twarzy wywołują dzieci, to splódź ich jak najwięcej. Jeśli masz banana na ryju na myśl o tym, że bicząc się, krocysz do królestwa niebieskiego, to napierdalaj się po plecach ile wlezie. A jak uśmiechasz się, czytając książki, to zawał nimi chatę i dożyjcie razem spokojnej starości.

– A więc uśmiech? – powiedział Marek i sam się zdziwił, gdy usłyszał swój głos.

Poczuł głód, zawołał kelnera i zamówił carpaccio z polędwicy oraz białe wino. Nie cierpiał tej kuchennej religii, którą od kilku lat wyznawali żarliwie jego znajomi. Zwłaszcza faceci stali się nagle znawcami kuchni – potrafili zamęczać wszystkich opowieściami o tym, co i jak przyrządzili, oraz o zaletach i wadach poszczególnych dań. Marek nie był prymitywem, który uważa, że nieważne, co się je, bo i tak wszystko zmiesza się w żołądku, ale nie potrafił poważnie traktować tej epidemii pichcenia, która wybuchła wśród jego kumpli. Równie mocno irytowały go te durne gadki o zdrowym odżywianiu się. Ten bzik też nie ominął jego znajomych. Frenetyczne dyskusje o zawartości glutenu czy kaloryczności pokarmów, skupianie się na

swoim ciele i na tym, czego się mu dostarcza, powodowały, że gardził wyznawcami tej mody.

Tak się skupiają na swoich żołądkach, że kiedyś będą wspólnie siadali nad swoimi gównami i deliberowali o ich składzie – pomyślał.

To jednak było charakterystyczne – prawie całkowite odejście od spraw ducha musiało się skończyć totalnym skupieniem na sprawach ciała. Ludzkość, do kurwy nędzy, nie mogła po prostu dumnie żyć. Musiała od razu jebnąć na kolana – jak nie przed srogim Jahwe czy piekłem, to przed jakąś trenerką fitness lub przed cholesterolem – i walić łbem o ziemię, prosząc o coś. Tyle że kiedyś błagano o życie wieczne, a dziś ludzie skamleli o ziemskie, byle bez osteoporozy i raka prostaty. Tak nam dopomóż, Panie Boże Wszechmogący, w Trójcy jedyny i wszyscy świeccy dietetycy. Amen.

Gdy tak sobie miło rozmyślał, zachwycając się kunsztem, z jakim budował te paralele, do jego stolika podszedł jakiś mężczyzna. Był może pięć lat starszy od niego, ale świetnie się trzymał.

– Przepraszam, mogę się przysiąść? – zapytał po angielsku.

Kastor spojrział mu w oczy i spokojnie odparł:

– Nie.

Nieznajomy był nieco zaskoczony.

– Ale tylko na chwilę, jeśli pan pozwoli.

– Pan nie pozwoli – rzucił Marek i zwrócił głowę ku oceanowi.

Mężczyzna pożegnał się i odszedł.

Marek nie patrzył na niego. Nie wiedział, dlaczego nie pozwolił mu się dosiąść – przecież nie miał nic do roboty ani żadnych planów na popołudnie. Facet nie wyglądał też na wariata, który zatrulby mu dzień. A jednak powiedział „Nie”.

Nie miał wyrzutów sumienia, ale przez chwilę naprawdę się sobie dziwił, że tak postąpił, i wciąż nie potrafił tego wyjaśnić. Może po prostu nie miał ochoty z nikim rozmawiać? A może gdyby mężczyzna zagadnął go pół godziny później, zgodziłby się i byłoby to miłe spotkanie?

Od jakiegoś czasu zastanawiał się nad tym, co sam kiedyś określił jako

„spowalnianie filmu”. Co miał na myśli? To, że już w „Great Final” coraz rzadziej i mniej chętnie rozmawiał z ludźmi. A przecież pamiętał, że na początku dawał się zagadywać obcym i sam kilka razy nawiązał rozmowę. Ale ta niechęć do kontaktu nie zaczęła się tu, w ośrodku. To spowalnianie filmu towarzyszyło mu przez ostatnich kilka lat – coraz mniej interesował się światem, coraz rzadziej kontaktował z ludźmi, coraz trudniej mu było poświęcić się czemukolwiek. Zupełnie jakby rolki w jego aparacie filmowym zaczęły kręcić się wolniej. Co prawda Beca zmieniła tę sytuację, ale zaraz po rozstaniu z nią jego wewnętrzny mechanizm znowu zaczął zwalniać. Zresztą to trwało od dobrych kilku lat. Starość? Czy tak właśnie wygląda starość? To normalne czy tylko jemu się to przytrafiło? Nie bardzo nad tym bolał, ale tego procesu nie dało się nie zauważyć. Gdy mógł uniknąć rozmowy, unikał jej. Kiedy nie musiał dokąds pójść, nie szedł. Jeśli można było czegoś nie zrobić, nie robił tego. I tak wszystko wokół zaczynało kręcić się coraz wolniej, więcej rzeczy się powtarzało, mniej było nowych zdarzeń. Otaczająca go rzeczywistość została ujarzmiona, przestała więc tak bardzo go absorbować. Zapanował nad nią, zatem nie wymagała od niego szybkich reakcji. Świat stał się oswojony, przynajmniej ten najbliższy. I przynajmniej pozornie.

Wiedział przecież, że to złudzenie – że świat jest dokładnie taki, jaki był przez miliardy lat: dziki, niebezpieczny, okrutny i bezsensowny. Oczywiście ten prawdziwy. Ten bowiem, który każdy człowiek buduje wokół siebie, był z każdym rokiem coraz bardziej osvajany. Wiedząc, że na zewnątrz jest prawdziwa dżungla, ludzie otwierali u siebie małe zoo z jedną małpką, osiołkiem i papugą i podporządkowywali je sobie, głosząc, że tak właśnie wygląda świat. Wystarczyło co prawda wychylić nos z tego azylu, by dostrzec, że w naturze nic się nie zmieniło, ale to nie przeszkadzało im zapadać w drzemkę z głową opartą o domowe terrarium.

Marka stać było przez ostatnie lata na takie urządzenie swojego życia, by móc błogo spać w bezpiecznym otoczeniu. Tak naprawdę więc robił to, co wszyscy, tylko – jak zwykle – trochę na bakier i wiedząc, że sam się oszukuje. Spowolnienie filmu, jak to określał, dotykało zatem wszystkich, ale jedynie

nieliczni zdawali sobie z niego sprawę. On miał tę świadomość.

Dokończył deser, a potem wrócił do apartamentu. Ogarnęło go słodkie lenistwo typowe dla pory poobiedniej, postanowił więc, że położy się na łóżku i pozwoli organizmowi zdecydować, co dalej. Kiedyś z nim walczył – gdy robił się senny, pił kawę lub napoje energetyczne. Zawsze miał coś do zrobienia – czekali na niego wyborcy lub studenci, były jakieś terminy – więc nie mógł sobie pozwolić na sen czy lenistwo. Nie potrafił się zresztą całkowicie zresetować, bez przerwy czuł, że coś na niego czeka. Nawet na wakacjach miał pod ręką jakąś książkę albo sprawdzał coś w internecie. Odkąd pamiętał, dziwił się ludziom, którzy przez całą podróż w pociągu potrafili patrzeć w okno. Często jeździł ekspresem z Katowic do Warszawy i widział, że większość podróżnych spędza te dwie i pół godziny w taki właśnie sposób. On zawsze miał ze sobą stos gazet, a gdy te się kończyły, szperał w smartfonie. Nie był w stanie zrozumieć, jak można zmarnować kilka godzin, bezmyślnie oglądając krajobrazy.

A teraz właśnie to go dopadło. Nie był w stanie czytać ani skupić się na myślach innych niż własne. Potrafił marnować długie godziny, gapiąc się na ocean, i nie miał poczucia, że coś go omija. Bo ile jeszcze mógł przeczytać? Ile informacji zdobyć? No i najważniejsze pytanie: Po co? Po co miałby faszerować swój mózg jakimis newsami czy ideami? Wciąż miał świadomość, jak małym ułamkiem ogólnej wiedzy jest to, czego zdołał się nauczyć w ciągu pół wieku. Ile książek przeczytał? Kilkanaście tysięcy? Zakładając, że czytał dwie na tydzień od piętnastego roku życia, ile ich pochłonął? Sto rocznie. Mój Boże, nie więcej niż trzy i pół tysiąca! Trzy i pół tysiąca z milionów. Co pewnego mógł powiedzieć o świecie przy tak nikłych możliwościach swojego umysłu? Jaką jasność mógł mieć w jakiegokolwiek materii? A przecież lubił sobie poperorować nie tylko o polityce, ale także o religii, kulturze i sztuce. Boże, jakie żalosne jest to nasze mniemanie o sobie i o świecie. Jak wielka nasza buta, że śmiemy kategorycznie i autorytatywnie wypowiadać się o początku i końcu świata, o sensie naszej egzystencji, o rodzaju ludzkim. Trzy i pół tysiąca książek z milionów, które wydała ludzkość!

Nie mógł zasnąć – zawsze tak miał. Gdy kładł się do łóżka, musiał zastopować galopadę myśli w głowie lub skierować ją na abstrakcyjne tory. Myślenie o sprawach zawodowych, szczególnie o tym, co i komu by powiedział, definitywnie odbierało szansę na sen. I chyba to właśnie przytrafiło mu się tego popołudnia. Wiedząc jednak, że nie zaśnie, nie zwał się z łóżka. To też dotąd mu się nie zdarzało – jeśli nie mógł zasnąć, wstawał i zajmował się czymś w oczekiwaniu na sen. Tym razem było inaczej, bo sen nie nadchodził, a on nadal leżał. Sytuacja zaczęła go bawić – był już całkiem rozbudzony, patrzył na sufit, jego ciało pragnęło się czymś zająć, ale on postanowił zostać w łóżku. Wreszcie nie wytrzymał, bo było to dla niego nowe i dziwne, i wybuchnął śmiechem.

Dokładnie w tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Okazało się, że to boj z kopertą. Marek otworzył ją i przeczytał odręcznie napisany list, w którym Patrick zapraszał go wraz z osobą towarzyszącą na – jak to określił, dołączając żartobliwy emotikon – „ostatnią wieczerzę”. W postscriptum napisał, że co do ubioru, to preferowane są stroje żałobne tudzież tuniki. Tu również był emotikon.

Marek wysłał esemesa do Magdy, informując ją o zaproszeniu na dwudziestą pierwszą do dyrektora. Odpowiedziała niemal natychmiast, że już o nim wie i że będzie u niego krótko przed dziewiątą, by mogli pójść do willi razem. Marek ucieszył się – niczego lepszego niż kolacja z ukochaną i przyjacielem nie mógł sobie wymarzyć na tę przedostatnią noc. Zaczynało się zmierzchać. Spojrzał na zegarek – była 18.48. Wrócił do łóżka, włączył telewizor i wybrał kanał muzyczny. Bezmyślnie oglądał teledyski, które bez wyjątku przypominały soft porno.

Tak, czasy Majki Jezowskiej i Skaldów odeszły już w przeszłość – pomyślał.

Po ósmej zniknął w łazience i wziął ciepły prysznic; klimatyzacja w pokoju była nastawiona na osiemnaście stopni i przemarzył jak zesłaniec na Syberii. Gorąca woda sprawiła mu prawdziwą rozkosz. Po powrocie do pokoju włożył jasne spodnie i swoją jedyną marynarkę. Magda przyszła kwadrans przed dziewiątą w czarnej sukience i z włosami spiętymi w kok, czyli tak, jak lubił najbardziej.

– Wyglądasz oszałamiająco – powiedział.

– Ty też nie wypadłeś sroce spod ogona – odparła, złapała go za kłapy marynarki i przyciągnęła do siebie.

Namiętnie się pocałowali. Magdzie rozmazała się szminka.

– No i makijaż chuj strzelił – stwierdziła. – Dasz mi minutkę? Zrobię się znowu na bóstwo.

Poszła do łazienki, a Marek został na chwilę sam. Czuł smak jej szminki. Uśmiechnął się, bo poczuł lekką erekcję. Po dwóch minutach Magda wróciła.

– Jestem gotowa.

– Let's go – rzucił i wyszli z pokoju.

Przy recepcji czekał już na nich boj, by zaprowadzić ich do willi. Otworzyła im służąca i wskazała drogę na taras, z którego rozciągał się przepiękny widok na ocean w świetle księżyca.

– Nieźle, prawda? – przywitał ich Patrick.

– Da się przeżyć. – Marek serdecznie się z nim uściskał.

Magda pocałowała DeWaela w policzek i usiedli do stołu.

– Nie będzie wam przeszkadzać, jeśli dołączy do nas moja przyjaciółka? – zapytał dyrektor.

– Oczywiście, że nie.

– Natasza? – chciała wiedzieć Magda.

– A jakże by inaczej – odparł Patrick, przywołał służącą i polecił jej, by poprosiła dziewczynę.

– Znacie się? – Marek zwrócił się do Magdy.

– Oczywiście. To moja dobra kumpela.

– Tak, tak – wtrącił się DeWael. – To jedna z naszych dziewczyn, ale muszę powiedzieć, że zaczynam czuć do niej to, co ty do Magdy.

– Też chcesz z nią uciec? – zażartował Marek.

– Tylko gdyby chcieli mnie pozbawić możliwości pomagania ludziom w ich ostatniej drodze – powiedział Patrick, udając wzniosłość, po czym dodał: – No i gdyby chcieli zabrać mi willę i inne moje zabaweczki!

Cała trójka wybuchnęła śmiechem.

Po chwili dołączyła do nich Natasza, śliczna Ukrainka z Odessy. Przywitała się z Markiem i serdecznie ucałowała z Magdą, a potem usiedli do kolacji.

Marek bawił się doskonale. Patrick nie żałował markowych alkoholi, a dziewczyny testowały kolorowe koktajle serwowane przez służbę. Menu było urozmaicone, ale dominowały owoce morza. DeWael świetnie pełnił obowiązki gospodarza – cały czas zabawiał gości i adorował Nataszę. Widać było, że naprawdę nie jest mu obojętna. Marek też bez przerwy wymieniał z Magdą spojrzenia pełne ciepła i wzajemnego zaufania. Wiedział, że ją kocha i że ona kocha jego. Wiedział też, że to jeden z najmilszych wieczorów, jakie przytrafiły mu się w ostatnich kilkunastu miesiącach. Był niemal szczęśliwy.

Skończyli sporo po drugiej. Najpierw Natasza przeprosiła ich, mówiąc, że chyba przesadziła z alkoholem, a potem Magda zaczęła dawać dyskretne znaki, że chciałaby już wrócić do apartamentu. Markowi i Patrickowi nie pozostało nic innego, jak się poddać. Napili się jeszcze po kieliszku porto, a Marek nauczył dyrektora słowa „rozchodniaczek”. Bardzo mu się spodobało i rozśmieszał ich, nieudolnie próbując wymówić je po polsku.

W progu wymienili uściski, a Magda i Natasza na usilne prośby wstawionych mężczyzn na kilkanaście sekund zatopiły się w namiętym pocałunku. Gdy Natasza zniknęła już w głębi domu, Patrick zatrzymał Magdę i Marka.

– Kochani, wszystko przygotowane – oznajmił. – Jutro mój człowiek weźmie was na łódkę. Najpierw ciebie, przyjacielu, o wpół do jedenastej. Ciebie, Magdo, godzinę później. Nie bierzcie niczego prócz paszportów. Wszystko, co potrzebne, będzie na was czekać na jachcie, na który zostaniecie dostarczeni. Po północy Oscar go spali, a was przetrzuci do Bandzulu. Na lotnisku zaopiekuje się wami inny człowiek. Dostaniecie trochę gotówki, nowe dokumenty i, ma się rozumieć, ubrania i polecicie do Madrytu. Oscar wróci do hotelu dopiero rano i wtedy powiadomimy policję o nieszczęśliwym wypadku, któremu ulegliście na morzu. Za kilka dni

oficjalnie uznają was za zmarłych, bo znajdziemy wasze ciuchy i paszporty. To chyba wszystko.

Marek popatrzył na niego.

– Nie zobaczymy się już, prawda?

– Nie, przyjacielu – odparł DeWael.

– Bardzo ci za wszystko dziękuję – rzekł Marek i wyciągnął dłoń.

– To był zaszczyt móc cię poznać. – Patrick uścisnął mu rękę i przyciągnął go do siebie. – Żegnaj.

– Żegnaj, Patricku – powiedziała Magda. – I także dzięki za wszystko.

– Żegnaj, Madziu – odparł Belg, próbując wymówić jej imię tak jak Marek.

Magda i Marek odwrócili się i zaczęli schodzić po schodach. W pewnym momencie Patrick zawołał jeszcze Marka.

– Tak?

– Jesteś pewien swojej decyzji? – DeWael patrzył mu w oczy. – Jutro nie będzie już odwrotu.

– Tak, przyjacielu – odparł spokojnie Marek. – Wreszcie jestem czegoś pewien. Żegnaj i jeszcze raz dziękuję ci za wszystko.

Marek wziął Magdę za rękę i ruszyli w stronę recepcji. Patrick patrzył na nich dłuższą chwilę, a potem obrócił się i wszedłszy do willi, zatrzęsął za sobą drzwi.

Marek z Magdą wrócili do apartamentu. Wykąpali się razem, po czym długo i namiętnie się kochali. Poszli spać, gdy zaczynało świtać.

DZIEŃ DWUDZIESTY SIÓDMY

31 GRUDNIA

Obudzili się dopiero przed południem – najpierw on, potem ona. Zamówili śniadanie do pokoju, bo Magda wciąż musiała udawać, że jest chora, ale powiedziała, że po południu mogą gdzieś pójść na drinka, by uwiarygodnić swoją romantyczną nocną kolację.

Śniadanie zjedli wewnątrz, gdyż na balkonie było już za gorąco. Żartowali i się przekomarzali.

– Chyba najbardziej lubię w tobie poczucie humoru – powiedziała w pewnym momencie Magda. – Facetowi można wybaczyć wszystko, ale nie to, że jest nudny. Już wołałabym, żebyś mnie zdradzał, niż żebyś stracił poczucie humoru.

– Deal – oświadczył szybko Marek.

– Ej, nie łap mnie za słowa! – Roześmiała się. – Wiesz, co mam na myśli, prawda?

– No pewnie. I chyba się nawet z tym zgadzam.

– A ty? – zapytała.

– Co ja? – Udawał, że nie rozumie.

– Czego byś nie wybaczył żonie? – spytała Magda. – Zdrady?

– Kiedyś tak myślałem – rzekł Marek. – Ale potem zrozumiałem, że są różne zdrady. Jedne można wybaczyć, a nawet zapomnieć, inne, choćby się i chciało, są nie do wybaczenia i wcześniej czy później rozwalą związek.

– Czyli...? – Magda wyraźnie się zainteresowała.

– No na przykład moja partnerka jedzie na szkolenie – wyjaśniał – i spotyka przystojnego faceta. Gość jest świetnie zbudowany, doskonale

tańczy, a my akurat jesteśmy pokłóceni. Jest alkohol, muzyka i seks u niego w pokoju. Jednak rano ona mówi mu, że było fajnie, ale ma mnie, więc to się nie powtórzy, a potem wraca do domu i wszystko wyznaje. Taki idealny scenariusz. To co ja wtedy mogę zrobić? Mam mieć wielkie pretensje, że facet na chwilę wsadził jej chuja? Przecież to bez znaczenia, zwłaszcza jeśli są dzieci, a my się jednak kochamy. Wracamy do życia i niewykluczone, że to nawet pomoże związkowi. Bo ręczę ci, że za kilka miesięcy oboje nie będziemy o tym myśleć, a jeśli już, to moja kobieta będzie uważać tamtego gościa za totalnego dupka.

– No a zdrada nie do wybaczenia?

– Nie do wybaczenia jest – odparł – kiedy twoja dziewczyna wali cię po rogach z twoim przyjacielem, w twoim domu, w twoim łóżku, podczas gdy ty zapierdasz na nią i na dzieci. Wtedy nawet gdybyś chciał, i tak to się nie poskłada. Albo jak obciągnie komuś, z kim konkurujesz lub kogo nienawidzisz. Twojemu szefowi, podwładnemu lub po prostu kumplowi z pracy. Sorry, ale wtedy nie ma szans, by to wybaczyć. Lepiej od razu się spakować, bo choćbyś nie wiadomo jak się trudził, i tak jej tego nie zapomnisz.

– Czyli gdybym cię miała zdradzić – zobaczył uśmiech, za który ją pokochał – to z wysportowanym, przystojnym i opalonym instruktorem aerobiku na wczasach fitness?

– Tak – potwierdził. – A nie z moim łysym przyjacielem Olesiem lub grubym przyjacielem Tomkiem. Deal?

– Deal, kochanie. – Magda przytuliła się do niego. – Jesteś mężczyzną idealnym. – Po chwili jednak odsunęła się od niego i patrząc mu prosto w oczy, powiedziała: – A tak serio, wiesz, że nigdy cię nie zdradzę?

– Wiem, Madziu.

Pocałowali się.

– Wiesz, kiedy ludzie się zdradzają i od siebie odchodzą? – zaczęła Magda po chwili.

– Nie mam bladego pojęcia! – rzucił Marek zaczepnie. – Powiedz mi!

– Ej, nie bądź taki mądrała. – Udawała obrażoną.

– Okay, przepraszam – powiedział. – Ciekaw jestem tej twojej teorii zdradzania i odchodzenia. Mów.

– To nie tyle teoria, ile spostrzeżenie. Zazwyczaj odchodzimy od kogoś z tego samego powodu, z jakiego zaczęliśmy z nim być.

– Co masz na myśli?

– To proste – odparła Magda. – Pociąga nas w kimś jakaś cecha, na przykład to, że jest dowcipny.

– Jak ja – wtrącił Marek.

– Albo nawet bardziej. – Nie odmówiła sobie jednej z tych drobnych złośliwości, które tak u niej lubił i które dostrzegał u ludzi inteligentnych. – Więc jeśli zadurzam się w facecie, bo jest zajebiście dowcipny i jest duszą towarzystwa, to bardzo prawdopodobne, że z tego samego powodu kiedyś od niego odejdę.

– Bo jest dowcipny? – spytał Marek nieco sceptycznie.

– Nie. Bo jest tylko dowcipny, rozumiesz? – wyjaśniła Magda. – To cecha, która mnie do niego przyciągnęła, ale z czasem okazuje się, że ona albo dominuje, albo w ogóle jest jedyna. Facet jest śmieszkiem i nikim więcej. A jak chcesz z nim poważnie pogadać, okazuje się, że nie ma o czym, bo jest prosty jak linijka.

Umilkła i napiła się kawy.

– Albo odwrotnie – kontynuowała po chwili. – Spotykasz mężczyznę poważnego, z którym możesz porozmawiać o wszystkim. Masz w nim oparcie, zawsze jest gotów cię wysłuchać i przegadać z tobą całą noc. Rozumie cię, jest empatyczny, czuły i wyrozumiały, tyle że jak od czasu do czasu chcesz, żeby cię ostro wyruchał, zaczyna perorować o roli seksu w średniowieczu. A jak chcesz pójść potańczyć, zalać się w trupa i dobrze bawić, proponuje wieczór ze świecami, kwiatami i muzyką Bacha. Na początku całowałaś go po rękach za coś takiego, ale teraz patrzysz na chuja złowrogo i życzysz mu śmierci ze smyczkiem w dupie!

Marek się roześmiał.

– To wcale nie jest śmieszne, kochanie. – Magda wyraźnie się rozkręciła. – Masz ochotę wypierdolić tego Wertera przez okno z całym tym jego romantyzmem i delikatnością, bo chcesz, by przez jeden wieczór był mistrzem humoru, salsy i minety, a nie Wittgensteinem nawijającym o granicach języka, które są granicami świata. Rozumiesz?

– Oczywiście, kochanie – powiedział Marek, wciąż się śmiejąc. – To bardzo proste. Chcesz mieć w jednym facecie całą gamę facetów.

– Tu naprawdę nie chodzi tylko o mnie – przerwała mu. – Tu chodzi o wszystkich, także o ciebie. Przecież kobieta twojego życia też powinna być i wspaniałą przyjaciółką, z którą możesz przegadać całą noc, i doradcą, który pomoże ci podjąć dobre życiowe decyzje, i kurwą, która spełni w łóżku i poza nim wszystkie twoje świńskie marzenia.

– Masz rację – przyznał Marek.

Naprawdę uważał, że trafiła w sedno. Też wiele razy tego doświadczył – rozczarowania banalnością i jednowymiarowością swych partnerek. Były takie lub owakie, ale nie potrafiły być takimi i owakimi jednocześnie. Niektóre były inteligentne, inne zabawne, jeszcze inne piękne. Miewał też dziewczyny dowcipne, perwersyjne, wierne, skromne, wygadane i poważne. Ale niezwykle rzadko zdarzało się, by były wszystkimi naraz. Kasia? Ewa? I chyba teraz Madzia.

– Czyli nie wolno być człowiekiem jednowymiarowym, jeśli się chce być długo i szczęśliwie kochanym – bardziej oznajmił, niż zapytał.

– Tak – potwierdziła Magda. – Jednowymiarowość może kogoś przyciągnąć, ale na pewno go nie zatrzyma.

– Chyba że też trafisz na kogoś jednowymiarowego – zauważył Marek. – No wiesz, jak się filatelista zejdzie z filatelistką, to z tego chyba coś może być.

Magda zaśmiała się i powiedziała:

– Albo alkoholik z alkoholiczką.

– Lub sadysta z masochistką – rzucił.

Przytuliła się do niego.

– Przecież wiesz, co mam na myśli.

– Jasne, że tak – potwierdził. – I, jak powiedziałem, uważam, że masz rację. Naprawdę jest tak, że jeśli nie jesteś tylko prostym organizmem, który chce się rozmnożyć, do szczęścia potrzebujesz kogoś, kto jest wszystkim, kto potrafi być każdym. Inaczej będzie nudno, a życie stanie się codzienną udręką.

– Ty jesteś kimś takim – powiedziała Magda.

Marek popatrzył na nią z czułością i pocałował w usta. Podniosła się szybko, nie dając mu szansy na dodanie czegokolwiek.

– Kochanie, uciekam – oznajmiła. – Umówmy się na kawę o siedemnastej w barze przy wyjściu na plażę, okay? Pokażemy się wszystkim, by uwiarygodnić nocną randkę, na której romantycznie zginiemy.

– Okay – potwierdził Marek. – O siedemnastej w barze przy plaży.

Pocałowali się i Magda szybko wyszła. Marek został w apartamencie sam. Była dopiero czternasta i nie miał pojęcia, co zrobić z najbliższymi trzema godzinami. Po dłuższym zastanowieniu ubrał się i poszedł do restauracji. Kelnerowi powiedział, by przyniósł mu cokolwiek ciepłego i niezbyt ostrego. Miał nadzieję, że go czymś mile zaskoczą, ale dostał po prostu burrito.

No przecież nie będę w takim dniu cały wieczór pierdzieć po fasoli – pomyślał, ale nie chciał już zamawiać czegoś innego, więc trochę podziubał jedzenie widelcem, wyjadając co smakowitsze kawałki mięsa.

Wokół prawie nic się nie działo. Ot, kolejne leniwe popołudnie w hotelu. Właściwie stracił tutaj poczucie czasu – za nic nie przypomniałby sobie, jaki dzień tygodnia przypada 31 grudnia – ale zupełnie się tym nie przejmował. Żył z dnia na dzień i gdyby nie plan ucieczki i Magda, nie wiedziałby nawet, że dzisiaj jest sylwester.

Lubił ten dzień. W modzie było narzekanie, że to konieczność zabawy, że trzeba się stroić i udawać, iż się człowiek wyśmienicie bawi, bo inaczej znajomi wyśmieją, no i będzie pech przez cały rok, bo wiadomo – jaki sylwester, takie następne dwanaście miesięcy. Wszyscy więc marudzili, a on ten dzień lubił, i to bez względu na to, co akurat miał zaplanowane na

wieczór. To mógł być bal, impreza w klubie lub domówka. Najczęściej jednak pił w jakiejś willi w górach, gdzie wraz z ekipą spędzał okres od świąt aż do początku stycznia. Najczęściej, ale nie ostatnio. Jego grupa znajomych powoli się jednak kurczyła – bo ktoś się z kimś pokłócił, bo czyjaś żona kogoś nie lubiła, bo komuś nie odpowiadała Austria i koniecznie chciał jechać na narty do Włoch czy do Szwajcarii. W poprzednich latach sylwestra spędzał więc z Olesiem i jego żoną, z Tomkiem i jego dziewczyną, no i z tą laską, z którą właśnie był. Ostatnio z Becią. Nie bardzo nawet pamiętał tę imprezę sprzed roku, u Olesiów. Po prostu popili, pożartowali, a o północy wyszli przed dom popatrzeć na niebo. Kilku autochtonów ze wsi próbowało swoich sił w metafizyce dla ubogich, czyli w odpalaniu sztucznych ogni, ale po kwadransie nawet ci, którzy najbardziej chcieli trafić Boga w oko jakąś racą, dali spokój i wrócili do domów kończyć otwarte flaszki.

Oni jeszcze chwilę postali na mrozie, złożyli sobie życzenia, każdy z facetów pocałował partnerkę i też wrócili do willi Olesia. Pili do rana, ale już bez takiego zaangażowania jak przed laty. Wiedzieli, że nazajutrz jest wolne, lecz nie chcieli mieć zmarnowanego popołudnia. Nie mieszały więc, raczej zagryzali, no i nie wlewali w siebie tyle, co jeszcze dziesięć lat wcześniej.

Nawet w picciu widać było, że się starzeje. Za młodu potrafił z kumplami chlać do białego rana, a po paru zaledwie godzinach snu był jak świeżynka. Nie potrzebował niczego do wódki czy piwa, no najwyżej kilku paczek chipsów. A dziś, gdyby tylko zmieszał alkohole lub nie zjadł czegoś w trakcie picia, miałby cały następny dzień z głowy.

Starość dotykała jego ciała – nie tylko ryła zmarszczki na jego twarzy, zmieniała skórę w pergamin, zostawiała dziwne plamki w różnych miejscach, ale także odbierała odporność na alkohol czy wysiłek. Starość dotykała jego duszy – był coraz bardziej cyniczny, sceptyczny, nieskory do zachwytów i uniesień, obolały, ostrożny, przebiegły i zgorzkniały.

Lubił także Nowy Rok – ten dzień, w który rankiem na ulicach nie ma nikogo prócz służb porządkowych i niedopitych imprezowiczów. Cisza, która wtedy panuje, jest olśniewająca – prawie tak, jak w czasie Bożego

Narodzenia. Lubił to późne wstawanie, leczenie kaca, śniadanie z tymi, z którymi spędziło się noc, wspomnianie tego, jak ktoś się porzygał, a ktoś inny dał popis na stole. Nikt się nigdzie nie spieszył i nawet ci, co planowali powrót do domów, siedzieli dłużej, bojąc się, że mają jeszcze alkohol we krwi i mogą stracić prawko po spotkaniu ze znudzonymi psami. Fajny czas wyrwany życiu.

Marek siedział w restauracji już dłuższą chwilę. Zapytał kelnera o godzinę – była 16.20. Postanowił pójść do baru, w którym umówił się z dziewczyną. Na miejscu wybrał stolik najbliżej przejścia na plażę, by jak najwięcej osób zobaczyło go flirtującego z Madzią. Zamówił kawę – tego dnia musiał być trzeźwy.

Gdzieś koło wpół do szóstej przysła zdyszana Magda.

– Kochanie, przepraszam za spóźnienie. – Pocałowała go i usiadła obok. – Musiałam się jeszcze spakować, a wiesz chyba, że to różni się nieco u mężczyzn i u kobiet.

– Pakujesz się? – spytał. – Patrick powiedział, że mamy nie brać niczego prócz dokumentów.

– Nie bądź dzieckiem, skarbie – ofuknęła go. – Przecież nie zacznę nowego życia w jednej sukience i majtkach. Chybabym umarła, gdybyś mnie trzy dni z rzędu widział w tej samej kiece.

– Ja także – zażartował Marek.

Magda się roześmiała.

– Jasne, śmieć się – powiedziała – ale jak myślisz, że twoja miłość do mnie nie ma nic wspólnego z tym, jaką jestem zajebistą i dobrze ubraną szprychą, to znaczy, że nic nie wiesz o życiu, kochany. Nie czułbyś do mnie tego, co czujesz, gdybym miała brzydkie paznokcie, włosy pod pachami i syfiastą sukienkę. Bądź łaskaw to przyznać, a przynajmniej zauważyć.

– Nie można odmówić ci racji – rzekł Marek. – Cieszę się zatem, że się spóźniłaś i w ten sposób uratowałaś nasze przyszłe wspólne życie.

Magda pocałowała go. Spędzili ze sobą dwie godziny i obejrzelili zachód słońca, trzymając się za ręce. Od czasu do czasu się całowali – nie na pokaz,

by budować legendę z myślą o ucieczce, ale dlatego, że po prostu mieli na to ochotę. Krótco przed dwudziestą wyszli z baru i podeszli do brzegu. Ocean był zadziwiająco spokojny.

– Madziu, kocham cię i zawsze już będę – powiedział Marek, patrząc jej w oczy. – Jesteś ostatnią kobietą, jaką pokochałem w życiu. To dziwne, bo naprawdę się tego nie spodziewałem, zwłaszcza tu. – Wskazał głową ośrodek.

– Ja też cię kocham. I będę kochać do końca. Obiecuję.

Przytulili się mocno i pocałowali.

– Czy piękno zawsze musi mieć w sobie coś z kiczu? – odezwał się Marek, gdy ruszyli już do ośrodka.

– Masz na myśli tę naszą ostatnią scenę? – zapytała Magda. – Chyba tak. Kicz to piękno bez wstydu, samo w sobie.

– Niechby nawet to było kiczowate. – Marek uśmiechnął się. – Nie dbam o to. Tak chcę to zapamiętać.

Przy basenie się pożegnali.

– Do zobaczenia na jachcie, kochany – powiedziała Magda.

– Do zobaczenia – odparł Marek i mocno ją pocałował.

Magda ruszyła do siebie, a on patrzył na nią zauroczony. Była piękna, nawet teraz, gdy miała na sobie zwykłe dzinsy i biały podkoszulek. Seksownie się poruszała, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy. Poczekał, aż zniknie za rogiem. Nie obejrzała się, bo nie wiedziała, że śledzi każdy jej ruch.

Gdy wrócił do apartamentu, spojrzął na zegarek – była 20.46. Miał nie więcej niż dwie godziny, zasiadł więc do pisania listu. Był pewien, że wystarczy mu czasu, bo od kilku dni układał go w głowie i wiedział dokładnie, co chce napisać.

Skończył krótco po dziesiątej i włożył kartkę do koperty. Z szuflady wyciągnął dokument, który dostał od Patricka, i dołączywszy go do listu, zakleił kopertę. Rozejrzał się niespiesznie po pokoju i wyszedł. Skierował się ku przystani. Była prawie dwudziesta druga trzydzieści. Z dwóch restauracji

i z klubu nocnego dochodziły dźwięki muzyki i gwar ludzi – zabawy sylwestrowe trwały w najlepsze. Minał wszystkie budynki i dotarł do pomostu, przy którym zacumowana była łódka. Dostrzegł siedzącego w niej człowieka.

– Oscar? – zapytał.

– Tak, proszę pana.

– To list dla Magdy. Oddasz go jej, gdy będziecie daleko, najlepiej już na jachcie. Rozumiesz?

– Rozumiem, proszę pana.

– Wiesz, co masz robić? – upewnił się Marek. – Pan dyrektor wszystko ci wyjaśnił?

– Tak, proszę pana, wszystko jest jasne – zapewnił Oscar. – Zawiozę panią Magdę na jacht i dopiero na nim dam jej list od pana.

– Wobec tego żegnaj. I szczęśliwego Nowego Roku.

– Wzajemnie, proszę pana – odparł Murzyn.

Marek odwrócił się i ruszył w stronę hotelu. W pokoju włączył telewizor. Zamierzał doczekać do północy, wypić wino i pójść spać, ale krótko po jedenastej nie wytrzymał. Chciał ją jeszcze raz zobaczyć, choćby przez chwilę i z oddali. Wypadł z apartamentu i dotarłszy biegiem do przystani, znalazł wygodne miejsce na prawo od pomostu, wśród krzewów i palm. Sam niewidoczny, miał idealny widok. Usiadł i czekał.

Patrząc na oświetlony kilkoma lampami pomost, do którego wciąż przywiązana była jedna łódka, przypomniał sobie zdanie z *Ulisses*a Joyce'a, że molo to rozczarowany most. Co prawda pomost, na który patrzył, nie przypominał pięknego mola, ale zdanie to bardziej niż krajobraz opisywało jego samego.

Rozczarowany most – pomyślał i się uśmiechnął.

W tej właśnie chwili dostrzegł Magdę. Zeszła po schodach prowadzących z hotelu i energicznie zmierzała do łódki. Wskoczyła na nią bez pomocy Oscara i dopiero wtedy się z nim przywitała. Mimo próśb Patricka przytaszczyła dwie całkiem pokaźne torby.

Murzyn odpalił silnik, rzucił cumę i łódka powoli zaczęła opuszczać przystań. Magda stała przy burcie i patrzyła na ośrodek. W pewnym momencie spojrzała dokładnie w miejsce, gdzie siedział Marek. Przeszedł go dreszcz.

Czyżby mnie dostrzegła? – przestraszył się.

Ale to chyba było niemożliwe – tkwił głęboko w krzakach i z tej odległości nie mogła go zauważyć.

Łódka stopniowo nabierała prędkości, kierując się ku pełnemu morzu, a Magda wciąż stała, trzymając się burty, i patrzyła na oświetlony jaskrawo tego wieczora hotel. Marek za to bardzo szybko stracił ją z oczu.

Wrócił powoli do pokoju, wyjął z barku wino, odkorkował je i poszedł znowu na plażę. Dochodziła północ.

Oscar podał Magdzie list.

– To od twojego kochasia – powiedział. – Miałem ci go wręczyć na jachcie, ale chyba mogę dać teraz, nie? – Wybuchnął śmiechem.

Magda usiadła, wyjęła ze schowka przy burcie latarkę i otworzyła kopertę. Wypadł z niej list i jakiś dokument. Zaczęła czytać.

„Najdroższa Madziu, jeśli czytasz ten list, to znaczy, że jesteś już bezpieczna na jachcie i wiesz, że mnie tam nie ma. Przepraszam Cię za to. Wiedziałem, że gdybym wyznał Ci prawdę, nigdy nie zdecydowałabyś się na wyjazd. Powiedziałaś mi to zresztą wprost. Stąd ta maskarada, za co raz jeszcze Cię przepraszam.

Tak – zdecydowałem się zostać w «Great Final». Jutro o tej porze już mnie nie będzie. Taka jest moja wola. Chciałem podziękować Ci za to, że Cię spotkałem i pokochałem. Myślałem, że to już niemożliwe, a jednak dokonałaś tego i jestem Ci za to wdzięczny. Pokochałem po raz ostatni i jako człowiek zakochany odejdę z tego najlepszego ze światów.

Byłem martwy, a Ty mnie ożywiłaś. Tyle że to jak podłączenie prądu do zdechłej zaby – jeszcze kilka razy poruszy nogą, jednak trwale ożywić jej się nie da. Mam nadzieję, że nie obrazisz się za to porównanie, lecz byłaś tym

cudownym prądem, który na moment mną wstrząsnął, choć całkowicie przywrócić mnie życiu nie zdołał.

Kochanie, jestem Ci wdzięczny za te kilkanaście dni, w czasie których byłem prawie szczęśliwy. Umrę zakochany i radosny, a to więcej, niż mogłem sobie wymarzyć.

Wiem jednak, że nie mielibyśmy szans. Ty jesteś na tyle młoda, że możesz mieć złudzenia, ale ja wiem, jak by się to skończyło. Za kilka lat zacząłbym Ci wypominać, kim byłaś, gdy Cię poznałem. Ty, po okresie wdzięczności za wywiezienie Cię z Gambii, zaczęłabyś mnie zdradzać z młodszymi. W Twoim synu widziałbym dorastającego faceta, który Cię skrzywdził, i w końcu pewnie byśmy się znienawidzili. Zaczęłaby się proza życia z jej smutnym, żenującym finałem. Zapewne za jakiś czas byłbym w tym samym miejscu, w którym byłem dwa miesiące temu, gdy postanowiłem przyjechać do «Great Final». Tyle że nienawidziłaby mnie jeszcze jedna osoba, a ja jeszcze jedną oskarżałbym o moje nieszczęście.

Uniknijmy tego i rozstańmy się w takim momencie jak ten. Nie stało się nic, co zmieniłoby mój stosunek do świata. On nadal na przemian przeraża mnie i brzydzi. Dawno już przestałem mu się dziwić, a jeszcze wcześniej nim fascynować. Nie cieszy mnie już od wieków. Widziałem wystarczająco wiele, by móc się z nim pożegnać. Pewnie, moglibyśmy jeszcze coś pięknego przeżyć i coś wspaniałego zobaczyć, ale ja już na to nie czekam. Nie potrafię dłużej podziwiać świata, wiedząc, na czym się opiera i co jest ceną za jego trwanie. Nie mogę znieść jego okrucieństwa, cierpienia, które zadaje żyjącym na nim istotom, bezsensu tej ciągłej walki ludzi i zwierząt o przetrwanie. Wyczerpała mi się baterijka.

Rozmawialiśmy wielokrotnie, więc wiesz, że to nie jedyne powody mojego odejścia. Żaden z nich jednak nie zniknął po tym, jak się pojawiłaś. Kocham Cię, ale to nie usuwa tego wszystkiego, co skłoniło mnie do przyjazdu do Gambii, i nie gwarantuje, że myślałbym i czuł inaczej niż do tej pory. Tylko unieszczęśliwiłbym Ciebie i Twojego syna i przedłużył zaledwie o kilka lat moją nędzną egzystencję. Dlatego lepiej rozstać się już teraz, rozumiesz?

Najdroższa, w kopercie znajdziesz akt notarialny. Zapisałem Ci w nim

moje mieszkanie w Warszawie. Tak, tak, to, które pierwotnie miało przypaść Patrickowi za umożliwienie mi ucieczki. Przepraszam, że zrobiłem to za Twoimi plecami. Zamieszkaj w nim albo je sprzedaj. Zyski pozwolą Tobie i Kamilowi żyć kilka lat w dostatku.

To chyba wszystko, Kochana. Całuję Cię najczulej, jak tylko potrafię, i żegnam.

Twój Marek”.

Magda odłożyła list, popatrzyła na Oscara i się rozplakała. W tym właśnie momencie na horyzoncie, tam, gdzie pół godziny wcześniej zostawili za sobą ośrodek, wybuchły fajerwerki. Była północ. Nastał nowy, 2026 rok.

Marek siedział na plaży i patrzył na ocean. Wszystko wokół niego rozświetliło się nagle od pokazu sztucznych ogni. Tylko ocean w ich świetle był jeszcze czarniejszy niż zazwyczaj w nocy.

Pociągnął duży łyk wina.

Jutro o tej porze nie będę już żył – pomyślał.

I się uśmiechnął.

DZIEŃ DWUDZIESTY ÓSMY

1 stycznia

Gdy tylko otworzył oczy, pomyślał, że to ostatni dzień jego życia. Z jednej strony było to przerażające, ale z drugiej jakoś dziwnie go cieszyło.

– Dokonało się – powiedział do siebie.

Zegarek pokazywał 9.56. Zostało mu czternaście godzin życia, ceremonię odejścia bowiem zaplanowano na północ. Miał przed sobą cały dzień, w którym nie zamierzał robić niczego znaczącego.

Jeśli przez pół wieku nie zdążyłem zrobić czegoś istotnego, to na pewno nie zdarzy się to w ostatnim dniu mojego życia – pomyślał.

Wprawiło go to w radosny nastrój. W ogóle od poprzedniego wieczoru, co jakoś go jednak dziwiło, miał dobry humor. To, że na koniec się zakochał, a nawet zrobił dobry uczynek, było dla niego miłym zaskoczeniem. Nie spodziewał się tego i gdy porównywał swój stan psychiczny z początku pobytu w „Great Final” z tym, jak się czuł obecnie, stwierdzał, że bardzo się on poprawił.

– Może po prostu potrzebowałem miłości i miesiąca wakacji w tropikach, a nie śmierci? – powiedział do siebie i roześmiał się serdecznie.

Postanowił pobiegać.

Ostatni jogging – skonstatował i zaczął bawić się myślą, że przy wszystkim, co dziś zrobi, będzie wypowiadał magiczną formułę „ostatni”.

Włożył sportowy strój i pobiegł na plażę. Utrzymywał dobre tempo aż do miejsca, gdzie ostatnio siedział i rozmawiał z Madzią. Tam rozebrał się i wszedł do wody. Pływał kilkanaście minut.

Gdy wyszedł na brzeg, nie ubrał się, lecz wziął rzeczy i ruszył nago

w stronę hotelu.

Tysiące lat temu wyglądało to właśnie tak – pomyślał. – Jakiś nagi mężczyzna mógł iść w tym samym miejscu co ja dziś, woda uderzała o brzeg, a po prawej rosły palmy. To była inna woda, inne ziarenka piasku i inne palmy, sam człowiek też był inny, ale tak naprawdę wszystko było takie samo. I nic z tego nie zostało. Tak jak nie zostanie ze mnie i z tego, co mnie otacza. Moja śmierć nie obejdzie świata, podobnie jak moje życie nie miało dla niego znaczenia. Wszystko będzie takie samo.

Kilkaset metrów od ośrodka włożył koszulkę i spodenki i bosy pobiegł do apartamentu. Wziął prysznic i poszedł na śniadanie lub raczej brunch, gdyż dochodziło południe. Żar lał się z nieba, więc wybrał klimatyzowane pomieszczenie restauracji. Nie miał żadnych planów.

Myślał o tym, co się dzieje z Magdą. Czy jest w samolocie do Madrytu? A może już wylądowała? Jak przyjęła jego list? Była na niego zła czy zrozumiała jego racje? Wspomniał rozmowę z DeWaelem sprzed paru dni, gdy zdecydowali, jak ma wyglądać ucieczka dziewczyny. Marek oznajmił wówczas, że nie zamierza opuszczać ośrodka i że problemem jest tylko to, by Magda nie spełniła swej groźby, że bez niego nie wyjedzie. Sprawę komplikowało zwłaszcza to, że bojąc się, iż Marek w ostatniej chwili się rozmyśli i nie będzie chciał z nią jechać, zażądała okazania aktu notarialnego przenoszącego mieszkanie w Warszawie na Patricka. Belg postanowił, że sporządzą dwa dokumenty: prawdziwy, przekazujący mieszkanie Magdzie, i fikcyjny, w którym będzie ono zapisane na niego. Właściwy akt Marek włożył do koperty, która trafiła ostatniej nocy do Magdy, drugi zaś pokazał jej po powrocie z biura DeWaela, by ją uspokoić. Dziewczyna do końca nie mogła wiedzieć, że to ona dostanie mieszkanie.

Kończył brunch. Nie chciał, by ten dzień jakoś różnił się od poprzednich – nie sądził, by to, jak go spędzi, mogło mieć jakiegokolwiek znaczenie. Oczywiście nie przeszło mu też przez myśl, by się wypowiedzieć i przyjąć komunię, choć w Bandzulu, dwie godziny drogi od ośrodka, byli kapłani wszystkich prawie religii i przyjeżdżali do „Great Final”, jeśli taka była wola gościa. Po prostu nie wierzył w Boga, o którym mówiły znane mu religie.

Miał nadzieję, że coś spotka go po śmierci, wiedział jednak, że nikt nie ma bladego pojęcia, co to będzie, i że odklepanie jakiejś formuły i polanie głowy olejem niczego mu nie zagwarantuje. No, może spokój ducha, ale ten znalazł sam.

Tak, chyba miał nadzieję, że jutro, już po zastrzyku i jego śmierci, będzie sobie żył ktoś, kto w jakimś sensie będzie nim. Liczył na to, że nie wszystek umrze. Byłoby cholernie głupio, gdyby śmierć oznaczała całkowity koniec, ale brał tę możliwość pod uwagę i nie bał się jej – na pewno była lepsza niż dalsza egzystencja na świecie, którego nienawdził. Tak więc jakieś życie po życiu nie byłoby złe. Rzecz jasna nie wierzył w czyściec, siedem chórów anielskich, wędrówkę dusz i podobne banialuki. Ale może jest coś, co nigdy nie zostało opisane, a spotyka każdego? Może to jakiś inny wymiar czasowy? Może jakieś załamanie materii, przez które przeciska się te nasze dwadzieścia jeden gramów? Jeśli naprawdę istniało życie po śmierci, to miał nadzieję, że nie będzie to abstrakcyjna egzystencja porcji energii, która kiedyś była nim. Chciałby, żeby to, co przetrwa, wiedziało, że kiedyś było nim. Konkretnym Markiem z konkretnym życiem. Nie wierzył w osobowego Boga, ale pragnął, by życie wieczne – jeśli istnieje – było osobowe. By przeżył on, a nie jakaś durna cząstka metamaterii.

Nie zamierzał zatem korzystać tego dnia z pomocy kapłanów ani, skoro już o tym mowa, psychologów. Bo i tacy byli na podporządkowaniu w samym ośrodku w razie kłopotów ze słabszymi psychicznie zombiakami. Jak mu kiedyś powiedział DeWael, nigdy nie było wiadomo, co takiemu niby już pogodzonemu z losem umarłakowi przyjdzie do łba.

Markowi nic nie przychodziło. A przynajmniej nic takiego, co zagrażałoby porządkowi w „Great Final”. Chciał, żeby ten dzień był jak najzwyczajniejszy i żeby o północy mógł spokojnie pójść do budynku, w którym dokonywane są eutanazje, i bez zbędnych emocji dokonać żywota.

Wielokrotnie walczył o to, by jakiś dzień rozpoczął coś nowego i ważnego, by zaszła w nim jakaś zmiana. Nigdy mu się to jednak nie udało. Wcześniej czy później życie wracało do utartych kolein i wiodło go nimi tak jak poprzednio. Ileż to razy obiecywał sobie, że teraz już nie będzie się czymś

przejmował? Albo że odtąd będzie się cieszył każdą chwilą, bo nie można sobie marnować życia? Albo że będzie dla kogoś lepszy? Tymczasem zawsze gównem z tego wychodziło. Nie było przełomowych dni, po których wszystko się zmieniało. Lub inaczej – one się zdarzały, ale nigdy dlatego, że on tak postanowił. Były takie wydarzenia i chwile, które zmieniły trajektorię jego bezsensownego życia, lecz nie on o tym zdecydował i nie on je zaplanował. Trafiały mu się jak ślepej kurze ziarno.

Zapytał kelnera o godzinę – była 15.35. Dobry humor go nie opuszczał. Dziwił się temu, bo gdy kilka miesięcy wcześniej zastanawiał się, jak będzie wyglądał ten dzień, widział go raczej w czarnych barwach. Chyba nawet wyobrażał sobie, że będzie pochmurno i deszczowo. Wiadomo – jak śmierć, to na czarno. Tymczasem okazało się, że ostatni dzień jego życia jest, jak zazwyczaj w Gambii, słoneczny i upalny. Gdyby naprawdę chciał ponurej scenerii i klimatu z filmów grozy, powinien wybrać ośrodek eutanazyjny na przykładzie Horn lub w Szkocji, choć nie był pewien, czy sieć „Great Final” ma tam hotele. Zdecydował się jednak na Gambię i chyba nie przewidział, że umrze w miejscu przypominającym bardziej raj niż przedsionek piekieł.

Zamówił Sex on the Beach – drink, którego składu nie znał, ale którego nazwa była tak nieprzystająca do tego, co się z nim teraz działo, że nie mógł mu się oprzeć.

Ostatni seks na plaży – pomyślał i się uśmiechnął.

Czy miał dobre życie? Nie narzekał. W końcu nie popełniał samobójstwa, bo jego życie było straszne. To był jego wybór – estetyczny i etyczny. A także skutek tego, że nie mógł już znieść krzyku, który rozlegał się wciąż na tej pieprzonej planecie. Ale to nie był jego krzyk – jego egzystencja była bardziej niż udana. Nie przeżył śmierci dziecka, rodzice nie zginęli w strasznych okolicznościach, miał wszystko, co daje satysfakcję. Zwłaszcza w ostatnich latach był zamożny – mógł sobie pozwolić na egzotyczne podróże, piękne prostytutki, jądanie w niezłych restauracjach. No i nie musiał przeżywać wojny, tego najgorszego z ludzkich doświadczeń. Wiedział, jaka jest, wiedział, czym pachnie. Gdy był młody, koledzy wyobrażali sobie wojnę jako okres heroiczych czynów i starcie tytanów, w którym – co oczywiste –

odgrywaliby niepoślednią rolę. Tymczasem on zdawał sobie sprawę, że wojna to smród niemytych tygodniami stóp, okropne rany, gwałty na dzieciach, zimno i głód. Miał świadomość, że wszystko staje wtedy na głowie – że ten prymitywny śmieciarz, który klnie na potęgę, bije żonę i co rano obrzuca zawistnym spojrzeniem jego i jego jaguara, będzie może po wybuchu wojny panem jego życia i śmierci. Że może wejdzie do jego domu, który go onieśmieli, bo dotąd żył w klatce pięć na pięć, stłoczony z członkami swojego stada, które nazywał rodziną, i że weźmie sobie, co tylko zapragnie. A wcześniej zastrzeli Marka i zgwałci jego dziewczynę – pierwszą kobietę w jego życiu śmieciarza, która będzie miała ogoloną cipkę – nim rozpląta jej brzuch wielkim nożem do patroszenia ryb.

Marek tego wszystkiego nie przeżył, ale wiedział, że ten czas nadchodzi. Że szczęsny okres, w którym w tej części Europy nie było wojny, właśnie się kończy i że być może już za kilka lat jakiś śmierzdzący potem facet wejdzie do jego domu i splugawi wszystko to, co stanowiło dla niego jakąkolwiek wartość. Był pewien, że czas stali się zbliża i że nie zdoła uniknąć tego, co dotykało jego antenatów w każdym prawie pokoleniu. Bo przecież od Mieszka I dzieliło go jakichś czterdziestu przodków. Tylko czterdzieści pokoleń. Ile z nich żyło w czasach pokoju? Pięć? Sześć? Reszta dostąpiła wątpliwego zaszczytu egzystencji w czasie wojny. Jego matka przeżyła drugą wojnę światową – na szczęście dla niej jako mała dziewczynka. Niewiele pamiętała, jednak żyła w czasach wojny, a jej rodzina uciekała najpierw przed Niemcami, potem przed Ukraińcami, a na końcu przed Rosjanami. Rzuciło ich do Raciborza, do domu, z którego kilka tygodni wcześniej uciekli jacyś Niemcy.

Dlaczego więc on nie miałby doświadczyć chaosu wojny? Już jako starzec, czyli w najgorszym wieku? Dla dorosłych to czas próby – można walczyć z wrogiem lub przynajmniej o przeżycie. A starcy? Ci zdani są na łaskę swych rodzin lub wojska i czują, że są ciężarem, ich życie zaś niewarte jest zachodu. Straszny los.

Jeszcze inna dotycząca wojny myśl towarzyszyła mu przez lata. Choć sam wojny nie doświadczył, nie oznaczało to, że jej nie było, że dzień w dzień nie

zbierała swojego krwawego żniwa. W końcu od jego narodzin nie było dnia bez jakiegoś konfliktu. Polska szczęśliwie ich unikała, lecz w każdej chwili ktoś ginął na froncie, ktoś był gwałcony, ktoś tracił dziecko – tyle że w dzikiej Afryce lub wśród brudnych Arabów.

Marek nie potrafił tego wyrzucić z głowy, tak jak robili to wszyscy wokół, którzy oglądali w wieczornych serwisach relacje z wojny i zaraz o nich zapominali, skupieni na tym, że szef spojrział na nich krzywo lub że ktoś im zarysował na parkingu auto. On wciąż miał przed oczami te obrazy: płonących ludzi, zapłakane dzieci, zgwałcone kobiety, trupy cywilów. Tkwiły w nim i nie pozwalały normalnie żyć. Wiedział, że to jakaś ułomność jego charakteru i że pewnie da się to jakoś leczyć – terapią lub po prostu pigułkami – ale nie chciał korzystać z tej pomocy. Nie chciał pozbawiać się części siebie. Nie chciał szczęścia zyskanego kosztem zapomnienia o nieszczęściu innych. Wiedział, że nie może dla tych biednych ludzi nic zrobić, ale nie chciał usuwać ich ze świadomości. Może to były wyrzuty sumienia w związku z tym, że opływa w luksusy, gdy oni giną cierpiący i poniżeni?

Oczywiście nie zamierzał rezygnować ze swojego życia – ze swoich mieszkań, dziwek, niezłych aut i dobrego alkoholu. No i, rzecz jasna, przez myśl mu nie przeszło, by spakować się i pojechać bronić lub leczyć tych ludzi. Na to był zbyt cyniczny i wygodny, jak wszyscy ci, których nie dotykały nieszczęścia i którzy mogli żyć w pokoju. Tym wszystkim, których widywał wieczorami w telewizji, jak płakali, pokazując swoje nieszczęście i rozpacz, mógł zaoferować jedynie pamięć o nich. A i to okazało się dla niego zbyt wielkim brzemieniem.

Kilka osób weszło do restauracji. Wyglądali jak grupka znajomych, którzy wesoło spędzają wakacje w egzotycznym kurorcie. Byli roześmiani i głośni – musieli się tu poznać i polubić. Żalotne. Marek postanowił pójść nad ocean i ruszył ku zejściu na plażę. Gdy już tam dotarł, zaczął się zastanawiać, czy nie wskoczyć do wody.

Ostatnia kąpiel – pomyślał i znów się uśmiechnął, kontemplując sentymentalizm tej frazy.

Postanowił jednak skorzystać z leżaka. Nie chciało mu się rozbierać, pływać, a potem wycierać. Pragnął rozłożyć się i patrzeć na ocean. Zamówił Kir Royal i czekał na zachód słońca.

Chciał się czuć dokładnie tak jak teraz. Nie tylko w tym ostatnim dniu, ale przez całe życie. Jego stan można by określić za Hrabalem jako „krasosmutnění”, czyli piękno smucenia się. W języku polskim najbliższym tego odpowiednikiem była chyba „melancholia”. To najwspanialsze dane człowiekowi uczucie – dalekie od radości, ale też od rozpacz. Coś pomiędzy nimi. Stan idealnie filozoficzny. Arcyludzki, nieznanym zwierzętom i kretynom. Marek nie znał żadnego idioty, który bywał melancholijny. Ci potrafili być znudzeni, zgorzkniali, zasmuceni, ale nigdy melancholijni. Melancholia to kwintesencja człowieczeństwa, szczyt ludzkiej wrażliwości – stan między nirwaną, filozoficznym namysłem i metafizyczną pauzą. Jedynie w niej dotyka się istoty sprawy, sedna naszej egzystencji, ale gdy tylko próbuje się to uczucie werbalizować, znika i długo nie wraca. Dlatego jeśli chce się doświadczyć melancholii, najlepiej pozwolić, by płynęła przez nas niezaczepiana przez sferę ratio. Kiedy tylko odczuwamy pokusę ujęcia jej słowami, owo piękno smucenia się pryska jak bańka mydlana.

Lubił wieczory między innymi za to, że wówczas melancholia była na wyciągnięcie ręki. W słoneczny dzień nie było na nią szans, a w czasie deszczu czy w nocy wydawała się aż nadto banalna. Ale wieczory pozwalały się nią nasycić, zwłaszcza nad morzem i o zachodzie słońca. Wtedy wydobywały się z niego ukryte głęboko pokłady „krasosmutnění” i stawały przed nim niczym tygrys, bijąc się po bokach ogonem – jak pisał swego czasu Miłosz o czymś zupełnie innym.

Słońce szybko zachodziło. W takich chwilach uświadamiał sobie, że prawda jest inna – że ono nie zachodzi, a jedynie znika za horyzontem w wyniku obrotu Ziemi wokół własnej osi. To zawsze go przerażało, pojmował bowiem, jakim ogromem jest kosmos i jak nieistotny jest on sam, małe żyjątko patrzące na wszechświat z jednej z kwintylionów planet. Ale była w tych chwilach także dzika radość, że jednak myśli, że żyje. Bez sensu i celu, bez możliwości pojęcia tego wszystkiego, jednak trwa i patrzy. Ze

zgrozą, od której pękają oczy, i z wielkim zachwytem.

Był sam na plaży, zrobiło się już ciemno. Wstał, przeszedł kilkaset metrów, by oddalić się od źródeł światła, i położył się na wznak na piasku. Patrzył w niebo. Gwiazdy świeciły tak mocno, że miał wrażenie, iż można je dosięgnąć ręką.

– Horror – powiedział do siebie.

Leżał tak kilkadziesiąt minut, po czym wstał i poszedł do apartamentu. Była 21.46, zostały mu więc niespełna dwie godziny. O 23.30 miał po niego ktoś przyjść i zaprowadzić do budynku, w którym wyzionie ducha. Lubił to sformułowanie. Było w nim coś optymistycznego – gdy jego ciało już umrze, otworzą mu się usta i duch wyleci przez nie. Uniesie się w sali, chwilę popatrzy na leżącego w dole Marka, ogarnie spojrzeniem wszystko wokół i poszybuję wprost do nieba.

Zaczął się pakować – nie chciał zostawić swoich rzeczy w nieładzie. Włożył do dwóch walizek wszystko, co tu przywiózł, i posprzątał w łazience. Była 22.37. Zastanawiał się chwilę, czy nie napisać pożegnalnego listu do Patricka, ale uznał, że to bez sensu. Taki list nie może być długi, gdyż będzie żałośnie grafomański, z kolei na dwóch stronach nie da się streścić wszystkiego, co pchało nas ku śmierci. No i zawsze już będziemy pamiętani przez pryzmat tych ostatnich słów. Zostaną z naszymi bliskimi jak niemodny tatuaż na lędźwiach, który kiedyś był w Polsce bardzo sexy, a potem stał się synonimem złego gustu. Nie, niczego nie napisze. I tak wszystko, co chciał, powiedział już Patrickowi.

Położył się na łóżku i patrzył na zegarek.

Dokładnie o 23.30 usłyszał pukanie do drzwi.

– Da, da, da, dam! – zanucił i się uśmiechnął.

Otworzył. Śmierć miała twarz młodego Murzyna i oznajmiła, że ma na imię Carl. Marek powiedział, że już wychodzi, i zamknął jeszcze na chwilę drzwi. Oparł się o nie plecami i popatrzył na pokój, a potem wziął głęboki oddech i wyszedł na korytarz. Carl czekał kilka metrów dalej.

– Let's go – rzucił Marek.

Zeszli po schodach i ruszyli do budynku, w którym za kilkadziesiąt minut miał dokonać żywota. Był prawie szczęśliwy i zaciekawiony, nie wiedział bowiem, jaką prezentację przygotowali dla niego ci, którzy mieli go zabić. W prospekcie reklamowym wyczytał, a potwierdził to później DeWael, że ekipy „Great Final” słyną z najwyższej jakości końcowej prezentacji.

Życie można mieć chujowe – pomyślał, gdy kilka tygodni temu decydował się na przyjazd do Gambii – ale nie śmierć.

To chyba sprawiło, że gdy wchodził do budynku, w którym za jakąś godzinę miał umrzeć, był podekscytowany. Nie odczuwał strachu czy żalu. Gdy Victoria, kierowniczka zespołu, który – jak się wyraziła – będzie mu towarzyszyć w jego ostatniej drodze, przywitała się z nim, nawet się uśmiechnęła i serdecznie uściśnęła jej dłoń.

Najpierw weszli do przebieralni. Victoria spytała, czy woli zrzucić ubranie czy w nim pozostać. Marek rozebrał się i stanął przed nią nagi. Nie odczuwał wstydu. Niczego już nie odczuwał.

– Proszę za mną – powiedziała i poszła przodem.

Wkroczyli do wielkiej sali o półkolistym sklepieniu. Na środku stała olbrzymia wanna wypełniona niebieskawą wodą. Kobieta poprosiła Marka, by do niej wszedł. Był zaskoczony, ponieważ myślał, że wszystko odbędzie się na jakimś stole. Wanna była płytka – komfortowo ciepła woda ledwie zakrywała ułożone w niej ciało.

Położył się wygodnie i oparł głowę na specjalnie przygotowanej podstawie. Victoria stanęła przed nim i zaczęła tłumaczyć, co i w jakiej kolejności będzie się z nim dziać. W tym czasie dwie mniej więcej trzydziestoletnie kobiety podłączały mu jakieś czujniki do skroni i klatki piersiowej. Do uszu włożono mu słuchawki, a do żył w dołach łokciowych wprowadzono wenflony.

– Najpierw podamy panu środek relaksujący – tłumaczyła Victoria. – Po pewnym czasie na sklepieniu zostanie wyświetlona nasza prezentacja i będzie pan mógł ją śledzić. W jej trakcie podamy kolejno środek usypiający, a następnie finalny.

Finalny – pomyślał Marek. – Bardzo ładna nazwa.

– Ma pan jakieś pytania? – spytała kobieta.

– Nie.

Victoria podeszła do niego z boku, pochyliła się i zaczęła sprawdzać, czy czujniki i wenflony są odpowiednio przymocowane. Marek kątem oka dostrzegł między guzikami białego fartucha sutek jej lewej piersi. Był piękny, słabo zarysowany, stożkowaty – jak u nastolatki. Poczł nagłe podniecenie. Spojrzał na kobietę, by przekonać się, czy dostrzegła jego erekcję. Była zajęta swoją pracą, mimo to się zawstydzil.

A więc to naprawdę koniec – pomyślał.

Victoria wyprostowała się, ukloniła bez słowa i wyszła. Został sam. Leżał tak kilka chwil, a potem sklepienie sali zaczęło się rozsuwać i jego oczom ukazało się rozgwieżdżone niebo. Widok był oszałamiający. Usłyszał dźwięki muzyki Jeana-Michela Jarre'a z płyty *Oxygène*.

Trafny wybór – stwierdził. – Kiczowaty, ale trafny.

Przy tej muzyce doświadczał swoich pierwszych metafizycznych wzruszeń, łącznie z nieudanymi amatorskimi seansami spirytystycznymi w młodości.

Niezły mają research – pomyślał i w tym właśnie momencie poczuł, że do jego żyły wtłoczono środek relaksujący. Efekt był natychmiastowy – ciało rozluźniło się i wpadł w euforię. Miał wrażenie lekkości i nieważkości.

Dłuższą chwilę oglądał gwiazdy i słuchał muzyki Jarre'a. Po pewnym czasie sklepienie zaczęło się zamykać. Gdy zapadła ciemność, na suficie wyświetlono film – to była jego młodość. Widział siebie w otoczeniu przyjaciół, a także kolegów z sekcji karate. Zdjęcia ze studniówki i matury wyglądały tak, jakby postaci zaraz miały ożyć. A potem zobaczył pierwsze filmy wideo, które kręcili z przyjaciółmi, gdy mieli po dwadzieścia lat – w czasie wakacji w Chorwacji, weekendu w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, pożegnania kumpla, który na stałe wyjeżdżał do Ameryki. Był wzruszony. Co jakiś czas przyjaciele zwracali się ku niemu i uśmiechali; to musiała być sztuczka techniczna, bo pamiętał te filmy i wiedział, że nie

ma w nich takich kadrów.

W pewnym momencie film się skończył i na sklepieniu zobaczył uśmiechniętą, patrzącą prosto na niego Magdę. Coś do niego mówiła, ale jej nie słyszał. Mimo to czuł się wspaniale. Salę zaczęły wypełniać pierwsze dźwięki *My Way* Sinatry, jednej z jego ulubionych piosenek. Kiedyś myślał, że odkrył ją dla siebie i że właśnie ją chciałby usłyszeć na swoim pogrzebie, a potem dowiedział się, że połowa Amerykanów uważa *My Way* za najpiękniejszą piosenkę o śmierci i jest ona najczęściej puszczanym kawałkiem w czasie uroczystości żałobnych. Nie przeszkodziło mu to jednak kochać jej i traktować jako swojego życiowego manifestu.

Słuchał więc Sinatry, a przed jego oczami ukazała się Beca. Miała na sobie sweterek z reniferami, który kupił jej dla żartu, bo szli na jakąś imprezę tematyczną, ale który tak jej się spodobał, że często go nosiła. Uśmiechała się do niego.

– Maruś, przepraszam za to, co ci zrobiłam – odezwała się. – Nigdy nie przestałam cię kochać. Wiedz o tym.

Marek wyciągnął do niej rękę. Zrobiła to samo, a ich palce się zetknęły. Beca pocałowała jego dłoń i powiedziała:

– Kocham cię.

W tym momencie Marek obrócił głowę i zobaczył Kasię. Stała tyłem do niego i nie widział jej twarzy, ale wiedział, że to ona.

– To był mój największy błąd, że odeszłam od ciebie – powiedziała. – Zawsze myślałam o tobie. Byłeś najpiękniejszym, co mnie w życiu spotkało.

Odwróciła się i pocałowała go w usta. Gdy otworzył oczy, by raz jeszcze na nią spojrzeć, zobaczył nad sobą twarz Ewy, swojej pierwszej miłości. Klęczała przy nim i trzymała go za rękę.

– Pamiętasz, jak siedzieliśmy na wzgórzu pod Raciborzem, koło cmentarza Jeruzalem? – odezwała się. – Powiedziałeś, że pokazałeś mi już cały swój świat, i spytałeś, czy chcę być jego częścią. Pamiętasz?

Marek nie potrafił wydobyć z siebie głosu.

– Teraz chcę ci to wreszcie wyznać, bo wtedy miałam tylko dwadzieścia

dwa lata i nie zdobyłam się na odwagę. Tak, Marku, chcę być częścią twojego świata.

Marek poczuł łzy na policzkach. Gdy je ocierał, usłyszał, że zmieniła się muzyka. To był kawałek *The Air That I Breathe* The Hollies. Otworzył oczy. Siedziała przy nim matka. Lewą ręką gładziła go po włosach, a w prawej trzymała jego dłoń. Patrzyła na niego i się uśmiechała. A potem wstała, odeszła na kilka kroków, odwróciła się i zapytała:

– Mareczku, chcesz już do mnie przyjść?

– Tak, mamó. – Jak z oddali usłyszał swój głos. – Bardzo chcę.

DZIEŃ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

2 STYCZNIA

Świtało już, gdy Magda w Oscarem dobijali do przystani po tym, jak ostatnią dobę spędzili na jachcie. Nie wpłynęło to dobrze na ich kondycję – o ile w sylwestrową noc ocean był spokojny, o tyle później fale były spore – szczególnie Magda była wymęczona ciągłym bujaniem.

Weszła na pomost i pożegnała się z Murzynem. Spojrzała w stronę budynku, w którym przed kilkoma godzinami umarł Marek, po czym ruszyła do willi DeWaela.

– Zjesz śniadanie? – spytał, gdy tylko wkroczyła do salonu.

– Nie, źle się czuję – powiedziała. – Niczego bym nie przełknęła.

– Wszystko okay?

– Nie, Patricku, nie jest okay – odparła zdenerwowana. – Jest kurewsko daleko od okay.

– Co się dzieje? – Belg był lekko zaniepokojony.

– To się dzieje – rzuciła Magda z wyraźną irytacją – że mam tego dosyć! Rozumiesz?! To już czwarty zombiak, którego tak robię w chuja, i naprawdę sobie z tym nie radzę!

– Uspokój się. – Próbował ją przytulić.

– Nie zamierzam się uspokajać! – Wyrwała mu się, usiadła na kanapie i zapaliła papierosa. – Tu nie o zdenerwowanie chodzi. Ja to po prostu źle znoszę. Z tym Markiem naprawdę się zaprzyjaźniłam. Nie potrafię już tak oszukiwać. Nie chcę.

– W porządku, rozumiem – powiedział uspokajająco DeWael, usiadł obok niej i także zapalił. – Mnie też jest ciężko...

– No jasne! – przerwała mu. – Strasznie ciężko!

– Dla mnie to również nie jest miłe – kontynuował. – To całe udawanie, ten cyrk i w ogóle. Jednak tu naprawdę nikomu nie dzieje się krzywda.

– Jak to nie? My ich oszukujemy. Ty udajesz przyjaźń, a ja miłość.

– Zgadza się – rzekł Patrick. – Ale przecież ten Marek nie umarłby tak szczęśliwy, gdyby się w tobie nie zakochał, prawda? Dałaś mu szczęście na koniec jego żalosnej egzystencji. Oboje daliśmy mu to cholerne szczęście. Więc co z tego, że trochę poudawaliśmy? Zafundowaliśmy mu miesiąc fajnego życia i radosną śmierć. Gdzie tu krzywda?

– Ale ja już tak dłużej nie potrafię...

– Potrafisz, potrafisz – powiedział Belg. – Zapomniałaś, dla kogo to robisz? Zapomniałaś o swoim synu? Zamiast trzydziestu procent od tego, co zakochany w tobie zombiak mi zapisze, dostałaś mieszkanie w stolicy tego waszego śmiesznego kraju. To chyba dobry deal, co?

– Dobry – powiedziała cicho.

– Pewnie, zwłaszcza dla ciebie. – Uśmiechnął się. – Ale niech stracę. Jesteś moją najlepszą współpracowniczką. Inne dziewczyny nie potrafią tak rozkochać w sobie zombiaków. No może tylko Natasza zbliża się do twojego poziomu, ale i tak jesteś the best, więc mi na tobie zależy. – Chwytał ją za dłonie. – Madziu...

– Nie mów tak do mnie! – przerwała mu. – Tak nazywał mnie ten ostatni.

– Okay – zgodził się pospiesznie. – Masz mieszkanie w Warszawie, weź urlop. Powiedzmy, tydzień.

– Dwa – szybko rzuciła Magda.

– W porządku, niech będą dwa. – Roześmiał się głośno. – Widzę, że szybko wracasz do formy. Więc masz dwa tygodnie wolnego. Możesz polecieć do Polski i spotkać się z synem lub spędzić ten czas tutaj, oszczędzając kasę. Twój wybór. Kiedy ostatnio byłaś w domu?

– Przecież wiesz. Trzy miesiące temu.

– Tak czy owak, masz dwa tygodnie luzu i robisz, co chcesz – ciągnął Patrick. – A my nie rozmawiamy już o wycofywaniu się z biznesu, który

przynosi nam niezłe dochody. Deal?

Magda popatrzyła na niego, zgasiła papierosa w popielniczce i odparła:

– Deal.

DeWael objął ją.

– Zuch dziewczyna!

Uśmiechnęła się kwaśno i poklepała go po plecach.

– Zostaniesz jednak na śniadaniu? – spytał.

– Nie, naprawdę źle się czuję. Jachtem bujało w chuj i ciągle chce mi się rzygać. Idę spać.

– Okay – rzekł Patrick. – Ale kiedy dojdiesz do siebie, wpadnij do mnie, to załatwimy formalności związane z twoim urlopem.

– Dobrze.

Podniosła się i miała już wyjść, ale zatrzymała się jeszcze na chwilę i odwróciła.

– Ja go naprawdę polubiłam – powiedziała.

– Kogo? – DeWael był zdziwiony.

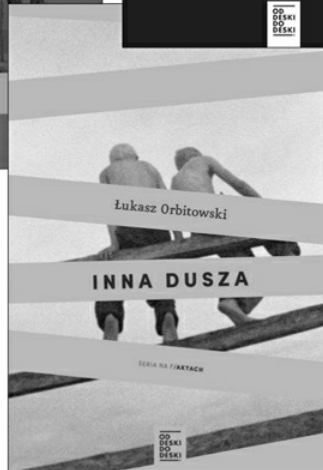
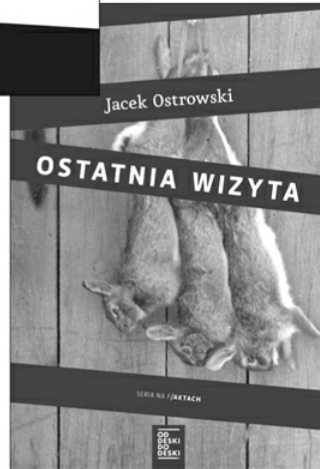
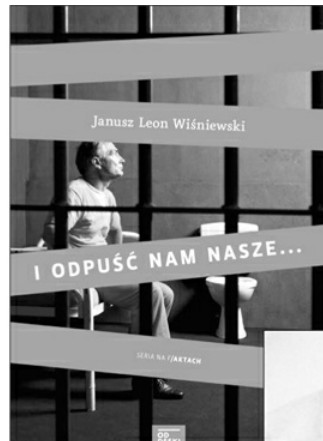
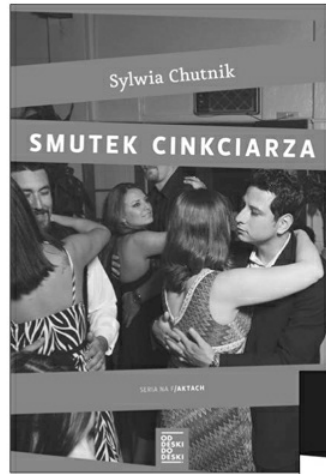
– Marka – odparła. – Był jakiś taki... Nie wiem, jak to określić. No po prostu bardzo go polubiłam.

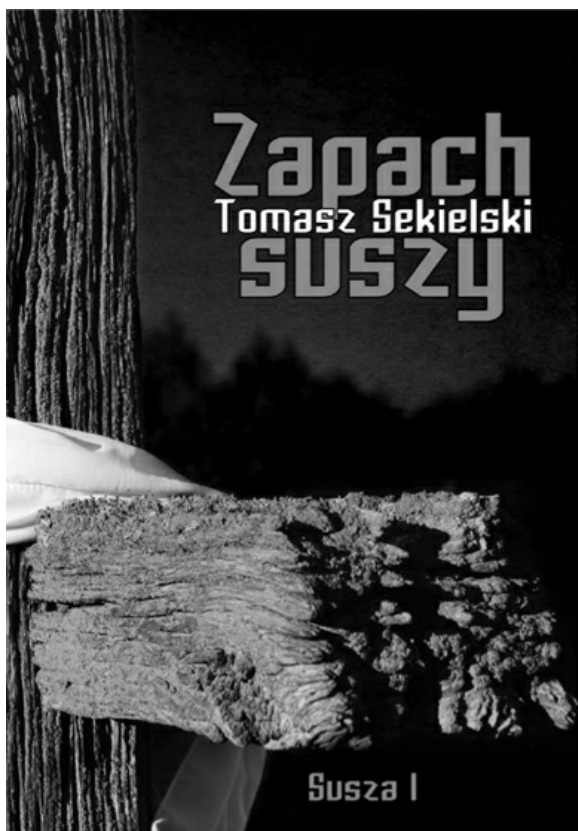
– Ja też. – Patrick nieznacznie się uśmiechnął. – Naprawdę fajny gość.

Magda zamknęła za sobą drzwi i ruszyła wolno do swojego mieszkania. Przechodząc obok przystani, raz jeszcze spojrzała na budynek, w którym krótko po północy zmarł Marek.

– Przepraszam cię – powiedziała cicho – ale trzeba jakoś żyć.

Polecamy serię NA F/AKTACH





Trzecia część serii – ***Kolor suszy*** – w księgarniach
już w październiku 2018 r.